Migotania

Gazeta literacka

Nr 2 (75) 2022 kwartalnik

JUBILEUSZ!
2002 - 2022
PISMO UKAZUJE SIĘ JUŻ XX LAT

POLECAMY:
Najnowsza literatura z Gdańska (blok)
Maria Jentys-Borelowska, O Szewczence
Marka Wawrzkiewicz, wiersze
Roman Warszewski, A Bogowie kochają góry, esej
Małgorzata Dorna-Wendrychowska, esej o Tadeuszu Ogrodniku
Renata Paliga, Wojny i Epidemie w dziejach Rzeczypospolitej
Dariusz Pawlicki, Nie zawiedźcie mnie, oczy moje, esej
Zbigniew Kresowaty o Januszu Styczniu

Fundacja
ŚwiattoLiteratury

„To, co w polityce zaczyna się lękiem, kończy się szaleństwem"
Samuel Coleridge

Adam Majewski

Ugryzienie psa

Co można zostawić po sobie
oprócz karty choroby i nieuporządkowanych komputerowych
śladów i plików? (Wydruki są
przeznaczone dla bibliotek – depozyty
z rdzeni ściętych drzew)
Przyszłość przybiła do brzegu
kiedy po ulicach biegał oszalały z tęsknoty
pies – nikt go nie chciał. Kąsał więc
a nierozwiązane sprawy domykało miejskie
krematorium. Co można zobaczyć jeszcze
w przyszłości? Wyjęte z ciała serce? Z serca
duszę?

Na oddziale kardiologicznym, epidemia, wrzesień 2021

Tadeusz Ogrodnik

W numerze prezentujemy prace Tadeusza Ogrodnika
Plakat artystyczny: Tadeusz Ogrodnik
Plakat poetycki: Marek Wawrzkiewicz

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2022

FELIETON

Roman Warszewski

Jak Putin siada

To, jak niewiele wiemy o Putinie jako o osobie, uświadamiamy sobie dopiero teraz, gdy rakietami strzela u naszych bram. Tym cenniejsze są spostrzeżenia zawarte w książce *Wybór* (Agora, 2021) pióra Anne Applebaum i Donalda Tuska z końca ubiegłego roku. Tusk poznał Putina osobiście, kilkakrotnie się z nim spotykał. Applebaum natomiast od lat Putina obserwuje. Doborowa para autorów w książce skrzętnie wymienia się spostrzeżeniami na jego temat.

Anne Applebaum: „Zawsze robił na mnie wrażenie prawdziwego kagebisty. *Wszyscy dookoła są wrogami, świat jest wrogi, więc trzeba go traktować z największą ostrożnością. Bezustannie gdzieś na Zachodzie jacyś wrogowie pracują nad osłabieniem Rosji* – do takiego myślenia został wychowany i wytrenowany, tak widzi rzeczywistość. Jego autentyczne emocje można dostrzec właśnie wtedy, gdy mówi o tym wrogim zewnętrznym świecie. Na przykład w 2011 i 2021 roku trwały wielkie demonstracje w Moskwie, a on opowiadał o knowaniach państw i agentów Zachodu, którzy infiltrują rosyjskie społeczeństwo. Miał łzy w oczach." Według Applebaum bardzo charakterystyczne są też „jego oschłość i dystans, kiedy jest poza Rosją. Sądzę – pisze – że za granicą Putin ma poczucie, że znalazł się na wrogim terytorium i musi postępować z największą ostrożnością".

Donald Tusk: „Zawsze uderzała mnie jego dziwna nieśmiałość i brak pewności siebie w relacjach z innymi liderami. Po raz pierwszy spotkałem go w czasie mojej jedynej jak dotąd wizyty w Moskwie w 2008 roku. (…) Sądziłem, że (…) będziemy mieli poważną, merytoryczną rozmowę. Nic z tych rzeczy. Monotonny, ponury, nużący monolog. Wyuczona, zapewne powtarzana już wielokrotnie przemowa o tym, jak potężna jest Rosja i jak szybko może zniszczyć każdego sąsiada. Ciemny, klaustrofobiczny gabinet, przytłumione światło, wystrój wnętrza jak z filmów o Stalinie. Kilkanaście starych aparatów telefonicznych, czerwono–brunatno–czarne boazerie, ponure meble i Putin wyciągający co parę minut jakieś mapy i wykresy ilustrujące militarną przewagę Rosji nad Europą. Ale w jego głosie słyszałem pretensję, może nawet żal, że ma tyle rakiet, a i tak wszyscy wkoło się stawiają. Widziałem po drugiej stronie stołu imitację dyktatora, człowieka bez charyzmy, bez wewnętrznego żaru oraz kompletnie bez dystansu i poczucia humoru". Zaraz potem Tusk dodaje: „Nie spotkałem nikogo, kto mógłby powiedzieć, że zaprzyjaźnił się z Putinem, czy zbudował z nim jakieś osobiste relacje. Powodem nie jest chyba jego wyuczona i intencjonalna asertywność, tylko głębokie wycofanie i brak naturalnej empatii. A to w połączeniu z rakietami musi trochę niepokoić".

Ale niewykluczone, że Putin ulega czasami głębszym i autentycznym uczuciom. Donald Tusk: „Pamiętam jego spotkanie z rodzinami marynarzy z okrętu podwodnego *Kursk*. Sprawiał wrażenie mocno poruszonego. Tylko nie wiem, czy trudnością sytuacji, w jakiej się znalazł skonfrontowany z rodzinami ofiar, czy współczuciem. Ale wyglądał, jakby na chwilę zdjął – wydawałoby się zrośnięta na trwałe z twarzą – maskę".

Ale „(…) to był ostatni raz – mówi Anne Applebaum. – Katastrofa *Kurska* wydarzyła się na samym początku jego rządów i już wtedy Putin zrozumiał, że publiczne okazywanie słabości zupełnie mu nie popłaca."

Tusk: „Później zawsze już nosił maskę lekceważącego wszelkie trudne sytuacje, czasami do bólu cynicznego polityka. Pamiętasz jego słynne odpowiedzi na pytanie o zielone ludziki na Krymie: *Takie mundury można kupić w każdym sklepie z mundurami*. Albo o otruciu Nawalnego, że jeśli to Kreml chciałby go zabić, toby nie przeżył…"

Co najmniej od tamtego czasu Putin miał przerodzić się w trolla.

Donald Tusk: „(…) Przyjął strategię: *Będę bezwstydny, cyniczny, nigdy słaby – i co mi zrobicie?*" Dalej stwierdza: „W czasie spotkań, nawet tych w cztery oczy, Putin sprawia wrażenie trochę stremowanego i nastroszonego. Tak jakby ciążyła mu świadomość, że ma reputację prostego siłownika z KGB-owską przeszłością. Ale (…) nie widać po nim kompleksów, a przynajmniej dobrze przykrywa je wystudiowana arogancją."

Tu w rozmowie autorów pojawia się kwestia… tego, jak Putin siada.

Anne Applebaum: „Obama też to zauważył".

Donald Tusk: „Powiedziałbym, że on siada ze swoistą przesadą. (…) Byłem w lekkim szoku, kiedy [pewnego razu w Davos – RW] usiedliśmy na jakichś krzesłach. To znaczy ja usiadłem, a on niemal się położył. Jednocześnie jego twarz i jego ręce mówiły: czuję się źle, niepewnie. Takim go zawsze widziałem: w środku spiętego, na zewnątrz nienaturalnie wyluzowanego, pozującego na kogoś całkiem innego, niż jest w rzeczywistości".

Czy z tego może coś wynikać? Np. – podchodząc do zagadnienia nieco psychoanalitycznie – że z Rosją jest podobnie? Że Rosja wcale nie jest taką potęgą, za jaką chciałaby uchodzić. Że tak naprawdę się osuwa, leży?

Na pewno jest wskazana ostrożność przy wyciąganiu tego rodzaju wniosków. Tym bardziej, że opublikowany 6 miesięcy temu „Wybór" dostarcza też dowodów, jak bardzo można się mylić. W pewnym momencie w książce pada stwierdzenie: „Podobnie jak dzisiejsze Chiny, Rosja nie myśli teraz o inwazji na Zachód. To nie są czasy napięć na linii Chruszczow–Kennedy czy Breżniew –Reagan, które realnie groziły globalnym konfliktem".

Od ponad 3 miesięcy wiemy, że jest inaczej, że to nieprawda. A to każe przypuszczać, że Putin, być może, jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Zapewne byłoby najlepiej, jakby nie miał już okazji go wypowiedzieć.

Roman Warszewski

FELIETON

Adam Buszek

Skrót sprawozdania z egzaminu ósmoklasisty

24 maja czternastolatkowie pisali egzamin kończący szkołę podstawową. Wszystkie utwory z tegorocznej listy lektur obowiązkowych napisali mężczyźni. Najnowszy spośród nich wydano 79 lat temu (Mały Książę Antoine'a de Saint-Exupery'ego, francuska premiera w 1943, pierwsze polskie wydanie w 1947). Jeśli doliczyć lektury nadobowiązkowe, najbardziej „współczesnym" autorem jest Melchior Wańkowicz, urodzony w roku 1892. Ósmoklasistom polecono jego *Tędy i owędy* z 1961 roku. Ach, tak, jest jeszcze nowsza lektura nadobowiązkowa, króciutki tekst *Artysta*. Sławomira Mrożka (urodzonego w 1930). Kieszonkowa satyra na koguta, który pragnie zrobić karierę jako lew (ewentualnie tygrys).

W książkach objętych egzaminem dominują postaci męskie. Tytułowe bohaterki są dwie: *Żona modna* oraz *Balladyna*. Pierwsza z nich została przez autora wykpiona (takie prawo satyry, oczywiście), druga potępiona i ukarana siłami natury, ludowej wiary oraz Opatrzności (Juliusz Słowacki doceniał Lady Makbet, kobietę demoniczną). W innych lekturach wśród ważniejszych bohaterek spotkamy między innymi:

• Klarę (ma poczucie humoru i kocha Wacława) i Podstolinę („stateczna" kobieta po wielu żałobach) z *Zemsty*,

• Emilię Plater ze *Śmierci Pułkownika* (bohaterka narodowa, żołnierka, przywódczyni),

• Zosię z *Dziadów* części II (pasterka goniąca za motylami iluzji, odrzucała zaloty młodzieńców, dlatego cierpi po śmierci),

• Zosię i Telimenę z Pana Tadeusza (dziewczyna z czystym sercem i kobieta w kryzysie wieku średniego),

• Ligię z *Quo vadis* (dziewczyna z czystym sercem, przy którym dojrzewa mężczyzna),

• Różę z Małego Księcia (próżna przyjaciółka tytułowego chłopca),

• Annę Stogowską „Birutę" z *Syzyfowych prac* (dziewczyna zdominowana przez matkę, stroniąca od chłopców ze szlachetnym wyjątkiem Marcina Borowicza),

• Alinę (dziewczyna o czystym sercu, acz kpiąca z siostry podczas konkursu zbierania malin) i Wdowę z *Balladyny* (ofiara miłości macierzyńskiej, kryje imię zbrodniczej córki, więc zostaje ukarana).

W rozmowach z uczniami dostrzec można jakże niepokojącą sympatię do Balladyny. Owszem, zabija seryjnie, ale wreszcie coś się dzieje! Aktywna zawiść, krew, podstęp, trans, spryt, likwidacja świadków, zacieranie śladów, godna podziwu determinacja, kryminalny szach-mat, a do tego galeria fantastycznych postaci jak z baśni, gier, seriali, komiksów... Oto kobieta dynamiczna. Bohaterka przygodowa. Nie jakaś tam nudna dobroduszność, blada niewinność, ciotkowata stęchlizna, stetryczałe moralizatorstwo.

W związku z powyższym rekomendujemy rewizję listy utworów obowiązkowych w kierunku ograniczenia i sprofilowania elementów przemocy. Przelewanie krwi powinno mieć charakter uświęcający, narodowowyzwoleńczy lub religijny. Niepokoi nas również utwór *Świtezianka* z uwagi na ukierunkowanie motywu wierności oraz skrajną przemoc wobec młodego mężczyzny. Idąc pod ręce z duchami współczesności, rozważamy ogłoszenie konkursu na komiks pod tytułem *Śmierć Pułkownika* oraz scenariusz gry miejskiej o roboczej nazwie *Projekt Szaniec*. Ponadto pochylimy się nad kwestią płci: istotnie pominęliśmy Marię Konopnicką.

Adam Buszek

Spis treści

Roman Warszewski, Jak Putin siada, felieton....str.2

Adam Buszek, Skrót sprawozdania z egzaminu ósmoklasisty, felieton....str.2

Maria Jentys-Borelowska, Poezja prawdy świętej, (O Tarasie Szewczence), „Życie i książki" (6)....str.3

Wiersze poetów ukraińskich:....str.6

Dmytro Czystiak, Hałyna Kruk, Inna Georgiewna Kowalczuk, Iryna Myronenko, Natalia Belczenko, Switłana Bresławska,Teodozija Zariwna, Mykoła Borowko

Wiersze ukraińskie:....str.13

Jerzy Grupińskie, Andrzej. Jan Szczurek, Hanna Szpulecka

Joanna Sendłak, Kołysanka, esej....str.16

Marian Kisiel, Mały cmentarz (7)....str.18

Piszą w Gdańsku:

Andrzej C. Leszczyński, Zatumanić się narodowo, esej....str.22

Paweł Baranowski, Kondycja poezji w Trójmieście....str.26

Paweł Baranowski, wiersze - Gdańsk....str.27

Józef Franciszek Wójcik, Fragment książki „Argentyna"....str.30

Adam Majewski, wiersze (+ wiersz na okładce)....str.31

Monika Milewska, wiersze....str.32

Zdzisław Drzewiecki, wiersze....str.33

Roman Warszewski, fragment powieści „Wojna polsko-indiańska"....str.34

Dariusz Pawlicki, Nie zawiedźcie mnie, oczy moje, esej....str.37

Marek Wawrzkiewicz, wiersze....str.39

Zofia Kulig, „Cultura animi", esej....str.40

Mariusz Zimoński, Kwiat w butonierce, proza....str.42

Renata Paliga, Wojny i Epidemie w dziejach Rzeczypospolitej, esej....str.47

OMÓWIENIA

Dariusz Lebioda, O Strzeleckim....str.49

Zbigniew Kresowaty o Januszu Styczniu, Niech melancholia symboli trwa....str.52

Andrzej Walter, Metamorfoza niewiary....str.54

Andrzej Walter, O Tadeuszu Zawadowskim....str.56

SZTUKA

Małgorzata Dorna-Wendrychowska, Tadeusza Ogrodnika - zapiski na marginesie Apokalipsy....str.62

RECENZJE....str.66

Roman Warszewski, Góra, która zjada ludzi

Sylwia Kanicka, Dzieci to nie pociski do rozwiązywanie problemów

Agnieszka Kostuch, A imię jego neologizm

Aleksandra Naróg, Beksiński i Dmochowski: (przed)ostatnie rozdanie

Elżbieta Musiał, Pasja wg Jerzego Fryckowskiego

Dariusz Tomasz Lebioda, Mroźna kraina

Jerzy Lengauer, Demonomachia, Krakowska demonologia porównawcza

Jerzy Lengauer, O „Kłamstwach" Enrique'a de Hériza

Marcin Mielcarek, Szary kibel, proza....str.75

Tadeusz Ogrodnik, nota biograficzna....str.77

Leszek Szaruga, Wyprasowanie, felieton....str.78

MIGOTANIA JESZCZE WIECEJ

Krzysztof Kokot, Haiku....str.I

Andrzej Walter, Leszek I Wielki....str.II

Marek Wawrzkiewicz, Okruchy (II)....str.IV

Małgorzata Bobak Końcowa, wiersz....str.VII

Roman Warszewski, A dlaczego bogowie kochają góry, esej....str.VIII

Renata Paliga, traktat o podróży, esej....str.X

str.XII. Jerzy Lengauer, O „Spiskach życiowych" Wacława Sobaszka....str.XII

Anna JACHIM, wiersze....str.XIV

Kamil Figas, wiersze....str.XV

Leszek Żuliński, wiersz....str.XVI

Zbigniew Joachimiak, Zmarł Leszek Żuliński....str.XVI

Maria Jentys-Borelowska

Życie i książki (6)

ESEJ

POEZJA ŚWIĘTEJ PRAWDY, WOLNOŚCI I CHWAŁY

(O Tarasie Szewczence i jego Ukrainie)

Taras Szewczenko – zdaniem literaturoznawców – zasługuje na miano wieszcza narodowego Ukrainy jak niewielu poetów w świecie, rola bowiem, którą odegrał w kształtowaniu duchowości i wyobraźni swych rodaków, równa go z plejadą naszych największych razem wziętych: z Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim, Norwidem, z Prusem, Orzeszkową, Sienkiewiczem... Nie dziw więc, że Ukraińcy mówią o nim: NASZE WSZYSTKO i od dwustu lat czczą go jak świętość, jak duchowego przewodnika narodu, proroka zgoła, a jego dzieło jak drugą Ewangelię. (Tadeusz Andrzej Olszański, publicysta, z uwagą i empatią przyglądający się od lat Ukrainie, doliczył się tam tysiąca dwustu pomników i popiersi twórcy *Kobzarza*. „Ma je każde miasto i niejedna wieś – napisał w szkicu *Z Szewczenką przez wieki i na wieki* – praktycznie każde miejsce jakoś z nim związane"[1]).

Wprawdzie miano ojca nowożytnej literatury ukraińskiej nosi Iwan Kotlarewski (1769-1838), autor „Eneidy", żartobliwej trawestacji słynnego poematu starorzymskiego, napisanej w roku 1798 żywym (mówionym) językiem ukraińskim, jednak tytuł twórcy języka ogólnoukraińskiego należy do Tarasa Szewczenki (1814-1861). On bowiem scalił w swej poetyckiej twórczości język cerkiewny z ukraińskim językiem mówionym, on też jako pierwszy podjął tematy dla Ukraińców wagi pierwszorzędnej: narodowowyzwoleńcze i społeczne. Jako zakripaczony od urodzenia do dwudziestego czwartego roku życia, wiedział dobrze, czym jest poddaństwo, zniewolenie, bycie czyjąś rzeczą, i do końca życia nie pogodził się z faktem, że jeden człowiek może być własnością drugiego, zależeć od jego woli czy widzimisię, być kupowany i sprzedawany niczym sprzęt domowy lub bydlę robocze.

Przypomnijmy sobie po krótce biografię poety. Urodził się 9 marca 1914 roku we wsi Moryńce koło Kaniowa na Kijowszczyźnie, jako poddany zrusyfikowanego Niemca Wasilija Engelhardta, senatora Imperium Rosyjskiego, właściciela 50 tysięcy „dusz chłopskich". Był więc od początku swego żywota jedną z tych „pańskich" dusz, był – krótko mówiąc – niewolnikiem. Autor przywołanego wyżej szkicu o Szewczence podkreśla z naciskiem ów fakt, jako że odcisnął się on niezatartym piętnem na psychice i umysłowości przyszłego wieszcza. Pisze Olszański o tym tak: „*Kripactwo* (ros. *kriepostniczestwo*) na Ukrainie XIX w. to nie była poddańcza pańszczyzna, jak na ówczesnych ziemiach polskich czy nawet w centralnej Rosji. To było niewolnictwo, dość podobne do tego z południowych stanów USA (oprócz, rzecz jasna, różnicy rasowej). Nie było, jak klasyczne poddaństwo, przeżytkiem feudalizmu, ale formą gospodarki kapitalistycznej. I było tym dotkliwsze, że wprowadzone niedawno, w ostatnich latach XVIII wieku, że znaczna część ukraińskich chłopów przez półtora stulecia (od powstania Chmielnickiego) cieszyła się osobistą wolnością, a jej pamięć wciąż była żywa, a także – że na Lewobrzeżu liczni byli osobiście wolni chłopi państwowi, często dawni Kozacy. Dziad Tarasa Szewczenki był świadkiem, a może i uczestnikiem Koliwszczyzny; *zakripaczony* (zniewolony) został jakieś 20 lat przed narodzinami wnuka"[2].

Gdy Wasilij Engelhardt zmarł, piętnastoletni Taras, sierota bez matki i ojca, przypadł w udziale, jako żywa cząstka ogromnej magnackiej fortuny, jego synowi Pawłowi. Nie był analfabetą, miał za sobą edukację w szkółce cerkiewnej, potem u miejscowego diaka despoty, wreszcie u pisarza ikon w miasteczku Łysianka. Jako pastuch gromadzki, spotykający na przydrożnych łąkach i w okolicznych lasach wędrownych kobziarzy, bandurzystów, lirników, nasłuchał się opowieści o dawnej Ukrainie, o walkach Ukraińców z Rosjanami, Tatarami, Lachami, o słynnych kozackich hetmanach Sahajdacznym i Chmielnickim, o przywódcach koliszczyzny (lub Koliwszczyzny, jak chce Olszański) Goncie i Żeleźniaku, o hajdamakach i rzezi humańskiej, i już wtedy zapewne w wyobraźni jego zaczęły kiełkować przyszłe wielkie poematy historyczne. Wzięty do dworu na „kozaczka", stał się malarzem swojego „pana". Po roku 1830 wraz z Engelhardtem znalazł się w Petersburgu, gdzie dzięki swym oryginalnym próbom poetyckim i malarskim został zauważony przez kilku znamienitych ludzi sztuki, w tym przez poetę Wasilija Żukowskiego oraz malarza Karla Briułłowa, którzy, przejęci jego niedolą, postanowili kupić mu wolność. Ponieważ cena wykupu przekraczała ich finansowe możliwości – wynosiła 2.500 rubli – Briułłow namalował (świetny) portret Żukowskiego i sprzedał go na licytacji za tę właśnie kwotę. Dzień 22 kwietnia 1838 roku, w którym „właściciel" zrzekł się wszelkich praw do swojej „własności", stał się dla Tarasa Szewczenki dniem nowych narodzin. Jako wolny człowiek został przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie kształcił się i pracował pod kierunkiem Briułłowa. Jednocześnie pisał i publikował, a jego *Urzeczona*, romantyczna ballada o tragicznej miłości wiejskiej sieroty i Kozaka, osadzona w naddnieprzańskiej scenerii, już w roku 1837 przyniosła mu rozgłos. *Kobzarz*, wydany w Petersburg w roku 1840 zbiór wierszy o przełomowym dla literatury ukraińskiej znaczeniu (porównywalnym chyba ze znaczeniem *Ballad i romansów* Mickiewicza dla →

literatury polskiej), ugruntował jego poetycką sławę, a rozszerzył ją i rozpłomienił, wywołując burzliwe polemiki w literackim świecie Ukrainy, Rosji i Polski, poemat historyczny *Hajdamacy* (1841). Jako uznany poeta Szewczenko w roku 1843 pojechał na Ukrainę, do miejsc ukochanych, lecz szybko wrócił stamtąd do Petersburga, gorzko rozczarowany. Dwa lata później, po ukończeniu studiów malarskich, ponownie udał się do kraju, tym razem do Kijowa. Wraz z grupą archeologów, badających przeszłość Ukrainy, odbył podróż po Wołyniu, Podolu, Kijowszczyźnie, Połtawszczyźnie. W marcu 1847 roku utracił odzyskaną wolność: aresztowany za działalność w Bractwie Cyryla i Metodego (oraz za wiersz wyszydzający carycę), został zesłany do karnego korpusu aresztanckiego stacjonującego w Twierdzy Orskiej pod Uralem, a następnie przeniesiony do Fortu Nowopietrowskiego nad Morzem Kaspijskim. Na zesłaniu poznał wielu Polaków, z kilkoma zawarł trwałe przyjaźnie. Język polski był mu od dawna dobrze znany, czytywał bowiem polską poezję, przede wszystkim utwory Mickiewicza, którymi się zachwycał. Zwolniony w lipcu 1857, ponownie aresztowany na Ukrainie, zmarł w Petersburgu 10 marca 1861. Tam też został pochowany, lecz już 22 maja przewieziono jego ciało do Kaniowa i złożono w ziemi na Górze Czerneczej nad Dnieprem, zgodnie z wolą poety, wyrażoną w *Testamencie*, wierszu, który napisał w roku 1845, na kilkanaście lat przed swoją przedwczesną śmiercią.

Kiedy umrę, na wysokiej
Schowajcie mogile
Mnie, wśród stepu szerokiego,
W Ukrainie miłej:
Żeby łany płaskoskrzydłe
I Dniepr, i urwiska
Widać było, słychać było,
Jak się rączy ciska.

A gdy spłucze z Ukrainy
Do sinego morza
Wrażą krew, to wtedy rzucę
Góry i bezdroża –
Wszystko rzucę i powrócę
Do samego Boga
Z modlitwami! Ale przedtem
Nie uznam ja Boga!

Pochowajcie, zanim sami
Kajdany zerwiecie
I posoką złą i wrażą
Wolność obmyjecie.
A mnie zaś w rodzinie waszej
Mocnej, świeżej, nowej
Przypomnijcie, wspominając
Łagodnymi słowy[3].

Żył zaledwie 47 lat, a życie to było tak pełne udręk, że bez przesady można je nazwać męczeńskim. (Nie dziw, że kijowianie, w geście czci, położyli mu na trumnie koronę cierniową!) Wszak tylko 9 lat przeżył na wolności, pozostałe 37,5 w niewoli (24 jako poddany, 10 lat jako zesłaniec, 3,5 pod policyjnym nadzorem). I pisał prawie wyłącznie o krzywdach swej Matki-Ukrainy i o krwawych bojach jej synów, a swoich dziadów, ojców, pobratymców, z okrutnymi prześladowcami. Czy da się więc „przypomnieć go" dzisiaj, „w rodzinie mocnej, świeżej, nowej", łagodnymi słowy, skoro pod pióro cisną się same bolesne, gniewne, rozpaczne?! Podobne tym, z których skomponował *Iwana Podkowę, Gamaleja, Rozkopaną mogiłę, Hajdamaków, Heretyka, Kaukaz*. Bo Ukraina znowu krwawi, bohatersko i rozpaczliwie broniąc swego prawa do istnienia, które chce jej – gwałtem i przemocą – odebrać nowy, samozwańczy imperator Rosji. Wzorem dawnych carów Wszechrusi ogłosił światu, za nic mając prawa ludzkie, boskie i naturalne, że tak jak „nie było, nie ma i nie może być żadnego języka małoruskiego"4, tak też nie było, nie ma i nie może być państwa ukraińskiego.

W świetle niezliczonych ludzkich dramatów i tragedii, rozgrywających się w Ukrainie od dnia najazdu 24 lutego 2022 roku na jej ziemie bandyckich hord Władimira Putina, utwory Szewczenki o tematyce narodowowyzwoleńczej raz jeszcze ujawniają swoją

Tadeusz Ogrodnik

wielkość i moc, ponadczasowość i uniwersalność. Czytane z uwagą i empatią pozwalają spojrzeć na dzieje Ukrainy z wielowiekowej perspektywy historycznej, zrozumieć wydarzenia dotąd niepojęte i przerażające, pochylić się ze współczuciem nad losami ukraińskich braci. Zacznijmy od *Rozkopanej mogiły*, wiersza, który Szewczenko napisał oburzony pracami komisji archeologicznej, powołanej przez kijowskiego generał-gubernatora w celu zbadania zawartości rozsianych po kraju kurhanów, w tym podziemi pałacu Bohdana Chmielnickiego, rzekomo kryjących skarby. Dla poety, najczulszego z synów Matki-Ukrainy, owe prace z pozoru badawcze były świętokradczym i okrutnym łupieniem, plądrowaniem i dobijaniem na wpół żywej ofiary. Bolał nad tym, co czyniono Matce, cierpiał, ale łagodnie, cicho, rzewnie i jakby z rezygnacją. Dla nas, obywateli świata XXI wieku, rozboje, rabunki, gwałty i zbrodnie, jakich żołdacy Putina dopuszczają się w Ukrainie, są nie tylko świętokradcze, nie tylko łajdackie, ale także irracjonalne i NIE DO USPRAWIEDLIWIENIA. Jeżeli poeta w *Rozkopanej mogile* pyta naiwnie i pokornie (tak jak by zapytał każdy bogobojny mieszkaniec XIX-wiecznej Ukrainy): „z a c o, matko, giniesz?", a kwestią: „czy się rano nie modliłaś?" dopuszcza myśl o zasłużonej karze za grzech bezbożności, my krzyczymy: To bezprawie! Bandytyzm! Rzeź niewinnych i bezbronnych! Ludobójstwo! A zamiast pytać: za co? (i szukać jakichś urojonych, metafizycznych „win" ofiar zbrodni wojennych), pytamy: po co?, a jakim celu (interesie) prezydent Rosji, państwa liczącego 17 milionów kwadratowych powierzchni i 146 milionów mieszkańców, najeżdża sąsiedni kraj, niszczy go, plądruje, zabija jego obywateli?! I odpowiadamy ze zgrozą (ale i z niedowierzaniem): Aby zawładnąć światem! Możliwie największą jego częścią! Zdobyć nieprzebrane bogactwa! I niezliczonych niewolników! Takie motywacje kryją się za sloganami o „szlachetnym celu", który Putin, podbijając i niszcząc Ukrainę, realizuje z błogosławieństwem chrześcijańskiego patriarchy Cyryla.

Lament syna nad ginącą Matką-Ukrainą, stanowiący treść *Rozkopanej mogiły*, ukazuje jasno owe niecne i po dziś dzień niezmienne motywacje.

Cichy świecie, kraju miły,
Moja Ukraino!
Za co ciebie zrujnowano,
Za co, matko, giniesz?
Czy się rano nie modliłaś,
Kiedy słońce wstaje?
Czy swej dziatwy nie uczyłaś
Dobrych obyczajów?
„Modliłam się i troszczyłam,
Dzień i noc nie spałam,
Naszych dawnych obyczajów
Dziatwę nauczałam.
Wyrastały moje kwiaty,
Moje dobre dzieci,
Panowałam i ja kiedyś
Na szerokim świecie –
Panowałam… Oj, Bogdanku,
Nierozumny synu,
Spójrz no teraz na swą matkę,
Spójrz na Ukrainę,
Co, kołysząc cię, śpiewała,
O swojej niewoli,
Co, śpiewając, wyglądała
Końca czarnej doli.
(…)
Stepy moje wykupili
Niemcy i Żydowie,
Synom moim na obczyźnie
Praca niszczy zdrowie.
Stary Dniepr, mój brat wysycha,
Już mnie zaniedbuje,
A mogiły, sercu miłe,
Moskal rozkopuje.
Niechże kopie, niech rozwala,
Niech wszystko rozkrada,
A tymczasem odszczepieńców
Podrośnie gromada.
Ci pomogą Moskalowi
Grabić i plądrować,
Z biednej matki połataną
Koszulę zdejmować.
(…)
Rozkopana i otwarta
Z czterech stron mogiła.
Czego oni tam szukali?
Czyżby tam coś skryła?
Nasza wiara, ojce nasi?
Ech, gdyby odzyskać to, co skryte w grobie,
Nie chodzilibyśmy już więcej w żałobie![5]

A teraz Kaukaz: poemat–lament, poemat–medytacja, poemat–hymn, poświęcony ludom Kaukazu walczącym o wolność, godność i tożsamość. Napisany w 1845, uchodzi za jeden z najważniejszych i najgłębszych utworów Szewczenki. Samo motto, zaczerpnięte z proroctwa Jeremiaszowego: „Kto da głowie mojej wodę, a oczom moim źródło łez? i będę płakał we dnie i w nocy pobitych (...)", sugeruje, że w kodeksie etycznym poety jest miejsce na ludzkie współczucie dla wszystkich ginących, tych „dobrych" (krzywdzonych) i tych „złych" (krzywdzicieli), bo przecież i jedni, i drudzy są ofiarami cara. On zaś, car jest uosobieniem zła, praprzyczyną cierpienia ludów Eurazji. Od kilkuset lat pozostaje taki sam, niezmienny w swej pysze, żądzy panowania, pazerności i okrucieństwie. Taki jak w XIX-wiecznym poemacie Szewczenki, i taki, jakiego widzimy przez pryzmat rosyjskich zbrodni w Ukrainie roku 2022.

Za górami góry chmurami zasłane,
Ludzką krwią omyte, niedolą zasiane.
Tam on – car Rosji z łaski bożej
Nędzarzy do cna obrabował,
Pozbawił ziemi, mienia, słowa
I nadal szczuje… Wiele złożył
W tym kraju żołnierzy swoich kości.
A ile krwi! Byłożby popić
Imperatorskim wszystkim mościom,
Ich dzieci, wnuki mógłbyś topić
We wdowich łzach! A łez dziewczęcych,
Nocnych, tajemnych, a przesmutnych,
I tych ojcowskich łez okrutnych,
I macierzyńskich łez – najwięcej,
Nie rzeki – morze się rozlało.
Płonące morze …[6]

Partie poematu Kaukaz, w których jest on hymnem na cześć bojowników wolności, hołdem oddanym ich niezłomnemu męstwu, szlachetnej dumie, płomiennej żarliwości, wyznaniem wiary w ich ostateczne, choć nierychłe i niełatwe, zwycięstwo, można dedykować wszystkim walczącym o niezbywalne ludzkie prawo do samostanowienia. Dedykujmy je więc bohaterskim obrońcom Ukrainy, tym, którzy wciąż walczą, i tym, którzy polegli, kobietom, które trwają na spalonej ziemi, by wspierać swoich mężczyzn i strzec rodzin oraz zwierząt, a także tym, które wyruszyły na tułaczkę, by zachować życie swoich dzieci.

Chwała sinym górskim szczytom
W lodowcowej zbroi!
Chwała wielkim bohaterom,
Bóg przy takich stoi.
Więc do walki – zwyciężajcie!
Bóg się o was troska,
Przy was prawda, przy was chwała,
Przy was wola boska.[7]

Maria Jentys-Borelowska
Warszawa 27 kwietnia 2022 r.

---

1 Tadeusz Andrzej Olszański: Ukraińskie stulecie 1914-2014. Szkice historyczne. Wydawnictwo Wysoki zamek, Kraków 2020, s. 31-51. Książka zawiera - uzupełnione i rozszerzone - szkice, które pierwotnie ukazywały się na łamach „Tygodnika Powszechnego".
2 Jak wyżej, s. 33.
3 Przekład Jarosława Iwaszkiewicza. Testament i dalej cytowane wiersze wg: Taras Szewczenko: Wybór poezji. Opracował Marian Jakóbiec. Zakład narodowy im. Ossolińskich - Wydawnictwo, Wrocław 1974.
4 Cytat z „Cyrkularza Wałujewskiego" wydanego w roku 1863 przez ministra spraw wewnętrznych Rosji Piotra Wałujewa.
5 Przekład Jerzego Jędrzejewicza.
6 Przekład Stanisława Strumph-Wojtkiewicza.
7 Przekład Stanisława Strumph-Wojtkiewicza.

Dmytro Czystiak

Żywa ziemia

Pamięci Anastazji i Ilji Sołowiowów

I

Mój dziadek umarł – ni słowa o wojnie.
Umarła babcia – o wojnie ni słowa.
O głodzie i pracy pokątnie
Wyszeptali słów kilka – surowo.
Dzień Zwycięstwa – święto nad świętami.
I śpiew, i łzy, o wojnie – ni słowa.
„Po cóż ci to. Oby tylko
Nie powtórzyło się – wrzucić na wózek,
I wszystkich – do jednej mogiły". Przedśmiertne
Babcine wizje – na pamiątkę.

II

W mojej szafie – w czas bombardowania –
Płaszcz dziadka w medalach, kordzik
(Spod Moskwy – Morze Północne,
Śmiertelne żniwo lodowych ostrzy,
A potem – śpiew, piłka nożna, Kachowka i Kijów,
Miłość na zawsze – wspominam z uśmiechem),
Babcine „równorzędne" medale
(Dzieciństwo w kołchozie – wszystko dla frontu
I dobry Niemiec, co mówi: „Skryj się",
W rejonie Winnicy zimą na strychu
Unika ostarbeiterstwa, a dalej –
Śpiew i socjalizm, i krach, i wreszcie –
Jedna z najpierwszych – o Hołodomorze) –
Oboje na frontach, z republik dwóch
Bratnich, tymczasem w szafie – wybuch.

III

Zimowa ziemia głęboka i żywa.
Ni słowa o wojnie – w jednej mogile.
Jak Babi Jar pod ostrzałem – wy
Pochodzicie z tamtego świata – tylko to wiem,
Nie w inną stronę, nie w inną, do swoich.
Babunia pośród wolontariuszek,
Dziadek wśród marynarzy, pomiędzy tymi,
Którzy – z Kozaków, czy – z domów
Jeszcze książęcych – na czołgach, w stepach
Hellady – „Chwała!..." – gromem w gromy.

IV

Zimowa ziemia w dolinie – żywa.
Mój dziadek pochodzi ze Szczołkowa, a babcia –
Z Hajsyna, za nimi – ciemność i ćma,
Nad nimi – za światem świat, głos krwi
Przemienia się w różę na krzyżu,
Kiedy Czernihów, czarny od katów,
Za nim – Sofia Carogrodu oraz Kijów
Za nim – Niebiańskie Miasto Jeruzalem
Za nim – za wiekiem wiek i chram za chramem,
W czerwienieniu wskrzeszonych,
Wrastają jak gdyby w jedno drzewo,
Poprzez nas wszystkich – wiosna nieunikniona.

7.III.22, Kijów

przekład: Zbigniew Zbikowski

Hałyna Kruk

Hałyna Kruk (1974) – poetka i tłumaczka. Urodziła się i mieszka we Lwowie. Autorka pięciu tomików poetyckich: Napisała cztery książki dla dzieci. Była wiceprezeska Ukraińskiego PEN Clubu. Mieszka we Lwowie, wykłada na Uniwersytecie Lwowskim.

mama

ktoś stoi między tobą a śmiercią, ale któż to wie,
jak długo będzie stać - serce
znajdujesz się w miejscu i czasie, gdzie tak ważne jest
aby ktoś się za ciebie modlił
choćby w myślach, choćby własnymi słowami,
bez składania rąk do modlitwy,
odrywając ogonki truskawek, wprost z grządki,
pamiętając, jak łajała ciebie, małego,
że depczesz po jagodach, nie pozwalasz im dojrzeć

szepcze: śmierci, on jeszcze nie dojrzał, jeszcze taki zielony,
w jego życiu nie było jeszcze niczego
słodszego niż ta zwykła niemyta truskawka
błaga: nie kładź go, Boże, na skraju,
nie rzucaj w niego gradem, o Boże,
ja nawet nie wiem, jak wygląda ten grad, synu,
ja nawet nie mogę sobie wyobrazić tej wojny!..

wojna

prawa półkula nie widzi drzew za lasem
lewa półkula nie widzi lasu za drzewami
prawo i lewo, prawo i lewo

człowiek idzie przez las jak echo,
oplątany myślami, zagubiony

jakaś kula porusza się z własną prędkością
swoją trajektorią, wypuszczona na wolność
w prawej lub lewej półkuli. czyjejś. ziemskiej.

człowiek wychodzi zza drzewa,
wyciąga z powyższego swoje wnioski
rozumie, że w każdej chwili coś może nadlecieć

ale im więcej drzew - tym większe szanse
las uspokaja się, uciekaj lasem.

wszystko, co wiesz o świecie - częściowe, niepełne,
odmienne, zawodne, podwazalne,

i niczego nie można naprawić

***

Boże, nie pozwól, aby ucichł głos gniewu
głos siedzących w piwnicach, zapomnianych,
głos tych, którzy pozostali w gruzach,
głos tych, którzy płaczą w krótkich snach,
głos tych, którzy nie mogą zamknąć oczu,
głos oniemiałych, ogłuszonych i ułomnych,
głos tych, którzy umierają z głodu i pragnienia,
głosy tych, którzy zbierają okruchy odwagi,
głos tych, którzy swoimi ciałami zatrzymali kolumny,
którzy własnym ciałem osłaniali przed kulami bezbronnych
głos wołającego w pustkę, tego, który krzyczy,
który przeklina, który w rozpaczy skrywa twarz
w ciele dziecka, w zdjęciu syna, w rzeczach matki,
w przygarbionych ramionach, w kolanach drżących starców
głos płonącego domu, głos krwi,
głos umysłu, który wątpi, kim jest
głos przebijający się poprzez syreny,
który usypia nienarodzonych i bezimiennych,
daj mu wyjście z gardła, zaciśniętego strachem,
z miasta pod ostrzałem, z ciała, które obróci się w proch,
z serca, które od teraz bije dla wszystkich, usłysz Go, Boże,
głos nienawiści w świecie, w którym głos miłości może zdziałać tak niewiele

Tłumaczenie z ukraińskiego Kalina Izabela Zioła

Inna Georgiewna Kowalczuk

20 lutego 2016

I lud,
i majdan,
i ten bruk,
i wspomnień,
wspomnień,
wspomnień stuk...
Jak kule
wprost w serce wstrzelone,
jak ostrza,
w duszę wrażone...

WIELKANOC

Wielkanoc, bracie!
Czy tak samo dusza
buja kolebkę samotności?
Przez Kijów idziesz do świątyni,
taki pokorny
do siebie niepodobny...
I wstrzymasz oddech razem z miastem
w chwili,
gdy Judejczyk zmartwychwstały
otworzy niebo
i ten ogień święty
w dłonie ludzkości gwiazdą spadnie...

* * *

poskrzypuje pod stopami śnieg,
podszyty śladami pisania -
szukam zimowego alfabetu ,
czy znajdę...
wiatr śpiewa wiersze na wierzchołkach drzew,
czy zrozumiem...
zima rozsypuje płatki śniegu - litery
na zimną ziemę
na ciepłe usta:
czuję słodki smak
i też rozdzielam się
na słowa i ciszę,
na pieśni i milczenie,
dzielę i nie znajduję złota
w milczeniu...
poskrzypuje pod stopami śnieg...

Tłumaczenie z ukraińskiego Kalina Izabela Zioła

Inna Georgiewna Kowalczuk (Kijów), poetka, tłumacz, krytyk literacki, autorka siedmiu zbiorów poezji dla dorosłych, trzech zbiorów wierszy dla dzieci, dwóch zbiorów przekładów z języka bułgarskiego, kompilator i tłumacz antologii współczesnej poezji Macedonii Północnej.

Iryna Myronenko

* * *

Noc pachnie wiśniowymi gwiazdami.
Wędrują gdzieś ludzkie i psie głosy.
Świąteczne koszule są zadymione
w miejscach, gdzie spadną gwiazdki rosy.
Wybuchnie ból, smutek i dreszcze.
Woda będzie się modlić o nieśmiertelność ziół.
I coś zadzwoni. Może to znowu zarzynanie
wołu, obok którego spał Bóg.

***

Rybak na Dońcu - nie na Galilejskim Morzu .
Namalowany dawno, w ramy nie oprawiony.
Na gałęziach orzecha wiszą zimne gwiazdy.
Za rodakami płacze poeta przygnębiony.
Ale mój rybak sprawdza splecione więcierze,
i przyciąga zaspany, złoty ogon słońca.
O czasie czwartej straży drżą włochate trwogi,
tuż przed świtaniem ciemność – wprost oślepiająca.
Świat wciąż wiosłuje dokądś w nylonach, neonach,
i nie widzi, że Jezus boso wodą przeszedł
po falach poprzez Doniec, do bezdennych nieszczęść.
I wreszcie rozpacz-płotka przestała się cieszyć.

***

Leciały gęsi na wojnę,
w niebo wypełnione rdestem.
Niosły rozdartą strunę
temu, czyje oczy gasną.
Kogut i pająk spieszyły
w marcowych interesach.
Woda iskrzyła się z łąki
lustrami świtu świecąc.
A ten znak, że już wiosna,
bo gęsi nad podwórzami,
był niespokojny i smutny,
jak zdjęcie z młodości mamy:
powojenny krepdeszyn,
wianek z czarnych warkoczy.
kurz na przebitych oponach
lamentuje bez głosu.
Czterdziestu wojów – świętymi,
Chór uszy Jezusa pieści.
Nietknięty rdest drży na niebie.
I poleciały gęsi.

Tłumaczenie z ukraińskiego Kalina Izabela Zioła

Iryna Myronenko
Urodziła się w Nowej Wodoładze obwod Charkowski. Poetka, eseistka, krytyk literacki, dziennikarka. Członek Krajowych Związków pisarzy (z 1985r.) i dziennikarzy (z 1997 r.). Mieszka w Charkowie.

Natalia Belczenko

* * *

...i pole, krzywo krwią zaorane,
odpowie falą, co narasta wyżej,
a po tym wcale nie nastąpi odpływ.
Przed burzą do mezozoiku bliżej.

A dla tłumacza świt nastaje predzej
niż w bruździe polnej, w gnieździe tych, co nie chcą
gnać na południe, nawet gdy ich biją,
jednak krwią brocząc w końcu też uciekną.

O, ptaki, ptaszki, ptaszki, ptaszki, ptaki,
pterodaktylu, jak przeoczyć mogłam
te podobieństwa wszystkich danych znaków
Adam, Adam, i ręka, i stronica czysta.

* * *

Snuje jedwabnik śnieżne smugi,
w warszawskim wirze białym, gęstym,
wszystkie bariery zaraz znikną,
zgubi się tutaj nawet święty.
W tym krajobrazie, pod łyżeczką
wszystkie motyle śpią przez moment,
beztroskie – nawet te zgubione,
choć są, jak Moira, bardzo mądre.
Jak twoja ćma z głębi stodoły,
przecinek odlatuje śmiało,
zobaczyć się, jak nigdy wcześniej,
bo miasto bardzo się starało.
Pawie spojrzeniei wyraźniejsze
i bardziej tajemnicze nocą,
z dziecinną zapomnianą traumą
dłonią ku niemu sięgam w mroku..

Iwaszkiewicz

Nie można tylko o koniach
kiedy sam jesteś centaurem
dolna część to Tymoszówka
górna - Stawisko
i na odwrót.
Oczyszczająca kąpiel
w zagubionej rzeczce
pośród tych samych chłopaków i lilii wodnych -
i patyna jest zmyta

Tłumaczenie z ukraińskiego Kalina Izabela Zioła

Natalia Belczenko (1973) – ukraińska poetka i tłumaczka. Mieszka w Kijowie. Autorka dziewięcu książek poetyckich. Jej poezję tłumaczono na wiele języków i publikowano w wielu krajach. Członkini Ukraińskiego PEN Clubu.

Switłana Bresławska

***

Umyj okna
dopóki jeszcze masz okna
dopóki masz dom
i posiadasz trzy kąty
widzisz w oknach niebo
na niebie chmury jak pióra
dopóki jeszcze słyszysz ciszę
w ciszy coś nieziemskiego
dopóki jeszcze nie spłonął
wszechświat i dom i chmury
czekając na Wielkanoc
musisz umyć okna

okna!

Tłumaczenie z ukraińskiego Kalina Izabela Zioła

Switłana Bresławska. Ukraińska pisarka, krytyk literacki, tłumaczka. Prezes Oddziału Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy w Iwano-Frankiwsku. Autorka 6 książek. W 2021 r. otrzymała odznakę honorową Związku Literatów Polskich za wybitne zasługi.

Teodozija Zariwna

KOŁYSANKA DLA ZIEMI

Pada śnieg.
Bandażuje ziemię.
Śpij – zaśnij, ziemio
zraniona i wzburzona.
Zima świętuje swoje zmartwychwstanie.
Nowy rok już się urodził.
Niech przyśni ci się pokój –
twój szczęśliwy syn na progu.
Zasługujesz na to.
Ostrożne gile
błyszczą w przejrzystym powietrzu
jak krew, która nie zdążyła wyschnąć.
Milczą, żeby cię nie zbudzić.
By nie obudził się twój apetyt,
nie otworzyło się twoje głodne wnętrze,
zimne jak lód i ciemne jak noc.
Śpij, ziemio, śpij, kochana, śpij…

Teodozija Zariwna –ukraińska poetka, powieściopisarka, dziennikarka, teatrolog. Autorka siedmiu zbiorów poezji, pięciu powieści, kilku sztuk teatralnych i filmów dokumentalnych. Prezentowała programy literacki i kulturalny w telewizji ukraińskiej. Laureatka wielu nagród literackich.

***

O świcie wiatr się zmęczył,
rozegnał śmieci, myśli, chmury.
W czystym pejzażu,
jak pierwszego dnia stworzenia,
bocian gardło ostrzy,
ścieląc suche pieluchy
dla jutrzejszych dzieci.
Lato zawisło na akacji,
która zalała pół świata perfumami –
kwitnie na starość niesamowicie.
Droga spływa pierwszymi samochodami,
jak rana krwią.
Ślepy pocisk
ucałował czyjeś podwórko,
a słońce drzewom łzy osusza.

ODNOWIONA BAJKA

To nieprawdopodobne, ale tak było.
Chłopcy osłonięci drewnianymi tarczami
i plastikowymi kaskami
szli naprzód.
Matki myślały, że oni się bawią
dla transmisji na żywo,
na cały świat..
Ale świat jest mały, a kule – wielkie
i wszechpotężne.
One nie lubią drewna i plastiku –
mają na nie alergię. Nie można odrywać się od matki,
to niebezpieczne dla życia –
szepcze stara bajka, wycierając krew.
Turyści płyną falami.
Tam, gdzie kule dyktowały porządek –
flagi, usiane gwiazdami,
wskazują kierunek wiatru.

Tłumaczenie z ukraińskiego Kalina Izabela Zioła

Mykoła Borowko

* * *

Kochajcie życie, jakie by ono nie było,
nikt nam nowego planu przecież nie napisze.
Całujcie świat cudowny swych majowych wisien,
i miód spijajcie, jaki zakochani piją.

Wszystkim znane na pewno moje proste słowa,
chociaż może i stare, w nich prawda się chowa.
Kochajcie życie, jakie by ono nie było,
nikt nam nowego planu przecież nie napisze.

Życzliwością usuńcie wszelakie bariery,
niechaj powiew zwycięstwa chąrągwią kołysze.
Pielęgnujcie tę ścieżkę, ona ślad zostawi,
czy w świątyni to będzie czyw domu premiera,
kochajcie życie, jakie by ono nie było.

KALINA

Płonący, lecz wciąz żywy bujny krzak kaliny
pod murami Kijowa rwspaniale rozkwita.
To zmartwychwstaje znowu z głębin świata świętych
jasna dusza przyrody i dusza człowieka.

Kiedy nadchodzi ciemna, bardzo zimna pora,
momentalnie z gałązek każdy liść opada.
Płonący, lecz wciąz żywy bujny krzak kaliny
pod murami Kijowa rwspaniale rozkwita.

Dni, które przeżyliśmy, zbyt krótkie się zdają,
a chwil dawno straconych nikt nam nie powróci.
Zawsze jednak w pamięci – prawieczne wyżyny
i mojego narodu przekaz sprawiedliwy:
Płonący, lecz wciąz żywy bujny krzak kaliny.

Tłumaczenie wierszy Kalina Izabela Zioła

Mykoła Borowko (ur. 13 maja 1948 pod Kijowem). Przewodniczący Stowarzyszenia Poetów -Rondelistów w Ukrainie. Moderator Międzynarodowych Festiwali Rondeli w Boryspolu (Ukraina) .Autor ponad 30 książek. Jest laureatem wielu nagród literackich.

Jerzy Grupiński

Poeta Jerzy Grupiński – portret wykonał Zbyszek Kresowaty 2015 r.

CHRYSTUS Z ORMIAŃSKIEJ LWOWSKIEJ KATEDRY

Już schodzi
już zabierają go z ołtarza
Zdejmują kurtki
i narzucają mu na plecy
Bo a nuż walący się mur
odłamek
Jeszcze ciepła wełniana czapka
I już idzie zgarbiony
pod ciężarem tylu oczu kamer
Schodzi pod niski betonowy
sufit schronu
Tu jest bezpiecznie
kobiety śpiewają dzieci płaczą
mężczyźni na wojnie
Przez wieki Bóg- figura
teraz znów między ludźmi
Bóg - człowiek

Na Dolinie 8 III 2022

Ewakuacja Chrystusa z Ormiańskiej katedry do schronu we Lwowie

KALENDARIUM RANNE

- wiersz z radia -

Pani Małgorzacie Jańczak

Razem obracamy wytaczamy
głęboko spod ziemi jak urnę
ten świat – ni w mrok ni w świt
Podnosimy prostujemy ręce
oglądamy swe twarze

Rotmistrz z Charkowa z kulą w głowie
próbuje rozluźnić chwyt drutu
Czy mnie jeszcze słychać ?
Pyta sanitariuszka zasypana gruzami
i znów bije cegłą w rurę wodociągu
Jan Sebastian Bach
w pięciolinię „Kunst der Fuge”
wpisuje litery swego nazwiska

I mój z głośnika alter ego – hiper
zdrów i wesół – czyżyk na wiosnę
super – spiker studenckiego radia „Afera”
Mylący wojnę pierwszą z drugą
Przerzucający daty przeboje pobojowiska
między walentynkowe dedykacje
jak kukułka w zegarze rocznic

Znów podniesiemy z mroku
otworzymy świat Powiekę jak pokrywę
czarną lepką sierść – nocy chmurę
aż strzeli spod niej promień

Jan Szczurek

Na wschodzie

Pamiętajcie, że było inaczej.
Gdy Oni przeszli
wszystko trzeba budować
od nowa.

Serce zostawiłem w tej ziemi.
Moja dusza szybuje ku gwiazdom.
Tak dużo chciałem
po sobie zostawić.

Zostaje po mnie
tak mało.
Nie z chciwości,
ale z miłości do ziemi i ludzi.

czas oceni

ŁĄCZNIK- ŁUGAŃSK, 18 CZERWCA 2015 R.

Wysycha krew

Dokąd idziesz biały człowieku
przy lamencie tysięcy
przecinasz pępowinę
maczugą Iskandera.

Niedźwiedź z atomem
już stoi w rozkroku.
Nikt nie zapewnia
że pokój jest wieczny.

Bóg naszym nacjom
taki los wyznaczył
by przylgnęły do krzyża
ledwo poczęte dusze.

Ulatują do nieba
z hipersoniczną szybkością.
W jaskiniach wysycha krew.
Na ścianach pismo obrazkowe.

Nasza ziemia.

ŁĄCZNIK, 14.03.2022 R.

Przestroga

Wkopane w pył ziemi
między Górą Sw. Anny
a Kopą biskupią
stoją pomniki.

Niekiedy zatrzyma się człowiek,
w zadumie czyta nazwiska
swojsko brzmiące,
bez ciał , które zwiędły

nad kanałem Le Manche,
w lodach Syberii i piasku Afryki.
Jakie to smutne umierać wszędzie,
tylko nie u siebie.

Patrzą na historię tej ziemi.
-To dobrze, że tak wielu
jeszcze pamięta wczoraj,
tylu zabitych, zniewolonych, zgwałconych.

Urodziłem się tutaj,
chcę rozmawiać z tymi,
którzy szukają panaceum
na nicość, na fałsz.

Wędrujmy w kolejne tysiąclecie,
Będąc wspólnie spokojni i dumni.
abyśmy już nigdy nie musieli
budować takich pomników.

ŁĄCZNIK, CZERWIEC,2000R.

Hanna Szpulecka

Widziane z góry

W czasie lotu można napisać wiersz.
Znajdujemy się na wysokości
jedenastu tysięcy metrów,
temperatura na zewnątrz wynosi
minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza,
siarczyste zimno, kwiaty mrozu na oknach,
ludzie w t-shirtach piją kawę,
płacą kartą visa czy mastercard.

Gdzie jeszcze może być tak zimno?
Sybir!
Okrutny wyrok cara!

Porwani Ukraińcy mają zaludnić
niezamieszkane tereny Rosji…

Wagony pełne zezwierzęcenia,
w smrodzie, głodzie, beznadziei
umierają, gasną w ułamku sekundy
światła w oknach…

Z koszmaru wyrywają mnie pierzaste,
kłębiaste kokony cukrowej waty…

Chłopiec wyciąga rękę w stronę bieli,
prawie czuje słodki smak wolności…
Inny chłopiec, z pobielałą starczo głową, poznał już
jadowicie gorzki smak gwałtu, zniewolenia…

Anioł z pary i puchu unosi się nad nami

Krótkim krzykiem wyrywam ze snu pasażera obok,
ale on wie, dokąd lecieć.
W różnych zakątkach świata migocą miliony iskier -
światła w domach
czy grady, stringery, pioruny, iskandery?

Mów rosyjskim żołnierzom…

Mów rosyjskim żołnierzom
że jesteś chłopcem
Zabawimy się w nową grę
masz na imię Dima
ogolę ci głowę
to tylko taka zabawa

Będziemy bawić się czołgami
strzelać z pistoletów w powietrze
będziemy podpalać gałęzie i papierki
nie zrobimy nikomu krzywdy
Dobrzy żołnierze nie robią nikomu krzywdy
dziewczynkami bawią się jak lalkami
Tylko niegrzeczni chłopcy
uprawiają brudne zabawy
skażeni zepsuci żołnierze
zardzewiałe żołnierzyki

Na podwórku gonią się ogolone
dziewczynki, których matki nie chcą
aby przeszły przez piekło
Sasza, Vlad, Dima
mówcie rosyjskim żołnierzom
że bawicie się w wojnę

Dublin, luty-kwiecień 2022 r.

ESEJ

Joanna Sendłak

Kołysanka

Przypominam nitkę w przestrzeni, spaceruję po trójwymiarowej mapie z wytyczonymi drogami godzin, dni i pór roku. Istoty rodzą się i giną, galaktyki ulegają rozproszeniu, a ogromne gwiazdy zapadają się w czarne dziury. Wszechświat oddycha, rozszerza się i kurczy. To, co uważam za nieskończone, zgodnie ze swoją skalą czasową, kiedyś się rozpadnie. Moja świadomość pewnego dnia zniknie. Nad każdym żywym stworzeniem weźmie górę proces entropii. Złożone formy organizmu rozkruszą się, a procesy mentalne ustaną. Pierwszoosobowa narracja zgaśnie, wyparuje, rozpuści się, rozwieje, straci znaczenie, rozmaże się, pęknie jak pęcherzyk błota. Tak twierdzi materialista, wyznawca filozofii Demokryta. Uważa on, iż dusza podobnie jak ciało została zbudowana z atomów, a po jego śmierci zginie. Zdaniem wielu filozofów obiektywnie czas nie istnieje, tylko umysł w rozmowie ze światem, porządkuje, układa pojęcia w linii przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. We *Wstępie do metafizyki* Henri Bergson opisał osobowość kulistą[1], która dąży do rozszerzenia się i roztopienia w zewnętrznym świecie. Jeśli stanę we wnętrzu kuli, nie będę czuła zmian. Tymczasem fakty i zdarzenia poruszają się i falują.

*

Jedność zarazem stoi i biegnie -- powiedziałby mistrz Zen. Ludziom Zachodu pojęcie czystej jedności wydaje się puste i nieruchome. Wspomnienia zamrażamy w kostkach lodu i tniemy na plastry. Sunę schodami ruchomymi, w górę, ku Słońcu. Gdy tak wynurzam się z podziemi metra, najgłębsze Ja udaje teatralnego widza i reżysera, dwa-w-jednym. Spekuluję, myślę, planuję, buduję hipotezy i uogólniam, a jednocześnie aintelektualnie docieram w głąb pojęć, dryfuję w teraźniejszości. I w takich chwilach jestem wewnątrz kuli czasu, a wokół narastają lata, niczym słoje drzewa. Włosy rosną i wypadają, ubrania stają się ciasne lub zbyt szerokie, zmieniam mieszkania, buty, towarzyszę bliskim w umieraniu, warstwy lat ciasno oplatają, wirują koliście, ale trudno zrezygnować z tworzenia pojęć. Nadal nie umiem BYĆ. Tylko metafizyka opisze zmienne ruchy umysłu zwane „czasem".

*

W południe kupiłam bilet na koncert. Wybrałam recital fortepianowy z muzyką Bacha. Dzień przed koncertem upadłam i złamałam rękę. Kilka godzin spędziłam na ostrym dyżurze. Rano na miasto spadła rakieta hipersoniczna. Zrównała z ziemią dzielnicę na przedmieściach, wywołała panikę. Zamknięto publiczne instytucje, w tym filharmonię. Wyjęłam z torebki bilet i wrzuciłam do kosza. Godzinę później usłyszałam, że mogłam uczestniczyć w transmisji online. Wyjęłam bilet ze śmieci. Pięć minut przed transmisją wyłączono prąd i miasto tonęło w ciszy. Nad ranem zawył sygnał alarmu antyrakietowego.

*

Gdyby życie obserwowała Istota Dokonała uśmiechnęłaby się wyrozumiale. Dobrze wie, jak wątli są ludzie. Nawet jeśli szepcze rady, jej głos staje się wiatrem. Ciągle nasłuchuję, ale doskonałość się rozmywa. Przypomina obłoki, to skundlone i szare, to obnażające błękit ignorancji. Pisanie jest zabawą, graniem doskonałości na nosie. Mogę nieskończenie wiele razy zmienić słowo, zdanie, znaczenie, myśl, postanowienie. Jednak nie potrafię zmienić pola bitwy w kartkę papieru, ani skreślić umierania.

*

Widzę, biegnie człowiek. Słyszy za plecami warczenie czołgu. Na ulicach leżą ludzie z przestrzelonymi głowami. Czołg celuje lufą w jego plecy. Świat drży, dygocze i trzaska. Kości są kruche jak skorupki jaj. Czaszka tego, który wieszał na gałęzi ciało zgwałconej dziewczynki, nabrzmiewa pod naporem kłamstw. Czuję dym z obwoźnego krematorium. Na dworcu w Kramatorsku leży człowiek z oderwaną nogą, otula go ocean ciszy. Bomba niesie śmierć i ocieka kłamstwami. Tej wiosny ludzie oglądają wojnę w telewizji, tymczasem ziarna zbóż zmieniają się w czaszki.

*

Muszę traktować śmierć jako fakt realny, a istnienie uznać za jednorazowe i niepowtarzalne. Nigdy z zewnątrz nie zobaczę jak sama umieram, ani nie poznam śmierci od wewnątrz, bo wtedy moja świadomość zgaśnie. Obserwuję umieranie.

*

A jeśli każde kłamstwo się materializuje? – myślę zasypiając i nagle obok mnie spada nóż. Wbija się w podłogę i dygoce jak ciało konającego żołnierza. Wyglądam przez okno. Na ulicy w centrum miasta, w chaosie biegają ludzie. Krzyczy jakaś kobieta. Na chodnikach walają się stosy gruzów. Samochody o wygiętych karoseriach przypominają leżące na plecach owady. Z nieba spadają bomby, z hukiem wbijają się bruk. „Gdyby tylko przestali kłamać" – myślę i ulica pustoszeje, ale na chwilę. Za moment chaos wraca w większym natężeniu. Na przedmieścia spada samolot, pożar pochłania dzielnice. „A co z prawdą?" – szepczę, jednak płomienie sięgają nieba.

Tadeusz Ogrodnik

Muszę uciekać. Zamykam oczy i wstrzymuję myśli. Dopiero tutaj czuję się bezpiecznie. Na zewnątrz szaleje wojna.

*

Kiedy oglądam wiadomości z wojny dochodzę do wniosku, że ci, którzy cenią prawdę i ci, którzy wyznają pseudo-prawdę przebywają w alternatywnych rzeczywistościach. W realnym świecie ludzie są mordowani strzałami w tył głowy, gwałceni, głodzeni, poniżani, odczłowieczani. W pseudo-świecie oprawcy udają bohaterów i paradują, podobni do pola jednobarwnych tulipanów, dumni z okrucieństwa zadawanego pod hasłami walki z nazizmem. Tymczasem klasyczna teza głosi, że prawda to zgodność poznania z rzeczywistością. Kiedy mówimy „P jest prawdziwe" lub „P jest nieprawdziwe" nie mówimy więcej niż zakłada samo P. Teoria korespondencyjna prawdy nie wymaga potwierdzenia, zakłada istnienie obiektywnego świata zewnętrznego, który pozostaje niezależny od subiektywnego poznania podmiotu.

Jednak ci, którzy bombardują miasta i gwałcą dzieci zakładają, że żyją w świecie lepszym, są lepsi, bo walczą ze złem. Ich umysły karmione pseudo-prawdami tworzą sektę wyznawców Wielkiego Państwa. Owa narracja krzepi, uspokaja i napawa dumą. Są lepsi, bogatsi, mądrzejsi, wszechwładni.

Arystoteles w Metafizyce pisał: Powiedzieć, że istnieje, o czymś, czego nie ma, jest fałszem. Powiedzieć o tym, co jest, że jest, a o tym, czego nie ma, że go nie ma, jest prawdą.

Św. Tomasz mówił o prawdzie ujętej metafizycznie Verum est id, quod est (prawdą jest to, co jest) i dodawał, że w znaczeniu teoriopoznawczym prawda zachodzi wówczas, gdy to, co jest w naszym intelekcie, jest zgodne z rzeczywistością.

Konieczność zgodności naszych myśli, z tym, co widzimy, daje nadzieję, że kiedyś ktoś, po „złej stronie mocy" dostrzeże i przyzna, że intelektualno-propagandowe frazesy odkleiły się od rzeczywistych faktów i przypominają teatralną scenografię, która nie przystaje do inscenizacji sztuki pod tytułem „Wartości europejskie". Chociaż jeden z polityków dzień po dniu mówi światu co jest prawdą. Oddziela dobro od zła. Fejki od prawdziwych przekazów. Może dzięki Zełenskiemu nasze wartości ponownie nabiorą mocy?

*

Bomby fosforowe niszczą Azowstal w Mariupolu. Giną uwięzieni tam obrońcy.

Mamy XXI wiek, ale w zderzeniu z ludzką naturą, nie ma to znaczenia. Ciekawe jak wyglądałyby świat, w którym ludzie straciliby umiejętność posługiwania się językiem? – myślę przed snem. O świcie budzą mnie dziwne odgłosy. Jakby ryki czy nawoływania, groźne, niepokojące. Zrywam się i wpadam w gąszcz traw. Pokój zniknął. Tam, gdzie stał telewizor rośnie drzewo. Jego korzenie przypominają kształtem stolik z mahoniu. Sięgam po smartfon, jednak zginął w trawie. Mój pokój także nie istnieje, podobnie jak dom, ulica, miasto, samochody, tramwaje, a nawet Pałac Kultury. Przedzieram się przez krzewy i zarośla wyższe od domów. Coś w nich się czai, skrobie, poszczekuje. Nagle dostrzegam człowieka. Na mój widok chwyta drąg i zamierza się, by mnie zabić. Uciekam w gęstwinę i biegnę wśród zieleni. Gdy zapada zmierzch wygniatam w trawie legowisko i się ukrywam. Moje myśli się rozmywają. Czuję mnóstwo woni, których nie potrafię nazwać. Dźwięki dochodzące zewsząd napełniają lękiem i agresją. Z głodu czuję nienawiść. Coś każe mi się zerwać i biec w ciemności. Nie rozróżniam traw czy drzew, pędzę w masie zapachów, kluczę tak długo, aż znajduję leżącą w trawie martwą wiewiórkę. Rozdzieram ją na pół i pożeram. Ciepła krew syci. Wstaję i krzyczę, dziko, niezrozumiale. Otacza mnie szelest skrzydeł spłoszonych ptaków. Potem usypiam. Kończy się dzień w świecie, który zapomniał o mocy wypowiadanych słów.

*

Czy zło jest brakiem dobra? Może niedostatkiem wolności? Czy potrafię powiedzieć, jak Święty Tomasz, że człowiek jest dobry z natury, a skoro tak, wybierze dobro. W dualistycznych systemach filozofii zło jest pierwotną zasadą bytu. Dla Katolików to kara za grzech pierworodny i odpowiadamy za nie osobiście. Gdybym posłużyła się terminami psychologii, powiedziałabym, że dzisiejszy świat terroryzuje człowiek spod „Ciemnej triady", osobowość makiawelicza, narcystyczna i psychopatyczna, trzy-w-jednym. Potwór pozbawiony empatii, bezduszny, egoistyczny, który manipuluje ludźmi jak marionetkami, a krzywdzenie innych zapewne sprawia mu to przyjemność. Mówią, że kąpie się w krwi syberyjskich łosi, że chociaż niedługo umrze, nie cofnie się przed niczym, a może właśnie dlatego. Gdyby spotkał Anioła, prysnął by mu w nos nowiczokiem i wyrwał wszystkie pióra. Z jego punktu widzenia świat go krzywdzi. Jacy ci ludzie zachodu zachłanni, jacy źli, krótkowzroczni – powtarza przed snem – jacy prymitywni, głupi, naiwni! Nie rozumieją, że mam misję, że zjednoczę świat pod swoją władzą? Ich sankcje i oszczerstwa to igraszka, pożrę jednym kłapnięciem. Splunę bombami na Mariupol, Kijów i Odessę. Grad mojej wściekłości leje się fosforowymi błyskami na Azofstal. Zgniotę Ukrainę niczym pluskwę. Czerwonym guzikiem, który nacisnę nawet zza grobu, zrobię w ziemi wielki lej i zapadnie ciemność. A nad Ziemią uniosą się czarne dymy i zasłonią słońce, a ludzie, niczym owady ukryją się w jaskiniach. I całe życie obumrze, zgnije, wyparuje. Gdy zechcę, spadnie niebo, a każde stworzenie zapłacze krwią. Obdartych ze skór, trawionych zarazami oddam w ofierze Najwyższemu, w imię wolności, miłości i jedności, dla dobra ich samych, by więcej nie błądzili! Oni są winni zagłady świata, po kres żałować będą i prosić o łaskę, która zostanie im odmówiona – mruczy kołysankę i zasypia.

Joanna Sendłak

[1] Henri Bergson, Myśl i ruch, wstęp do metafizyki, PWN, 1963, str. 21

Marian Kisiel

Mały cmentarz (7)

1

Konfucjusz, *Myśli*, przekład mój, przez rosyjski. — „Trzy rzeczy nigdy nie wracają: czas, słowo, okazja. Dlatego nie marnuj czasu, dobieraj słowa, nie przegap okazji".

2

O arcydziele sztyki poetyckiej, *Wielkiej elegii dla Johna Donne'a* Josifa Brodskiego, gdzie maestrię kompozycji widać od pierwszego wersu, Adam Pomorski napisał: „w tym poemacie aria na jednej strunie wyrosła w potężną bachowską fugę" (*Los i wola*, „Literatura na Świecie" 1988, nr 7, s. 266). Na kolana rzuca opis snu — śpi John Donne, śpi cały świat, śpią sprzęty, cicho śpią umarli w trumnach, śpi Londyn, nawet śpi Bóg. Brodski jest wierny idei Donne'a, śmierć zastąpił snem. A Donne pisał w *Burzy morskiej*:

Sen to najlepszy balsam na ból, i zadania
Śmierci wypełnia wszystkie — oprócz uśmiercania.

(*Wiersze wybrane*, przeł. i oprac. Stanisław Barańczak, Wydawnictwo Literackie, Kraków–Wrocław 1984, s. 113).

3

Nieoczekiwane podobieństwo, a jakaż niewykorzystana szansa na wyjątkowość obrazu, ileż lat świetlnych dzieli ten opis od kompozycji Brodskiego. —„Berlin spał. Pogasły światła po magazynach, po teatrach, po mieszkaniach filistrów, po suterenach i strychach. — Gaz tylko migotał w ulicznych latarniach i świeciły się jeszcze okna klubów karciarzy, restauracyj podrzędnych, sal tańca i aptek. — Długa linia pałaców Pod Lipami spała też — drzemały kariatydy balkonowe, zapadały i ginęły w mroku ornamentacje okien i drzwi. Ruch tej pierwszorzędnej arterii ustawał. Z rzadka zaturkotał spóźniony powóz lub przechodzień przesunął się pośpiesznie, wracając z zabawy do domu: Berlin spał". — Maria Rodziewiczówna, *Między ustami i brzegiem pucharu…*, Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1984, s. 5.

4

Konfucjusz, *Myśli*, przekład mój, przez rosyjski. — „Piękno jest wszędzie, lecz nie każdy może je zobaczyć".

5

Psalmy Tadeusza Nowaka nie były zamierzone jako osobny tomik. Obmyślane przez lata, drukowane w osobnych miejscach, dopiero po jakimś czasie zostały zebrane w książce. Nie jednej, ale kilku. Jeżeli uwieńczeniem drogi stały się w roku 1980 *Psalmy wszystkie*, to — przyznać trzeba — dojście do tej edycji było wyjątkowo długie. — Psalm jest (w sensie genologicznym) utworem retorycznie określonym. Może być pieśnią dziękczynną i mieć charakter żałobny; jeżeli chwali, to i przygania; gdy wynosi nad niebiosa ojczyznę, to zaraz swój głos obiera w strój pokutny; kiedy chce sławić królów, nie zapomni o drobiażdżku ludzkim, pospólstwie. Psalm, tak zmieniający się przez tysiąclecia, genialnie odzwierciedla naszą ludzką twarz. Ma kształt proteuszowy. — *Psalmy* Tadeusza Nowaka są poetyckim arcydziełem. Prawda codzienności i wyobraźni spotykają się tutaj bardzo blisko. Poeta dba o to, by nie zapomnieć. Sławi Pana Boga i całą wieczność stworzenia; nie zapomina o codzienności zwykłej i brzydkiej, ale także podnoszącej na duchu: codzienności natury. U Nowaka nie ma natury bez Boga, nie ma pospolitego życia bez biblijnego odniesienia, nie ma obrazu bez jego wcześniejszego choćby przebłysku. — Psalmy Nowaka mają charakter testamentalny. Chwaląc, poeta zarazem wyraża swoją radość, jak też żegna świat, który był mu dany. Prawdopodobnie w owym zawieszeniu między życiem i śmiercią, miedzy pamięcią a ogromną pustką niepamięci, między konkretem a metaforą (uwznioślającym wyobrażeniem konkretu), między tym, co jest, a symbolem, czyli uwieloznacznionym wizerunkiem tego, co jest — rozgrywają się *Psalmy* Tadeusza Nowaka. Ich siłą jest realizm wysłowienia. Nowak, tak bardzo ukształtowany w szkole imaginatywnej poezji polskiej, doskonale zrozumiał, że istotą oryginalności może być tylko prawda wysłowienia, połączona z prawdą rodowodu. Tutaj tkwi siła jego poetyckiego słowa. — W *Psalmach* poeta ujawnił to, co jest rozedrganiem wyobraźni i pamięci. Pamięć rani nas bardziej niż wyobraźnia. W pamięci gnieżdżą się wszystkie sprawy tego świata, w wyobraźni moszczą się rozmaite tęsknoty i miraże. Kiedy to przekłada się na wiersz, ginie granica między jednym i drugim. Przeszłość i teraźniejszość nie odgrywają żadnej roli. Bo wszystko zamazuje się w ogromniejącej pamięci, jaka jest nam dana. — „Piszę psalm w polu Przekwitają zboża / i pachnie trawą skoszoną przed jutrznią". Rozpoczynający *Psalmy wszystkie* dwuwiersz jest genialny w swoim wyrazie. *Psalm w polu* jest chwalbą przestrzeni; „przekwitające zboża" są granicą czasu" między wiosną a latem (narodzinami a dojrzałością); pole „pachnie trawą", skoszoną przed wschodem słońca („przed jutrznią"). — Jest życie i śmierć, jest radość i zapach. — Długo by mówić, można stale się zachwycać.

6

Novalis, nie pamiętam, skąd to wynotowałem, kto przełożył. — „Powieść jako książka jest życiem. Każde życie ma lub może mieć jakieś motto, tytuł, wydawcę, przedmowę, wprowadzenie, tekst, przypisy etc."

7

Rozmowy z Marią Kuncewiczową, wybór, oprac. i posłowie Helena Zaworska, Czytelnik, Warszawa 1983, s. 9-10. — „Jaka jest [...] funkcja pamięci? Perspektywa stwarza grupowanie się faktów, nadaje im nowe sensy. Jednocześnie występuje zjawisko przeładowania taśmy pamięci zapisanej. Zachodzi dziwna alchemia: te zapisy ujawniają się często jak wyświetlona klisza w snach. To, co wraca w snach, jest rzeczywistością nie wyżytą do dna, pejzażem nie dość obejrzanym, uczuciem nie dość uświadomionym i ukierunkowanym. Zapisy te są blade. Czasami upiorne. Bo wiem, że się tam było, tam było, ale gdzie? Tam się to czuło, ale kiedy, jak się czuło? Nie mamy nazwy na taką widmową rzeczywistość, nie ma na to słów. I jeżeli usiłuje się jednak uzewnętrznić to w słowach, mowa zaciera wspomnienie. Czasami część ich ratuje, jak gdyby wywoływała bladą kliszę, ale częściej je topi, spycha w taką głąb, do której już słowo ani wrażliwość nie mają dostępu, jest tylko świadomość, że ta głąb gdzieś tam leży."

8

Z wypisów (Drahomir Šajtar, *U mladých polských basníků*, „Čti" 1948, nr 2, przekład mój). — „Polska przeszła przez piekło, wobec którego bliski nam «protektorat» był zwykłym rajem" — „[…] młoda poezja, aczkolwiek […] rodzi się w chaosie i na gruzach, wcale nie jest patetyczna, trudna, gadatliwa, niedyskretna. Czuliśmy, że jest sobą, kiedy szukaliśmy w tych [polskich] spalonych miastach tkliwości, miłości, ciszy, kiedy chcieliśmy dotrzeć do tajemnicy o człowieku, kiedy usiłowaliśmy w huku bomb, które stale jakby tam jeszcze odzywały się stokrotnym echem, znaleźć najczulsze miejsca, obudzić je, potrząsnąć nimi i utrzymać przy życiu. […] U młodych poetów polskich zobaczyliśmy, jaką potęgą jest życie." — „Sadzę, że w gronie żyjących Różewicz jest niekwestionowanym poetą. Jest niskiego wzrostu, ciemnego oblicza, pewny siebie, ale nie uparty. Bystry, czujny, dowcipny. A jego poezja? […] Różewicz jest pełen czułości, emocji, niedopowiedzeń. Ale mocniej je akcentuje w walce z rzeczywistością, która go ekscytuje niby demon. Wyrasta z gruzów, ale jakby się one na nim głębiej odcisnęły. Patrzy otwartymi oczyma. Widzenie Różewicza jest szersze, bardziej przenikliwe. Jest w nim coś typowo polskiego: odczuwa ból, żeby się od niego wyzwolić".

9

W komedii Szekspira *Miarka za miarkę*

(przekład Jana Kasprowicza, w: William Szekspir, *Dzieła*, red. Henryk Biegeleisen, t. 9, Księgarnia Polska, Lwów 1897, s. 44) najwięcej dają do myślenia słowa Księcia:

Nie jesteś sobą,
Albowiem żyjesz dzięki ziarn tysiącom,
Powstałym z prochu. Nie jesteś szczęśliwym,
Bo czego nie masz, wciąż do tego dążysz,
A zapominasz o tym, co posiadasz,
Nie jesteś niczym stałym, bo natura
Twoja zmienia się według księżyca.

Książę mówi o czasie, który jednakowo niesprawiedliwie dotyka człowieka. Mieczysław Jastrun zanotował: „Ten fragment rozważań Księcia jest chyba jedną z najbardziej wstrząsających wypowiedzi, na jakie zdobył się człowiek w ciągu swoich dziejów" (*Mit śródziemnomorski*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1962, s. 70).

10

W niewielkim eseju *Wobec krajobrazu* Wacław Kubacki pomieścił zastanawiające zdanie: „Człowiek wobec przyrody staje się twórcą nieświadomym" (*Krytyk i twórca*, Wydawnictwo Władysława Bąka, Łódź 1948, s. 72). Wobec bezmiaru piękna (ono najpełniej wyraziło się w toposie ogrodu, raju, arkadii), a także wobec nieujarzmionej potęgi sił natury (ich symbolami są m.in. pioruny, nawałnice, erupcje wulkanów), człowiek musi — ograniczony swoją niewiedzą — sięgać do intuicji, do tego, co w nim nieujawnione, do pokładów podświadomości czy nieświadomości, aby stać się twórcą. „Nieświadomym" wprawdzie, ale jednak — twórcą. Żeby zrozumieć przyrodę, musimy dokonać wielkiego duchowego wysiłku. „Geograf i geolog, fizyk, botanik i zoolog uczą nas rozumieć krajobraz. Odczuwać jednak krajobraz uczy nas wiedza nieścisła i nieoficjalna: literatura" (ibidem, s. 65).

11

Mój promotor, szef i przyjaciel — profesor Włodzimierz Wójcik, 31 maja 2012 roku, w czasie benefisu z okazji swoich 80. urodzin powiedział: „Mimo zawirowań historii życie obeszło się ze mną przyzwoicie. [...] Nie mogę narzekać. Przeżyłem wiele radości i trochę dojmującego cierpienia. Ale taka jest ludzka egzystencja. Dziękuję losowi za różnorodność i bogactwo doznań". — Cztery miesiące później, 30 września, przestało bić jego serce. Niebawem minie dziesięć lat od jego śmierci.

12

Ponowne lektury. — *Późne popołudnie* Marka Wawrzkiewicza (Książka i Wiedza, Warszawa 2001) jest tomem wierszy prywatnych. Adresy dedykacyjne zawężają krąg odbiorców. Konfesyjna fraza, ściszony głos, a wreszcie konstatacja, że „Z resztek — widać — powstaliśmy. / Została nas resztka" (*Monolog do Gąsiorowskiego*), odsuwają rozpacz. Nawiązują kontakt z bliskimi, wyodrębniają ich z szerszego grona, czynią powiernikami najgłębszych tajemnic. — „Niech się jednoczą zmarli w samotności / I ci, którzy do tego nabywają prawo — / Prawo krwi zamarzniętej, bielejącej kości / I posłania mrocznego pod jasną murawą. // Ci wszyscy niekochani, wszyscy oszukani / Niespełnioną nadzieją lub słowem przedwczesnym. / Niechaj na nich milczenie, zapomnienie na nich / Upadnie litościwie, jak śmierć, kiedy we śnie // Wyzwala ich nareszcie ze złudzenia życia / I słowa pożegnania tłumi chustą nocy. / Byli winni: kochali, nie starali skryć się. / Byli winni, bo nikt im nie chciał przyjść z pomocą." — To jeden z najpiękniej okrutnych zbiorów, jakie czytałem.

13

Andrzej Szuba w *Postscriptum CLI* — „tyle domów / wszystkie / przedpogrzebowe" (*666 strzępów*, Śląsk, Katowice 2022, s. 31). — Cztery słowa, wcześniej oddzielone interlinią po pierwszym wersie, i połączone w jedno (wers drugi i trzeci); a teraz w słupku. Jeżeli wcześniej coś było najpierw ważne to właśnie owa interlinia, odstęp, pusta przestrzeń. Milczenie, organizujące przestrzeń wiersza i przestrzeń sensu. Było olśnieniem, nagłym nabyciem pewności. Organizowało także przestrzeń metaforyczną formuły „domy przedpogrzebowe". To w tej formule spotykały się znaczenia „domu" jako „miejsca życia" i „D.O.M" (*Deo Optimo Maximo*) jako „miejsca wiecznego spoczynku". W metaforze „domów przedpogrzebowych" wzajemnie się podpierały życie i śmierć. Wiersz–metafora jako cudowna epifania wprowadzał nas w tak ważną dla Szuby przestrzeń zależności człowieka (doczesności) i Boga (wieczności), ustanawiał — przecież nam wszystkim znaną — relację podległości. A teraz? Czy usunięcie interlinii zachowuje tę podległość? To zawahanie żyjącego umysłu, który za jakiś czas zmierzy się z gościnnym „domem przedpogrzebowym"?

14

PM w liście do mnie, 4 lutego 2022 roku. — „Coś się kończy w różnych odcinkach".

15

Czy jest coś niezbywalnie pewnego, czego nie możesz podważyć? — Tak. Narodziny i śmierć.

16

Dmitrij Mereżkowski, *Małe myśli*, przekład mój. — „Wiemy o tym, lecz nie wierzymy, że umrzemy. A przecież prawdą jest, że nie umrzemy". — Tylko uważny czytelnik rozpozna w tej myśli odwołanie do Ewangelii wg św. Jana (11,25-26): „Rzekł do niej Jezus: «Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we Mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. Każdy, kto żyje i wierzy we Mnie, nie umrze na wieki. Wierzysz w to?»". — Wiara jako coś niezbywalnie pewnego.

17

„Żyd zawsze pozostanie Żydem. Nawet żeby go wychrzcić" — mówi Stary Tag w *Austerii* Juliana Stryjkowskiego, a nadzy chasydzi skaczący o brzasku do rzeki wołają: „Rozkosz! Rozkosz! Rozkosz być Żydem!". Tak kończył się jeden świat, pierwsza wojna zapowiadała już nadejście drugiej. Po niej określenie tożsamości Żyda stało się trudniejsze. Kim jest — u Hanny Krall — Izolda R. z *Powieści dla Hollywoodu*, Polką czy Żydówką? A „ta z Hamburga" — Żydówką, Polką czy Niemką z wyboru? Wpisy w paszportach się wątpliwe, poszukiwania własnego miejsca często zawodne. A wyjazdy konieczne? „Pojechałem do Izraela, bo tam nie ma Polaków. Ale wiecie, co się okazało? Że tam są Żydzi" — mówi główny bohater reportażu *Rozenfeld* z tomu *Hipnoza*. I pyta dramatycznie: „No to gdzie ja mam wrócić?"

18

Ludwik Bohdan Grzeniewski, *Miejsce na ziemi. Szkice warszawskie*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1977, s. 9. — „Odpłynąć? Czyż da się odpłynąć? Zawsze wraca się do początku. Dopokąd życia, dotąd powrotów. Jak w strofie Osipa Mandelsztama, poety w Warszawie urodzonego:

Złote runo, gdzie jesteś, złote runo, gdzie jesteś, stracone —
Całą drogę szumiały na morzu piętrzące się fale
I, pozbywszy okrętu, co płótna swe zdarł utrudzone,
Odyseusz powrócił owiany przez czasy i dale."

19

Emil Cioran, *Zmierzch wszelkiej myśli*, przeł. Ireneusz Kania, Aletheia, Warszawa 2021. — Czytam i nie rozumiem. Więc zaczynam jeszcze raz i znów mało rozumiem. Bezbrzeżna dziwność języka, okropność stylu, chichot gramatyki, umykający sens. Jeżeli Cioran tak napisał po rumuńsku, jak go czytam teraz po polsku, to nie warto było go tłumaczyć. A jeżeli tłumacz się →

zmęczył, powinien na jakiś czas odpocząć.

20

Wszyscy mówimy niegramatycznie, pospiesznie, nie dbamy o logikę wypowiedzi. A przecież się rozumiemy, kiedy usta w usta, oko w oko obcujemy z sobą. Gorzej, kiedy człowieka zastępuje słowo napisane, a rozmowę — poddający się naszym niezgrabnościom — tłumacz.

21

Cicho, cicho — nie krzycz na sens, który nie może się wydobyć ze zdrętwiałych warg.

22

Cesare Pavese. — „Verrà la morte e avrà i tuoi occhi" / „Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy" (tłum. Jarosław Mikołajewski, Austeria, Kraków-Budapeszt 2013, s. 90-91). — Wiersz, który nie daje spokoju.

23

Kupiliśmy z żoną cztery paczki tulipanów. Ja lubię żółte, ona czerwone. Podzieliliśmy się nimi zgodnie. W moim pokoju cieszą się światłem kruchym — jak życie — tulipany żółte.

24

Odnaleziona zapiska. — 6 grudnia 2019, śmierć K. — Tego się nie robi na Mikołaja. To nie był ten prezent, jakiego oczekiwaliśmy. Słońce nad Śląskiem zaświeciło mocniej. Ani śladu zimy, choć rześki chłód zaczerwienił policzki. I tylko wiatr jakoś zawiał inaczej.

25

Dzisiaj po lekturze przypadkowych wpisów na Facebooku. — Ci, którzy tak mocno sprzeciwiają się obrażaniu innych, sami obrażają bez mrugnięcia okiem. Skąd w nich ten jad? — Nie, na pewno nie z wewnętrznej potrzeby. Z wnętrza ulewa się tylko komuś, kto ma je podziurawione jak sito; taki ktoś jest stale rozstrzeliwany przez innych za swoją pustkę. — Nie, na pewno nie z powodu goryczy, że straciło się pozycję, jaką (być może) kiedyś się miało; pozycja jest, albo jej nie ma. — Nie, na pewno nie z powodu niemożności wyrażenia tego, co się chce powiedzieć, innymi słowami; słowa się ma, albo nie.

26

Konfucjusz, *Myśli*, przekład mój, przez rosyjski. — „Być moralnym, to znaczy mieć także wolną duszę. Ktoś, kto jest stale na kogoś zły, ktoś, kto nieustannie się czegoś boi i stale poddaje się namiętnościom, nie może mieć wolnej duszy. Ten, kto nie potrafi skoncentrować się na sobie lub czymś się zająć, ten — widząc, nie zobaczy; słysząc — nie usłyszy; smakując — nie rozróżni smaku".

27

Martin Heidegger, *Znaki drogi*, tłum. Krzysztof Michalski, Spacja, Warszawa 1999. — „Das Nichts selbst nichtet", czyli: „To sama nicość nicestwi".

28

Odnowiona lektura. — Miniatury eseistyczne Zbigniewa Bieńkowskiego czytałem stale. Te z „Tygodnika Kulturalnego" i z „Przeglądu Literackiego", z „Nowych Książek" i z „Nowego Świata". Już mało kto pamięta niektóre z tych gazet. I oto radość: zbiór miniatur (niekompletny), wydany niedawno: *Moje oko na spacerze*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2020. — Znajduję tu słowa, które kiedyś mną wstrząsnęły swoją oczywistością, a przecież i dzisiaj wstrząsają: „Plamy. Plamy historii. Istnieje biel obiektywna, która zataja ból naszego wspólnego losu. Wywabić ją, to przywrócić zdrowie psychiczne zbiorowości. Ale istnieje także biel subiektywna, która kryje jednostkowe cierpienia ducha, męczarnie ambicji. Każdą chyba ludzką psychikę przygniata jakiś kamień, skamielina urazów. Odwalić go, co za ulga! Ale niekiedy trzeba odwagi, może nawet heroizmu, aby na oczach ciekawskiej gawiedzi takiego zabiegu dokonać" (s. 309).

29

Wycisz się, przypomnij sobie, jak przed laty parafrazowałeś (za Ejdlinem) mądre słowa Bai Juyi. Wierszowi o rozbudowanym tytule nadałeś własny, oszczędny: *Piołun i orchidea*. To ten wiersz:

Posadziłem orchideę,
lecz piołunu nie siałem.

Urodziła się orchidea,
wraz z nią urodził się piołun.

Nieokrzepłe korzenie
złączyły się, razem rosną.

Oto i łodygi, i liście
zjawiły się już na świecie.

I pachnące szypułki,
i listki wonnej trawy

Każdego dnia i nocy
większych nabierają sił.

Powinienem wyrwać ziele,
boję się skaleczyć orchideę.

Powinienem podlać kwiat,
boję się napoić piołun.

Nie mogę mej orchidei
nawozić, aby rosła.
Nie mogę złego zielska
wyrwać i rzucić precz.

Waham się, miotam
i nie wiem, co zrobić.

Czy zabijając,
uratuję życie?

Masz problem z dwoma ostatnimi dystychami. Są zbyt dosłowne, alegoryczne. Jedyna nadzieja w tym, że kiedyś przyjdzie olśnienie i zamienisz nieporadność w dobrą pointę.

30

Staliśmy się piękni, kiedy przestaliśmy walczyć o to, co nam się słusznie należało. I gdy to odeszło, zostaliśmy na siebie powtórnie skazani, jak wtedy, kiedy oczarowani sobą, obiecaliśmy sobie miłość do końca naszych dni.

31

Lew Karsawin, *Noctes Petropolitanae*, Petersburg 1922, s. 78 — przekład mój: „Miłość jest życiem, ale bardziej niż życie przeciwstawia się śmierci — jest i życiem, i śmiercią dla Innego, najwyższą jednością".

32

16 marca, umarł Aleksander W. — 21 marca, umarła Monika B. — Coraz smutniej.

33

Niebawem, 21 czerwca, 10 rocznica śmierci Henryka Berezy. — Czytałem go regularnie, wierzyłem mu. Może nie jemu samemu, ale jego pasji, szczodrości opinii, byłem po jego stronie. Nie wszystkie chwalone przez niego prozy podobały mi się, ale był w nich ogień, który raził tradycyjną realistyczną opowieść. Bardzo przeżywałem jego spór z Janem Błońskim, widziałem, jak mechanizmy socjotechniczne zataczają koło, jak młodsi biorą w obronę jednego lub drugiego. A przecież obaj mieli rację: rewolucja artystyczna w prozie była w dużej mierze urojeniem nowości, a broniona przez Błońskiego proza artystowska anachronizmem. — Prywatnie Henryk był uosobieniem rozsądku, choć ze zdecydowanym poglądem. Niezwykle ciekawy innego, słuchający, czarujący, skromny. — Poznałem go w 1988 u Agi i Leszka Bugajskich, na sylwestrowym spotkaniu. — Przyszedł na nie również niezapowiedziany Bogusław Sławomir Kunda. — A na drugi dzień, nad Rudawą, Henryk szukał kogoś, kto był mu bliski, na ulicy Emaus. Nie znalazł. Chodził od domu do domu. „Emaus — mówił — niczym Via Appia". — Patrzyliśmy z Leszkiem na tę bezradność poszukiwania, pies biegał

po ośnieżonej trawie. — Jak wabił się pies Leszka? Czy to był wilczur?

34

Kiedy zaczynałem pisać recenzje, ostatecznym ratunkiem był Jerzy Kwiatkowski. — „Jak zacząłby Kwiatkowski? Czego by szukał?" — Kwiatkowski był kołem ratunkowym dla niewyrobionego pióra. Jego *Notatki o poezji i krytyce* oraz *Felietony poetyckie* zostały zaczytane przeze mnie i zapamiętane. — Dzisiaj jestem po lekturze wszystkich jego książek i mam swoją o nich opinię, nie zawsze tę samą. — Ale przed czterdziestu laty był dla mnie bogiem krytyki. Właśnie on — żaden Błoński, Sandauer i inni. — Nawet dzisiaj łapię się na tej myśli: „Jak zacząłby Kwiatkowski? Czego by szukał?"

35

Stanisław Baczyński, *Sztuka walcząca*, Lwów-Poznań 1923, s. 43. — „Krytyk literacki zachować musi wobec twórczości minionej, rozpatrywanej w perspektywie czasu przeszłego, stanowisko osobistej odwagi w obraniu metody, za pomocą której pragnie uzasadnić swe subiektywne poglądy i przekonania. Metoda nie jest w tym wypadku szablonem, suchym, szkolnym niewolnictwem podziału, lecz odnalezieniem myślowej postawy, która w rzeczywistości byłaby zdolna do pogodzenia nawet sprzecznych i wrogich zjawisk literackich w jednej i tej samej duszy badacza. Inaczej niemożliwe byłoby zastanawianie się nad rozmaitością kłamstwa i prawdy, piękna i brzydoty. Po prostu należy wiedzieć, czego się chce, by móc praktycznie tę wiedzę przeprowadzić".

36

Piękne przesłanie: „należy wiedzieć, czego się chce". — Ilekroć o tym myślę, wpraszają się na próg pamięci słowa Jerzego Stempowskiego, jakie wypowiedział w *Fizjologii krytyki* (idem, *Chimera jako zwierzę pociągowe*, wybór i oprac. Jerzy Timoszewicz, Czytelnik, Warszawa 1988, s. 55-56): „Czym kierowali się ci krytycy homeryczni i przedhomeryczni? Przypuściwszy, że krytyka jest produktem ubocznym literatury, owi Grecy nie mieli do swych rozważań żadnego niemal punktu wyjścia, znajdowali się niejako zawieszeni w powietrzu. Tymczasem widzimy ich działających z największą pewnością smaku i znajomością rzeczy".

37

Jan Błoński. — *Poeci i…*, *Zmiana warty*, *Odmarsz*, *Romans z tekstem*, *Widzieć jasno w zachwyceniu*. — Perły w krytycznej koronie.

38

Artur Schopenhauer, *Aforyzmy o mądrości życia*, przeł. Jan Garewicz, Czytelnik, Warszawa 1974, s. 151. — „Mniej niż kiedykolwiek dążę tu do wyczerpania tematu; w przeciwnym wypadku musiałbym powtórzyć wiele znakomitych nieraz reguł życiowych, sformułowanych przez myślicieli wszystkich czasów […], nie pomijając przy tym nawet ścieżek mocno już wydeptanych".

39

Piotr Czaadajew, *Listy*, wybór, wstęp i oprac. Lucjan Suchanek, przeł. Maria Leśniewska, Lucjan Suchanek, nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1992. — Z *Listu siódmego*: „W gruncie rzeczy my, Rosjanie, nie mamy nic wspólnego z Homerem, Grekami, Rzymianami, Germanami: to wszystko jest nam całkowicie obce. Ale co robić, trzeba mówić językiem Europy. Nasza egzotyczna cywilizacja tak nas oparła o Europę, że chociaż nie mamy jej idej, mówimy tylko jej językiem" (s. 172).

40

Zygmunt Krasiński, *Przelotna chmura*, w: idem, *Dzieła literackie*, wybrał Paweł Hertz, t. 2., Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1973, s. 623. — „Jestem igraszką każdego podmuchu, każdego promienia. Raz jako królowa w złocie i purpurze, panuję na niebie; to znów w poszarpanych łachmanach jestem jak niewolnica samowładnego wichru. […] Rodzę się na bezdrożach powietrznych; żyję krótkim zżyciem owadu, będąc zarazem najjaskrawszym motylem latającym po lazurach i najpodlejszym z płazów pełzających w ciemności. Konam co chwila i wciąż się odradzam, aby wiekuiście umierać. Na każdym miejscu gotowa dla mnie kolebka i czyhająca mogiła; i ten sam wiatr, co wesołym podmuchem wita me narodziny, ponurym językiem zwiastuje mój zgon".

41

Tyle odmiennych słów na opis podobnych obrazów.

42

Każdy ma swojego oszczercę.

43

Po cóż układać fragmenty, żeby złożyły się na jakąś całość? Przecież od romantyków niemieckich, od Schlegla, powtarzamy sobie, że fragment jest najprawdziwszym sposobem artystycznego wyrażania. Nie całość nas porywa i łudzi, ale część. Twórca jest zawsze fragmentaryczny, pofragmentowany. Żyjąc, umrzeć nie może, jak fragment.

44

Ze wstępu do mojej książki *Między wierszami* (Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2015, s. 9): „Ulegam słowu, to znaczy: sprawdzam jego znaczenie. Pytam o to, co chce mi powiedzieć, a co ukrywa. Uwodzicielskie brzmienie staram się zderzyć z bezwzględnością *ratio*. Jak podejrzliwy kochanek, oczarowany wierszem, oczekuję zatem potwierdzenia («domyślenia») swoich odczuć i myśli. Plądruję tu i tam. Węszę. Możliwie najdokładniej i zachłannie sprawdzam każdy ślad. Między wersami. Między wierszami".

45

Jedna z najpiękniejszych dróg, droga na smug. — Opuszczało się wieś, domy, wchodziło w las, można było wybrać, którędy chce się iść, ale potem grzęzło się w piasku, rozgrzany słońcem piasek parzył stopy, sosnowe drzewa wabiły eterycznym olejkiem, brzozowe zapraszały do swojego cienia, szło się i szło, niedługa ta droga, zawsze można było zejść z piasku na mech, a potem ten gnilny zapach smugu, sitowie, tatarak i staw. — Każdy z nas ma takie wspomnienie. Każdy z nas pamięta ten zapach i ten gorący piasek.

46

I jeszcze te umykające słowa, jakieś echo, które stale powraca; nie rozumiemy, co do nas mówi, a przecież — mówi.

47

Sny, których dawno nie miałem, od pewnego czasu coraz częstsze. W dzieciństwie intensywne, na starość rzadkie. Nie przywiązuję do nich wagi, choć dobrze spotkać dzięki nim twarze, jakie dawno się rozpadły.

48

Za sprawą pandemii z wieloma osobami utraciłem kontakt. Chciałem napisać: dzięki pandemii.

49

No i tak to się toczy, toczy, toczy…

50

Jacek Łukasiewicz, *Uroda świata się nie kończy* (idem, *Uroda świata się nie kończy. Wybór wierszy*. Wybór i posłowie Paweł Mackiewicz. Poznań 2021, s. 222). — Piękno zamknięte w tradycyjnej strofie:

Uroda świata się nie kończy,
kiedy przestaje być widziana.
Już dosyć dawno zaszło słońce,
teraz księżyca broczy rana.

[…]

Jeszcze ze lśniącej ciemnej trawy
do źródła światła ćma polata.
Kiedy przestaje być widziana
— nie kończy się uroda świata.

Marian Kisiel

ESEJ

Andrzej C. Leszczyński

Zatumanić się narodowo

Poniższy tekst może sprawiać wrażenie całości pękniętej, obejmującej rzeczy dość odległe od siebie. Dawna książka wybitnego malarza i myśliciela – i dzisiejszy polski nacjonalizm. Być może; jednak nie potrafię uwolnić się od poczucia, że jest coś, co łączy – łączy w sposób negatywny, a contrario - ton wypowiedzi Nowosielskiego z narodową polskością. Słowa dochodzące z innej planety, pokazujące mierność tego, co tutejsze.

Jeszcze raz

Sięgam po książkę, którą przeczytałem kilka lat temu. Ta książka to *Sztuka po końcu świata. Rozmowy*, wydana w „Znaku" w 2012 roku. Myślę, że nie apokaliptyczny tytuł kazał mi wrócić do zbioru opracowanego przez Krystynę Czerni, lecz dająca się dziś odczuć doniosłość wielu zawartych w nim wypowiedzi. Wracam do niektórych rozmówców malarza (określenie to bezlitośnie zawęża wymiar bohatera książki, choć sam, w innym miejscu, pojmując je widać po swojemu, odpowiada, że jedyne co może powiedzieć o sobie, to „Jestem malarzem. Malarzem jestem i tyle"), do fragmentów, które zapamiętałem z pierwszej lektury. Rozmowy są krótkie (czterdzieści dziewięć na czterystu stronach), z powtarzającymi się wątkami. Podczas pierwszej lektury odniosłem wrażenie, że daleko im do Wielkiej Rozmowy, jaką przez dwadzieścia kilka lat prowadził z Nowosielskim Zbigniew Podgórzec. Ale dziś już nie jestem o tym przekonany. Przytoczę kilka spośród tych zagadnień, które nie utraciły swej prowokacyjnej, czyli pobudzającej (prō-vocātiō) właściwości.

Opowiada Jerzy Nowosielski o swym nowicjacie w monasterze, w którym wstawało się o czwartej rano by wypełnić trzy ośmiogodzinne przedziały modlitwą, pracą, snem. Podziw połączony z niedowierzaniem budzi „momentalność" jego przeobrażeń duchowo-egzystencjalnych. Podczas kurowania się z zapalenia stawów „w pewnym momencie utraciłem wiarę metafizyczną, stałem się ateistą, i to ateistą przekonanym, to znaczy ontologicznym, nie praktycznym". Mówi też o tym dosadniej: „Przestałem być wierzącym, nawróciłem się na ateizm". Sens i wartość malarstwa nowoczesnego odkrył „z godziny na godzinę" („Pamiętam szaloną radość, uczucie wyzwolenia z jakiegoś uwarunkowania, niewoli…"). Nagły moment nawrócenia, kwiecień 1954 rok. „[…] przechodziłem pod cerkwią katedralną w Łodzi, popatrzyłem na nią i nagle, w tym momencie, wszystko mi się odwróciło, to była pewność". Zapamiętał, że podrapał się wtedy w nos, „bo zrobił mi się taki bolesny pryszcz między oczami". Człowiekiem wierzącym, podobnie jak poetą, „się nie jest, człowiekiem wierzącym się bywa". Pytany, czy jest wrogiem pewności duchowej, odpowiada: tak, zawsze.

Wcześniej, w drugim dniu wojny, widząc pociąg z rannymi żołnierzami, powiedział sobie: koniec z patriotyzmem, czymś z gruntu podejrzanym („bo przecież nacjonalizm, którego każdy się boi, to po prostu patriotyzm, który zaczął pokazywać zęby…"). Miało to, jak sądzi, związek z prawosławnym, katastroficznym nastawieniem duchowym, które widzi rzeczy nieuniknione: należy je „znosić z wewnętrznym przyzwoleniem". Gdy dostrzegł, że „narodowość to powód do wzajemnego zabijania się", pojęcie to przestało dla niego mieć jakiekolwiek znaczenia. „Dziś moją ojczyzną, moją ojczyzną duchową, jest prawosławie"[1]. Być może wyznanie to nie pozostaje bez związku z dyspozycją charakterologiczną. „Zabijaką nie byłem. Byłem tchórzem i nawet w szkole miałem swego goryla, którego przekupywałem drugimi śniadaniami, żeby bronił mnie przed bardziej agresywnymi kolegami".

Podkreślając swe polsko-niemiecko-ukraińskie (łemkowskie) korzenie, mówi o polskiej pogardzie do społeczności ukraińskiej. „Wyśmiewanie na każdym kroku. Bardziej ich wyśmiewali niż Żydów. Było to powodowane strachem przed dominacją ilościową Ukraińców; jakaś samoobrona psychiki polskiej: »No, tych chamów trzeba po mordzie bić i do gnoju wsadzać«, taka to była głęboka pogarda". W innym miejscu: „Niedawno byłem we Lwowie ze swoją wystawą, po kilkudziesięciu latach tam pojechałem. Dziś to wspaniałe, wolne miasto".

Określa się mianem manichejczyka przepełnionego pesymizmem: „Choć tęsknię do dobra i pragnę go, to mam świadomość istnienia zła, jestem przekonany, że idzie ku złemu, że świat zmienia się na niekorzyść. Coraz mniej wokół miłości, religii, miłosierdzia". Uważa za oczywistość, że światem rządzi diabeł („nawet w Ewangelii określony on jest mianem księcia tego świata"). Wierzyć w Boga jest trudno (to „prawie w ogóle niemożliwe"). W diabła musi się wierzyć, „bo się go dotyka na co dzień". Nie ma pozytywnego prawa naturalnego, jest tylko „prawo natury, które jest infernalne w swojej istocie". Żyjemy „Pod słońcem Szatana". Doświadczenie Szatana jest konieczne dla duchowo rozwiniętego człowieka. To doświadczenie starości: „starość jest schodzeniem do szeolu…". Jednym z najważniejszych dla niego malarzem jest Francis Bacon, którego dzieło „jest manifestacją Szatana, stanowi dowód na istnienie zła".

„Jestem ortodoksem wiary greckiej, nie łacińskiej. To jest fascynacja duchowością pewnego typu. Sądzę zresztą, że w tym układzie naród Polski jest kaleki przez to, że został przez kontrreformację wyznaczony na janczara, na przedmurze chrześcijaństwa. Przedmurzem chrześcijaństwa była zawsze Rosja". Polacy są narodem niereligijnym, gdyż nie stworzyli żadnej wielkiej herezji, są „bezmyślnie religijni", zaledwie powierzchownie pobożni. „Każdy człowiek o autentycznych intuicjach religijnych musi być heretykiem, gdyż herezja to jest inny pogląd, to jest dialog wewnętrzny, to jest walka z zastanymi formami naszej świadomości…". Jedyną polską herezją są mariawici.

Prawosławne nabożeństwa są piękne: „To jedyny bodaj Kościół chrześcijański, który w takim stopniu posiada charyzmat modlitwy, powiązany z charyzmatem działań artystycznych". Teologia prawosławna dopuszcza myśl, ze wszystko będzie zbawione, także rośliny. „W prawosławiu wszystko jest możliwe. Prawosławie, to jest taka forma ortodoksji_chrześcijańskiej, która w odróżnieniu od zachodniej ortodoksji otwiera wszystkie możliwości".

Modlitwa z samej natury ma charakter intymny, w jakimś sensie wstydliwy, w przeciwnym razie staje się aktem ekshibicjonizmu. „Jak słucham Radia Maryja, tam się ciągle modlą publicznie, uważam, że jest to bluźnierstwo. […] Już Pan Jezus powiedział, jeżeli chcesz się modlić, to wejdź do izby, zamknij drzwi i tam się módl".

Pierwsi chrześcijanie byli cnotliwi, choć nie posiadali świadomości moralnej. Dzisiejsi mają tę świadomość, lecz nie są cnotliwi. Teologia rzymskokatolicka nie uznaje wartości indywidualnego sumienia. „Oni kochają obiektywna prawdę, prawo naturalne".

„Nic nie jest wiecznie piękne. Ani ludzie, ani idee".

Sztuka. „Możliwe, że przeżywamy okres, gdy musimy sobie uświadomić, że albo sztuka jest przekazem spraw duchowych, albo w ogóle nie jest sztuką…". Sztuka to tajemniczy akt ufności, akceptacji rzeczywistości. W tym sensie można powiedzieć, ze cała sztuka, jeśli jest sztuką, jest ikoną. „My, prawosławni, dzięki ikonie mamy otwarte okno, którego nie widzą na przykład protestanci. Ich przeżycie wiary jest negatywne od początku do końca. Są przez to bardzo aktualni w odczuwaniu rzeczywistości, są dzisiejsi". Przeszłość jest tym samym co przyszłość – ważny jest tylko świadek, który „rejestruje dzianie się, rejestruje rzeczywistość; on jest ważny". Świadek, czyli mártys, mártyros – dopowiada prowadzący tę rozmowę Rajmund Kalicki[2].

Sztuka jest w ogóle zajęciem niebezpiecznym, artysta łatwo może przegrać życie, „jest na takiej strasznej huśtawce: między euforią, która się trafia rzadko, i zniechęceniem czy rozpaczą, która trafia się o wiele częściej". Dlatego artyści piją wódkę, żeby się na tej huśtawce znieczulić. Uprzedza o tym swoich studentów mówiąc im, że albo będą wielcy, albo życie im się nie uda; nie istnieją „średni" artyści. Nie ma przy tym złudzeń co do prawomocności takiego maksymalizmu w dzisiejszym świecie. „Warhol to ostatni śmietnik, jaki wydała sztuka zachodnia. Jest to, niestety, chodliwe na rynku…".

Sztuka ma charakter elitarny, choć trudno zadekretować, kogo elita obejmuje. „[…] widziałem bardzo uczonych profesorów uniwersytetu, historyków sztuki, ludzi szalenie subtelnych, którzy patrzyli na obrazy jak wół na malowane wrota. […] I widziałem też kolejarza czy chłopa, który od pierwszego spojrzenia wchodził w bezpośredni kontakt z obrazem i chłonął ten obraz całą swoją świadomością, bez żadnego przygotowania".

Preferuje akty kobiece („Ponieważ ja jestem Adamem i maluję tę Ewę, którą pamiętam z raju"). Nagość jest tajemnicą, „czymś najbardziej świętym i najbardziej przeklętym". Bezgrzeszne akty można było spotkać w Egipcie, Grecji, w Adżancie w Indiach, w malarstwie afrykańskim, w rysunkach naskalnych. „[…] sztuka hinduska nasycona jest elementem erotycznym do granic możliwości, a nie zna zjawiska pornografii". Sądzi, że jego malarstwo erotyczne to nieustająca walka z pornografią. „Uważam pornografię za przeciwieństwo erotyki, za profanację erotyki". Pornografia to „profa-

nowanie wartości sakralnych, które przeżycie bądź wyobrażenie erotyczne zawiera w sobie". Rozwinęła się „tylko na gruncie chrześcijaństwa"[3]. Chrześcijaństwo przez desakralizację Erosa sprowadziło seksualność „do poziomu sprawy poniżej świadomości sakralnej, czyli poniżej pasa",

Akt jest „pejzażem pustki, bo nagość jest pustką, nagość jest wielką tajemnicą…". Akt kobiecy, nie męski. „Mężczyzna to nie jest pełny człowiek, prawdziwy człowiek to jest kobieta…". „Cała chrześcijańska doktryna moralna na temat seksu to była właściwie doktryna hodowlana: kobieta ma rozkosz przy poczęciu, cierpi przy narodzeniu, jej cierpienie jest ekspiacją za rozkosz przy poczęciu, ale głównym celem małżeństwa jest rodzenie dzieci". Kobieta, sądzili Tertulian, św. Augustyn, byłaby zbędna, gdyby nie fakt, że tylko ona rodzi dzieci. Takie jest „.. głęboko amoralne oblicze chrześcijaństwa w stosunku do Erosa". Kontakt erotyczny „jest powrotem do raju, do niewinności rajskiej". Raj jest trwałym postulatem świadomości: „jest zawsze i zarazem go nie ma, bo jesteśmy z niego wygnani…".

Patriotyzm z zębami

Katolicyzm, wiara Polaków, sztuka, nagość – związane z tymi kwestiami opinie i wyznania Nowosielskiego potrafią poruszyć do żywego. Chcę zatrzymać się przy jednej kwestii, choć i innych nie sposób obejść; przy problemie, którego dotyka zdanie: „[…] bo przecież nacjonalizm, którego każdy się boi, to po prostu patriotyzm, który zaczął pokazywać zęby…"[4]. Ten problem łączy się z gnębiącymi mnie odczuciami i obserwacjami dotyczącymi zawłaszczenia, czy raczej bezczelnej kradzieży, słów i czynów przez środowiska określające się jako „patriotyczne", „niepodległościowe" itp. - co ma sens wykluczający i piętnujący ludzi nie mieszczących się w tych środowiskach. „Ojczyznę – pisał Seneka – kocha się nie dlatego, że wielka, ale dlatego, że własna"[5]. Narastające od kilku lat poczucie, że coraz mniej jest własna, że coraz trudniej odnaleźć się w zaimku „my". Już samo nadużywanie słów takich jak patriota, Polak, naród, ojczyzna pozbawia je wyjątkowości i pierwotnej doniosłości. Cóż dopiero, gdy czynią tak osoby i gremia, co to się „narodowo bałamucą"; przeczące swoim postępowaniem wszystkiemu, co zawiera się w tamtych pojęciach. Biało-czerwona wstęga rozwija się za plecami prowadzącej zakłamany do cna program Wiadomości TVP. Biało-czerwonymi barwami oznaczają swe maseczki, kołnierze i naramienniki politycy, którzy całkowicie podporządkowali sprawowane rządy nie wspólnym – państwowym, ojczyźnianym - lecz własnym interesom. Przypomina mi się dwuwiersz z *Beniowskiego*, w którym Słowacki piętnuje patriotycznych hipokrytów: „Biada, kto odda ojczyźnie pół duszy,/ A drugie tu pół dla szczęścia zachowa". Jakże daleko dzisiejszym „patriotom" do tamtych, tylko połowicznie zaprzedanych poczciwców. Wywołuje to obrzydzenie i sprawia, że bliskie i ważne słowa stają się irytująco obce i rodzą niechęć.

Michał Łuczewski w książce pod tytułem *Odwieczny naród* (2012) przedstawił badania, jakie przeprowadził w podkarpackiej wsi Żmiąca (powiat Limanowa). Zdaniem Łuczewskiego – pisze w „Przeglądzie Politycznym" (nr 169/170) omawiający tę pracę Maciej Górny – „obecny stan umysłów większości mieszkańców Żmiącej – nacechowany katolicyzmem, ksenofobicznym nacjonalizmem, politycznie bliski skrajnej prawicy – to właśnie punkt końcowy polskiego procesu narodowotwórczego". Kategoria narodu, zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej (2010), wdziera się w każdą sferę życia społecznego[6]. „»Narodowieją«, pisze Górny, instytucje, programy nauczania, przemówienia decydentów i przestrzeń publiczna". Trwoga ogarnia na myśl, że diagnoza Łuczewskiego o takim właśnie ostatecznym ukształtowaniu narodu polskiego jest trafna.

Pojęcie narodu definiowane jest zazwyczaj poprzez odwołanie się do dwóch wyznaczników: etnicznego i republikańskiego. Naród etniczny to naród w ścisłym, odnoszącym się do narodzin, sensie; byt obejmujący cechę stanowiącą jego esencję – krew. Za nią idą takie cechy, jak język, historia, religia. Nieodległe są w tym wypadku takie pojęcia, jak plemię („Polskie wydało go plemię" – to o Koperniku) i szczep („Królewski szczep piastowy" - *Rota*). Jest całością homogeniczną (Bayer Full: „Bo wszyscy Polacy to jedna rodzina…"). Pojęcie narodu ma sens normatywny: Polak to Polak „prawdziwy", „dobry" definiowany przez poglądy, wyznanie, moralność. Zatem nie przynależą doń Żydzi („polscy Żydzi", nie: „Polacy"). Ratowali Żydów Polacy, emanacja narodu. Szkodzili im miejscowi degeneraci. Szczególnie po rozbiorach spoiwem narodowym stały się trauma, cierpienie, krzywda. Pozostało tak do dnia dzisiejszego, o czym pisze prof. Wojciech J. Burszta: „Tożsamość polską władza chce zbudować na cierpieniu[7]. Czyli na okresach, gdy nie ma Polski, a fizyczny byt Polaków jest co najmniej zagrożony. Nie liczy się Konstytucja 3 Maja, wykwit obywatelskiej koncepcji Polaka. Nie liczy się Polska Jagiellonów. Liczą się zabory, bo cierpimy, biją nas, katują, choć […] nawet wówczas →

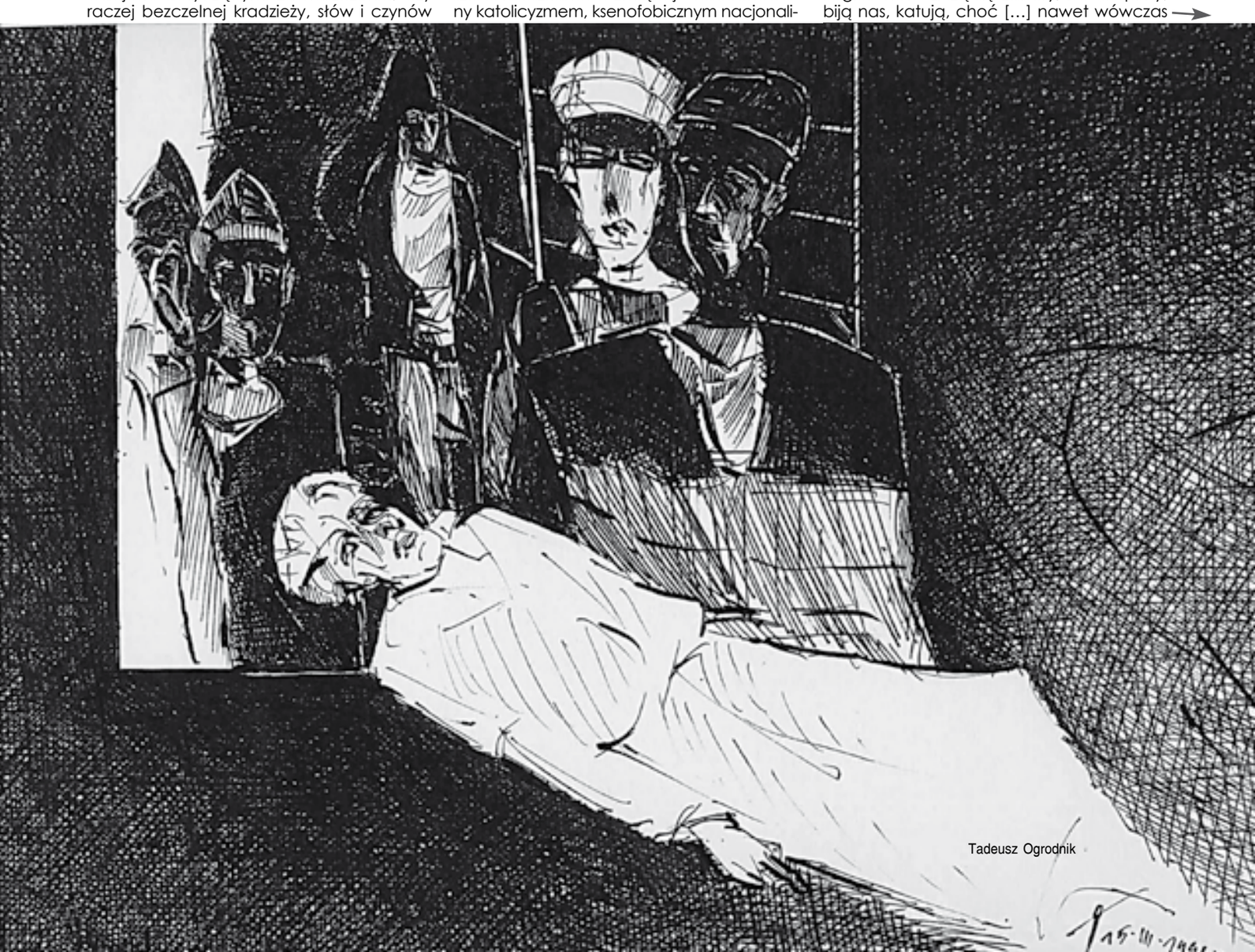

Polacy podążali za tym, co działo się na zachodzie Europy, oraz odwoływali się do własnego dorobku epok, w których od etniczności ważniejsze było obywatelstwo". W 2016 roku schorowana prof. Maria Janion pisze w liście do Kongresu kultury: „Jakże niewydolny i szkodliwy jest dominujący w Polsce wzorzec martyrologiczny! Powiem wprost – mesjanizm, a już zwłaszcza państwowo-klerykalna jego wersja, jest przekleństwem, zgubą dla Polski. Szczerze nienawidzę naszego mesjanizmu".

Naród pojmowany na wzór republikański bliższy jest kategorii społecznej: to pluralistyczna, respektująca prawo wspólnota („społem") obywateli tworzących państwo[8]. Polakiem jest każdy obywatel RP, o czym mówi Konstytucja: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej". Obywatelskość oznacza postawę zaangażowaną, troszcząca się o dobro wspólne (res publica). Wspólnota jest społeczeństwem zdolnym do samoorganizacji i stanowienia celów niezależnie od władzy państwowej. Wspólnotę etniczną symbolizuje Polska Piastów[9], zaś republikańską – Polska Jagiellonów.

Skoro ostatecznie ukształtowany naród polski definiowany jest przez katolicyzm, może winien wziąć pod uwagę poniższe słowa papieża Jana Pawła II: „Przez wieki swojej tysiącletniej historii Polska była państwem wielu narodów i wielu wyznań chrześcijańskich I nie tylko chrześcijańskich. Tradycja ta sprawiła i chyba nadal sprawia, że właściwa umysłowości Polaków jest raczej tolerancja i otwartość na ludzi inaczej myślących, mówiących innymi językami czy też inaczej modlących się, inaczej sprawujących te same tajemnice wiary" (*Przekroczyć próg nadziei*). A bardziej jeszcze te: „Pamiętam, iż co najmniej jedna trzecia moich kolegów w szkole powszechnej w Wadowicach to byli Żydzi. […] A to, co u niektórych z nich mnie uderzało, to był ich polski patriotyzm. A więc polskość to w gruncie rzeczy wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie. Wydaje się jednak, że ten `jagielloński` wymiar polskości, o którym wspomniałem, przestał być, niestety, w naszych czasach czymś oczywistym" (*Pamięć i tożsamość*). Tym tropem idzie Tomasz Terlikowski, który na pytanie o aksjologiczny fundament polskiego konserwatyzmu odpowiada: „wieloetniczna, wieloreligijna, republikańska I Rzeczpospolita, a może nawet Polska jagiellońska".

Bardziej dobitnie wypowiadał się Zbigniew Herbert. „Mam to w rodzinie: nie mam w ogóle Polaków, tylko Anglików, Austriaków, Niemców, Niemców najmniej na szczęście, babcia z Armenii. I to wszystko było absolutnie normalne. I mam mówić do narodu, który jest w stu procentach czysty! Stuprocentowy Polak jest stuprocentowym idiotą. (*Moje prawa grawitacji są Newtonowskie*, „Tygodnik Powszechny" nr 44,2008). „Dla mnie Polska bez Żydów, bez Ukraińców, bez Ormian (...) – przestała być Polską. Ten ideał jednonarodowego państwa jest ideałem faszystowskim, co tu dużo gadać. I to jest zbrodnia, bo kulturze polskiej wielonarodowość dawała kolosalne szanse". (w: Jacek Trznadel, *Hańba domowa*).

Uwolnić się

Rozumiem Leszka Szarugę, który coraz częściej myśli o tym, by „[…] w rubryce »narodowość« – jak choćby w wypadku spisu ludności – wpisać »nie dotyczy«". Wcześniej podobnym odczuciom dał wyraz Cezary Wodziński, zapisując w swym *Dzienniku* (30 tomów, ok. 6 000 zapisanych ręcznie stron) 18 kwietnia 2010 roku: „To nie jest moja Polska – ta, którą widzę i słyszę od tygodnia. […] Kolejny spektakl ideologii, która otępia i zaczadza. Upiory pod Wawelem. Narodowa maskarada. Bezmyślna gęba prawdziwego Polaka. Zakompleksionego mitomana. Histerycznego frustrata i nekrofila". Daleko tu choćby do przyprawionej szczyptą cynizmu angielskiej sentencji: „right or wrong, my country" – nie ma bowiem żadnego „wrong". Szaruga przytacza słowa Jacka Kaczmarskiego (z *Liryków o narodach*): „Narody, narody, po diabła narody/ stojące na drodze do szczęścia i zgody?". Ja przytoczę Simone Weil: „Naród nie ma duszy. To wielkie zwierzę". Przejmująco brzmią słowa Aleksandra Wata, w których narodowościowa duma łączy się z rozpaczą. „Nigdy nie czułem się Polako-Żydem czy Żydo-Polakiem. Nie znosiłem metysów. Zawsze czułem się i Żydem-Żydem, i Polakiem-Polakiem (jakby się powiedziało po francusku). Jednocześnie trudne do wytłumaczenia, ale prawdziwe. Zawsze byłem dumny (o ile wolno w ogóle być dumnym z przynależności do tej czy innej grupy ludzkiej), że jestem Polakiem, że jestem Żydem. A także zrozpaczony: że jestem Polakiem, że jestem Żydem. Fura nieszczęść".

Podczas gdańskiej manifestacji na jednym z transparentów przeczytałem: „Jaruś ty karakanie przez ciebie boję się Polski". Może łatwiej niż narodowości byłoby wyrzec się państwowości? „Wyobraź sobie, że nie istnieją państwa/ To nie jest takie trudne/ Nie ma po co zabijać ani za co umierać", śpiewał John Lennon *(Imagine)*. Oto kilka znamiennych opinii. Krótka i dobitna Emila Ciorana: „Człowiek, który się szanuje, nie ma ojczyzny. Ojczyzna to lep". Witold Gombrowicz, jego walka z ojczyźnianą gębą i szukanie własnej formy. Zapisuje w *Dzienniku*: „[…] wobec Polski Polak nie umie się zachować, ona go peszy i manieruje – onieśmiela go w tym stopniu, że nic nie »wychodzi« mu właściwie i wprawia go w stan kurczowy – zanadto chce Jej pomóc, zanadto chce Ją wywyższyć". We *Wspomnieniach polskich* mówił o swym *Trans-Atlantyku*, że bronił tam Polaków przed Polską, próbował wyzwolić ich z Polski. Chciał „[…] reagować na świat nie jako Polak, członek partii, wyznawca tej czy innej ideologii, obrońca tych czy innych ideałów lub interesów, ale tylko i jedynie jako człowiek, zgodnie z moją prawdziwą, najgłębszą, najbardziej zasadniczą naturą. […] nie mogę, na przykład, hodować w sobie sztucznych uczuć, wiar, zapałów dlatego, że one dogadzają interesom narodu, partii, grupy. Naród więc nie powinien stać się instrumentem fałszu, sztucznego oślepiania się – dość już tych ślepych koni w naszym kieracie" (*Gęba i twarz*). Andrzej Bobkowski pisał o Polsce, która „usiadła na mózgach i ogłupia": „Nie potrafiłem i nie potrafię zatumanić się narodowo. Bardzo być może, że nacjonalizmu nie znoszę jeszcze bardziej niż komunizmu, i gdybym był bardzo bogaty, to ufundowałbym na jakimś naszym uniwersytecie katedrę kosmopolityzmu i przytomności" (*Szkic piórkiem* 26.XII.1942). A w liście do Jerzego Giedroycia: „Jestem Polakiem, nigdy nie przestanę nim być, ale te wszystkie ojczyzny, więzy nierozerwania, łkania i patryjotyczne rzępolenia to nie dla mnie". I jeszcze najwybitniejszy gdańszczanin, Artur Schopenhauer (*W poszukiwaniu mądrości życia*): „Najmniej wartościowym rodzajem dumy jest duma narodowa. Kto bowiem się nią odznacza, ten zdradza brak cech indywidualnych, z których mógłby być dumny, bo w przeciwnym wypadku nie odwoływałby się do czegoś, co podziela z tyloma milionami ludzi. Kto ma wybitne zalety osobiste, ten raczej dostrzeże braki własnego narodu, ponieważ ma je nieustannie przed oczyma. Każdy jednak żałosny dureń, który nie posiada nic na świecie, z czego mógłby być dumny, chwyta się ostatniej deski ratunku, jaką jest duma z przynależności do danego akurat narodu; ożywa wtedy i z wdzięczności gotów jest bronić rękami i nogami wszystkich wad i głupstw, jakie naród ten cechują". Można przytoczyć wiele podobnych opinii – Erazma z Rotterdamu, Stefana Zweiga i innych[10].

Joanna Zach, tłumaczka, przytacza w „Kwartalniku Artystycznym" (stamtąd też wziąłem zdania Leszka Szarugi) list, jaki estońsko-polsko-żydowski poeta, Jaan Kaplinski, napisał do polskich czytelników i pisarzy w związku z osiemdziesiątą rocznicą swych urodzin. Oto końcowe fragmenty tego listu: „Zarówno w Estonii, jak i w Polsce, nie podoba mi się to, że często przynależność narodowa i państwowa przesłania człowieczeństwo, jakby była od niego ważniejsza. […] Jerzyki – prawdziwe ptaki niebieskie, by posłużyć się biblijnym wyrażeniem – mogą żyć w niebie miesiącami nie opuszczając się na drzewa czy dachy. Mieszkają ponad nami, ponad naszymi granicami, państwami, narodami i narodowościami. […] często wymiar wertykalny, wysokość, jest ważniejszy od wymiaru horyzontalnego, ważniejszy od naszych definicji, granic, podziałów i naszej walki o nie".

Semiotyk kultury, Marcin Napiórkowski, odróżniał turbopatriotyzm (taki tytuł nosi jego książka) od softpatriotyzmu. Łacińskie „turbo" mówi o burzeniu, wprawianiu w zamieszanie; to wichura, trąba powietrzna, ruch wirowy. Turbopatriotyzm, jak określa go Napiórkowski, wydaje się zdystansowany od powyższych znaczeń. To przywiązanie do tradycji, duma z tego co polskie, lęk przed wrogiem (obsesja niepodległości), przed rozkładem moralnym. Złudne to jednak wrażenie, jeśli uznać za autorem, że wyrazem turbopatriotyzmu jest np. agresywny Marsz Niepodległości; także patriotyczne koszulki, apologia Żołnierzy Wyklętych itp. Z kolei softpatriotyzm (ang. soft – miękki, łagodny, przyjemny) pozbawiony jest owych turbulentnych cech poprzednika. To szacunek do rządów prawa, przyszłościowa perspektywa czasowa, radosne celebracje rocznic. Łagodny patriotyzm znajduje wyraz w głosowaniu w wyborach, szanowaniu Konstytucji, sprzątaniu kupy po psie, dbaniu o czystość wokół miejsca zamieszkania, aktywności w środowisku lokalnym itp. Jest reakcją liberalnych elit na patriotyzm tradycyjny, bliski nacjonalizmowi. Zaś reakcją na softpatriotyzm jest właśnie turbopatriotyzm, nacjonalistyczny i wrogi Zachodowi; trudno wyrwać się z tego zapętlenia. Tym trudniej, że turbopatrioci są coraz bliżsi turbosłowianom, głoszącym swoją niezakłamaną przez Żydów i chrześcijan historię Lechitów jako pradawnej rasy panów.

Cyniczne zawłaszczanie patriotycznych kategorii, o jakim wspomniałem wcześniej, ma charakter w jakimś stopniu powszechny. Ponad dwa wieki temu brytyjski leksykograf Samuel Johnson wyraża pozbawiony złudzeń pogląd: „Patriotism is the last refuge of a scoundrel" (Patriotyzm to ostatnia deska ratunku łajdaka). Ponad sto lat później coś podobnego konstatuje Oskar Wilde: „Patriotism is the virtue of the vicious" (Patriotyzm to cnota nienawistników). Patriotyczni nacjonaliści, zauważa Timothy Snyder, „[…] przeskakują etap myślenia o wartościach i przejmują wartości ukształtowane przez innych. […] skoro wszyscy stoją na baczność, nikt nie pyta dlaczego". Nicola Chiaromonte pisze w swych *Notatkach* o zachowanym w pamięci doświadczeniu faszyzmu: „[…] wyczuwało się wtedy, że zjawiskiem rozstrzygającym jest bierność przeważającej większości ludzi, których w niewolnictwo wtrąciły

w większej mierze »wzniosłe« słowa (Ojczyzna, Naród, Państwo, Wielkość, Siła etc.), niż strach przed uwięzieniem. […] Słowa te potrafią skutecznie zagłuszyć samowiedzę moralną, obudzić podziw dla występku. Popełniając zło, złoczyńca zdaje sobie z niego sprawę i rozumie, że jest złoczyńcą, ale nie może uwolnić się od fascynacji tym, co właśnie sam popełnił, a wobec tego musi dalej popełniać zło, utrzymując, że to jest dobro, więcej, że zło jest tożsame z dobrem, że dobro nie istnieje, istnieje natomiast namiętność albo Rasa, albo Naród, albo Państwo, albo Wyższe Racje". Hermann Hesse, który wielokrotnie podkreślał pierwszeństwo człowieczeństwa przed patriotyzmem, przytacza słowa wybitnego niemieckiego poety: „Goethe powiedział kiedyś do Eckermenna: »Na najniższym stopniu kultury znajduje pan zawsze najhałaśliwszą i najgwałtowniejszą nienawiść do innych nacji«".

Zamiast zakończenia

W grudniowym „Tygodniku Powszechnym" (2021) Ryszard Krynicki, z którym rozmawia Wojciech Bonowicz, mówi że nie napisał i chyba już nie napisze wiersza o Walerianie Łukasińskim, jednej „z najważniejszych postaci w polskiej historii". Pytany, dlaczego tak sądzi, odpowiada: „Głównie ze względu na daremną ofiarę, którą złożył dla tego potwora, jakim jest Polska. To w jego historii jest dla mnie najbardziej wstrząsające: że powstańcy listopadowi o nim zapomnieli, nie próbowali go uwolnić. A przecież mogli to zrobić. Ta daremna ofiara to jest coś, o czym nie mogę przestać myśleć".

W więzieniu w Szlisselburgu spędził 46 lat, tam umarł.

Andrzej C. Leszczyński

---

1 Anaksagoras pytany, czy nie obchodzi go ojczyzna, odpowiedział: „Jakżeby? Bardzo mnie obchodzi moja ojczyzna!" – i wskazał niebo. Człowiekowi skarżącemu się, że umiera na obczyźnie, powiedział: „Zewsząd jednaka jest droga do Hadesu". Przytaczam za: Diogenes Laertios, Żywoty i poglądy słynnych filozofów, 1982.

2 Μάρτυρος, μάρτυς: świadek, męczennik - przyp. acl.

3 Bliskie to takiemu sposobowi pojmowania pornografii, jaki wyraziłem w jednym z fragmentów zamieszczonych w książce Dziecko człowieka. Szkice afiniczne. Tradycyjnemu odwoływaniu się do „opisania nierządnicy" - πορνογραφία, czyli πόρνη (nierządnica) i γράφω (opisywanie) - przeciwstawiłem opisywanie, które samo w sobie jest nierządne: nie ontologia i rzeczownik (nierządnica), ale semantyka i przymiotnik (nierządny język).

4 Henryk Elzenberg (Kłopot z istnieniem): „Źle z tymi narodami! Pcha mi się w oczy niemiłosiernie to wszelkie zło, które jednak się rodzi z uczucia narodowego. Niesprawiedliwość, gwałt nad słabszym: większość narodów uprawia to i pochwala" (zapis z sierpnia 1936 roku).

5 „Nemo enim patriam quia magna est amat, sed quia sua". Dla Wiesława Myśliwskiego własna jest ojczyzna „pierwsza": „Toteż wszystko, co piszę, dzieje się w wielkim świecie mojej małej wsi".

6 Białoruski poeta Siarhiej Pryłucki zaczyna swój wiersz Fiszka nr 1 słowami: „nawet oblizując widelec,/ pamiętaj, że jesteś cząstką narodu". Już po napaści na Ukrainę Władimir Putin w odezwie do władz regionów mówił o koniecznym samooczyszczeniu się rosyjskiego społeczeństwa ze zdrajców narodu.

7 Zdaniem Agaty Bielik-Robson podobny język buduje dominującą dziś w Polsce wykładnię feministyczną, dzielącą świat społeczny na ofiary (kobiety) i oprawców (mężczyźni) – przyp. acl.

8 Obywatel, gr. πολίτης - mieszkaniec państwa-miasta.

9 Polska, pisze Maria Konopnicka (Ojczyzna moja), to „[…] wioski i miasta,/ wśród pól lechickich sadzone od Piasta".

10 Piszę te słowa 26 lutego 2022 roku, trzeciego dnia napaści Putina na Ukrainę. Przyznam, że nie jest mi łatwo przytaczać kosmopolityczne wywody słysząc o bohaterstwie obrońców ukraińskiej ojczyzny. O trzynastu pogranicznikach z niewielkiej Wyspy Węży, którzy na żądnie krążownika rakietowego by się poddali, wysłali oficjalny komunikat: „Rosyjski okręcie wojenny, pierdol się!" (w języku rosyjskim brzmiało to bardziej dosadnie: русский военный корабль, идинахуй).

Tadeusz Ogrodnik

POWIEŚCI

Paweł Baranowski

Kondycja poezji w Trójmieście

Miałem napisać rozprawkę o kondycji poezji w Trójmieście, na Pomorzu. Tak, pomyślałem. Jednak po namyśle doszedłem do wniosku, że napiszę nie o tym co w „ulu brzęczy" i jaki miód jest z tej pasieki ale o innym aspekcie. Jako absolwent m.in. technikum elektrycznego – najbardziej artystycznej szkoły jaką miałem okazję ukończyć, gdzie artyzm dotyczy przedmiotu nauki, prądu, którego nie widać, a dotknięcie tegoż grozi uszczerbkiem na zdrowiu lub życiu – pomyślałem, że napiszę o energii poetyckiej jaka objawiła się w ostatnich dwóch dekadach.

Tradycyjna odsłona poezji ma jak wiemy rozmaite postacie, dziedziczone z pokolenia na pokolenie poetyckie i redaktorskie: drukowaną, radiową, autorską, festiwalową, konkursową. W latach 90-tych ub. wieku doszła odsłona internetowa, którą już możemy uznać również za konwencjonalną. Hitem jednak początku obecnego tysiąclecia okazała się nowa odsłona jaką jest slam poetycki. Dla ścisłości, biorąc pod uwagę formę i zawartość slamu jest to konkurs poetycki i tekściarski. Formuła posiada szerokie ramy prezentacji od deklamacji przez rekwizyty po improwizacje. O wyniku decyduje nie szacowne grono jury, a szacowne grono publiczności. Czasem poezja jest górą, czasem forma prezentacji, a czasem obie składowe naraz. Niemniej wynik igrzysk i wyrok ludu jest niejednokrotnie nie do przewidzenia. Pocieszające jest to, iż Internet nie zastąpił spotkań na żywo, jak i e-booki nie zastąpiły drukowanych stron i książek.

Dość już jednak ,,inwentaryzacji". Czas wrócić do zagadnienia energii. Wobec kontrastu lat 70/80/90 ub. wieku i późniejszych przesyconych forami internetowymi, obawy o zamknięcie bibliotek, domów kultury jako sceny poetyckiej na rzecz spotkań wirtualnych okazały się na szczęście płonne. Mógłbym nawet odważyć się na twierdzenie, że fora internetowe nie przetrwały próby czasu i jakości. Jednak żywe słowo, żywy autor, słuchacz, czytelnik okazuje się nie do podrobienia. Niemniej poetyckie platformy internetowe są cennym uzupełnieniem, alternatywą, narzędziem promocji i relacji, a nawet przeniesienia spotkań na żywo w świat wirtualny. Ukonstytuowała się zatem symbioza obu nurtów.

Ale co z tą energią? Iskrą, przebiciem, napięciem, natężeniem i oporem; indukcją i transformacją. Sama poezja metaforycznie odnalazłaby się w słownictwie pojęć fizycznych – elektrycznych oraz elektronicznych (to te o niższych napięciach) – ale to wątek na inną okazję. Okazuje się, że poza rozmaitymi odsłonami poezji, fuzji z innymi formami ich puls, tętno jest dość wysokie. Po roku 2000, poezja coraz śmielej wkroczyła do miejsc innych niż otoczenie regałów z książkami, do kawiarni i pubów. Z biegiem czasu powstają aktywne i liczne - co cieszy - inicjatywy, bowiem upłynęło trochę bajtów na wyjście z grot i jaskiń Internetu i aktywizację w świecie materialnym. Poza ostojami miejsc spotkań, imprez poetyckich, które trwały w Trójmieście – nieliczne przetrwały – dołączył wysyp nowych form i miejsc wydarzeń. Poza dawnymi scenami np. wielu bibliotek, domów kultury, muzeów czy mającego bogatą tradycję Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, które zanikły - choć szczęśliwie kilka doświadcza renesansu - twardy fundament zachowała Przystań Poetycka „Strych", Biblioteka na Mariackiej, która zdaje się przekazała ducha bibliotece „Pod Żółwiem" na Świętego Ducha - obecne mamy liczne nowe inicjatywy poetyckie. I tak z najnowszych, można by wymienić: inicjatywy w „Sztukowirówka WL4 Mleczny Piotr/LiterAkcje, Stowarzyszenie", „Slam Bez Kasy", Slam GAK Plama, Internetowe Pogotowie Warsztatowe, wydarzenia w Galerii „Warzywniak" i Oliwski Ratusz Kultury, Festiwal „Wielorzecze"w Elblągu, przez starsze jak Gdynia Slam, Slamy w pubach organizowane przez środowisko studentów i absolwentów UG (aktualnie „Sztukowirówka), IKM w Gdańsku, Festiwal Fala Poprzeczna, Galeria „Łaźnia", scena „Blizy", kilka odsłon Grupy Poetyckiej „WARS", odsłony Wydawnictwa „Tysiąclecia", wytrwałe wydarzenia skupione wokół pisma „TOPOS" w Dworku Sierakowskich, inicjatywy w Młodym Byronie, inicjatywy Klubu Pisarzy w Gdańsku Oliwie, przez oprawy promocji pisma „BLIZA" aż po pierwsze nieśmiałe próby slamów nawet w gdyńskim Uchu. Pionierem wprowadzenia poezji w stały rozkład jazdy życia kawiarnianego była Przystań Poetyka „Stych". Do niedawna ciągłość miał najstarszy Konkurs o „Czerwoną Różę" w GTPS, a kiedyś w Gdyni, Jerzy Stachura samotnie raz po raz walczył z wiatrakami nawet w gdyńskich Klubach Żeglarskich… Nawet warto odnotować *scenę Gdyńskiego Centrum Kultury - „Stocznia Kultury"*, która przez 9 miesięcy działała w pierwszej dekadzie obecnego tysiąclecia, w budynku przy dawnej lokalizacji Stoczni „NAUTA", scenę BLIZY. Zapewne były jeszcze inne wcześniejsze odsłony jak Grupa Poetycka „Wrzesień", Inicjatywa Poetyka „Almanach" – w galeriach, salkach klubów sportowych, schronach szkół czy salach gimnastycznych, ale to już odległe lata 90-te ub. wieku, Bywały onegdaj również zrywy – akcje „Przesów", Grupa Wrzeszcz, Kolonia Artystów, Teatr ZNAK z poetami w dawnej willi Dyrekcji Stoczni Cesarskiej, Performance Barbary Piórkowskiej,, scena ŻAK, akcje Stowarzyszenia „SCRIPTUS" itp… Nie zapominajmy jeszcze o kolebce TOTART-u grupy „Zlali mi się do środka"… czy o gdańskiej grupie poetyckiej ATUT z lat 80-ych ub.wieku.

Jednym z ostatnich rejestrów tych aktywności było magisterskie opracowanie sporządzone ręką Anety Kozłowskiej. I to chyba ostatnie takie opracowanie odzwierciedlające środowiska trójmiasta. Wcześniej rejestrem takich zjawisk zajmował się Andrzej Waśkiewicz, później wyrywkowo Artur Nowaczewski, chyba, że aktualnie opracowuje coś nowego. Jednak ostatnie dwie dekady czekają na swój dalszy rejestr i odzianie.

Na „osobną" można by rzec kategorię, zasługują wydarzenia i inicjatywy skupione wokół współczesnych nagród literackich – w Gdyni, z „Miastem Słowa" włącznie, w Sopocie, Gdańsku. Obecnie, nowe inicjatywy materializują się śmiało na scenach kawiarni, pubów, scenach GAK, teatrów, gdyńskiej filmówki czy dźwigów i gdańskich terenów postoczniowych. Bywały domy prywatne, i inne gdzie być może nie dotarłem, ale formuła i scena poetyka poddana jest owocnej i szerokiej ewolucji. Ba, dodać można inicjatywy „open mic" towarzyszące różnym wydarzeniom jak podczas promocji pisma internetowego „Strona Czynna" czy nawet autorskim wystawom plastycznym jak ostatnio np. Natalii Żuk ze Stowarzyszenia „Sztukowirówka". Bywały i pojedyncze inicjatywy slamowe, które z racji swej jednorazowości trudno zarejestrować jako 'scenę'. Choć ma to swój urok i festynową, ludyczną atmosferę. Odzwierciedla to fakt i zjawisko, że energia poetycka, niczym jądrowa, raz uruchomiona, eksploduje, promieniuje, docierając do miejsc, które kiedyś nie kojarzy się z tą formą animacji i prezentacji. Niejako nieokiełznana, przekracza granice swojej obecności, penetracji wnikając w naturę miejskiej tkanki kulturalnej, stając się nie tyle, co najistotniejszym akcentem imprez ale choćby nawet istotnym dodatkiem, który został zauważony przez animatorów i miejsca dotąd nie kojarzące się poezją. Owszem, ostatni czas pandemii uruchomił aktywizację w Internecie spotkań i formuł slamów jednak, jak tylko otwarto plaże, lasy, gastronomię, działalność szybko z sieci powróciła do „Realu". O właśnie, bywały i przed i w „przerwach" pandemii slamy nawet na plaży…

Zjawiska te to bardzo zaangażowana i niezależna formuła promocji poezji i integracji środowiska, pokoleń w tymże. Ba, „Sztukowirówka" zorganizowała pierwszy slam w strukturze zachowującej konkurs poetycki i slamowy, czyli z udziałem jury i werdyktu publiczności. Jak pamiętam, idea była omawiana na spotkaniu w Przystani Poetyckiej „Strych" jako „Slamkon" lub „Konslam", ale to oni podjęli wyzwanie, opracowali algorytm na przeprowadzenie tak ciekawej „hybrydy".

Można skonstatować, że zainteresowanie młodych twórców, twórczyń znalazło upodobanie w rywalizacji, afirmacji, dobrej zabawie. Może przypomina to grę komputerową, gdzie nawet po przegranej można zdobyć nowe życie, wcielenie i próbować jeszcze raz… Jednak nie jest to oderwane od prawdziwego stawiania pierwszych kroków, debiutu, tremy, rozwijania warsztatu, dyskusji o tekstach, wierszach, poezji no i równolegle integracji. Slam w swej formule skupia nie tyle na rywalizacji co na wspólnej zabawie i biesiadzie, ale także literackiej dyskusji i polemice, nawet już na scenie podczas występów i improwizacji. Slamer/ka, poza wyborem tekstu, niejako musi wczuć się w atmosferę i nastrój, zdobyć uwagę publiczności i wypaść, wypaść.. Właśnie co to znaczy wypaść. Nie tyle co „najlepiej", ale podczas występu wypaść z siebie, sobie dotąd znanemu/znanej czy zaprogramowanemu/zaprogramowanej. Poza prowadzeniem tekstu, wiersza, osoba występująca na bieżąco 'pisze' swoją prezentację, konstruuje ją, ubogaca metaforą przekazu, narracji, nawet gry. Gra jednak jest udana gdy wypada autentycznie, wpada celnie w rejestr publiczności, czyniąc zjawisko „władzy" w slamie zmienną; czy rzeczywiście władzę nad „gladiatorami słowa" ma publiczność lub jednak slamer/ka…

Obecnie, integracja, fuzja wydarzeń żywych i ich cień w Internecie dają możliwość śledzenia, odtwarzania po wielokroć, bez konieczności osobistego uczestnictwa, np. gdy jest to losowo niemożliwe. To znaczący wyróżnik i przewaga wieku XXI nad wiekiem XX. Na szerszą interpretację znaczenia tego zjawiska jest chyba jeszcze przedwcześnie. Niemniej dawniej nie było wirtualnego przenoszenia się w czasie. Co jest lepsze? Przekazywać i odbierać energię poprzez styki lub również jako skondensowaną do późniejszego rozładunku, to więcej opcji do podłączenia się w obwód i obieg energii poetyckiej. Mamy szersze możliwości. Możemy być aktywni w animacji i/lub uczestnictwie w przepływie energii. Mierzmy ją, przewodźmy, transformujmy, indukujmy.

Do zobaczenia w obiegu i obwodzie!

Paweł Baranowski

Paweł Baranowski

Dyskoteka w „Parkowej" {Gdańsk Jelitkowo)

w parku na placu przed restauracją dyskoteka
młodzi podrygują energicznie, starsze pary
nie spieszą się do nocy, gdy nic nie będzie
widać, ucichnie muzyka
wszystko las zarośnie

Szkic

narysuj to co chcesz powiedzieć
na papierze powiedź kreską
wzrok zamień w słuch
szkicem wypowiedz kontury planów
odczytam, usłyszę nawet, gdyby był
to tylko szept czarno – biały

Stocznia Gdańska (2013)

od wschodu stocznia spocona
pod buldożerami znikają postulaty
na zawsze strajkujące napisy
z drugiej strony stało ZOMO
teraz mur zdobyty bez walki
nowa droga dzieli na dwoje
po lewej pracująca, po prawej
muzeum klasy solidarnej,
echa z hal rozmontowane
na plac koncertowy,
pokazy fajerwerków
zamiast iskier spawaczy,
stoczniowcy na pochylni
zamiast statków,
wbite w ciszę dźwigów haki,
straż przemysłowa
trzyma honorową wartę
nad opustoszałymi dokami
stalowe żurawie
stoją na jednej nodze
nie wiedząc w którą
odlecieć stronę
przed zachodem

Stocznia Gdańska (2)

Młode Miasto* tłumi dźwięki ze stali
szum pracy rozszedł się po kościach
jak ból po uderzeniu milicyjnej pałki
reduty strajku w gruzach
wywiezione daleko za bramę
tysiąc taczek dla rezydencji dyrektora stoczni cesarskiej
stoczniowcy na rowerach odjechali donikąd
narzędzia i klucze w zaklętej narzędziowni
żurawie nabrzeżowe odleciały z gniazd
spłoszone jazgotem
dawne warsztaty pracy
wieżowce porastają i plany inwestorów

kiedyś porozumienia dziś przetargi
wytyczają „Drogę do Wolności"**

** nowa dzielnica Gdańska na terenach po-stoczniowych*
*** planowana promenada w Młodym Mieście*

Negocjator

Współcześnie podejmuje negocjacje
o rozbrojenie bomb
odjęcie palca od spustu i zawleczki
dawniej chodziło o schowanie miecza
odjęcie strzały od łuku,
dziś nakłania do rozminowania
budynków i ciał, uwalnia zakładników,
nic nie pokona Jego cierpliwości
nie wyczerpie amunicji przebaczenia
i zaprawdę
potrafi nawet sprawiać cuda
stąpa po minach jak po wodzie
rozlaną krew przemienia w wino
słucha żądań i milczy
negocjuje do końca
chcąc byś przyjął tylko jeden warunek,
zanim śmiertelnie zaskoczy cię akcja
oddziałów antyterrorystycznych

gdy zadzwoni, nie odkładaj słuchawki

27.05.2021
Pita

PROZA

Józef Franciszek Wójcik

Fragment książki „Argentyna"

„Tango Argentina jest tym w Buenos, co karnawał w Rio de Janeiro":

Przed okazałym budynkiem z wielką nazwą **Tango Argentina** było już tłoczno. Mimo że słońce ledwo co skryło się za sąsiednimi budynkami, działały iluminacje świetlne. Mężowie moich amerykańskich sąsiadek pojawili się elegancko ubrani i „pod muchami". Dużo par wchodziło też w eleganckich kreacjach. Znaczna część była jednak ubrana tak jak ja – turystycznie i po sportowemu.

Do wejścia, gdzie sprawdzano dokumenty rezerwacyjne listy gości podeszliśmy całą naszą grupką. Amerykanom obecność odhaczyli, Szwajcarom też, a mnie zatrzymali. Na liście byłem, ale wpłaty w papierach nie mieli odnotowanej i zażądali, bym zapłacił sto kilkadziesiąt dolarów.

- Ja tę sumę zapłaciłem w hotelu – odparłem.

- Nie jest zapłacone i albo pan płaci, albo nie wejdzie.

Moi znajomi przysłuchiwali się rozmowie i przez chwilę na mnie czekali. Widząc ich miny zwątpienia poczułem się upokorzony i wściekły. Zażądałem, by natychmiast zadzwonili do hotelu. Chcąc nie chcąc powstała afera. Do „bramkarzy" podszedł jakiś facet z kierownictwa. Wyjaśniłem mu sytuację i powiedziałem, że to dla mnie upokorzenie i obelga, bo moje międzynarodowe towarzystwo weźmie mnie za krętacza i człowieka, któremu nie można ufać.

Po telefonie do hotelu zostało potwierdzone, że taką sumę zapłaciłem.

- I'm very sorry if Tango Argentina upset you ...(bardzo przepraszam, że Tango Argentina pana upokorzyło).

Należę do niepokornych ludzi, więc te urzędowe przeprosiny mi nie wystarczyły.

- Ale co pomyślą o mnie Amerykanie i Szwajcarzy, z którymi przyjechałem?

- Nadrobimy to i przeprosimy – padła odpowiedź. Zostały odnotowane moje dane, które podałem w mix języku: Jozef Franczesko Wojcik, Polaco.

Przywołana stewardesa zaprowadziła mnie do towarzystwa, z którym tu przyjechałem. Opowiedziałem im o tej pomyłce i w zasadzie nadal wszystko było w porządku. Siedziałem z Amerykanami przy dużym stole na sześć osób, a obok przy mniejszym byli Szwajcarzy.

Na ogromnej sali zastawione stoły, wino, muzyka i pierwsze występy. Profesjonalni tancerze prezentowali argentyńskie tango, śpiewali soliści i grali wirtuozi na narodowych instrumentach. Po prostu muzyka, taniec i śpiew przy suto zastawionych stołach. Po prezentacji profesjonalistów za chwilę miał się odbyć krótki kurs nauki argentyńskiego tanga. Przez mikrofony na tej wielkiej sali padły słowa: „W przeproszeniu za nieporozumienie z biletem, na scenę zapraszamy: Jozef Franczesko Wojcik, Polaco" (cytat z pamięci).

Wstałem i pokazałem się, gdzie jestem. Tancerka zbiegła ze sceny i podeszła, by mnie tam ze sobą zabrać. Amerykanki aż otwarły buzie z wrażenia, co sfotografował Szwajcar. Szkoda, że te zdjęcia przepadły, gdy w Internecie padł fotoalbum eu, ale na szczęście kilka zdjęć jeszcze się zachowało.

Nie spodziewałem się tak oficjalnych przeprosin.

Przyznam, że gdy znalazłem się w reflektorach na dużej scenie, przed wielką międzynarodową publicznością, jako adept do nauki argentyńskiego tanga, to w pierwszej chwili zwątpiłem w słuszność tych przeprosin. Na szczęście tancerz „mojej partnerki" poprosił jakąś dziewczynę z sali, więc nie byłem sam do tego tanecznego eksperymentu.

I zaczęło się! Najpierw wyjaśnienie rytmu: - wolny, wolny, szybki, szybki, wolny, szybki, szybki, wolny. Na całość liczenia składają się trzy takty.

Profesjonalna para tancerzy w zwolnionym rytmie zademonstrowała kroki. Początkowo nie mogłem tego liczenia załapać, ale obserwując moją partnerkę starałem się dostosować. I chyba zaskoczyłem, bo dziewczyna kręciła ewolucje „to tu, to tam", a ja wcale nie deptałem jej po nogach, a wręcz odwrotnie. Tancerka kokietowała mnie swoimi wdziękami i umiejętnościami, a ja w ekspresji zauroczenia jakbym zastanawiał się, gdzie ją porwać. Nie dostrzegałem już dziesiątków oczu na wielkiej sali.

Prezentacja nauki się skończyła. Przy rzęsistych brawach tancerka odprowadziła mnie do stolika.

- Ja bym chyba posikała się z wrażenia przy takiej publiczności – pierwsze słowa przy stoliku usłyszałem od pyskatej Amerykanki – Ta dziewczyna z sali całkiem się pogubiła, a ty pokazałeś klasę naszego stolika.

- Jak to możliwe, że światła reflektorów i występ przed tak liczną publicznością potrafiłeś opanować? – zapytał mąż drugiej Amerykanki.

- Hmm – uśmiechnąłem się, bo rzeczywiście byłem bardzo zadowolony z tego, co się stało. – Jestem kapitanem marynarki handlowej. Teraz wracam do domu po trzech wyprawach na Antarktydę, gdzie jako staff captain na kanadyjskim statku pasażerskim w ekstremalne warunki wiele razy musiałem występować na różnych imprezach w observation lounge przed międzynarodową publicznością pasażerów. Czasem również tańczyć...

- Łał! – tak mogę przetłumaczyć to, co usłyszałem od Amerykanów i Szwajcarów, którzy już dostawili krzesła do naszego stołu.

Tak naprawdę to dopiero teraz zaczynały się główne występy w Tango Argentyna. Występowali soliści z przepięknymi głosami, wirtuozi gry na tradycyjnych instrumentach, a przede wszystkim były popisy grup tanecznych z różnymi wersjami tego narodowego tańca. Na scenie można było odczytać taneczne kłótnie małżonków i namiętne tańce kochanków, którzy szukali miejsca, gdzie by tu oddalić się w zapomnienie. Na sali co rusz odzywały się wielkie, wielkie brawa.

Suto zastawione na początku stoły nie wymagały, by jeszcze coś donosić do jedzenia. Kelnerska obsługa dbała jednak, by nie brakowało wina i przekąsek w myśl zasady - wino, taniec, muzyka i śpiew. Nasze towarzystwo z racji mojego występu było jakby pod specjalnym nadzorem. Jeden z naszych Amerykanów zachwycony sytuacją doszedł do wniosku, że tak wspaniały wieczór należy uczcić czymś mocniejszym i ekstra zamówił butelkę z najwyższej półki.

Gdy grubo po północy wracaliśmy busikiem do naszych hoteli, wszyscy mieli szampańskie nastroje i lekko w czubie.

Józef Franciszek Wójcik

Adam Majewski

Sześć tysięcy

1.

Spójrz w górę
jak wiatr rozgarnia miejski smog
rozprasza zawiesinę pyłów z portu
i pestycydy z pól na dalekich przedmieściach
rozpuszcza brudny oddech dróg i stęchliznę
zamkniętych przestrzeni
szklanych biurowców
odsłania betonowe ornamenty krajobrazu
zwyczajne domostwa współczesnych
niewolników i gladiatorów

Spójrz w niebo
jak wiatr odkrywa przed nami tajemnicę:
Gdańsk nie będzie nigdy Kapuą
nie narodzi się tutaj Spartakus
(przybył do miasta w latach siedemdziesiątych
protagonista spektaklu rewolucji
Wałęsa
ale nie narodził się tu ponownie jako wielki trybun
choć wydało go na świat w konwulsjach i bólu morze
matek
a uniosły ręce spracowanych w stoczniach ojców)

Za to wzdłuż głównej alei w Gdańsku
każdego dnia dokonuje się kaźń Greka Polikratesa
(nie nazwę jej wprost
śmiercią przez ukrzyżowanie
działo się to
ante Christum)
– drewno i gwoździe
tak skończyło sześć tysięcy buntowników
na drodze w kierunku Rzymu
aby ruszyć w świat na ustach milionów
(katów legionistów nikt
nie wspomina)

2.

Spójrz w górę
miliony kryształków lodu tworzą stado chmur
spędzanych przez gorliwego psa wiatru
do niewidzialnej zagrody
miliardy kropel deszczu
kwaśne łzy
powodują erozję elewacji i murów
jak zawsze latem jest powódź
źle wybudowane
złe miasto

Spójrz w niebo
wiatr jak czas
ślizga się po szklanym blacie teraźniejszości
zgarnia kurz
pył nieistnienia przedmiotów i miejsc
oczyszcza pole odwiecznej bitwy
bo hordy następnych niewolników czekają u bram
w samochodach w uniformach
w pełnej gotowości
za sześć tysięcy
(a rewolty są tylko w dawnych dziejach)

Wzdłuż głównej alei w Gdańsku
każdego dnia
toną w powodzi czasu samochody
w ludzkim pośpiechu gubią się chwile ważne
i najwłaściwsze
wszystkie drogi prowadzą do
amnezji
a może apatii?

Gra

Trzeba sprawdzić
by iść dalej

Droga wolna
jeśli nic nie ma

Adam Majewski – ur. 4 stycznia 1979 r. w Gdańsku. Wiersze, eseistykę i publicystykę ogłaszał m.in. w „Twórczości", „Odrze", „Migotaniach", „Czasie Kultury"., „.W dorobku ma kilka arkuszy poetyckich oraz tom „Wiersze" (wyd. Słowo/Obraz, Gdańsk 2002). Laureat licznych stypendiów literackich. Od kilkunastu lat prowadzi zajęcia na uczelniach. Obecnie zajmuje się pisaniem o sporcie wyczynowym i swoich podróżach po Syberii i Ałtaju. Uprawia kolarstwo przełajowe, a także pisuje artykuły z rowerowymi poradami dla portalu Trojmiasto.pl. Prowadzi spotkania i warsztaty podróżnicze. Członek Stowarzyszenia Autorów ZAiKS oraz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Gdańsku.

Monika Milewska

Wiersze z tomu „Królowa karnawału"
(SPP, Warszawa 2020)

EUROMAJDAN

Na moim parkiecie
ułożyłam kostkę
zamiast dywanu
ukraiński bruk
gdy wstaję rano
kostka rani stopy
bruk spływa krwią
sączącą się z radia
krew plami ekran
płynie kanałami
wciąż się wylewa
z mojego laptopa
wieczorem Fejsbóg
znów zarządził modły
siedzę więc sama
skulona od kul
na mojej kanapie
pośrodku Majdanu
i gryzę kolejne
chipsy
za poległych

KONFLIKT INTERESÓW

Kule były dwie
jedna rozdarła stanik arcyksiężnej Zofii
druga poplamiła kołnierzyk jej męża Ferdynanda
nic mi nie jest powiedział umierając
pierwszą śmiercią nowej wielkiej wojny
kule były dwie
zabiły piętnaście milionów ludzi
i ocaliły kilkaset tysięcy zwierząt
których nie zdążył zastrzelić
arcyksiążę myśliwych
do dziś afrykańskie słonie
wznoszą trąby
za serbskiego snajpera Gawriłę
my żyjemy
do was w okopach
strzelano
jak do kaczek

PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

W lesie starym, posiwiałym śniegiem
Rudy lis tańczy fokstrota wśród brzóz.
Jego tropy biegną równym ściegiem,
Chociaż łapy przeszywa srogi mróz.

Lecz na mróz lis uwagi nie zwraca,
Wielka miłość go spala od środka.
Serce lisa uderza w rytm tańca:
Dziś kobietę swego życia spotkał!

Nie lisicę, lecz właśnie kobietę,
Rudą piękność o oczach zielonych,
Co spojrzały na lisa z zachwytem
Tak głębokim, że lis w nim utonął.

Cóż, że dama ta nie była sama,
Na ramieniu myśliwego wsparta.
Nie na strzelca, na lisa patrzała!
Taka chwila i śmierci jest warta.

Śmierć nadeszła następnego ranka
Wraz z myśliwym, co dla swojej miłej
Wstał o świcie, by spełnić zachciankę
Rudej damy marzącej o lisie.

Już lis martwy tuli jej ramiona,
Szklanym wzrokiem spija słodkie lica.
I kobieta powiedziała: „Kocham",
Nie na strzelca patrząc, lecz na lisa.

ZABAWA

Jak kraj długi szeroki
i dobrze skrojony
rekonstruujemy z mozołem
bitwy szturmy rzezie
coraz grubszą nicią
przyszywamy orzełki
do sukna w kolorze
zadeptanej trawy
my przyszywani bohaterowie
wojen naszych dziadków
rekonstruujemy Historię
guzik po guziku
krok po kroku
aż stanie żywa
i potrząśnie nami
jak pudełkiem
ołowianych żołnierzyków
co zachrzęszczą
i rozsypią się wśród trawy

Monika Milewska – doktor historii, eseistka, poetka, dramatopisarka, adiunkt w Zakładzie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Gdańskiego. Autorka m.in. eseistycznej książki o rewolucji francuskiej *Ocet i łzy*, za którą otrzymała nominację do Nagrody Nike i stypendium „Polityki" oraz ostatnio wydanej Ślepej kuchni. Zdobywczyni Grand Prix XV Festiwalu „Dwa Teatry" w Sopocie za tekst słuchowiska *Podróż na Księżyc*. Jej powieść *Latawiec z betonu* otrzymała w 2019 roku Pomorską Nagrodę Literacką „Wiatr od Morza". Na jej podstawie powstało słuchowisko oraz nagradzane wielokrotnie spektakle Beton i Falowiec. Wydała cztery tomiki poetyckie.

Zdzisław Drzewiecki

Zdzisław Drzewiecki – ur. w 1959 r. w Strzelcach Opolskich. Wiersze publikował m.in. w „ Tygodniku Kulturalnym", „Poezji", „Poezji Dzisiaj", „Nowym Wyrazie", „Wyspie", "Migotaniach", „Autografie", „Akancie", „Głosie Nauczycielskim", „Śladzie" i „Gryfie". W początkach kariery pisarskiej związany z grupą poetycką „Dialog Nienazwany" oraz z grupą artystyczno-literacką „Gryf". Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jest autorem dziewięciu indywidualnych książek poetyckich. Ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Słupsku (filologia polska). Pracuje jako nauczyciel języka polskiego w Białym Borze. Za pracę pedagogiczną odznaczony Medalem Edukacji Narodowej.

Lubi jazz oraz wycieczki rowerowe. W roku 2022 nagrodzony Nagrodą Marszałka Województwa Pomorskiego.

wyjście ze snu

obudził mnie trzask zamykanych drzwi.
miałem przeczucie, że przekroczyłaś w pośpiechu
granicę obcego państwa,
innego wymiaru, gdzie nie ma naszych oddechów
splecionych warkoczem nocy.
wczorajsza zimna kawa w kuchni potwierdza najgorsze.
twój ręcznik jest jeszcze mokry.
wchodząc do łazienki ocieram się o kontur twojego zapachu.
od kilku chwil jestem samotny. bez ważnej wizy. sam.
ze snem opuszczającym powoli moją twarz.
bez pomysłów na ten i kolejne dni.
będą mnie teraz odwiedzać, nawiedzać, zwiedzać,
jak egzotyczny eksponat.
może będą współczuć. padną jakieś propozycje.
lekko zawiruje muzyka i alkohol.
pomimo pewnych oporów, wraz z nadejściem nocy,
poddam się kontroli osobistej pierwszemu napotkanemu patrolowi.

Nie wiem, jak ci podziękować za te lata

Dorotce

Nie wiem, jak ci podziękować za te lata ,
kiedy czas posrebrzał włosy na twej głowie,
gdy ja gnałem gdzieś za runem na kraj świata,
to ty byłaś dla mnie ratunkowym pogotowiem.

Wyciągałaś mnie z najgłębszych czarnych nocy,
kiedy karta iść nie chciała po mej myśli,
gdy zawiedli, wszechwiedzący, mnie, prorocy,
ty uczyłaś, aby wierzyć w to, co nam się przyśni.

Rozstawiałaś po zaułkach swoje lary i penaty,
abym drogę miał do domu zawsze krótką,
swoim ciepłem otulałaś mojej duszy fantazmaty,
ja utulić ich nie mogłem nawet wódką.

I choć nie wiem jak, to dziękuję Ci po stokroć,
bo bez Ciebie byłbym ledwie łzą na wietrze,
więc dziękuję Ci, że jesteś moją żoną, bratem, siostrą,
słońcem dnia, księżycem nocy i powietrzem.

walizka

co zapakujesz do tej jednej walizki
w przeciągu kilkunastu minut
portret rodziców zdjęcia dzieci
czy jedwabną bieliznę
i wspomnienia z ostatnich wakacji w Rzymie
walizkę masz solidną skórzaną
zwiedziłaś z nią pół świata
naklejki drogich hoteli
jeszcze dziś pobudzają zmysły
to teraz będzie twój świat twój dom
całe życie utkane z tylu różnych motywów
upchane w jednej chwili kolanem

PROZA

Roman Warszewski

Pierwsza wojna polsko - indiańska

Fragmenty książki

Tylko w Ameryce Łacińskiej

1.

Po przyjeździe do Riobamby, jego wybór natychmiast padł na Chimborazo – gigantyczny masyw pobliskiego wulkanu, do którego miasto było tylko skromnym dodatkiem. „Najpierw góry – pomyślał – potem przyjemności". Mimo że Riobamba miała tyle do zaoferowania!

Była pierwszą miejscowością założoną przez konkwistadorów na terenach na północ od Peru. W pobliżu wznosiła się też Ingapirca – prekolumbijskie obserwatorium astronomiczne, najsłynniejsze inkaskie ruiny w Ekwadorze. Tu też, w roku 1822, rozegrała się ważna bitwa między hiszpańskimi wojskami a buntującymi się Kreolami, co za jakiś czas doprowadziło do pojawienia się Ekwadoru na mapie politycznej Ameryki Południowej. A on...

Kiedyś, gdy do Himalajów był jeszcze utrudniony dostęp, sądzono, że Chimborazo jest najwyższą górą świata. Nieco później – iż to najwyższy szczyt Ameryki Południowej. Jedno i drugie w roku 1802 do Riobamby przyciągnęło słynnego podróżnika Aleksandra von Humboldta, który mimo, że nie dysponował żadnym wyspecjalizowanym sprzętem (bo w jego czasach jeszcze taki nie istniał) zapragnął tę górę zdobyć. I... w zwykłych półbutach, brezentowym kapeluszu na głowie i zapinanym na guziki surducie PRAWIE MU SIĘ TO UDAŁO! Gdy zawrócił, od szczytu dzieliło go zaledwie 300 metrów! Przez długie lata był to rekord wysokości osiągnięty przez człowieka.

O pomoc zwrócił się do Jose Luisa, znajomego właściciela hotelu *Humboldt*, w którym się zatrzymał. *No hay problema* – usłyszał. – Chętnie ci pomogę. Okazało się, że wypad w górę masywu słynnego wulkanu jest stosunkowo łatwy do zrealizowania. – Bo droga sięga w tej chwili bardzo wysoko – wyjaśnił Jose Luis. – Można nią dotrzeć do wysokości 4800 metrów nad poziomem morza. Dopiero stamtąd, z tak zwanego *Refugio 1*, trzeba iść pieszo. I jeśli ktoś nie ma specjalistycznego sprzętu (spojrzał na niego krytycznym okiem) i nie ma na przykład *grampones* (raków), co najwyżej można pokonać jeszcze 400 metrów różnicy wysokości terenu. – Dlaczego? – Bo dalej zaczyna się śniegowo-lodowa pustynia, na dodatek ustawiona w pionie – po sam wierzchołek, po wysokość 6130 metrów nad poziomem morza.

Za pół godziny byli już w drodze. Terenową hondą Luisa sprawnie wyjechali z miasta i niezliczonymi serpentynami, mila za milą (był Amerykaninem), zwolna poczęli się piąć. Ale mimo, że wielki masyw był tużtuż, nigdzie nie było go widać. – Dlaczego? – bo dziś jest bardzo dużo chmur i mgieł – wyjaśnił Jose Luis. – Może się zdarzyć, że dojedziemy do miejsca *Refugio 1* i będziemy już bardzo wysoko na stoku, a góry nie będzie widać.

Wtedy, po raz pierwszy tego dnia, miał okazję przekonać się, jak bardzo sprzyjało mu szczęście. Bo ledwie Jose Luis wypowiedział te słowa, na niebie zaczął się jakiś podejrzany ruch – wielkie przegrupowanie chmurnych armii. Jakby wiszący nad nami tuman zaczął nieco rzednąć – jakby pojedyncze włócznie światła poczęły się przezeń przewiercać. Potem w jednej chwili nastąpiło niesamowite sezamie otwórz *się* i nieprzenikniona zasłona pchnięta na boki jakimś nieznanym i niemym mechanizmem, nagle się rozstąpiła i... UJRZAŁ GÓRĘ!

Co za wspaniałość!

Co za majestat!

Potęga!

W najśmielszych domysłach nie mógł przypuszczać, że jest ona tak rozłożysta, tak królująca, tak piękna! Składała się z trzech olbrzymich śnieżno-lodowych kopuł, z których ta środkowa była najwyższa i najbardziej lodowa-śnieżna. Choć zjechał już kawał świata, nigdy dotąd nie odczuwał tak wielkiej siły emanującej z jednej pojedynczej góry. Był to prawdziwy NIEBOtyczny ołtarz – tym bardziej imponujący, że odosobniony, samotny i niespodziewanie wyrastający z równiny płaskiej jak stół. Pomyślał: Nic dziwnego, że Inkowie otaczali *apus*, najwyższe górskie szczyty, boską czcią i składali im ofiary z ludzi. Na ich miejscu, pewnie myślałbym i postępował bardzo podobnie.

Co kilka minut prosił, żeby zatrzymać samochód. Koniecznie chciał uwiecznić na zdjęciach ten niepowtarzalny widok. Byli już na wysokości 4000 metrów nad poziomem morza i na niczym nieosłoniętej, porośniętej suchą trawą *punie,* wiatr hulał niemiłosiernie. Po którymś takim postoju, już po przejechaniu kilkuset metrów, zorientował się, że na okularach nie ma antysłonecznej, zaciemnionej nakładki. Po prostu wiatr zdmuchnął mu ją z nosa. Przy takiej wichurze, trzymające nakładkę magnesy, okazały się za słabe. Straszny pech! Czyżby zaczęło opuszczać go szczęście, które jeszcze przed chwilą zdawało się mu sprzyjać?

Była to już trzecia (jednocześnie ostatnia) taka nakładka stracona w czasie tej podróży. Jednocześnie najcenniejsza – uniwersalna, pasująca do wielu modeli okularów. Cenna pamiątka otrzymana przed laty od znanego polskiego dziennikarza i pisarza Ryszarda Kapuścińskiego, którego książki recenzował na łamach *The New Yokera* i *Los Angeles Timesa*. Tym bardziej go to ukłuło i zabolało. – A może jeszcze nie wszystko stracone? – prawie natychmiast zmitygował swój pesymizm. – Może da się ją jeszcze odnaleźć? Trzeba koniecznie cofnąć się kilkaset metrów, do miejsca, w którym zatrzymali się po raz ostatni i kamienisty szlak przejrzeć piędź po piędzi.

Zawrócili. Powolutku. Koło za kołem. Cały czas wpatrując się w szutrową powierzchni drogi. Nakładka była lekka jak piórko, mogła więc już dawno poszybować gdzieś dalej. Szukaj wiatru w polu (a raczej na *punie*). Gdy w ten sposób doczołgali się do miejsca, w którym robił ostatnie zdjęcie, wysiadł. Jose Luis też. Ale niestety nakładki (tak jak było można przypuszczać) nigdzie nie było – ani na drodze, ani na poboczu. Wokół hulał tylko wiatr, który tworzył piaskowe wiry, przeradzające się miejscami w długie piaskowe flagi. Stawało się coraz bardziej jasne, że ze stratą trzeba się będzie pogodzić. Nie sposób było przecież cofać się w nieskończoność – tym bardziej, że przed nimi był Chimborazo. Jakby wyrastał coraz wyżej.

Był zły. Bardzo zły. Ale zaraz pomyślał sobie, że być może była to ofiara złożona *pachamamie* – bóstwu ziemi. Nie z liści koki i z kilku kieliszków *aguardiente* (jak tu jest w zwyczaju), lecz z nakładki na okulary? Może *pachamama* też idzie z duchem czasu? Może doświadcza ponowoczesności? Może ostre górskie słońce też zaczyna jej dokuczać? To stanowiło pewne pocieszenie. Skoro tak, niech tak będzie.

Po kolejnych trzydziestu minutach – pozostawiając za sobą nieskończone morze suchych, targanych wiatrem traw *ichu* – dotarli do *Refugio 1*, kamiennego, przysadzistego schroniska o blaszanym dachu, na wysokości 4800 metrów nad poziomem morza. Był to chyba jeden z rekordów świata, jeśli chodzi o drogi: że na taką wysokość można było dostać się... żwirową, ale jednak szosą. Samochód ustawili na poboczu, a Jose Luis „zaparkował " przy stoliku w barze, w którym można było dostać nawet regularne, kapslowane piwo. Miał przy nim na niego czekać – choćby do rana. Aż wróci. A jakby nie wrócił – tak się umówili – miał wezwać pomoc...

Natychmiast ruszył przed siebie – ostro pod górę. Mimo znacznej wysokości, czuł się znakomicie. Dzięki szybkości, z jaką znalazł się w tym miejscu, we krwi miał jeszcze spory zapas tlenu. Postanowił, że w czasie wspinaczki będzie się maksymalnie spinał i mobilizował, i zanim ten tlen się skończy, znów będzie siedział w samochodzie Luisa.

Kierunek mógł być tylko jeden: wyznaczała go centralna kopuła Chimborazo, która była teraz tak blisko, że dwa boczne wierzchołki góry znalazły się poza polem widzenia. Była przeogromna, biała, lodowa i przesłaniała pół horyzontu. Ciągnęła jak magnes, jak para świeżych koni, stając się kolejnym dowodem na słuszność prawa grawitacji.

Ale uroda urodą, a okrucieństwo okrucieństwem – jakże często jedno z drugim idzie w parze! O tym, że z Chimborazo i tą kopułą nie było żartów, świadczył ogromny skalny cmentarz, który rozciągał się zaraz powyżej schroniska. Po plecach przeszły mu ciarki. Na mniejszych i większych kamieniach znajdowało się około dwóch tysięcy (słownie!) nagrobków tych, którzy ruszyli w górę, ale już nie wrócili. Ileż tego było! Ilu młodych ludzi padło w konfrontacji z tą góra! Najwięcej – jak wynikało z brzmienia

Tadeusz Ogrodnik

nazwisk – było Europejczyków: Niemców, Hiszpanów, Francuzów, ale zdarzali się też Kanadyjczycy i Amerykanie. Było widać, że często szli parami – chłopak i dziewczyna; mężczyzna z kobietą. Czy jemu też zdarzy się coś takiego, mimo że nie zamierza wchodzić na szczyt? Brrrr… Ta myśl, jakby spłoszona, zaraz przechodziła w następną: Jaka szkoda, że nie wiedział, że tu jest taki cmentarz, bo z dołu można było przecież przywieźć choć skromne kwiatki...

Po następnej godzinie, gdy już coraz ciężej dyszał, wysoko na stoku wyłoniło się jeszcze bardziej kamienno-blaszane niż *Refugio 1* – *Refugio 2*: schronisko imienia Edwarda Whympera, pierwszego zdobywcy Chimborazo. To idealne miejsce do rozpoczęcia szturmu na szczyt, bo stąd – w pionie – do wierzchołka brakowało już tylko 1130 metrów.

– Jeśli chodzi o dystans, to już stosunkowo niewiele – powiedział mu strażnik, którego tam spotkał. –W tę i z powrotem, przy odrobinie szczęścia można obrócić w 9–10 godzin. Ale gdy pod uwagę brać trudność, to prawie Himalaje. Bo dalej jest już tylko śnieg, lód i niezliczone otwierające się i zamykające szczeliny. To dlatego tam na dole jest tyle tablic pamiątkowych i grobów – mówił dalej. – Bo tym, którzy tu docierają, wydaje się, że szczyt mają już w zasięgu ręki. Potem wielu ciał nie udaje się odnaleźć. Po prostu zamykają się nad nimi lodowce. Ty, *amigo*, bez wyposażenia chyba nie zamierzasz iść dalej?

– Jeszcze tylko kawałek...

Wysoko, w oddali, na najwyższej lodowej kopule, widać było niewielkie czarne sylwetki wspinaczy, którzy o świcie wyruszyli z *Refugio 2* i teraz zmierzali na szczyt. Z tej odległości wyglądali jak niewielkie czarne zęby piły. Poczuł żal i lekkie ukłucie zazdrości: *Dlaczego mnie tam nie ma?* Postanowił dotrzeć przynajmniej do granicy śniegu. Jeszcze jeden wysiłek. Ostatni skok do przodu. Jaki skok? Powolne krok za krokiem i noga za nogą... Potem stop. I od nowa. W ten sposób przemęczył się jeszcze 200 metrów w górę (wysokość coraz bardziej dawała mu się we znaki) i gdy dotarł do pierwszej łachy zlodowaciałego śniegu, postanowił to uczcić pozostawiając na niej odcisk dłoni...

Był zmęczony. Zapas tlenu we krwi kończył mu się chyba szybciej niż zakładał. Usiadł na kamieniu, skąd było widać strome iglice – Skały Whympera. Na chwilę pociemniało mu w oczach, a potem poszarzało, w uszach posłyszał szum. Pomyślał: Chyba zaraz zemdleję. Czy kierowca (nie miał już siły myśleć o nim po imieniu) zdąży go tu odnaleźć?

2.

Coś podobnego zdarzyło mu się, gdy →

trawersem, z Buenos Aires do Limy, przemierzał kontynent. Było to na odcinku z Asuncion w Paragwaju do Santa Cruz de la Sierra na południu Boliwii. Jechał nocnym autobusem, strasznym gruchotem – takim, po którym od razu było wiadomo, że jeśli nawet jakimś cudem dotrze do celu, to na pewno nie na czas. Zwykle czymś takim się nie przejmował, za bardzo był zaprawiony w rozkraczaniu się samochodów na południowoamerykańskich bezdrożach, ale tym razem było inaczej: w Santa Cruz de la Sierra miał czekać na niego Alfredo, dobry znajomy. Załatwił mu nocleg w jakimś hotelu i miał go do niego podwieźć.

Trasa była niepowtarzalna. Przez legendarne Gran Chaco, czyli pusty środek kontynentu. Przez płaską krainę, która była położona zbyt daleko od czegokolwiek, by coś mogło na niej się dziać lub choćby zdarzyć. W nocy z okien autobusu oczywiście nic nie było widać, ale o świcie za brudnymi szybami Gran Chaco Boreal pojawiło się w całej swej dzikości i bezładzie. Jako bezkresna przestrzeń porośnięta niskopiennym, ze wszech miar skłębionym i kolczastym gąszczem; lub jako pustkowie tylko gdzie niegdzie usiane pojedynczymi drzewami butelkowymi – tutejszymi baobabami. Drzewami o gładkim, zwężającym się ku górze pniu (niczym butelka po dawnej oranżadzie), z którego dopiero na dużej wysokości wyrastała czupryna krótkich, przysadzistych pogiętych gałęzi. Po baobabiemiu, afrykańsku.

Inną atrakcją była droga. Niby prosta, jak strzelił, bo nic (nomen omen) nie mogło tu stanąć jej... na drodze. Niczego nie musiała omijać, wymijać, objeżdżać. Po horyzont i jeszcze dalej. Po horyzont kolejny – a na tej trasie było ich bardzo wiele; każdy dokładnie taki sam jak ten poprzedni.

Choć prosta – była pogięta, pofalowana. Rozbrykana, jak rzadko, która droga. Bo jej gruntowa nawierzchnia była pełna dołów, dolin, rozpadlin, wyschniętych strumieni, wykrotów. Tak więc autobus prawie nigdy nie mógł jechać prosto. Musiał nieustannie kluczyć – jechał slalomem, jak narciarz; zygzakiem, niczym żeglarz zmuszony do halsowania. Na całe szczęście, była szeroka. Co najmniej trzy, cztery razy szersza niż inne latynoskie drogi. Była drogą wiodącą przez teren, gdzie wszystkiego innego jest za mało – oprócz powierzchni, ziemi. Mogła tu się więc rozgościć i rozłożyć na boki, nic nie tracąc z tego, że biegła prosto. Kierowca – można powiedzieć – miał do dyspozycji cały parkiet. Bo z naprzeciwka nic nigdy nie nadjeżdżało. Mógł tańcować bez ograniczeń – od lewej do prawej.

Jeszcze inne dziwadło stanowiła granica. Wynikało to także z przepastności i nadmiarowości terenu, który przemierzał autobus. Kontrola celna (dość skrupulatna, bo z wykładaniem zawartości bagażu na stół; wiadomo, narkotyki!) odbywała się około 150 kilometrów przed faktyczną granicą między Boliwią a Paragwajem. Bo na tym dystansie – prócz pustki, kolczastej gęstwy i butelkowych drzew – nic nie istniało!

W takiej dziczy autobus nie mógł się nie zepsuć. Więc w nocy skorzystał z okazji i oczywiście się rozkraczył. Padła miska olejowa, na pustkowiu, poza zasięgiem jakiegokolwiek telefonu, trzeba było poszukiwać oleju. Trudna sprawa. Trwało to kilka godzin. Alfredo, jego przyjaciel, w Santa Cruz de la Sierra, zrezygnował z czekania na przyjazd autobusu, bo nikt nie był w stanie mu powiedzieć, kiedy może on dotrzeć do miejsca przeznaczenia...

3.

Ale nie było tak źle – *pachamama* chyba jakoś zadziałała i pociągnęła za odpowiednie sznurki. Po chwili zebrał się w garść i po kilku głębszych oddechach, szum w uszach ustąpił i najpierw zaczął widzieć jak przez grubą, może trochę matową szybę, a po chwili tak jak widzi się na wysokości 5400 metrów nad poziomem morza. Pomyślał: Schodzę, nie ma na co czekać. Nic tu po mnie. Z każdym krokiem będę niżej, lepiej...

Na granicy paragwajsko–boliwijskiej, tej prawdziwej, oznaczonej budką i flagą, a nie tej celnej, wyimaginowanej, kupił kilka banknotów *bolivianos*; nie przypuszczał jak ważna to będzie decyzja. Bo gdy w końcu na nowym oleju, o drugiej trzydzieści w nocy, autobus jakoś dotoczył się do Santa Cruz de la Sierra, Rudolf, Węgier, który był drugim jedynym białym na pokładzie autokaru, zapytał go, czy ma gdzieś załatwiony jakiś nocleg. Odpowiedział, że nie ma, że miał na niego czekać znajomy, który załatwił hotel, ale o tej porze, po takim spóźnieniu, na pewno go nie będzie i że dlatego żadnego noclegu nie ma. Najwyżej gdzieś przeczeka do rana.

Do *Refugio 2* doszedł w dwa kwadranse. Strażnik zapytał go, jak się czuje, bo widział, że jest bardzo blady. Odpowiedział, że może być, że jakoś dał radę, choć w pewnej chwili już myślał, że tam – wskazał za siebie – zostanie... – *Bravo chico* – usłyszał. – Zuch. Idź dalej. Nie ma na co czekać.

– O tej porze? To może być niebezpieczne – Rudolf zaoponował. – Hmm, a może, skoro masz *bolivianos*, zróbmy tak. Zapłać za taksówkę i pojedź ze mną do hotelu, gdzie ja mam rezerwację, może jakiś wolny pokój się znajdzie.

Dalej, tak jak przewidywał, schodzenie było już łatwiejsze. Po godzinie, choć przy schodzeniu potykał się niezliczoną ilość razy, a nogi miał jak z waty. Był w *Refugio 1*, gdzie na swoim parkingu (czyli przy stoliku w barze), czekał kierowca, a na poboczu jego honda. – Długo. Myślałem, że już nie wrócisz – rzucił Jose Luis z ulgą, jak tylko go zobaczył. – Żebyś wiedział, że w pewnej chwili chyba niewiele brakowało, by tak się stało – odpowiedział. – Serio? – Serio. Tam naprawdę jest dużo mniej powietrza niż tu. – No to jak najszybciej zjeżdżamy. – No to już.

Mimo późnej pory, ze znalezieniem taksówki nie było problemu. Kilku chętnych kierowców, skuszonych nocna taryfą czekało na pasażerów. Rudolf podał adres hotelu temu, który stał najbliżej. – Wiem, gdzie to jest, kawałek drogi. Dworzec jest dosyć daleko od centrum. Jedziemy?

Honda, po przejechaniu największych wertepów, nabrała szybkości. Pruli w dół, za szybą znów zaczęła się *puna*. – Cholera, nadal nie mogę odżałować – pokazał na okulary, tam, gdzie powinna znajdować się nakładka. – Poznasz to miejsce? Może jeszcze raz byśmy spróbowali.

Hotel okazał się niewielkim pensjonatem. Cieć, a jednocześnie gospodarz, spał w najlepsze i trochę trwało zanim otworzył. Miejsce dla Rudolfa oczywiście było. Dla niego jednak nie. – Mogę zaproponować miejsce w namiocie, w ogrodzie, za jedne 10 bolivianos, a jutro coś na pewno się znajdzie.

– To tu – powiedział Jose Luis. – Poznaję po tym kamieniu. Jak chcesz możemy jeszcze raz spróbować.

– Choć, zaraz... – cieć-gospodarz coś sobie przypomniał.

Wysiedli. Jeden poszedł w lewo, drugi w prawo, jakby za potrzebą. Ale znów nic, znów beznadzieja, jak poprzednio. *Puna*, kamienie, trawa *ichu*. Nic więcej. Nakładka, jeśli kiedykolwiek tu była, na tym wietrze już dawno gdzieś odfrunęła. – Szkoda czasu, wracamy do samochodu...

– Mój znajomy – ma tu obok firmę – mówił hotelarz. – Kilka dni temu zrobił rezerwację dla jakiegoś swojego kolegi, który miał wczoraj przyjechać, ale nie przyjechał. O tej porze już chyba nie przyjedzie...

Jose Luis był już za kółkiem, już ruszał, on miał właśnie wskoczyć na swoje miejsce...

– Tak to jest robić uprzejmości znajomym – powiedział Rudolf z ubolewaniem.

Ale nie wskoczył. – Stop! Stop! – nagle wydarł się w niebogłosy.

– Niech da pan swój paszport. Dam panu ten pokój. Najwyżej dokwateruję panu tego drugiego...

– Jest, jest, stój! – wołał. – Broń boże, nie ruszaj!

Podał mu amerykański paszport otwarty na odpowiedniej stronie. Hotelarz wziął go do ręki, popatrzył i jakby czegoś nie rozumiał. – Zaraz, chwileczkę... – spojrzał do wielkiej księgi, w której miał rezerwację. – Jak, *amigo*, się nazywasz?

Była! Leżała! Od ciężkiej opony hondy nakładkę dzieliły ledwie dwa centymetry.

– Co za zbieg okoliczności – po chwili powiedział recepcjonista drapiąc się po głowie. – Tak samo jak ty, nazywa się ten znajomy mojego znajomego, który miał przyjechać...

Co za szczęście! Radość i niedowierzanie. Nakładka! Znalazła się! Oto zdarzyło się coś niemożliwego. Znudziła się *pachamamie*? A może, po prostu, jej nie pasowała?

Poczuł się przeszczęśliwy, wniebowzięty! Dokładnie tak, jak wtedy, gdy w Santa Cruz de la Sierra, stało się jasne, że to właśnie on był tą osobą, dla której jego znajomy zrobił rezerwację w tym niewielkim pensjonacie, dokąd trafił wiedziony – no właśnie, czym? – przez przypadek?, intuicję?, a może psi węch, którego – jak mu się wydawało – nie posiadał?

Coś takiego – jak i to spod masywu Chimborazo – mogło zdarzyć się tylko w Ameryce Łacińskiej. Gdzie roje żółtych motyli zabierały piękną Remedios do nieba, gdzie do Macondo, na początku XX wieku dopływał Krzysztof Kolumb, Cygan Melchiades przywoził sensację dnia, czyli lód, a na dnie rzeki leżały białe kamienie, niczym jaja dinozaurów.

Roman Warszewski

Dariusz Pawlicki

„Gdy ptak snu zamierzył uwić sobie gniazdo w mej źrenicy, zobaczył rzęsy i zląkł się, że to sieć"
(poeta arabski z Andaluzji, XII w.)

NIE ZAWIEDŹCIE MNIE, OCZY MOJE

I.

Jest późne wrześniowe popołudnie. Stoję na żwirowo-piaskowej drodze, dla podkreślenia jej ważności zwanej przez okolicznych mieszkańców gościńcem. Prowadzi ona z Krasnopola do Głębokiego Brodu (i może dalej). Przyglądam się prawie bezchmurnemu niebu, drzewom, szczególnie przydrożnym topolom, koniom i krowom pasącym się na łąkach. Sprawdzam stan swych oczu. Odnoszę wrażenie, że nie zawodzą mnie. Wyraźnie widzę również gałęzie, kępy traw, kamienie… Ale biorę pod uwagę i to, że ich stan, niedostrzegalnie dla mnie, pogorszył się. Postanawiam jednak pozostać przy wersji optymistycznej.

To zainteresowanie oczami, nade wszystko moimi, jest wynikiem przeczytania dzisiejszego ranka moich zapisków mających za temat, właśnie wzrok / widzenie, a przede wszystkim narząd to umożliwiający. Te fragmenty napisane kilka lat temu zamierzałem połączyć w esej. Jak dotąd skończyło się na zamiarach. Może teraz…

II. Zapiski

Traktat o malarstwie Leonarda da Vinci zawiera i taką myśl:

„Oko, zwane oknem duszy jest główną drogą, przez którą rozum może w sposób najobfitszy i najwspanialszy poznawać nieskończenie mnogie dzieła natury".

Od tego cytatu moje myśli prawie natychmiast podążyły do fragmentu *W stalowych burzach*, w którym Ernst Jünger odnotował fakt spojrzenia w niebieskie oczy Anglika, którego zastrzelił kilka minut wcześniej. A rzecz miała miejsce na froncie zachodnim w marcu 1918 r. W tym miejscu słowami Tomasza Wujewskiego przywołam jedno z wyobrażeń odległych pokoleń na temat wzroku i widzenia:

„Grecy związek oczu z życiem tłumaczyli w następujący sposób. Na powierzchni gałki ocznej odbija się jak w zwierciadle postać osoby stojącej naprzeciwko, czyli patrzącej w oczy. Odbicie to wygląda jak mały człowiek, którego nazywali idolem. Ponieważ po zgonie człowieka oczy tracą blask, znika owo odbicie (opowiadano, że w dniu zamordowania cesarza Helwiusza Pertynaksa nie dostrzegano w jego oczach żadnych obrazów, co traktowano jako znak zapowiadający śmierć, jak gdyby dusza przedwcześnie opuściła ciało). Był to symptom opuszczenia ciała przez duszę, z czego wniosek, że Grecy idola utożsamiali z duszą" (Życie starożytnych posągów).

Nazwisko: Ernst Jünger i wzmianka o zabitym przez niego przeciwniku spowodowały, że moje myśli powędrowały następnie do *Promieniowań*. A konkretnie do zapisków, jakie Jünger poczynił w swym dzienniku 20 listopada 1942 r. w Giżycku, tuż przed wyruszeniem, jako kapitan Wehrmachtu, w podróż służbową na front na Kaukazie. Napisał wówczas m. in. takie słowa:

„[...] wertowałem trochę *La mort et ses problèmes* Henriego Bona. Znalazłem tam przytoczoną ponurą opinię Parmenidesa, który przypisuje trupom zdolność odczuwania; mają one być wrażliwe na milczenie, zimno, ciemność [...]".

Jeśliby Parmenides miał rację – wielokrotnie, po wielu wiekach okazywało się, że starożytni mieli rację – znaczyłoby to, że „martwy" Anglik odwzajemnił spojrzenie swego zabójcy, i że spojrzał w jego oczy. W tym momencie każdy może przywołać z pamięci indywidualne przypadki, gdy miał do czynienia ze zmarłymi. Gdyby więc Parmenides nie mylił się, oznaczałoby to, że umarli, o których ten czy ów, myślał, że są nimi (dosłownie i na pewno), nie do końca byli (przynajmniej wówczas) umarli. I że jeszcze przez jakichś czas (nie wiemy jak długi), pozostawali świadomi tego, towarzyszyli nam. Jako jeszcze „oni", a nie tylko zimne ciało. Chociażby wtedy, gdy słyszeli słowa wypowiadane przez osoby stojące przy trumnie. Lecz nie mogli (wszystko wskazuje na to, że nie mogli) w żaden sposób już na nie zareagować. A najpewniej jednak zareagować chcieli; przynajmniej część spośród nich.

[...]

Ból związany z oślepieniem – w wyniku wypalenia oczu bądź ich wyłupienia / wydarcia. Potem bezradność człowieka (ale nie tylko jego) nie widzącego dookolnego świata, a tak dobrze go pamiętającego.

Homer w *Odysei* opisał m. in. Polifema, jednookiego olbrzyma ludojada, syna Posejdona i nimfy Toosy. Uwięził on w jaskini na Sycylii Odyseusza i jego towarzyszy; kilku spośród nich pożarł. Odyseuszowi udało się upić winem Polifema i rozżarzonym drągiem wypalić mu oko. Następnie użył fortelu, aby wyprowadzić z jaskini pozostałych przy życiu Greków.

W roku 1014, pod Klidion (Kleidion) armia bułgarska poniosła druzgocącą klęskę w starciu z wojskami bizantyjskimi. Według relacji różnych kronikarzy do niewoli dostało się 14-15 tysięcy Bułgarów. Na rozkaz cesarza Bazylego II (nazwanego później Bułgarobójcą) wszyscy zostali oślepienie. Z tym, że co setnemu pozostawiono jedno oko. A to po, aby pozostałych mógł doprowadzić do domu. Car bułgarski Samuel Komitopul zmarł – prawdopodobnie w wyniku ataku apopleksji – gdy zobaczył tysiące okaleczonych swych wojowników.

W 1145 r. na rozkaz Władysława II został oślepiony (i pozbawiony języka) Piotr Włostowic, bardzo wpływowy możnowładca, który przeciwstawiał się łamaniu postanowień zawartych w testamencie pozostawionym przez Bolesława III Krzywoustego (Włostowic był jego paladynem).

[...]

Wyimki związane z mistyką:

„Świecą ciała twojego jest oko twoje" (Ewangelia wg Mateusza; 6, 22).

Mistrz Eckhart:

„Oko, którym oglądam Boga, jest tym samym okiem, którym Bóg mnie widzi".

John Milton:

„Kto niszczy książki, zabija rozum, niszczy obraz Boga w oku".

Cytaty dotyczące poznawania / widzenia:

Lukrecjusz:

„Widzenie umysłem jest podobne do widzenia oczyma" (O naturze rzeczy).

Plotyn:

„Gdyby oko nie było nasłonecznione, nie moglibyśmy spostrzegać światła".

Aureolus Bombastus Paracelsus (Philippus Theophrastus von Hohenheim):

„To nie oko pozwala widzieć człowieka, lecz przeciwnie, to człowiek sprawia, że oko widzi".

William Harvey:

„Nie ufaj niczemu, co mówię; odwołuję się jedynie do twych oczu".

Joseph Joubert:

„Zamknij oczy, a zobaczysz".

Ralph Waldo Emerson:

„Najsłabsza świeca widoczna jest o milę, a źrenica człowieka sięga gwiazd".

III.

Zbliżam się do Brzozowego Mostku, miejsca, w którym droga asfaltowa przecina gościniec. To skrzyżowanie znajdujące się na skraju lasu okrywa zła sława.

Siadam na pniu pozostałym po sośnie ściętej wiele lat temu. Szosą szybko przejeżdża samochód osobowy. I znowu zapada cisza. Ściemnia się.

Coś szybko przelatuje nade mną: kątem oka dostrzegam czarny punkt. Unoszę momentalnie głowę. „Chyba nietoperz". To rzeczywiście jest on. Po chwili zawraca. Zaraz pojawia się drugi. Zastanawiam się nad tym, w jakiej postaci im się jawię, skoro ich uwsteczniony wzrok nie odgrywa praktycznie żadnej roli: w dzień, kiedy śpią, nie jest im potrzebny, a podczas lotów odbywanych o zmierzchu i w nocy, polegają wyłącznie na doskonałym słuchu i echolokacji. Może dla nietoperzy jestem teraz nieruchomym obiektem „wyrosłym" z ziemi. I tylko nim.

Przypominam sobie cytat z Johanna Gottfrieda Herdera, jaki rankiem zdołałem przeczytać – mimo bardzo licznych przekreśleń – w mym niedokończonym, a właściwie to w rozbabranym, eseju: →

„Wybornym przedsięwzięciem byłoby zbadanie, jak daleko zaszlibyśmy opierając się na samym czuciu; ono bowiem jest czymś najsolidniejszym i najgłębszym, pierwszym narzędziem duszy. Oko ukazuje nam jedynie złudzenie i powierzchnię rzeczy" (szkic Jeszcze o kunszcie odczuwania).

Herder pisząc o ,,czuciu", miał najpewniej na myśli zmysł dotyku. No bo chyba nie słuchu, węchu, ani smaku (nie można tego jednak zupełnie wykluczyć). A na pewno nie wzroku, skoro wyrażał się o nim negatywnie, jako narzędziu służącym poznaniu. Gdybyśmy poszli za jego radą wtedy np. drzewa rozpoznawalibyśmy przez dotykanie ich kory, liści, owoców. I można by powiedzieć: Czemu nie? Ale wyobraźmy sobie, że znajomość z kimś zaczynalibyśmy od wzajemnego dotykania się (żeby nie określić tego dosadniej...). Nie, to nie wszystkim by odpowiadało.

Przemierzam kilkanaście metrów i zatrzymuję się na Brzozowym Mostku. Od strony bagna, za którym znajduje się jezioro Pogorzelec, słyszę trzask gałęzi łamanych przez jakieś duże zwierzę. „Jeleń, albo łoś". Spoglądam w tamtym kierunku, ale nie dostrzegam niczego przemieszczającego się. Za to gwiazd na niebie jest bez liku: istny zawrót głowy.

Dariusz Pawlicki

Dariusz Pawlicki

Marek Wawrzkiewicz

Między

Między dwoma żonami: czas jak dzikie pola -
Szuwary, oczerety, bujny piołun, stepy.
I ordy skośnookie, biorące w niewole.
Kłęby miodnego pyłu, który oczy lepi.

Między dwoma żonami: z poplątanej kniei
Wychodzą wpółzdziczałe zwierzątka płci żeńskiej.
Z deszczu, wiatru, upału, śnieżystej zawiei,
Na chwilę, na pół roku, szczęście i nieszczęście.

W niebo niepamięć rośnie jak omszały dźwigar,
Postać mglista zza niego wiotko się wyłania.
Kto zacz? Czy to Basia, czy może Jadwiga?
Żona żubra czy łosia, czy płochliwa łania?

Zapomniane zwierzątka, zabite, zranione.
Może one przebiły mnie żelastwem tępym?
Już minął ten okres, kiedy miałem żonę,
A nie dochowałem się jeszcze następnej.

Czyli – uczenie mówiąc – czas inter reginis.
Było tak, albo nie tak, lub jeszcze inaczej.
Minęło, co sczeznąć miało, co będzie – też minie.
Czyli – uczenie mówiąc - reqiescat in pace.

Obora

Pomyśleć: przeminęły dobre roku pory.
Odchodzi późna jesień, sunie wczesna zima.
Jest tak, jakby nie było wczoraj i przedwczoraj,
Niby trwa jeszcze dzisiaj, lecz go prawie nie ma.

Wietrznieje i mrocznieje. Coraz bardziej ciemno.
Przywiędły uniesienie i ucichły fety.
Wątleją siły, w moc rośnie daremność
I w minione się zmienia zwykłe słowo: jestem.

Tak, niechybnie minęły dobre roku pory.
Żurawie odleciały, lis w zaroślach znika.
I mnie czas się zbierać do księżej obory –
Tymi słowami żegnano niegdyś nieboszczyka.

GRUDZIEŃ, 2021

Okulary

Powiało. I sypnęło gęsto liśćmi z drzew.
Nieustępliwa jesień spłynęła jak rzeka.
Ściemnia się nieodwołalnie. Ale jednak w mgle
Widać to, co się skryło pod szczelną powieką.

Przecież tego nie było. Ale dzisiaj jest.
Śledzę to przez tonące w przeszłości obszary.
Lata cię wyposażyły w dodatkowy gest,
Ten, którym lekko poprawiasz okulary.

Nie używałaś ich kiedyś. Szkła dłonią przecierasz.
Lat i dioptrii przybyło – taki to jest czas.
Było, przeszło, minęło – co począć. I teraz
Widzisz wciąż niewyraźniej – mnie, siebie i nas.

LISTOPAD, 2021

Niektóre zmysły

Ogłuchłem. To ma dobrą stronę -
Już prawie nie tęsknię.

Domyślam się, że w podmuchach wiatru
Skrzypią uchylone drzwi.
Nie zamknąłem ich szczelnie –
Przecież wszystko może się zdarzyć.

Uważnie obserwuję powietrze,
Ale nic się w nim nie dzieje,
Ani ptak, ani cień, ani przelotny liść.

Może jednak to tylko wada wzroku.
Bo ślepnę. Już nie na długo.

Widzę tylko zapach,
Ni to mięty, ni to lawendy,
A najpewniej
Nie wiadomo czego.

MARZEC 2022 R

ESEJ

Zofia Kulig

„Cultura animi" - Cycerońska uprawa duszy

Ze słowa wstępnego prof. dr. Hab. Andrzeja Nowaka, zamieszczonego w Słowniku Kultury Polskiej, wydanym przez wydawnictwo – Kluszczyński, w Krakowie (2012), dowiedziałam się, że słowo „*kultura*" w pierwotnym znaczeniu jest to „*chodzenie koło roli*", a także „*uprawa umysłowa" – kształcenie umysłu, obyczajów*. Informację tę po raz pierwszy podaje do ogólnej wiadomości – Słownik języka polskiego tzw. (wileński) z roku 1861. Marek Tulliusz Cyceron, rzymski mówca, filozof i polityk w „Rozmowach Tuskulańskich" nazwał „uprawą duszy" – filozofię rozwijającą człowieka do najwyższych ideałów.

Wspomniana filozofia kojarzy się ze zjawiskiem lirycznego współdrgania duszy i namysłu, będących reakcją na postrzeganie wszelkich wariantów istnienia. Chwytanie i eksponowanie szczególnych momentów sprawia, że autor lirycznego tekstu, jeszcze przed jego napisaniem, staje się podmiotem zauroczenia. Należałoby sądzić, że w materii sztuki poetyckiej nie ma tematów małoważnych, a z drobin bytu powstają stabilne konstrukcje duchowego kształcenia umysłu. Głód poznawania i dociekania głębi poszczególnych przestrzeni i zjawisk, sięga rangi niepodważalnych priorytetów. Szereg manipulacji pojęciowych, niekoniecznie o charakterze filozoficznym zauważa się w wielotorowej przestrzeni języka kultury, gdzie coraz odważniej stosowane są autoramenty pod „*uprawę umysłową*". Jakkolwiek sztuka w sama w sobie winna poruszać, a może i bulwersować, to owa literacka osobliwość bywa trywializowana przez niektóre środowiska artystyczne poszukujące mocnych sił wyrazu i niekoniecznie znajdujących aprobatę u widza czy też czytelnika. Stymulowanie słowem w konwencji przejrzystej to niewątpliwie wyraz stanu ducha i wyobraźni autora nie pozostawiający żadnych wątpliwości w ich odbiorze. Myślę, że język sztuki jako wielopłaszczyznowa „*uprawa umysłowa*" powinien być użyteczny i wymowny w swoim przekazie. Inaczej pozostanie nic nie znaczącym, tymczasowym wrażeniem pojęciowej magmy, i jak sądzę, nie o takiej uprawie duszy myślał Cyceron. Słowo nie może być odarte z wartości uniwersalnych, a nade wszystko winno dookreślać etycznie i uszlachetniać. Tak pojmuję sztukę. Dlatego dziwi mnie karłowacenie pierwowzorów wartości, a ich rosnąca powszechność, obecna w codziennym życiu nie podnosi walorów języka.

Doświadczanie doczesności jest ciągiem przeobrażeń i odczuć oraz próbą formułowania integralnych prowincji w celu lokowania w nich własnych światów, czyli miejsc do nieograniczonych interpretacji twórczych innowacji. Dla autora dzieła nie ma tematów tabu, a w tym co ludzkie, w pełni odnajdują intelektualne warianty literatury. Zakładając, iż większość wrażliwców wypowiada się niepowtarzalnym, bo osobistym widzeniem i takim nasyceniem języka, który w odbiorze może okazać się mglisty. Toteż zapisywanie procesów skojarzeniowych językiem innowacyjnych form, można uznać za pewien rodzaj eksperymentu na żywym słowie. Bywają autorzy budujący swoje dzieła rozchwianą kompozycją komunikacyjną, którzy nową formą wiersza wydają się testować poczytność swoich utworów. W natłoku mód i inwencji twórczych zauważam również, że powyższy temat, aczkolwiek bulwersujący, to nie da się ukryć, zmusza do koncypowania, nietypowego zjawiska ekscentryzmu.

Marcin Orliński – poeta i krytyk literacki w jednym ze swoich opracowań zapisał taką oto konstatację:

„poeci, *którzy są tylko po to by się życiu przyglądać, nie zdobywają samorodków*".

Takie skarby wypływają z głębi egzystencjonalnej, a ilustrowane żywiołem słowa są świadomym głosem rodzimej kultury. Toteż jak sugeruje krytyk, domenę tworzonego dzieła stanowią - zasoby intelektu i subiektywne spojrzenie na otaczający świat, w oparciu o zdobyte już doświadczenia. Wnikanie w substancję pojęciową, zdaje się być - niczym spoglądanie w nieograniczoną przestrzeń nieba. Im dłużej wzrok zgłębia toń błękitu, coraz mocniej rozbudza się fascynacja i zagadkowość *zetknięcia*. Toteż niekoniecznie dopiero co, przeczytany wers, otworzy przed czytelnikiem sezamy przekraczające granice poznania, czy też ukaże jasny i czytelny obszar. Wywołane wrażenie zapadające głęboko w namysł, może być odpowiedzią na język wiersza, jak również może świadczyć o przerafinowaniu zapisu. Wracając do teorii rzymskiego filozofa, kontakt z literaturą winien sprzyjać rozumieniu jej artystycznych aspektów, a już na pewno rozbudzać, co uśpione. Zmysłowość i epatowanie nowym spojrzeniem, to niewątpliwie bodźce użyźniające „*uprawę duszy*", jako sposoby eksponowania i kolonizowania jej w obszarach myślowych odbiorców.

„Dobre życie zatem jest nieodłączne z codzienną walką o dzielność i wolność duszy od materialnych i niskich przywiązań"
(Myśl Sokratesa)

Najlepszą poezję tworzy samo życie, a raczej jego ulotność, bo też niełatwo dostrajać się do zmienności czasu. Współczesna dynamika peregrynuje w złożoność samego życia, ale i poezji, chociażby w obszarach materii literackich i mentalności autorów. Mimo to, daje się zauważyć sięganie po wrodzoną intuicję i szukanie rozwiązań w meandrach własnej duszy i tajemnicy wszechświata. Obcując w galeriach literackich pasji można dostrzec strefy emitujące nurty, będące powrotem do mocy uśpionej w duszy człowieka. Zaglądanie w siebie, jawi się tu jako rodzaj mistycznego budzenia z zastałości. Otwiera widzenie doczesnego piękna, jakim jest *niezwykłość* istnienia i to w nim, poezja znajduje prosty język prawdy. Jakkolwiek konwencjonalizm zmusza do podejmowania nowatorskich wyzwań, to jest probierzem mobilności człowieka, znajdującego się w nieustannym chybocie życiowej wiarygodności, o czym dowodzą liczne zagadnienia liryczne. Tak było zawsze. Jednakże czas, w którym życie rozpływa się bezwiednie wobec niezliczonych trudności dotykających społeczeństwa coraz dotkliwiej, *uprawa duszy* dzieje się w warunkach egzystencjonalnego zagrożenia i chaosu. Tylko od ludzi Wielkiego Ducha zależy, jakie będzie jutro. Wyjątkowo trudne etapy przez które przedziera się człowiek zdają się być celem nie tylko samym w sobie gdyż *nowe* stawia przed poezją rodzaj literackiego zaniepokojenia. Warto w tym miejscu przypomnieć powszechnie znaną sentencję Sokratesa:

„*Wiem, że nic nie wiem*"

Mądrością mędrcy była świadomość *własnej niewiedzy* i pokora wobec przekonania, że im wiem więcej, wiem coraz mniej. A przecież „złote myśli" myśliciela nie bez powodu przetrwały do XXI wieku i do chwili obecnej są aktualnym wątkiem rozważań. Uczony posiadał wiele cnót. Jedną z nich był - dar nauczania, który skupiał wokół jego osoby młodzież, pragnącą poszerzyć zakres swojej wiedzy. Wiadomo, że ten wielki mąż, głoszący *szeroko pojęte dobro*, szukał rozwiązania skomplikowanych dylematów zwracając się w stronę swojej duszy, bowiem, jak twierdził - tylko ona jest źródłem *czystości myślowej*. Ciekawe, że czystość myślowa Sokratesa powstaje w wyniku Cycerońskiej „uprawy duszy", która nieustannie wymaga zabiegów, mających na celu tworzenie lirycznego *ja*, świata i ludzi.

Dzisiaj - jak kiedyś, rządzi pieniądz, który unicestwia szlachetne drobiny człowieczeństwa w kipieli rażącego chaosu. Zatem trudno się dziwić, że zamęt, którego doświadcza człowiek, staje się ogniskiem nieporozumień i zaniku morale. Bo mówiąc językiem ojczystym - **już się nie rozumiemy**, a słowa takie jak – **bezinteresowność, miłość i uczciwość**, zamieniono na judaszowe srebrniki.

W periodykach krytyków i znawców sztuk pięknych można spotkać opinie, że dzisiejsza twórczość zatraca ważkie przymioty kultury. A nawet, że miejsce artyzmu zajmuje wszechobecny kicz i bylejakość, za co być może, odpowiada globalna typizacja kultur, wykrzykująca obsceniczne emocje. Zaspokojenie estetycznych potrzeb odbiorców sztuki pisarskiej, nigdy nie było celem. Była to „sztuka sama w sobie". O tym

pisał już Stanisław Przybyszewski w Confiteorze, w okresie Młodej Polski. Niewątpliwie zasadnym jest powstawanie nowych form twórczości i jeżeli nie zostały jeszcze w pełni wykształcone, w przyszłości mogą stanowić o spójności obu sfer poetyki w konstrukcji tworzących się nurtów. W jakim stopniu zyska, czy może straci kultura poddana żywiołom obyczajowości? O tym zadecyduje przyszłość. Tymczasem, jesteśmy świadkami zmian zachodzących w tendencjach poetyckiego światopoglądu i ważnym jest, by słowo zachowało swoją godność nie tylko od święta, gdyż nie do podważenia jest powiedzenie, iż ***każde słowo ma swoją historię o której nie wolno zapomnieć.*** Mając jednak na uwadze, iż wszelkie zdobycze wyższego rzędu, wydobywane są z ogromu zasobów kompetencji twórczych, śmiem twierdzić , że oczekiwany przez pana Orlińskiego kruszec, tkwi w warstwach uczuciowości wielu ludzi, tworzących kulturę w naszym kraju. Poezja w swojej uniwersalności nie zna pustki, co czyni ją bez mała encyklopedią duchowych poszukiwań oraz źródłem egzystencjalnych lęków człowieka każdej epoki. Podmiotową zmysłowość niecodziennie wywołują szczególne stany emocjonalne, a erupcje nagromadzonych impulsów, powstałych w zetknięciu z dekalogiem rzeczywistości zawsze krystalizuje świadomość poetycka.

Jest jeszcze jeden moment godny przytoczenia. Mianowicie, jest nią ta chwila, kiedy oddając się lekturze odczuwamy specyficzny rodzaj aury. Nie ważne, kto napisał tekst. Ważną staje się reakcja na nośność myśli, a gdy pochłonie nas na tyle, by sięgnąć łapczywym wzrokiem po wers następny, i gdy ostatecznie wszystko, co wokół nie ma teraz większego znaczenia, znaczy to, że zostaliśmy porwani przez liryczne lustro, w którym ujrzeliśmy siebie. Co więcej, pragnąc przeżyć te emocje raz jeszcze, wracamy do lektury, by ponownie znaleźć się w centrum „*przezroczystości semantycznej*", bo jak mawiał Zbigniew Herbert („*Słowo w poezji jest przezroczystym oknem otwartym na rzeczywistość*"). Sadzę, że przejrzystość słowa - Zbigniewa Herberta, domyka Cycerońską myśl o *uprawie duszy*, którą próbowałam scharakteryzować. Zatem, czy trzeba odkrywać wartość słów?

Odpowiedź brzmi – tak! A nawet nauczyć się je i powtarzać jak mantrę. Sama to czynię i czekam na wzruszenie, którego charakter nie będzie tymczasowy, a liryka zauważy rzeczywistość nienazwanych jeszcze obszarów naszego życia. Wchodzenie w niepowtarzalny klimat jest krokiem do czegoś ważnego w każdym czasie. Nawet wtedy, kiedy nie do końca rozumiemy co nas mentalnie dotyka. Niech uczucie to pozostanie, choć niejednoznaczne i jakby bezkształtne. Nie znamy granic wyobraźni, nie wiemy też, dokąd mogą zaprowadzić nas słowne medytacje, bowiem świat nie zna odpowiedzi na wiele pytań. Krążą one wokół stale jeszcze zdezorientowanej przestrzeni. Takież bywają również wiersze, i to na ich wyspach zostańmy, oddając się kontemplacji. Wszak poezja ma charakter paradokumentalny, będący kontaminacją powstałą z konfrontacji myśli i słowa w procesie tworzenia…

Na zakończenie przytoczę słowa Leszka Żulińskiego, uznanego poetę i krytyka literackiego, który w jednej ze swoich recenzji napisał:

„(…) Pouczające, że poeta nie musi mieć certyfikatu, może być prawnikiem, robotnikiem, nauczycielem i kim tam jeszcze chcecie (…)"

Ps. Ważne by na drodze „uprawy duszy" pielęgnował i strzegł czystości swoich myśli.

Z poetyckim pozdrowieniem

Zofia Kulig

Tadeusz Ogrodnik

Mariusz Zimoński

Kwiat w butonierce

Spieszyłem się wtedy, jak zwykle zresztą, a zerwany rozkład jazdy na przystanku bynajmniej nie poprawiał mi humoru. Nie wiem po co tak biegłem, skoro tramwaj i tak się chyba spóźniał albo dawno już odjechał. Człowiekowi wydaje się czasem, że panuje nad tym wszystkim, zwłaszcza nad sobą, i każdy zaplanowany krok musi się wydarzyć. To „czasem" jednak, gdyby przybrało ludzką twarz, poruszyłoby swoje szelmowskie usta i błysnęło ironiczną iskierką w oku. Nie zawsze człowiek chce to sobie uświadomić od razu, choć może po prostu nie ma na to zbytniej ochoty.

Utknąłem więc o świcie na tym peryferyjnym przystanku z mokrą od rosy ławką i jedyne, co mogłem robić, to czekać, chociaż cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną. Spacerowałem więc wzdłuż torów tam i z powrotem, kopiąc czasem jakieś kapsle czy kamyki. Wreszcie dostrzegłem zbliżający się po torowisku kształt, który powiększał się i nabierał niebieskawych kolorów. Tramwaj z uniesionym wysoko pantografem wypływał jak okręt z delikatnej mgły poranka, a strzelające spod trakcji iskry sprawiały wrażenie siarczystych przekleństw rzucanych przez pojazd na otaczający go świat. Dziwne to było odczucie, ale tak mi się to wtedy o poranku kojarzyło. Nawet uśmiechnąłem się na tę myśl, ale ostre spojrzenie motorniczej przywróciło mi moje chwilowo przygaszone odczucie pośpiechu.

Nie zastanawiając się zbytnio, usiadłem przy drugich drzwiach. Tramwaj ruszył gwałtownie. Oprócz mnie nie było żadnych pasażerów, co mi odpowiadało, zwłaszcza, że poranne ludzkie oddechy potrafią skutecznie zniechęcić do wszystkiego. Chciałem dostać się do domu, w którym mieszkałem, i tylko o tym myślałem. Utkwiłem wzrok w oknie, patrząc na przesuwającą się za szybą panoramę, a muzyka w moich słuchawkach dawała mi właśnie to, czego w tym momencie potrzebowałem. Nawet delikatny urok nierównych szyn nie mógł wybić mnie z tego rytmu.

W końcu pojazd dotarł do następnego przystanku, gdzie stał tylko jakiś starszy pan ubrany w marynarkę i kapelusz, oparty o laskę. Choć tylko przez sekundę na niego patrzyłem, rzucił mi się w oczy żółty kwiatek w jego butonierce. Staruszek musiał wsiadać tylnymi drzwiami, co chyba zajęło mu trochę czasu, gdyż tramwaj stał jeszcze dłuższą chwilę na przystanku. Przez moment wydawało mi się, że wzrok motorniczej ponownie kieruje się na mnie, ale to było chyba złudzenie wywołane kątem ustawienia jej lusterka.

Krajobraz za oknem znów zaczął się przesuwać. Peryferyjne dzielnice, po których uwijały się pierwsze pojazdy do oczyszczania ulic, budziły się do życia. Świeże pieczywo roznoszone po sklepach, pierwsi spacerowicze z psami – to zawsze jest jakiś schemat pozornego spokoju, rozlewającego się powoli na miasto. Ja jednak nie zwracałem na to zbytnio uwagi. Tramwaj jechał i to uspokajało moje myśli, które napinały się wraz z kolejnymi promieniami przebijającego się przez chmury słońca.

W pewnym momencie poczułem nagle jakieś delikatne uderzenia w lewe ramię. Automatycznie oderwałem wzrok od okna. Wychudła, pociągła twarz i siwa broda wisiały nad moją głową. Niebieskie oczy wpatrywały się we mnie spod kapelusza i mocno kontrastowały z żółtym kwiatem wpiętym w brązową marynarkę. Starszy pan w dość zaawansowanym wieku wyglądał nawet schludnie i elegancko. Coś do mnie mówił, ale przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że śpiewa tekst piosenki, której właśnie słuchałem. Oderwałem się jednak od tego „videoclipu", wyciągając słuchawki z uszu.

– Tak? – zapytałem.

– Przepraszam, młody człowieku, czy mógłbyś mi ustąpić miejsca?

Zdezorientowany popatrzyłem na staruszka, po czym rozejrzałem się po pustym tramwaju.

– Przecież wszędzie są wolne miejsca. Czego pan chce?

– Ja tylko grzecznie proszę o ustąpienie mi tego miejsca.

Poczułem jakąś nieokreśloną irytację i nie miałem ochoty się nad tym zastanawiać.

– Siadaj pan gdziekolwiek i nie zawracaj głowy – burknąłem.

– Ale w czym jest problem? To tylko miejsce – starszy pan był dość opanowany.

– No właśnie.

– Młody człowieku, wstań, jak starsza osoba prosi. Patrz, ile masz wolnych miejsc.

Jakaś przekora mi się włączyła z powodu tej bezsensownej presji. Zapytałem więc szybko:

– A czy nie uważa pan, że to komiczne?

– Co jest komiczne? – staruszek spojrzał na mnie cwaniacko i podejrzliwie, a ta jego reakcja mnie dość zaskoczyła. Nie dałem jednak tego poznać po sobie.

– Ta cała sytuacja – rzekłem.

– Sytuacja jest taka, że młody siedzi, a starszy człowiek stoi. Dramat raczej.

– Dramatem to pan jest – odwróciłem głowę w stronę okna. Traktowanie takich sytuacji z dystansu zawsze pomaga, ale jest trudne, kiedy ktoś stoi nad nami i nie chce się odsunąć.

– A ty, młodzieńcze, jesteś niewychowany i nie masz godności. Teraz rozumiem, dlaczego nie ustąpisz starszej osobie – oznajmił wyniośle.

Za tego „młodzieńca" tym bardziej nie miałem ochoty ustępować miejsca. Doświadczenie trzydziestoparolatka podpowiadało mi ironicznie, że i tak lepiej być siedzącym młodzieniaszkiem, nieutrudniającym nikomu życia, niż chwiejącym się bez sensu komuś nad głową świrniętym starcem. Czułem, że nie powinienem był już z nim rozmawiać, jednak coś mnie podkręciło i kontynuowałem ten bezsensowny dialog:

– Moja godność obsikała to miejsce i jest moje.

– To nic. Możesz wstać i mokre plamy wytrzeć chusteczką.

Spojrzałem w jego oczy okraszone rzadkimi brwiami. Wydawało mi się, że gdyby tylko mógł, to rzuciłby się na mnie z tą swoją laską.

– Odczep się, człowieku, bo zadzwonię na policję! – zagroziłem.

– O nie, młodzieńcze, to ja zadzwonię na policję. I to natychmiast! Nauczą cię manier.

– Phi... Śmieszne... A dzwoń sobie człowieku...

Starszy pan oparł na chwilę laskę o pionową poręcz i zaczął wolną już dłonią przeszukiwać marynarkę. Jego ruchy stawały się coraz bardziej gorączkowe, zwłaszcza, że nie mógł chyba znaleźć swojego telefonu.

– Niech to szlag trafi – zaklął po cichu.

Nastąpiła chwila nerwowej ciszy i miałem nadzieję, że staruszek już sobie odpuści. Myliłem się jednak i otworzyłem szeroko oczy, po tym co miałem usłyszeć:

– Czy będziesz miał na tyle honoru młody człowieku, aby użyczyć mi swojego telefonu?

– Chwila! Aferę pan tu robi i jeszcze chce pan mój telefon, aby zadzwonić na policję na mnie? Tak? O to chodzi? – prawie wybuchnąłem śmiechem.

– Dokładnie tak, z tym, że aferę to ty młody człowieku teraz robisz i proszę nie ustawiaj sytuacji pod siebie. To jak będzie z tym telefonem? – zapytał.

– Niestety, proszę pana, wyładował mi się. Proszę iść sobie tam, do motorniczej – wskazałem mu kierunek z ironicznym uśmiechem.

Nie miałem już zamiaru odpowiadać na zaczepki dziadka i odwróciłem się w stronę okna. W odbiciu szyby mogłem obserwować jego dalej wiszącą nade mną bezradność. W tej samej chwili zorientowałem się, że tramwaj wciąż przemierzał peryferyjne strefy miasta, choć przecież już dawno chyba powinien wjechać w śródmieście. Nie zatrzymał się również na najbliższym mijanym przystanku, choć stali na nim potencjalni pasażerowie, śledzący go obojętnym wzrokiem. Zacząłem się rozglądać, aby określić, gdzie właściwie jedziemy, bo nie poznawałem tych okolic. Wtem poczułem miarowe stukanie laski o moje siedzenie. Postanowiłem nie reagować, ale staruszek był coraz bardziej napastliwy. Uderzenia były wręcz chamskie i właśnie dlatego tym bardziej nie chciałem ustąpić wariatowi. Spojrzałem na niego z pobłażaniem, a on na szczęście zaprzestał. W jego niebieskich oczach mieszały się żal, nienawiść i coś jeszcze niedopowiedzianego, co unosiło się zarówno nade mną, jak i nad nim.

– Nie masz dosyć, człowieku? - zapytałem spokojnie. – Zawału tu zaraz dostaniesz.

– Ile?

– Co ile? - zdziwiłem się.

– Ile chcesz młody człowieku? Dziesięć, dwadzieścia złotych?

Nie miałem pomysłu, co z tym dalej zrobić. Już nawet śmiać mi się nie chciało ale wstać z miejsca nie miałem zamiaru. Człowiek czasem zaczyna znęcać się nad sytuacją, która go irytuje, choć sam do tego nie chce się przyznać. Jest to rodzaj masochizmu, którego może potrzebuje, by potem mieć o czym opowiadać innym, w tym celu, aby ci inni klepali go za to po plecach. Brnąłem w to i nie chciałem ustąpić. Zresztą kto by mnie zapewnił, że staruszek nie pójdzie za mną i nie uderzy mnie swoją laską po głowie.

– Daj pan spokój. To zaczyna być żenujące – stwierdziłem.

– Ależ proszę, śmiało. Ile chcesz za ustąpienie miejsca starszemu schorowanemu człowiekowi? Emeryt da radę.

I wtedy chyba znów odezwała się moja przekorna natura, bo nagle odpowiedziałem mu z uśmieszkiem na ustach:

– Dobrze, skoro pana tak to kręci, to

Tadeusz Ogrodnik

stówkę poproszę, ale w banknotach po pięćdziesiąt.

– Trzeba było tak od razu, młody człowieku, a nie cudować i udawać wychowanie – staruszek uśmiechnął się triumfująco i zawadiacko.

Znów oparł swoją laskę o pionową poręcz i sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki. Byłem ciekaw tej chwili, kiedy wyciągnie banknoty i zacznie mi je wręczać. Idiotyzm osiągał swoje apogeum i nabrałem ochoty, aby poznęcać się nad dziadkiem, choć ostatecznie może bym tego nie robił. Tego nie wiem. Niecodziennie przecież jesteśmy świadkami i uczestnikami dziwnych sytuacji, które potrafią wydobyć z nas to, czego sami nie lubimy w innych. Staruszek wyjął czarny portfel i już miał go zamiar otworzyć, kiedy tramwaj zakołysał się na nierównych torach. Jego laska poleciała z hukiem po schodach, pod same drzwi wyjściowe.

– I gdzie ona tak pędzi? Wariatka jedna! – krzyknął, spoglądając w kierunku motorniczej.

– Życie, proszę pana, życie – skwitowałem cynicznie.

W tym momencie zauważyłem, że kierująca tramwajem przyglądała się całej sytuacji w lusterku, pewnie o tyle, o ile mogła w trakcie jazdy. Staruszek tymczasem, zamiast mi wręczać banknoty, schował portfel i ruszył po swoją laskę. Wcześniej nie zwróciłem uwagi na to, że miał problem z poruszaniem się. Trochę utykał na prawą nogę i wydawało mi się, że czynność podniesienia laski będzie dla niego nie lada wyczynem. Miałem rację, ponieważ zszedł z trudem, trzymając się kurczowo obiema rękami poręczy, na pierwszy schodek. Zatrzymał się na nim i czasem spoglądał w stronę kabiny motorniczej. Stał tak chwilę, zbierając zapewne siły do dalszych działań. Nawet próbował się schylić, ale widziałem jego wahanie i grymas na twarzy. Nie wiem czemu, ale żal mi się go nagle zrobiło. W sumie, choć wariat, to jednak starszy schorowany człowiek. Patrząc na niego, pomyślałem, że tendencyjne jest zakładanie, że każdy kiedyś taki będzie. Ja dopuszczałem tylko możliwość, że albo wcześniej umrę, używając za bardzo życia, albo będę jeszcze gorszy niż ten pan, z powodu tego, że używać życia już nie mogę. Uśmiechnąłem się w duchu na tę myśl, choć po chwili przeraziło mnie to, że nawet okruchy empatii potrafią być źródłem egoistycznej radości. Człowiek, aby być w pełni sobą, musi chyba się poczuć lepszy od drugiego człowieka, nawet w tak dziwnych okolicznościach. Pamiętam, że nagle wstałem i podszedłem do drzwi.

– Proszę się cofnąć – powiedziałem do staruszka.

Starszy pan, nic nie mówiąc i nie bez trudu, wszedł z powrotem na platformę, a ja zanurzyłem się pod schody. Kiedy podnosiłem laskę, dziadek niespodziewanym, dość energicznym ruchem wskoczył na moje miejsce, a zrobił to, jak rasowy kot w analogicznym wieku.

– W końcu! Uff! – głos triumfu wydobył się z jego ust. Staruszek zaczął poprawiać sobie kapelusz, marynarkę, kwiatka w butonierce, nie zwracając już uwagi na nic dookoła. Jego twarz emanowała dumą i zadowoleniem. Przyglądałem mu się przez parę sekund, myśląc, że są takie chwile, kiedy warto chwycić za karabin i zrobić coś dla społeczeństwa bezinteresownie. Jednak zamiast rzucić laskę z powrotem pod drzwi tramwaju, o czym pomyślałem w pierwszej chwili, powoli podałem ją starszemu panu.

– Ależ proszę – powiedziałem ostentacyjnie, akcentując specjalnie pierwsze słowo.

Dziadek odebrał swój kawałek drewna i utkwił wzrok w oknie. Myślę, że obserwował mnie w odbiciu szyby i teraz to ja byłem wiszącą nad nim bezradnością.

– Dziękuję bardzo, to miłe z twojej strony, młody człowieku – powiedział, zerkając na mnie kątem oka, a kiedy odchodziłem na przód tramwaju, usłyszałem jeszcze za sobą:

– Jednak jesteś dobrze wychowany. Pomyliłem się.

Zająłem miejsce na początku, przy kabinie motorniczej, w dość bezpiecznej odległości od starca. Próbowałem znów pozbierać w myślach ten swój pośpiech, ten swój kop, bez którego nie mogłem sobie wyobrazić normalnego funkcjonowania. Spojrzałem na swoją lewą rękę, aby zobaczyć na zegarku, która właściwie jest godzina, a potem odwróciłem się jeszcze w stronę tego człowieka. Patrzył teraz dziwnym rozmarzonym wzrokiem na przód pojazdu, w kierunku miejsca obok mojego, ale w rzędzie siedzeń po przeciwnej stronie. Niewątpliwie był w swoim świecie – zamyślony, może gdzieś fruwający w absurdzie, kontemplujący zapewne wszystkie czasy swojego życia jednocześnie. Ponieważ sprawiał przy tym wrażenie dobrodusznego i poczciwego staruszka, to odwróciłem się od niego z niesmakiem. Po chwili zauważyłem, że tramwaj znów ominął jakiś przystanek, na którym stali zamyśleni ludzie. Chciałem podejść do motorniczej i zapytać o trasę, kiedy pojazd ponownie delikatnie zakołysał się jak łódka.

– Ty wariatko jedna! Czy ja jestem workiem kartofli?! – usłyszałem głos starca. Zobaczyłem, że wstaje z miejsca i chwiejąc się, odgraża swoją laską. – Wyrzuć ją z tej kabiny! – krzyknął do mnie.

W tym momencie motornicza otworzyła swoje drzwiczki. Średni wiek oraz krótkie, tlenione na blond włosy nie wyróżniały się szczególnie, w przeciwieństwie do jej mocnego głosu z charakterystyczną barwą.

– Usiądziesz tam w spokoju, czy też nie?! – zawołała patrząc w lusterko - Na policję zaraz zadzwonię!

– To dzwoń sobie! – staruszek dalej pohukiwał.

– Może pan uspokoić tamtego pana? – motornicza niespodziewanie zwróciła się do mnie.

– Ale co ja mogę? – odparłem, wzruszając przy tym ramionami.

– Jeszcze ci pokażę! – głos z tyłu nie dawał za wygraną – Ty małpo! Ty...!

– Widzi pan, co się dzieje? Przecież padnie nam tu zaraz, a ja nie mogę się zatrzymać.

Trudno mi powiedzieć, dlaczego wstałem i wróciłem tam do niego. Może to sprawił głos motorniczej, który potrafił wydobyć ze mnie to „coś", a może w głębi duszy miałem nieuświadomioną potrzebę zrewanżowania się starszemu panu za jego bezczelność. W każdym razie, kiedy tylko staruszek zobaczył, że zbliżam się, natychmiast usiadł z powrotem. Uśmiechnąłem się. Chyba się przestraszył, że go podsiądę. Zająłem więc miejsce równolegle do niego, po przeciwnej stronie tramwaju. Starszy pan zdjął kapelusz, wyjął grzebień i zaczął przyczesywać swoje siwe włosy, udając, że mnie nie widzi.

– Po co te nerwy? Nie szkoda panu zdrowia? – zapytałem po chwili.

– Nie szkoda. Ona zawsze tak jeździ. Złośliwa jest i tyle.

– Chyba pan trochę przesadza. Jej wina, że tory są nierówne?

– Ale pędzi na złamanie karku i skupić się nie można – skwitował staruszek, przygładzając włosy. Po chwili schował grzebień i założył z powrotem swój kapelusz.

– Skupić się, to wie pan gdzie można... Ale w tramwaju?

– Wypraszam sobie, młody człowieku. To moja prywatna sprawa, gdzie się skupiam – oburzył się i to mnie tym bardziej rozbawiło.

– Dobrze, już dobrze, nie wnikam, gdzie się pan skupia. Ale panu to chyba ciężko dogodzić? Albo miejsce, albo wstrząsy, zawsze coś.

– Jak będziesz w moim wieku, to sam zobaczysz – odparł zerkając na mnie.

– Na razie to zobaczyłem jakąś dziwną akcję o miejsce i to mi wystarczy.

– To mogłeś, młody człowieku, od razu ustąpić i nie byłoby o czym mówić.

– Przecież to jakiś kretynizm jest – stwierdziłem poważniej.

– Znowu sobie wypraszam.

– A jak to nazwać inaczej? Tramwaj pusty, a pan się szarpie o miejsce i straszy policją.

– Proszę mi nie dokuczać – obruszył się. – Po prostu zależało mi na tym, aby tu usiąść, i tyle.

– To znaczy?

– Przyzwyczajenia starego człowieka – rzucił na odczepnego.

– Dziwne przyzwyczajenia.

– Nie każdy musi rozumieć... A stąd na przykład lepiej wszystko widać: kto wsiada, kto wysiada... O! Nawet tę motorniczą widać w lusterku – wskazał na kabinę. – Patrz, młodzieńcze, jak łypie tym swoim okiem. Wariatka! – krzyknął niespodziewanie w jej kierunku.

– Niech pan już da spokój z tym krzykiem – próbowałem go uspokoić, wiedząc oczywiście, że coś ściemnia – Stąd też wszystko widać, no i co z tego? Dla mnie to wszystko jest proste. Nudzi się pan i szuka atrakcji.

– Mylisz się, młody człowieku. A zresztą, co ja się będę tłumaczyć – burknął na koniec z pretensją.

Nie miałem zamiaru wypytywać na siłę kogoś, kto z dużym prawdopodobieństwem był wariatem. Co mógłbym od niego usłyszeć? Jakiś zbiór niedorzeczności, który by mi tylko zanieczyszczał umysł. Poza tym człowiek odkrywa się takimi pytaniami i traci wtedy tę bezpieczną przestrzeń, z której może zawsze spokojnie atakować otaczającą go trudną rzeczywistość.

– Nie musi pan – stwierdziłem. – Ciekawy jestem tylko, jak reagują inni pasażerowie, na pana zaczepki. Są pewnie bardzo mili? – zapytałem.

– Wypraszam sobie. Nikogo nie zaczepiam. Zazwyczaj nikt tu nie siedzi o tej porze. Tylko z tobą młody człowieku był problem.

Odczułem tym razem zarówno groteskowość sytuacji, jak i pewną dezaprobatę wobec słów staruszka, więc wyjaśniłem:

– Miałem prawo być zdenerwowany z rana, a do tego jeszcze pan mi tu wyskoczył z tym miejscem.

– Wy młodzi zawsze jesteście zdenerwowani – rzekł. – Co to za czasy?

– Nieważne – zbiłem temat natychmiast – Naprawdę chciał mi pan zapłacić?

– Ale za co? – staruszek zdziwiony uśmiechnął się i spojrzał na mnie.

– Za miejsce.

– Wolne żarty. Rozumiem... urząd, szpital – tam to się smaruje, ale za miejsce w tramwaju? Niedoczekanie.

– To po co pan portfel wyciągnął?

– Zdawało ci się młody człowieku. Tramwaj tak pędzi, że twoje złudzenia optyczne są więcej niż murowane – skwitował, po czym odwrócił głowę w stronę okna.

Teraz byłem już pewien, że staruszek bawi się w coś i nie ma sensu wdawać się z nim w dyskusje, które chyba bardzo lubił. Może robił to z nudów i wypełniał tak

Tadeusz Ogrodnik

sobie czas rozrywkami, przy okazji irytując wszystkich dookoła. Niektórzy starsi ludzie mają ten szczególny „dar". Wydaje im się, że coś tam więcej przeżyli i należy im się szacunek z racji samego wieku – taka tragedia antyczna, z której niby warto czerpać garściami. Co za absurd. Jak na razie, to staruszek był dobrym przykładem farsy, być może i śmiesznej, lecz chyba tylko dla niego samego. Odpuściłem więc sobie. Lepiej tę energię oszczędzać, aby móc funkcjonować w tym rozjechanym na miliony kawałków sumieniu tego świata.

Zaprzestałem więc słownej utarczki, zwłaszcza, że tramwaj dalej jechał nieznanymi mi peryferiami miasta i po raz kolejny pominął jakiś przystanek. Spojrzałem znowu na zegarek. Było jeszcze dość wcześnie, ale to wcale nie oznaczało, że nie chciałem dotrzeć do domu o czasie. Nie podróżowałem tą linią zbyt często, ale pamiętałem mniej więcej, jaką ma trasę. Oczywiście mogło się coś zmienić, ale informacja o tym została pewnie zerwana na przystanku wraz z rozkładem jazdy i dlatego mogłem nic o tym nie wiedzieć. Poszedłem pod kabinę i zapukałem w metalowe drzwiczki, które po chwili uchyliły się. Motornicza miała małe uszy i parę zmarszczek w kącikach oczu. W młodości pewnie mogła się podobać, ale życie chyba mocno ją potrąciło.

– Przepraszam panią, czy tramwaj dobrze jedzie? – zapytałem.

– Była awaria starej trakcji i mamy objazd. Czasem tak bywa na tej trasie – oznajmiła spokojnie.

Trochę mnie to zirytowało. Mogła chociaż wcześniej poinformować łaskawie pasażerów o tej zmianie kursu. Uznałem jednak, że za dużo już tych tramwajowych stresów na dziś, a poza tym jej sposób mówienia jakoś mnie stonował.

– A długo to potrwa? Spieszę się bardzo.

– Spokojnie, wyrobimy się w czasie. Jadę zresztą szybciej i za chwilę będziemy już pewnie z powrotem na kursie – wyjaśniła. – Pan Jerzy się uspokoił?

– Nie sądzę. Staruszek jest strasznie upierdliwy.

– Niech się pan nim nie przejmuje. On tu tak co tydzień szaleje już od wielu lat – powiedziała z uśmiechem na uszminkowanych trochę ustach.

– O miejsce się ze mną kłócił. Jeszcze płacić mi chciał.

– Normalka, proszę pana. On dokładnie w każdą sobotę, jak w kalendarzu, siada sobie w tamtym miejscu i zawsze się o nie kłóci, jak jest zajęte. Kiedyś mało brakowało, a byłby się pobił z drugim staruszkiem. Policję chciałam wzywać, bo laskami się już prawie zaczęli okładać i pluli na siebie... Emeryci...Ten go szarpał i próbował zrzucić z miejsca, ale tamten się zaparł i basta. Wyobraża pan sobie?

– Nawet nie chcę.

– Podobno na randki jeździ i tamto miejsce go wyjątkowo uspokaja. Tak mówi – oznajmiła i nawet spojrzała na mnie przez chwilę, obracając głowę.

– Randki? W jego wieku? - uśmiechnąłem się.

– A niech sobie jeździ na te randki, tylko niech nie szaleje i pasażerów nie zaczepia. Wariat jeden – podsumowała, po czym szybko ucięła rozmowę. – Dobra, przepraszam, ale muszę się skupić na jeździe.

Zamknęła drzwiczki, a mnie tymczasem dalej korciły te „randki", zwłaszcza, że kwiat w butonierce dziadka był dość wymowny. Taka informacja pewnie każdego by rozbawiła, chociaż w dzisiejszych dość frywolnych czasach różnie to bywa, nawet wśród osób w znacznie zaawansowanym wieku. Poczułem, jak moja potrzeba odczuwania pośpiechu przeistacza się dość niekontrolowanie w sarkazm na ten „słaby punkt" staruszka. Skoro i tak objazd się przedłużał, to mogłem chociaż rozerwać się dla lepszego samopoczucia. Pomyślałem sobie też, jak trudno w skrajnych warunkach zachować dystans. Czasem go po prostu nie ma, kiedy może powinien pojawić się tym bardziej, i człowiek nic na to nie może poradzić.

Wróciłem z powrotem do staruszka, ale zająłem siedzenie o dwa miejsca bliżej niż poprzednio, tak, że teraz byłem naprzeciwko drzwi wyjściowych. Pan Jerzy patrzył spokojnie w okno, choć nie wierzę w to, że nie obserwował mnie ukradkiem. Schludna marynarka, kwiatek i elegancki kapelusz - to wszystko układało się w całość. W rękach oprócz laski coś trzymał - chyba jakiś notesik, ale nie mogłem dostrzec co konkretnie, gdyż za chwilę schował to do kieszeni marynarki.

– Gdyby mi pan powiedział, że jedzie na randkę, to od razu bym panu ustąpił – powiedziałem z uśmiechem.

– A co to ciebie obchodzi, młody człowieku? – zapytał, nawet się nie poruszywszy.

– W zasadzie to nic.

– Żałujesz starszemu człowiekowi randki? – odwrócił głowę w moją stronę i spojrzał na mnie wymownie.

– Nie, no co pan? Randka dobra rzecz – kontynuowałem. – Nawet w tym wieku.

– Wiek nie ma tu nic do rzeczy. Jak się chce, to się potrafi.

Staruszek powiedział to tak pewnym głosem, że musiałem mu przytaknąć:

– W sumie prawda.

Chyba przez to trochę bardziej się rozluźnił, bo nagle powiedział coś zupełnie innym tonem, coś, co tym bardziej mnie nakręciło:

– Mam nadzieje, że się nie spóźnię. Trochę się denerwuję…

– To widać – potwierdziłem. – Sypie się panu...

– Co się sypie? – przerwał mi zaniepokojony.

– Pański kwiatek się sypie. Znaczy pyłek – wskazałem na jego marynarkę. Spojrzał na nią. Była cała okraszonej białym proszkiem.

– To tylko łupież. Proszę się nie czepiać – odparł.

– Ojej, wcale się nie czepiam. Przepraszam.

Pan Jerzy zaczął otrzepywać się z łupieżu, a ja dostrzegłem, że pod jego czarnymi wypastowanymi na połysk butami leży coś, czego wcześniej nie było na podłodze. Przypominało to małą białą kartkę lub może odwrócone zdjęcie.

– Coś chyba panu upadło – wskazałem ręką.

Staruszek z siedzenia zaczął rozglądać się po podłodze. Dostrzegł biały prostokąt i to go mocno poruszyło. Natychmiast wyciągnął swój notesik i zaczął go wertować.

– Ojojoj, to moje – stwierdził, po czym podjął rozpaczliwą próbę podniesienia swojej zguby, używając zarówno drżących rąk, laski, jak i butów.

Z oczywistych względów nie miałem zamiaru mu pomagać. Po kilku próbach udało mu się podnieść w końcu ten papier, który chyba był jednak zdjęciem. Wielce uradowany włożył je w notesik, który schował zaraz do kieszeni, po czym spojrzał na mnie. Odwróciłem się z niechęcią, choć dalej czułem na sobie jego wzrok. Znowu zapragnąłem odciąć się od tego typa, ale nie miałem ochoty ponownie się przesiadać, bo ileż razy można spacerować po tramwaju tam i z powrotem. Włożyłem więc sobie tylko słuchawki do uszu. Zresztą moje zainteresowanie dziadkiem już i tak osłabło, tym bardziej, że tramwaj wracał na swoją pierwotną trasę, skręcając niespodziewanie na dużym skrzyżowaniu ulic, które już rozpoznawałem. Wiedziałem wreszcie, gdzie jesteśmy, choć mieszkałem w tym mieście od niedawna. Domyślałem się tylko, że ominęliśmy znaczny fragment śródmieścia i teraz zmierzaliśmy do przeciwległych peryferii miasta, w których wynajmowałem mieszkanie.

Pojazd mknął dalej, a mijane, budzące się ze snu skwery i ulice narzucały swój rytm, który współgrał z płynącą w moich uszach muzyką. Staruszek „odfrunął" gdzieś na krańce mojego świata i starałem się o nim nie myśleć, choć pojedyncze smugi tej dziwnej sytuacji wracały do mnie co rusz. Tymczasem ogarniałem spojrzeniem przechodzących gdzieniegdzie pojedynczych ludzi, których poranne światło dnia zaczęło już wypraszać z domów lub też dopiero do nich kierować. Przypisywałem sobie ich kroki do tempa grającej muzyki. Bawiło mnie to. Z tej perspektywy zawsze łatwiej spoglądać na przechodniów, ale co właściwie mnie ci ludzie mogli obchodzić. Zmierzałem już do siebie, do swojego lokum i automatycznie zacząłem się zastanawiać, co powinienem dziś zrobić, jaki obrać plan. Nie przepadałem za marnowaniem czasu i zazwyczaj musiałem mieć wszystko dopięte w swojej układance dnia. Z tych rozmyślań wyrwały mnie powtarzające się miarowo stuki o podłogę. Z początku to zbagatelizowałem, ale moja układanka co rusz mi się rozsypywała przy tym dodatkowym rytmie. Wyjąłem słuchawki z uszu. Wiedziałem, że ma to związek z moim towarzyszem podróży i wolałem być przygotowany na coś, co mogło znów nastąpić. W momencie, kiedy na niego spojrzałem, odezwał się do mnie:

– Młody człowieku, przepraszam, czy mógłbyś na chwilę pozwolić? – starszy pan miał tym razem jakiś inny wyraz twarzy, taki zbyt poczciwy i zbyt szczery, ale przerabiałem to już przecież.

– Co pan chce tym razem? Aferę znowu jakąś?

– Chciałbym ci coś wyjaśnić. Pozwól na moment – mówił bardzo grzecznym tonem, którego wcześniej nie słyszałem w jego ustach. – Proszę… – dodał po chwili, nie widząc mojej reakcji i to „proszę" było bardzo spolegliwe.

Popatrzyłem na niego badawczym wzrokiem, choć żadna szczególna myśl nie przyszła mi w tym momencie do głowy. Po dłuższej chwili milczenia i pewnego wahania, przesiadłem się na miejsce tuż za nim.

– Tak? – odezwałem się powściągliwie.

Pan Jerzy odwrócił się do mnie, pomagając sobie laską.

– Widzisz. Poznałem jakiś czas temu pewną młodą atrakcyjną damę i właśnie teraz jadę na takie spotkanie z nią – powiedział.

– To znaczy?

– Na taką schadzkę tylko we dwoje – wyjaśnił. – Przy mnie to oczywiście każda dama jest młoda, ale ta jest naprawdę młodziutka. Jeśli powiem, że jest młodsza od ciebie, to wystarczy – dodał.

– Z pana to chyba jest niezły kozak? Co? – rzuciłem krótko.

– Słucham? Wypraszam sobie – był mocno zdziwiony moją reakcją.

– Pan ma tyle lat i podrywa pan jeszcze młode laski?

– Znów sobie wypraszam, młody czło-→

wieku, żadne laski, tylko jedną konkretną damę.

Kolejny raz nie mogłem powstrzymać się od sarkazmu.

– A tę damę to gdzie pan poznał? Może w takim jednym miejscu...? – dopytywałem, puszczając do niego oko. – Ja to, oczywiście, rozumiem…

Moje słowa bardzo go zbulwersowały.

– No nie, teraz to już bezczelność twoja, młodzieńcze, przekracza wszelkie granice! Proszę o twój telefon, dzwonię po policję, bo mnie tu nagabujesz i obrażasz. Jak tak można mówić o damie?!

– Proszę się uspokoić. Chce pan mieć za chwilę randkę w szpitalu?

– To proszę mi tu nie sugerować takich świństw! – staruszek był chyba naprawdę poruszony moimi słowami, bo cały aż się trząsł.

– Dobrze, nie będę – rzekłem pojednawczo. – Ale trochę ciężko mi sobie wyobrazić to, co pan mówi.

– Pewne rzeczy trzeba przyjąć jako fakt, a nie dopowiadać sobie. Miłość nie zna granic i kropka.

– Skoro jest miłość, to czemu pan się tak denerwuje?

– Ponieważ ta młoda dama nie wie, że ja mam już trochę więcej tych lat – odparł.

– Nie wie?

– Nie wie, bo do tej pory to był romans korespondencyjny, że tak to ujmę, tylko poprzez liściki. Bardzo to długo trwało, zanim dama zgodziła się na spotkanie, ale udało mi się – rzekł, po czym gładząc dość wymownie swoją siwą brodę, dodał jeszcze – Wiem, diabeł zawsze tkwi w szczegółach, ale cóż... jadę.

Nieoczekiwanie staruszek powiedział to takim tonem, który zbił mnie z tropu. Potrafił nagle zapanować nad emocjami i wykorzystać to, aby podkreślać znaczenie wypowiadanych przez siebie słów. Muszę przyznać, że miał ten dar i to zrobiło na mnie wrażenie, choć nie do końca dawałem wiary temu, co mówi.

– Może ta dama też kłamie i wcale nie jest młoda. Skąd pan wie? – zapytałem.

– Młody człowieku, zapamiętaj, kota nigdy nie kupuje się w worku. Widziałem ją wcześniej i wiem jak wygląda – powiedział to z wyjątkowym przekonaniem.

– Chyba, że tak – odparłem.

– Zobaczyłem ją tutaj, z tego właśnie miejsca. Weszła tymi drzwiami i tam usiadła – rzekł, po czym wskazał miejsce z przodu tramwaju, na które wcześniej patrzył rozmarzonym wzrokiem. – Nawet spojrzała na mnie... Wtedy, po prostu, jakby piorun we mnie uderzył. Nigdy nie spodziewałem się, że tak można myśleć o kimś... tak nagle... Smukła, delikatna, zgrabna jak diabli... Profil, te oczy... Po prostu piękna kobieta... Całą drogę na nią spoglądałem i nie mogłem oderwać oczu. Co ja mówię, ja wręcz pożerałem ją wzrokiem jak nigdy nikogo wcześniej... Potem wysiadła... Tramwaj ruszył, a ja tylko za nią patrzyłem, patrzyłem... byłem jak w amoku jakimś. Niektórzy ludzie to nie wierzą w coś takiego, nie potrafią sobie tego wyobrazić. Ale tak naprawdę się dzieje...

Słuchałem z zaciekawieniem tego, co mówił staruszek. Przyszło mi na myśl, że może rzeczywiście zakochał się i podążał za nieoczekiwanym porywem swojego serca. Oczywiście, mógł w tym wszystkim trochę konfabulować adekwatnie do swojego wieku, ale wystarczyło, abym odczuł nastrój jego przeżyć. Człowiek ulega czasem atmosferze sytuacji w tych dziwnych niekreślonych momentach. Może to kwestia potrzeby odreagowania własnych emocji, które się kiedyś zagubiły, a teraz są przywoływane z zewnątrz jak rysunek odbity na kalce.

– To jak się pan z nią umówił? Bo rozumiem, że wysiadła, a pan pojechał dalej?

– No tak, tutaj był pewien problem – westchnął. – Wysiadłem zaraz na następnym przystanku i wróciłem, ale jej już nie było. Oczywiście, byłem niepocieszony, załamany wręcz. Miałem takie poczucie wtedy, że straciłem kogoś naprawdę ważnego dla mnie. Nie wiem dlaczego, przecież jej nie znałem... Ale na szczęście okazało się, że mamy wspólnego znajomego. Nawet jej zdjęcie mi załatwił. Zaraz...

Staruszek sięgnął do kieszeni i wertując coś, podał mi po chwili niedużą czarnobiałą fotografię.

– Proszę zobaczyć. Co za przystojna kobieta! – rzekł z nieukrywaną dumą.

Widok portretu zrobionego w latach 50-tych, może 60-tych tamtego wieku zaskoczył mnie trochę. Delikatnej urody dziewczyna w jasnej bluzce z wzorkami, ze spiętymi do góry włosami i z lekkim uśmiechem na ustach miała może z dwadzieścia lat, choć trudno czasem określić dokładny wiek z takich zdjęć. Jej spojrzenie zwrócone było za obiektyw. Sam obraz był zawarty w białej ramie charakterystycznie przyciętej w ząbki i starty na rogach.

– Ładna... – powiedziałem, choć ogarnął mnie nie do końca sprecyzowany smutek.

– Zgadzam się. Zdjęcie stylowe, takie jakie przystoi pięknej i atrakcyjnej damie. Dobrze, że zwróciłeś uwagę, na to, że mi upadło. Miałbym kłopot, bo to jedyne jej zdjęcie, jakie posiadam. Niezdara ze mnie i tyle.

– W sobotę pan ją poznał? – zapytałem po chwili milczenia.

– Tak, a skąd wiesz młody człowieku?

– Powiedzmy, że taka młodzieńcza intuicja – odparłem, życzliwie uśmiechając się.

– E tam – skwitował staruszek i wskazał na motorniczą. – Ona ci powiedziała. Małpa jedna. Nie cierpię jej.

Zwróciłem zdjęcie panu Jerzemu, który przyjął je z celebracją w oczach. Dostrzegłem, że notesik, z którego wyjmował zdjęcie, a do którego teraz próbował je z powrotem wsunąć, był książeczką do nabożeństwa oprawioną w czarne etui. Nagle pojazd znów zakołysał się na torach, choć tym razem o wiele mocniej.

– Do cholery! Jak można tak jeździć? – zirytował się ponownie staruszek, po czym schował książeczkę do kieszeni marynarki.

Poczułem, że tramwaj powoli wyhamowuje. Pan Jerzy wstał i podszedł do drzwi. Na odchodne rzekł jeszcze do mnie tajemniczym głosem, wskazując na motorniczą, która chyba cały czas nas obserwowała:

– A na nią to uważaj. Ja już od wielu lat się z nią męczę. Gdybyś wiedział, co ta małpa tu czasem wyprawia... Ale to może następnym razem ci opowiem. Tu będę wysiadał. Kłaniam się.

Pojazd zatrzymał się obok małego cmentarza, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi, gdyż był za wysokim, obrośniętym bluszczem murem, po drugiej stronie ulicy. Staruszek powolnym krokiem wysiadł na przystanku i skierował się w stronę bramy wejściowej. Zdążyłem mu kiwnąć głową na pożegnanie i śledziłem go jeszcze chwilę wzrokiem. Tramwaj ruszył.

Nikt nie wsiadł, więc znów podróżowałem jako jedyny pasażer, ale tym razem nie czułem takiego komfortu jak na początku. Smutek, nostalgia – były to dla mnie zawsze krępujące uczucia, za którymi nie przepadałem i które zawsze tłumiłem w zarodku, jako zbędne impresje. Być może człowiek powinien czasem przewietrzyć dawno przygaszone emocje, ale ja wcale tak nie uważałem. To mogło mi tylko pogmatwać moje funkcjonowanie. Nie potrzebowałem takich fajerwerków własnych odczuć. Po co mi one, co mi mogą dać? Doskwierało mi to jednak, ale w dalszym ciągu nie znajdowałem w sobie gruntu do odparcia tego niepotrzebnego zawirowania, które wykręcało mnie w środku, coraz bardziej natarczywie.

Kiedy tak szarpałem się sam ze sobą, zorientowałem się, że zdjęcie, które staruszek przed chwilą wkładał do książeczki, musiało mu wypaść, leżało bowiem ponownie na podłodze. Automatycznie ścisnęło mnie w środku, kiedy je dostrzegłem. Przez dłuższą chwilę patrzyłem na tę pożółkłą biel rewersu, przyciągającą mnie teraz jak magnes, ale nie mogłem zdecydować się na ten oczywisty ruch. W końcu wstałem, podniosłem fotografię i usiadłem na miejscu dziadka. Spojrzałem najpierw na tył zdjęcia, gdzie dostrzegłem napisaną wiecznym piórem lekko startą dedykację: „Jerzemu – największej Miłości mojego życia – Sabina". Odwróciłem powoli fotografię. Zacząłem wpatrywać się w postać dziewczyny, której obraz wywoływał we mnie wszystko to, czego nie chciałem odkrywać ponownie przed sobą. Już wcześniej to dostrzegłem, ale stłumienie tej świadomości, że była bardzo do niej podobna, okazało się wyjątkowo trudne. Dawno zerwany kontakt, te wszystkie chwile, o których człowiek nie chce lub nie może pamiętać, tak po prostu, wydobywały się na świat z tego portretu, z tego obrazu przecinających się właśnie czasów, których pętla nieskończoności nie miała ochoty mnie wyzwolić. Skierowałem wzrok w stronę miejsca, które wskazywał wcześniej staruszek. Oczyma wyobraźni widziałem tam ją. Czytała książkę, czasem poprawiając sobie opadające co rusz loki odrobinę rozwianych szatynowych włosów. Czekałem, kiedy się odwróci z tym swoim najpiękniejszym uśmiechem tego świata, którym zawsze obdarzała mnie w tych chwilach. Czekałem... W końcu odwróciła głowę, ale popatrzyła w kierunku wpatrującego się w nią natarczywie obcego mężczyzny, który przeszkodził jej w lekturze. Oderwałem speszony wzrok...

Wkrótce tramwaj zatrzymał się na moim przystanku. Wysiadałem zamyślony i skonfundowany, a motornicza spoglądała na mnie przez swoje lusterko. Zatrzymałem się zaraz po wyjściu. Przecież nie chciałem do tego wszystkiego ponownie wracać i nie mogłem sobie na to pozwolić. Byłem zły sam na siebie, na podróż, na dziadka, nawet na motorniczą, choć wiedziałem, że to irracjonalne. Nabrałem kilka głębszych porannych oddechów i już chciałem ruszyć pośpiesznie do siebie, gdy usłyszałem zamykające się z głośnym trzaskiem za moimi plecami drzwi od tramwaju. Prawie podskoczyłem. Obróciłem się gwałtownie i już miałem głośno przekląć, kiedy dostrzegłem w odjeżdżającym pojeździe na miejscu staruszka samego siebie, patrzącego rozmarzonym wzrokiem w doskonale mi znanym kierunku. Ten obraz mignął mi szybko i wraz z lusterkiem zaczął oddalać się w perspektywie torów. Stałem tak jeszcze i patrzyłem za odjeżdżającym tramwajem, który powoli zanikał w delikatnej mgle poranka.

Koniec

Mariusz Zimoński,

Renata Paliga

Wojny i Epidemie w dziejach Rzeczypospolitej

Od zarania dziejów wojny i epidemie występowały razem. Okoliczności wojny - migracje, brud, niedostatki pożywienia były idealnymi warunkami do szerzenia chorób. Epidemie z kolei wywoływały chaos społeczny i anarchię, przez co stawały się pretekstem do agresji politycznej i działań wojennych.

Epidemie to również wojna, a zjawisko to zostało uwidocznione najwcześniej w schematach neurolingwistycznych. Powyższy związek wyrażany jest za pomocą metafor obecnych we wszystkich językach. Walczymy z bakteriami, zabijamy je. Przegrywamy lub zwyciężamy z epidemią. Choroba nas niszczy, zjada, wygrywamy lub przegrywamy z ,,niewidzialnym wrogiem". W dziełach literackich będących kanonem literatury światowej znajdują się opisy epidemii, które często są tłem narracji i stwarzają okoliczności intrygi. Czytelnicy skupieni na głównych wątkach nie zauważają ich istnienia (np. William Shakespeare Romeo i Julia).

Wojny tworzyły historię świata przez przesuwanie granic, zawłaszczanie terytoriów i zniewalanie narodów. W celu odniesienia przewagi, często wykorzystywano czynniki naturalne – ukształtowanie terenu, warunki meteorologiczne jak i czynniki biologiczne. Broń biologiczna stosowana była powszechnie i w sposób naturalny, ponieważ śmiertelne choroby w oczywisty sposób wpisane były w życie ludzi. Dżuma, która zdziesiątkowała Europę i zakończyła średniowiecze, rozpoczęła się od przerzucenia ciał zmarłych z jej powodu, przez mury miasta podczas wojny oblężniczej.

Wszelkie metody wypracowane przez wieki, które miały służyć ograniczaniu zasięgu epidemii – izolacja, kwarantanna czy kordony sanitarne- były wykorzystywane w sztuce wojennej jako działania wywiadowcze, dezinformacyjne czy szeroko rozumianego wojennego podstępu.

Epidemie jak i wojny doczekały się olbrzymiej naukowej literatury. Są to zazwyczaj spojrzenia odrębne: o chorobach lub o wojnie, nie zgłębiające wzajemnych korelacji ani wagi wpływów. Badacze zajmujący się historią medycyny piszą o aspektach społecznych i statystycznych, natomiast historycy skupieni na dziejach świata i narodów, przedstawiają wydarzenia polityczne oraz ich konsekwencje. Epidemie są traktowane w sposób marginalny, jako oczywisty element tła dla historycznych wydarzeń. W analizach historycznych dotyczących strategii wojennych, epidemie nazywane są czasami ,, trzecią armią", ponieważ wiele wielkich armii i wydawałoby się wygranych wojen, ponosiło klęskę z powodu chorób szerzących się w szeregach wojska.

Spojrzenie na dzieje Rzeczypospolitej przez pryzmat epidemii chorób zakaźnych występujących podczas wydarzeń, które zaważyły na losach narodu, stało się dla mnie ciekawym wyzwaniem badawczym. Z mojej perspektywy, lekarza, jednoczesna interpretacja historii świata i dziejów medycyny, odniesienie metod historycznych terapii do współczesnych rekomendacji terapeutycznych oraz poszukiwanie wpływu historycznych epidemii na losy Rzeczypospolitej jest zupełnie naturalne. W książce starałam się umieścić to spojrzenie, oraz własną interpretację wydarzeń opisywanych wcześniej przez innych badaczy.

Kara Boża, semina, contagium miazmaty …

Do lat osiemdziesiątych XIX wieku, nie potwierdzono w sposób naukowy istnienia czynników wywołujących epidemie. Chorobom nadawano nazwy kierując się charakterystycznymi objawami lub okolicznościami występowania. Groźne schorzenia prowadzące do depopulacji, określano jako ,,powietrzne", czyli przenoszone z powietrzem.

Jeszcze w XVIII wieku funkcjonowały różne teorie na ten temat. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że przyczyn chorób i epidemii szukano w sferach niematerialnych – pochodzących od Boga (kara), oraz w czynnikach podejrzewanych o materialne na podstawie obserwacji, lecz nie potwierdzonych przez naukę - contagium, semina czy miazmaty. Ten dualizm, funkcjonował równolegle i na równych prawach, co dla ludzi współczesnych może być trudne do zaakceptowania. Metody ówczesnego leczenia pochodziły z analogicznego spektrum. Stosowano modlitwy lecznicze, noszono krzyże Karawaki traktując to jako profilaktykę, w czasie epidemii odżywały kulty świętych (w Rzeczypospolitej Św. Roch, Sebastian i Rozalia), a jednym z powszechnych rytuałów mających zapobiegać zarazie w miastach, były okrężne procesje wzdłuż murów (rytuał pochodzący ze starożytności), z obrazem Matki Bożej Łaskawej, którą przedstawiano ze strzałami w dłoniach. Symbolizowały one choroby jako karę pochodzącą od Boga. Jednocześnie ustanawiano kwarantanny, stosowano izolacje, odkażanie dymem i innymi substancjami, zabijano drzwi domostw, palenie przedmiotów itp.

Spory na temat przyczyn epidemii i chorób trwały do końca XIX wieku, do tzw. ,,przełomu bakteriologicznego", kiedy wskazano biologiczny, materialny czynnik wywołujący choroby (odkrycie bakterii przez Roberta Kocha 1882), powstania aseptyki, antyseptyki oraz wypracowano metody zachowań społecznych, które prowadziły do ograniczenia epidemii.

Dżuma

W XVIII wieku, w czasie epidemii chorób ,,powietrznych", stosowano kwarantannę, kordony sanitarne i izolację. Przedmioty pochodzące z terenu epidemii dezynfekowano octem, listy nakłuwano i okadzano, palono rzeczy z zakażonych domów. Na terenach Rzeczypospolitej palono całe domostwa, zdarzało się, że z żywymi ludźmi w środku. Chorych wypędzano z miejsc zamieszkania np. do lasu, na pole, pozbawiano majątku. Osobom pochodzącym z miejsc ,,zapowietrzonych" (zakażonych) zabraniano przemieszczenia się. Wypędzeni ludzie błąkali się szukając miejsca do życia. Naturalnie, w ich interesie było ukrywanie choroby. W obliczu tak radykalnych metod trudno było spodziewać się dobrowolnego poddaniu się wymogom znanym dziś jako przeciwepidemiczne.

Powszechnie stosowanym sposobem mającym na celu powstrzymanie rozprzestrzenianie epidemii były kordony złożone z wojska prywatnego i chłopów. Byli to ludzie rozstawieni co kilkanaście metrów, uzbrojeni w broń, pałki i kije, których zadaniem było zatrzymanie ludzi przybywających z terenów ,,zapowietrzonych". W praktyce sprowadzało się to do ich bicia, przeganiania, często zabijania. Była to żywa zapora, obronny mur tworzony z ludzi, przez ,,powietrzem", analogiczny w swym zamyśle do budowanych w XVIII wieku fortyfikacji i twierdz.

W lecie 1770 roku, na terenach graniczących z Turcją pojawiła się dżuma. W czasie politycznego osłabienia Rzeczypospolitej, trudnej sytuacji związanej z konfederacją barską, słabej pozycji króla Stanisława Augusta Poniatowskiego zbliżała się kolejna klęska. W Warszawie zapanował niepokój podsycany przez służby dyplomatyczne obcych mocarstw. Rosjanie natychmiast wykorzystali strach przed dżumą jako pretekst do ustanowienia w Warszawie posterunków własnych wojsk, m.in. do pilnowania spichlerzy, ponieważ w izolowanych z powodu epidemii miastach częste były rozruchy społeczne na tle niedostatków żywności. Powstała też idea usypania wałów dookoła Warszawy, które miały chronić stolicę przed dżumą. Podjęto gremialną decyzję ich stworzeniu, lecz ponad miesiąc trwały targi kto ma za to przedsięwzięcie zapłacić… W końcu wstępne koszty poniósł sam Król Stanisław August Poniatowski z własnego budżetu.

Dżuma nigdy do Warszawy nie dotarła a usypane przeciwko ,, powietrzu" wały broniły stolicy przed Rosjanami podczas powstania kościuszkowskiego. Rosyjskie wojska mające pilnować zboża w Warszawie nigdy jej już nie opuściły.

Epidemia dżumy została wykorzystana dla celów politycznych i militarnych skierowanych przeciwko Rzeczypospolitej. Wojskowe kordony sanitarne Prus, Austrii, Rosji, które naruszyły granice Rzeczypospolitej aby bronić swych krajów przed epidemią i pomagać Polakom w nieszczęściu –zajęły jej tereny podczas pierwszego rozbioru w 1772 roku. Dżuma stała się pretekstem do →

wrogich poczynań propagandowych, do dezinformacji i w końcu działań militarnych a wojskowe kordony sanitarne obcych wojsk stały się narzędziem militarnym.

Cholera

Wybuch powstania listopadowego jesienią 1830 roku wystąpił w czasie, kiedy w Rosji szalała epidemia *cholera morbus*, choroby dotychczas nieznanej w Europie. Wątpliwość, czy planując powstanie zdawano sobie sprawę z zagrożenia epidemiologicznego, jest pytaniem typowo współczesnym. Wówczas, na wschodzie często występowały epidemie różnych chorób, a kwarantanny były traktowane jako niespodziewane atrakcje podróży w modnym wówczas poznawaniu świata. *Cholera* nigdy wcześniej nie przekroczyła granic Rosji i trudno się dziwić, że powątpiewano w odstępstwo od tej prawidłowości.

Pierwsze zachorowania na cholerę wśród polskich żołnierzy wystąpiły po bitwie pod Iganiami w kwietniu 1831 roku, po kontakcie z wojskami rosyjskimi. Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Chorych w wojsku polskim przybywało, trwały spory dotyczące zakaźności choroby (zakaźna - nie zakaźna, epidemiczna- sporadyczna itp.). W maju choroba opanowała Warszawę. Organizacja i zarządzanie miastem w obliczu epidemii nieznanej wówczas choroby zakaźnej może dziś budzić pozytywne zdziwienie. Aspekty organizacyjne walki z epidemią są zadziwiająco podobne do współczesnych. Stwierdzono, że należy zwiększyć kadry medyczne - skupiono się na zatrudnieniu lekarzy z zagranicy (chętnych nie brakowało z powodu korzystnych płac), oraz tworzeniu dużej liczby szpitali. Walki powstania toczyły się dookoła stolicy. W mieście powstawały wojskowe szpitale dla rannych i osobne dla chorych na cholerę. Szpitale powstawały też jako oddolne, lokalne inicjatywy, wynikające z potrzeby chwili i jako symbol patriotyzmu ludności cywilnej. Przyjmowano chorych i rannych, cywili i żołnierzy co powodowało rozprzestrzenianie choroby. W momencie kulminacji wojny i epidemii trudno było zapanować nad chaosem i ścisłym przestrzeganiem odgórnych – słusznych z epidemiologicznego punktu widzenia -zaleceń. Lazarety dla chorych na cholerę tworzono również po to, by nie demoralizować żołnierzy i społeczeństwa Warszawy widokiem mężczyzn, żołnierzy, patriotów - umierających na ziemi, w rowach, z powodu niepohamowanej biegunki i wymiotów.

Nie było skutecznych metod leczenia. Obowiązującą terapią były wówczas: upuszczanie krwi, picie grzanego wina, palenie prześcieradła umieszczonego na brzuchu w celu ,, wygrzania" choroby, ,,unikanie przestrachu", zioła, środki wymiotne i przeczyszczające itp. Kiedy u schyłku powstania cholera dotarła na prowincję, chorych leczono w domach ponieważ zaobserwowano, iż lepsze rezultaty przynosi zaniechanie oficjalnie zalecanego leczenia i troskliwa pielęgnacja połączona z pojeniem, czyli nawadnianiem chorych. Te obserwacje wpłynęły na obalenie dogmatu krwiupustu i rozwój nowych metod leczniczych (np. infuzjologia i transfuzjologia).

Ocenia się, że więcej żołnierzy umarło w powstaniu listopadowym z powodu biegunki i cholery niż z odniesionych ran, a epidemia zaważyła na losach zrywu narodowego. Warszawa stała się ,,miastem zero" ogólnoświatowej pandemii cholery, z którego rozwleczono ją do krajów Europy. Po 2 latach cholera pojawiała się pod postacią lokalnych ognisk epidemicznych na wszystkich kontynentach. *Cholera morbus* nękała świat przez cały XIX wiek. Pandemia towarzyszyła ewolucji nauki, przyczyniając się do odkryć medycznych oraz do wypracowania współczesnych standardów postępowania przeciwepidemicznego.

Tyfus

Zmiana sił politycznych w Europie po pierwszej wojnie światowej, wyniszczenie ekonomiczne dotychczasowych mocarstw, rewolucja bolszewicka w Rosji, strach przed epidemią duru osutkowego (tyfusu plamistego- funkcjonowało kilka nazw i określeń) przenoszonego przez wszy, zmiana rozumienia terminu ,,kordon sanitarny" (jako teren buforowy), którym miało być terytorium nowej Rzeczypospolitej, genialne wykorzystanie nadarzającej się możliwości przez polskich mężów stanu – wiele okoliczności można wymieniać w kontekście ich wpływu na odzyskanie niepodległości przez Rzeczypospolitą w 1918 roku. Niezaprzeczalnie jednak – o niepodległość walczono w okolicznościach epidemii. Równolegle z działaniami wojennymi toczyły się rozmowy dyplomatyczne. Prowadziła je strona i radziecka i polska. Szukano sojuszników, a sytuacja epidemiologiczna była coraz poważniejsza, moderowana przez migrację ludzi, biedę, brud i głód. Świadectwem trudnej sytuacji są słowa Lenina powtarzane dziś jako żart, chociaż wówczas nie miało to wydźwięk budzący grozę: ,, albo wesz zwycięży socjalizm albo socjalizm zwycięży wesz". W prasie amerykańskiej pojawiły się doniesienia o tym, że tyfus plamisty szerzy się wśród Rosjan w sposób niewyobrażalny, że wykorzystują oni chorobę jako broń biologiczną, wysyłając samochody pełne chorych ludzi na tereny przygraniczne, a epidemię w Europie wykorzystywano w narracji antyimigracyjnej.

Powstania określenia ,,kordonu sanitarnego", które używane jest powszechnie we współczesnych pracach dotyczących polityki i dyplomacji wiąże się z wydarzeniami kształtującymi historię naszego kraju. Dyplomacja francuska, żywo zainteresowana utrzymaniem strefy wpływu w środkowej Europie, zainicjowała utworzenie ,,kordonu sanitarnego", który miał uczynić z terenu kilku państw, w tym Polski, teren buforowy przed ,,czerwoną zarazą", która opanowała Rosję. W ten zawoalowany sposób nazwano terytoria państw oddzielających państwa zachodu od Rosji Bolszewickiej w czasie, kiedy naprawdę na terenach Rosji i Polski panowała epidemia ciężkiej, śmiertelnej choroby przenoszonej przez wszy, kojarzonej z brudem i nędzą. Mimo rozwoju mikrobiologii i poznania czynnika wywołującego chorobę, nadal nie było dostępnych szczepień ani skutecznych metod leczenia. Prace historyczne zazwyczaj nie wspominają o tym, że istniało realne zagrożenie, iż epidemia pomaszeruje na zachód tak, jak stało się to w przypadku cholery w czasie powstania listopadowego, a możliwość powstania Rzeczypospolitej - nowego państwa - wiązała się z przywilejem (przekleństwem) granicznego terytorium.

Zakończenie

Reasumując, na pierwszy rozbiór Rzeczypospolitej wpłynęły okoliczności związane z epidemią dżumy toczącej się u jej wschodnich granic. Stała się ona pretekstem do wkroczenia wojsk obcych mocarstw pod postacią wojskowych kordonów sanitarnych. Cholera zaważyła na losach powstania listopadowego, a dur osutkowy (tyfus plamisty) i dyplomatyczne przeforsowanie terytorialnego ,,kordonu sanitarnego" stworzyły warunki do odzyskania przez Rzeczypospolitą niepodległości.

Epidemie towarzyszą ludziom od zarania dziejów. Porównywane są semantycznie do wojny, ponieważ praktyce jest to wojna o przetrwanie. Przetrwanie gatunku, społeczności, jednostki. Wszelkie ekstremalne warunki prowadzą do zburzenia dotychczasowego ładu ekonomicznego, gospodarczego. Prowokują działania agresywne tak w skali jednostek ludzkich jak i działań międzynarodowych.

Epidemia Covid-19 uświadomiła, że mimo wielkich osiągnięć technologicznych, lotów w kosmos, inżynierii genetycznej itp., nadal trwa walka z mikrobami, a metody pochodzące ze starożytności – kwarantanna, izolacja - stały się od 2020 roku dla ludzi na całym świecie obowiązującym kanonem postępowania. W obecnym momencie sytuacji politycznej, którego absolutnie nie byłam w stanie przewidzieć pisząc swoją książkę, potwierdza się korelacja wzajemnych powiązań. Obserwowana od zarania dziejów, wyrażana w słowach suplikacji: ,, Od powietrza, głodu ognia i wojny..".

Renata Paliga

Renata Elżbieta Paliga, *Wojny i epidemie w dziejach Rzeczypospolitej. Dżuma cholera, tyfus*, PWN, Warszawa 2022.

Tadeusz Ogrodnik

Dariusz Lebioda

MIT - PRZEŚWIT - EKSTAZA

O malarstwie Jacka Strzeleckiego

1.

Sztuka Jacka Strzeleckiego rodzi się z najwyższych ambicji artystycznych, w których naczelnymi kierunkami eksploracji są filozofia, mit i antropologia. Artysta tworzy niezwykłe monumentalizacje, mające walor rzeźbiarski i jakże odkrywcze malarsko, czy rysowniczo, pełne zaskakujących rozwiązań formalnych i treściowych. To są ważkie próby dopowiedzenia nowych sensów do ludzkich kształtów i wymiarów, wskazania kontekstów istnienia, pełnego bólu i tylko na chwilę wydostającego się z mroku, z ciemnych, walorowo rozmytych teł. Ukazując ludzkie ciało, stylizowane na wzór rzeźb greckich i rzymskich, artysta tworzy apoteozę siły i walki o kształt, ale jednocześnie ukazuje kruchość bytu, chwilowość egzystencji, temporalność wszelkich rosnących i rozpadających się struktur. Ta osobowa gigantomachia została swoiście upozowana, co podkreślają laserunki szat, najczęściej rozmywających się w błękitach, ale czasem jaskrawych, jak u wielkich malarzy schyłku średniowiecza i początków renesansu. Tak poszczególne dzieła układają się w ciąg refleksowych odsłon ciała, pojawiającego się nagle w przestrzeni, dochodzącego w sile i tężyźnie do stadium finalnego, a potem powoli, bezpowrotnie osuwającego się w nicość i proch. To jest antropologia ściśle ukierunkowana, wskazująca ruch w czasie, przesuwanie się ku celom nieuchronnym, a zarazem sztuka ocalająca, odzwierciedlająca to, co się wydarzyło i znalazło swój kształt w nieustannie deformującej się rzeczywistości. Dlatego uwznioślenie sąsiaduje tutaj z rozpaczą, a kalectwo z uskrzydleniem, moment uspokojenia ze stale toczącą się wojną – to jest bolesne dokumentowanie chwili, nieuchronnie tonącej w wieczności, znajdującej swoją integralną cząstkę w czymś, co jest nie do ogarnięcia myślą, w kształtowaniu się świata podczas pierwszych kosmogonii. Ta sztuka rodzi się z głębokiego namysłu nad człowiekiem, ale nie mogłaby zaistnieć, gdyby autor nie miał rozległej wiedzy filozoficznej i historyczno-artystycznej, gdyby głęboko nie przeżył rzeczywistości w jej kontrapunktowych odsłonach – od bólu do ekstazy, od rany do uzdrowienia.

Strzelecki przypomina, że po odrzuceniu szat jesteśmy nadzy i stajemy się w mniejszym lub większym stopniu antycznymi rzeźbami herosów, bogiń i muskularnie ukształtowanych wojowników. Przynajmniej takie ludzkie kształty są w nas potencjalne, tak nas widziała sztuka od wieków, we wszelkich jej realizacjach i odmianach, za każdym razem dopowiadając coś istotnego dla zrozumienia fenomenu ludzkości. Tutaj ciało wyłania się z materii, przypominającej rysunek żył marmuru, powierzchnię nadpalonego drewna, albo rozmycie energetycznych struktur galaktyki. Tak artysta miesza żywioły i kruchość ustawia w opozycji do twardości, ciężar po przeciwległej stronie lekkości, płynność walorów naprzeciw zastygnięcia barw podstawowych. Ciało jest fenomenem samo w sobie, a jego kształt nie zmienił się od wieków, będąc natchnieniem dla malarzy i poetów, stając się obiektem żarliwej miłości kochanków, albo mrocznym marzeniem morderców. Pełniąc swoje użyteczne funkcje, nie przestało zachwycać formą rozbudowanej muskulatury, ale też i przerażać w odmianach rozpasanych, z monstrualnymi nawisami tłuszczowymi lub na fotografiach stosów wychudzonych trupów z obozów zagłady. Widać, że przedstawienia artysty powstawały w wielkim zapamiętaniu, w efektywnym natężeniu energii twórczych, co podkreślać mają stróżki farby, pozostawione celowo na płótnach czy papierze, stające się wizualnym znakiem głębi tego, co znalazło się poza nimi. Podobną rolę pełnią jaskrawe barwy szat, jakby udrapowanych od niechcenia, jakby tworzących chwilową przestrzeń opozycyjną. Centrum jest ciało w jego gigantycznym wymiarze, nośnik erotyzmu i piękna, prawzór kształtów idealnych, zastygających w rzeźbie, między ramami obrazu, na przedstawieniu papierowym. Samo w sobie będące kosmosem, składające się z rurek i błonek, a jednocześnie otwierające się na wszechświat, którego jest integralnym tworem.

Warto też wskazać w tym dorobku dzieła, w których pojawia się nieomal metafizyczny ból, przerażające zdruzgotanie organizmu, natychmiast przeistaczającego się w martwą materię. To śmierć za życia i zapowiedź ostatecznego rozpadu, to przypomnienie, że jesteśmy organiczni, ożywiani tylko tlenem, transportowanym w żyłach przez żelazo i żyjemy dzięki nieustannie dostarczanym dawkom cukru, minerałów, wody. Fizyczność naszego świata jest jednak taką samą ułudą jak jego duchowość, bo przecież wszystko jest energią i nawet twardość diamentu czy gładkość kamienia dadzą się na nią zamienić. Wielką zaletą przedstawień Strzeleckiego jest pojawienie się tej energii nieomal w wizualnym wymiarze, tętniącej w każdej cząstce dzieła, w dokładnie rozpracowanych elementach teł, w konstrukcji ciał, w barwie i fakturze. Filozofia człowieka sąsiaduje tutaj z liryką →

istnienia, a metamorfoza kształtów prowadzi do rozmyślań ontologicznych, nieuchronności naszego losu i zatopienia w przestrzeni euklidesowej i jej wariantach unitarnych. Człowiek nigdy nie przeistoczy się w najdoskonalszy kształt kuli, nigdy nie przybierze kształtów krystalicznych, nie przeobrazi się w bryłę monolityczną – wciąż bytować będzie pomiędzy komórkową martwotą a myślowym ożywieniem, stale będzie musiał dbać o podtrzymanie ogników życia, bo dookolna śmierć nie zmarnuje szansy i natychmiast obwieści światu swoje zwycięstwo. Cielesność jest wielką tragedią ludzkiego rodu, ale też uświęceniem bytu, który musi sam siebie wyodrębnić i zrozumieć, a nade wszystko uświęcić w pracy dla ludzkości i dla samego siebie. Tylko jednostki ukierunkowane na rozwój, kopiujące podążanie pięknej rośliny ku światłu, tylko prawdziwi mocarze ducha osiągnąć mogą stan równowagi z naturą i kosmosem. Głębia przesłania Jacka Strzeleckiego lokuje go wysoko w hierarchii twórców totalnych, rygorystycznie realizujących ambitny program, nieustających w wysiłkach by choć na chwilę odsłonić to, co zwykle jest zakryte, by dotrzeć do samej istoty człowieczeństwa.

Jak w ujęciach antycznych, a potem w romantycznych uwznioślениach, w sztuce Jacka Strzeleckiego wyodrębnić można rozległe mitologizacje. Nawiązania do znanych podań o Prometeuszu, Andromedzie, Atenie, Pegazie, Minotaurze, Hydrze, do opowieści kosmogonicznych i eschatologicznych. Człowiek przybiera w nich jakąś legendarną postać, wchodzi w obręb przestrzeni mitycznej i zyskuje niezwykłą wielowymiarowość. Staje się symbolem siły i alegorią walki, zyskuje monumentalny kontekst kulturowy, stawiający go na równi z bóstwami olimpijskimi. Artysta potrafi tak upozować ciała, tak je przyoblec w tiule i żywe świetlne refleksy, że stają się snem na jawie i niezwykle inspirują wyobraźnię. To są ewokacje przestrzenno-antropomorficzne, w których ukryte jest filozoficzne przesłanie na temat naszej boskiej i szatańskiej natury, uwikłania w miliardowy system cząstek organizmu, a zarazem w przeogromne struktury kosmiczne. Tak rodzi się transcendencja, a byt staje się punktem przecięcia tych immanentnych przestrzeni, tak jak czas przechodzących przez nas na przestrzał i przenikających najmniejszą drobinę atomową. Mit generuje ciągnące się w przeszłość ciągi znaczeniowe, a więc interpretacji tej sztuki może być wiele, tutaj staramy się tylko wskazać ogólne jej ramy, zakorzenienie w człowieku i w opowieści kulturowej, istnienie w pulsie krwi, w locie myśli podążającej ku multiplikacjom bohaterskim i anielskim. Twórca znalazł niezwykle pojemną formułę dla prac, w których sąsiadują ze sobą elementy antyczne i specjalnie upozowana archaiczność, rodzaj przyćmienia, sennego rozmycia i przeniesienia ku rzeczywistości nicowanej przez śmierć. Gdyby przydać tym dziełom muzykę, to trzeba by szukać pośród barokowych oratoriów, koncertów na trąbkę Telemanna i Haydna, ale znakomicie brzmiałyby tutaj też heroiczne tony symfonii Mozarta i Beethovena, Dworzaka i Czajkowskiego. To byłoby podkreślenie świętego gigantyzmu człowieka wykreowanego przez artystę i jego boskich atrybutów – istnienia niosącego w sobie potencjalność zbrodni i wykwintnej kreacji artystycznej, rozpiętego między przeciwstawnymi pierwiastkami swojej trudnej do pojęcia natury.

2.

Warto też wskazać w sztuce Strzeleckiego inne ważkie opozycje, niezwykle pociągające w aspektach interpretacyjnych. Szczególnie ważne są tutaj bramy i widoczne za nimi prześwity, wskazujące na nasze odwieczne zakorzenienie w przestrzeni zamkniętej. Żyjemy w domach, bytujemy w różnorakich utylitarnych budynkach, zamykamy się w samotniach pracowni i biur, ale zawsze tęsknimy za dalą i czystością otwartych przestrzeni. To tam możemy w pełni docenić operacje świetlne i doznać twórczego olśnienia, połączyć się w błysku z chwilą pierwszą i ostatnią. Artysta szuka właściwego miejsca w świecie i nieustannie konfrontuje swoje doświadczenia z immanentnym wzorcem mitologiczno-kulturowym. Zastanawia się na ile jest Odyseuszem, Hektorem i Achillesem i wtedy nagle zauważa ciąg monstrualnych bram, pojawiających przed człowiekiem w różnych głębiach ontologicznych, wzrastających się przy każdej mobilizacji i próbie wzniesienia się na wyższy poziom poznania. To jest owo mitologiczne wyrywanie się tytanów z uścisków śmierci, to chęć znalezienia nowego wyrazu artystycznego, mitycznego przesłania ciągnącego się przez wieki. Brama kojarzy się z zamknięciem, ale też jest obietnicą otwarcia – z jednej strony przywołuje grozę piekielną, ale może też być wejściem do otwartej przestrzeni niebieskiej, przy której stoi odwieczny strażnik i sprawdza uczynki ludzkie. Od dawien dawna obszarami tymi

interesowali się malarze totalni, tacy, jak Hans Memling, Hieronim Bosch, Luka Signorelli czy William Blake, przedkładając ludziom swojego czasu własne wizje furt infernalnych i odrzwi edeńskich. Jacek Strzelecki zawsze wychodzi od człowieka, kontynuując od lat swoje cykle antropomorficzne i mitologiczne. W nim widzi ostateczne zamknięcia i nagłe otwarcia, stosując kolorystykę znaną z jego wcześniejszych dzieł, ale też modyfikując ją o kolejne tonacje, wprowadzając szokujące kontrasty różu i żółcieni, błękitu, fioletu i zieleni. Tragizm sąsiaduje tutaj z nadzieją, a pulsujące żądzami ciało z zimnym, rozsypanym prochem. Bramy wtłaczają się wielkimi plastrami barwnymi do przedstawień, a jednocześnie stają się ludzkimi, mocarnymi piersiami, jakby nagle przetransplantowanymi z przedstawień wielkich mocarzy, wtłoczonych w cykle kolejnych gigantomachii. To są obrazy, na których nieustannie toczy się walka, ktoś mocuje się by otworzyć wielkie odrzwia i ktoś zapiera się, by powstrzymać napór wroga.

Zdumiewające są też w malarstwie Strzeleckiego głębokie wniknięcia w materię ożywioną i odzwierciedlenia na płótnach splątań żylnych, arterii limfatycznych, rur, którymi tlen podąża do płuc, a potem do krwi. To jest rodzaj odwiecznego mesjanizmu anatomicznego, ciągłej świadomości skomplikowania ukrytych procesów, przebiegających w naszych ciałach, każdorazowego otwierania się i zamykania zastawek w sercu i żyłach, ruchu dookolnego, wciąż ożywiającego myśli i kształtującego wrażliwość malarską. Bez tych procesów nie byłoby świadomości mitologicznej i bystra myśl artysty nie szybowałaby między kontekstami kulturowymi, zataczając koło od wyżyn Olimpu, poprzez jaskinie Hadesu i głębie oceaniczne, do kruchości anatomicznej ludzkich kończyn i narządów. Jeśli sztuka może być świadectwem istnienia w określonych ramach biologicznych, to w tym przypadku mamy do czynienia ze zrozumieniem niepowtarzalnej transcendencji. Człowiek ma bardzo mało czasu, by odzwierciedlić swoją wyjątkowość i jeśli zaczyna sondować konteksty filozoficzne, zauważa ciąg pojawiających się przeszkód, bram zamykających się z jękiem i łoskotem, generujących poczucie niemożności i przegrania. Tylko prawdziwy artysta pokonuje je w kolejnych dziełach, realizując rozszerzającą się wizję kosmogoniczną, próbując objąć ramy stworzenia od błysku do zgaśnięcia barw, od słowa do zamilknięcia, od narodzin do śmierci. Bytując pośród przepaści mitologicznych Strzelecki nie przestaje być człowiekiem z krwi i kości, udręczonym bytem, dodatkowo doświadczonym przez życiowe rozstrzygnięcia, wiedzącym czym jest ból i absurdalne zamykanie się kolejnych bram. Jego obrazy pulsują bólem, takim samym jaki pojawia się w pięknej przestrzeni, gdzie cierpienie sąsiaduje z błękitem nieba i blaskiem słońca pośród morskich lazurów i turkusów. W takiej rzeczywistości żołna pożera lśniącą pszczołę, rybołów zagłębia szpony w toni by pochwycić srebrzystą doradę, a nagły piorun zabija wędrowca pośród dróg wiodących ku arkadii. To są opozycje i ambiwalencje trwania w naszym świecie, a zarazem dialektyka świadomego istnienia, moderowanego przez specyficznie sformatowaną świadomość.

3.

Jak w każdej monumentalnej sztuce, w malarstwie prof. Jacka Strzeleckiego zakodowane zostało dodatkowe przesłanie. Rodzimy się i wzrastamy, kształtujemy wiedzę, ćwiczymy i budujemy ciała, a potem osuwamy się w pył, toniemy w nieistnieniu. Ale świat i entropia nie mogą nam odebrać tego, co jest immanentną cechą każdego ambitnego istnienia – nie są w stanie spowolnić w nas dążenia do euforii, pragnienia przeżywania chwil niepowtarzalnych, konstruujących krajobrazy wewnętrzne, w których pojawia się głębia. Prześwity i jasne polany w mrocznych lasach (Lichtungen), które tak fascynowały Martina Heideggera są także istotą tego malarstwa i jak u niemieckiego filozofa wiążą się z Heraklitejskim κεραυνός – mistycznym światłem, nagle pojawiającym się w przestrzeni i opalizującym pośród mroków. Chwilowość i fragmentaryczność naszych rzeczywistości zanika w błysku ekstazy i może najbardziej ekscytujące na tych obrazach są jasne przestrzenie za bramami, za anatomicznymi zaporami, gdzie wszystko płynie i rozgrywa się nowa odsłona dramatu istnienia. Tam lokować należy tajemnicę kreatywnego malarstwa, filozofii stającej się tłem dla życiorysu i źródłem kosmicznej energii, przenikającej niewidzialnie świat. Tak zamknięcie staje się otwarciem, a brama początkiem nowej drogi – tak kolor zyskuje wymiar epistemologiczny, a kruchy kształt anatomiczny ma wartość ponadczasową.

Dariusz Tomasz Lebioda

Zbigniew Ikona
Kresowaty

NIECH MELANCHOLIA SYMBOLI TRWA

(Na odejście 02 kwietnia 2022 roku poety surrealistycznego Janusza Stycznia)

Janusz Styczeń to postać nietuzinkowego poety, to postać tajemnicza jakby wielka odyseja ***Melancholii symboli***. Taki tytuł nosi jeden z Jego tomów poetyckich, na którym oparłem sylwetkę poety na Jego odejście w mroki horyzontów ... Janusz Styczeń – polski poeta, dramatopisarz i prozaik. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. Debiutował opowiadaniem pt. ***Requiem dla nieśmiałego***, które ukazało się w 1960 roku na łamach „Odry", a kilka miesięcy później w czasopiśmie tym został ogłoszony drukiem jego wiersz ***Niewymierność***. Poeta urodzony 27 listopada 1939 roku w Biadolinach Szlacheckich. Ukończył Uniwersytet Wrocławski.

Książki to między innymi: ***Trujące piękno* (1982), *Rozkosz gotycka*, *Wiersze wybrane*.** Wydał **ponad 25 tomów poetyckich oraz wiele dramatów**… Publikował w czasopismach literackich. Jego poezja była tłumaczona na wiele języków… tytuł: *Śnij snem morskim i inne dramaty* (1977) . Na przełomie lat 60. i 70. XX w. należał do grupy literackiej ***Ugrupowanie 66*** - poezję jego uznano za modelowy – odznaczający się zintelektualizowanym rygoryzmem i obecnością egzystencjalnej metafizyki – przykład literatury Ugrupowania. W 2012 roku tom *Furia instynktu* został nominowany do ***Nagrody Literackiej „Nike"*** oraz znalazł się w finale ***Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego – „Orfeusz".***

W latach sześćdziesiątych przyjaźnił się z Rafałem Wojaczkiem.

Zmarł 02 kwietnia 2022 roku w godzinach porannych.

- To twórca niezwykły i przyjaciel, chcę oprzeć szkic o Nim na zawartości tomu poetyckiego ***Melancholia Symboli***, ogłoszonego przez serię *Biblioteki Wrocławskiego Oddziału SPP- seria XI (2)*. Poezja Janusza Stycznia, jak domniemać można, nigdy się nie zestarzeje – Jest wciąż aktualna i jest jedyną w swoim rodzaju, jest teatrem bywania przeróżnych postaci w miejscach tajemnych. To swoisty cykl patrzenia niezależnego, odrębnego i przechodzącego w perspektywy zaklęcia tajemnej całej sfery marzeń i jej wersyfikacji na wskroś spojrzeniu, które jeszcze przed minutami było jakąś dotykalną fizycznością - A już nią nie jest... Jest swoistą grą postaci…

Niesłychanie inspirująca jest poezja Janusza Stycznia, jako takiej wciąż żyjącej studni i, żeby ją odkryć i zajrzeć w dno, trzeba odsunąć krążek księżyca i przebić się przez mroki oraz wejść w mistykę ludzkiego DNA. Zawsze z ogromną przyjemnością sięgam do poezji tego poety - autora znakomitych tomów poezji obrazów, w których czuję: pieśń, zapach werniksu i pobyt kobiety, czasem głód seksu, i szept erotyczny wydobywający się zmysłowo z jakiegoś tajemnego pulsującego labiryntu. Okrzyknięty kiedyś za czasów wojaczkowych Styczeń został na zawsze poetą mroku, symboli, władcą księżyca i lustra, ale jak wczytać się w dalsze ciągi tekstów w Jego poezji w wiele tomików poetyckich – widzi się ciągle rozbudzoną erozje, zwłaszcza u ukrytej osoby „trzeciej", która zostaje wciągana w wir bezczasu, w teatr z czasu jedyny... Sięgam do wierszy poety równie z ogromną melancholią, gdyż wiem, że ów świat porwie mnie także w niecodzienność… poza horyzonty na białym Jednorożcu, tym bardziej, że ten dzisiejszy świat chorujący na fizykę płaskich zwyczajnych spraw, ale kłótliwych w wyrażaniu poetyckich wektorów, często jest wyzbyty z romantyki, pnący w kierunku konceptualizmu pieniądza i narkobiznesu, staje się bynajmniej złudno - banalny i obcy dla marzeń i romantyki, już nie wspominając o czasie wojny... Sięgam akurat dziś do tego wydania *Melancholii,* bo sam potrzebuję innej melancholii, żeby nasycić się krwistym kolorem róż, wracając w pustkę czasów z bukietem róż, choć to czas, jakby bez Sztuki… bez kryteriów do jej oceny…

Portret poety surrealistycznego Janusza Stycznia z Wrocławia, wykonał przyjaciel Zbyszek Kresowaty

Janusz Styczeń, to poeta jedyny tej niebanalnej sceny, inscenizator atmosfery z zapleczem bezwiednym, tajemnym z oczekiwaniem na fakt, który nastanie, wiedzie nas zawsze ku surrealistycznym obrazom ożywionej symboliki, czasem sięgającej mitu i filozofii kontemplacji malarstwa, które zawsze odgrywało u niego wielką rolę inspiracyjną. Jak pamiętam z naszych kontaktów Janusz kupował lub przeglądał Albumy znanych i mniej znanych malarzy, poszukiwał w malarstwie, chodził do EMPiK -u, gdzie czasem spotykałem go także, ale i bywał na wystawach malarstwa, nawet kiedyś przyszedł na moją wystawę w BWA „Awangarda „(1994 - Wrocław) z prezentacją mej poezji, którą mówił ś.p. Andrzej Wojaczek (brat Rafała.)

Poetyka Janusza jest na pewno jedyna w swoim rodzaju pośród poetów, którzy oscylowali w kwestii surrealistycznej, ale nigdy podobnej do tworzenia tekstów Janusza Stycznia. Poeta kochający artystów malarzy, głównie tych którzy budują zaplecze metafizyczną wyobraźnią, jak np. **Caspar David Fredrich –** kto wie czy nie od ulubienia tego artysty, bierze się dalszy ciąg kolejnych aktów poetyckich Janusza. Jeden ze swoich tomów poezji nazwał tytułem obrazu tego znakomitego malarza, czcząc go jako swego mistrza - To wiersz: **„Mężczyzna i kobieta kontemplujący księżyc „ -** Oznajmia poeta, że pokonując zasłonę i drogę oraz jej mrok, który snuje się w tle obrazu, jest mu bliżej do humanizmu, a jeżeli przez samo patrzenie na słońce, które zawsze oślepia. Wracając do malarstwa Friedricha, którego ukochał na wskroś Janusz, artysty malarza niezwykłego, który maluje postaci od tyłu, nie pokazując ich twarzy (nawet Styczniowi), on sam jako medium musi przejść na drugą stronę obrazu, żeby nam opowiedzieć: co widział patrząc jakby z „przodu"… Artysta malarz **Friedrich,** jakby osobowość ukryta: kobieton i mag - medium tworzy tajemnice w urokliwości Janusza: semantyczne zdarzenia, czasem senne i jakby cichy kot, skrada się zmysłem widza, żeby milczeniem odegrać „ teatr zmysłu", poza samym czasem fizycznym. Styczeń bardzo interesuje się także malarstwem Tycjana!... Jego Wenus – kobietą leżącą na łożu… na pierwszym planie, której twarz jest, ale jakby nie jest ważna – Ważna jest tutaj przestrzeń i czar posłania, gdzie zaraz przybędzie kochanek… Ma poeta do czynienia z obrazem odwróconym, dziejącym się dalej w oczekiwaniu? - Ta Wenus, na pierwszym planie, blado wychylona z nocy, z mroku, gotowa zawsze dla kochanka – pójdzie z każdym? – Ona trwa na tle dalszych widzeń, czyli: swych innych postaci kobiet, z których jedna pakuje kufer lub wyjmuje dla Wenus odzienie... Artysta widzi tu Wenus w trzech osobach. Poeta słyszy rozmowę kobiet przy kufrze, widzi „świadomość czuwającą" jak pies i wie, że ta Wenus szuka innego stroju innego lepszego wcielenia nagości... Właśnie w tomie „*Melancholii symboli*" jest dużo o Wenus – jako dziewczynie… „szukającej fontanny" prawdziwego wykwitu kobiece-

go, który może tylko zdarzyć się raz, zatem wspomnijmy inny wiersz poety.

(…)
dziewczyna idzie przez ogród,
ona lubi bardziej ogród niż świat,
ona lubi patrzeć i słuchać,
jak Czas szeleści usychając i się rodząc,
dziewczyna rozrzuca opadłe liście,
jakby chciała rozrzucić opadły Czas i jego szczątki
poderwać do dnia, (...)

Poeta poszukuje zmysłami, przez obraz nagiej (?) kobiety, która ma w sobie bezczas… Poeta wie, że kobieta czeka na coś więcej; na prawdziwego mężczyznę, na jego zapach, poeta wie że jest sam tym zapachem, szuka ogrodu… ale właśnie on jest tym ogrodem i sensem natury… Poezja estetyki erotycznej, niespotykanej, wprost promieniuje w wierszach Janusza Stycznia... Poeta od dawna, jak tylko sięgnąć wstecz, odbiera sobie nieustannie swoje drugie JA z obrazu artysty malarza(?) - jakby wcześniej uknutego i zamierzonego ja… Próbuje złożyć rozrzucone szczątki prawdziwego marzenia, drzemiącego jeszcze w nas, i podać nam treść niecodziennej jedynej erotyki, ustawia jak się wydaje zmysłom naszym, scenę zbyt małą na tak wielkie opowiadania, ustawia jakby tych dwóch aktorów biorąc siebie do trójkąta. Czytając poezje Janusza - twórcy surrealistycznego, tak naprawdę rodzimy się innymi całym sobą: w labiryntach… mitycznych, w ruinach sennych cieni, w filozofiach starożytnych(?), i wychodzi jakby z oceanu po zniweczeniu Meduzy… Czuje się, że wchodzi tu jednak wyobraźnia odbiorcy, jakby w taką lekką osobną mitologię poety, który reżyseruje nastrój, wydłuża pojęcie erotyki kobieto -mężczyzny, układa znaki rąk, ust i muśnięcia poręczy, np. innym razem zawiesza księżyc nad Magbetem, na którego „czekają łodzie potopionych gdzieś na dnie Oceanu „ (ale to fragment mojego wiersza, zainspirowanego poetyka Stycznia) Janusz wielokrotnie zbliża się także do postaci Szekspira. Trzeba powiedzieć, że te poematy surrealistycznie otwierane na oścież, toczą się gdzieś blisko klasyki teatralnej, jakby w zawieszeniu kontekstu śmierci, ale takiej która ożywa „życiem po życiu"... To ciągłe niespokojne poszukiwanie miejsca na obserwację i obecność na uczestniczenie, na łaknienie „trzecim" okiem, to takie perwersyjne podglądanie lupą Wielkiego Big Brothera scen, i przeczuwanie chwili, w której może stać się COŚ wielce atrakcyjniejszego niż jest(?) ...Poeta wciela się w rolę bezosobową, ale czynnie we wszystkim uczestniczy - Buduje trójkąty, gra nimi zdradza, i wiernie przelewa kolory, idzie na trzeciego pomiędzy usta a dłoń, choćby był nawet kamiennym jednorożcem. To gra czasem perfidna, ale brana z życia, które jest teatrem.

(...)
pary tańczą dookoła jednorożca,
dookoła kamiennego marzenia,
on jest sercem ich tańca
ich serca w nim się odbijają,
jest dla nich czymś pewnym, wiecznym,
czymś ,na co zawsze można liczyć,
(...)

Poeta nawet tutaj jest niezmordowany swoim życiem wielo – życiem, bo to przez wiele lat w nim światy tańczą, grają jakich bezkresy intrygancki byt ponadczasowy. Tańczy i wystarcza mu: samo nagie marzenie kamienia, czyli milczenie. To postaci mówię Jego ustami - Jest poeta, mimo wszystko jako Janusz Styczeń takim romantykiem zawadiaką(?), gdyż z pozoru czystej martwo widzialnej sceny tworzy osobny ruch nastrój, szał kobiety i iluminuje wg siebie marzenia. Styczeń umie przedłużyć chwilę rozkoszy, całuje swoje postaci nieskończenie – odprowadza, w zatoce marzenia, białego konia biegnącego brzegiem... Jego poetyka nie spieszy się do orgazmu – czeka na moment, chce wytrzymać jak najdłużej w rozkoszy trwania, wyczekuje w szale zmysłowym, jakby zamierzenie jeszcze większego uniesienia... Umie poeta także ustawić relację śmierci do życia i nadać jej wielo – wymiarowość. Często sekunda jest tutaj rozkoszną wiecznością. Wiersz **skrzypce**:

(…)
zostały po nim skrzypce,
ona dotyka skrzypiec,
jakby to jego dusza zostawiła
takie swoje wyobrażenie,
taki symbol wcielony w konkretny podmiot,
taka szkatułkę, w której zamknięta jest
duszy emanacja,
(...)

- Ta fascynacja kształtem duszy, a raczej poszukiwaniem kształtu, jakby GDZIEŚ istniejącej i wymodelowanej w kształt człowieka, delikatność linii i liryki, bywa podskórną, lamentującą, ale radosną(?), w morzach snu, w ognistych włosach, dzieje się ponad dzisiejszą sferą pojmowania, jest ponad zmysłowością zabieganego człowieka, który jest przecież piękny a życie jego jest znikającym cudem, ale jest punktem - oznajmia poeta. Ta jedyna nieskończoność, która opowiada siebie w poecie, odrasta, ciągnie jak grzeszna Chimera, unosi się i łzawi zadziwiona sobą cała sobą żyje, jak po po śmierci kochanka u Pazyfae...

Poeta wchodzi w całą marę śmierci … w jej traumę i nadaje jej kształt „nietrumienny"... To mrok jest tym z czego można coś wydobyć… uratować?, dotknąć, sparzyć się. A co mówi wiersz ***„odwiedziny".***

(...)
szepce umarłej, że ją wciąż kocha,
całe stopy ma otulone tym szeptem,
szept przenika we włosy umarłej,
w jej duszę,
kobieta czuje to przenikanie,
jest to dreszcz rozkoszy,
(...)

Nawet szept u poety ma zapach (czuć go rozkoszą), trwa najmocniej po odejściu - oddaleniu, gdy wychodzi on z cmentarza. Nikt bardziej jak tylko poeta zawraca mroki człowiekowi, jest w ciągłym przebudzaniu, jest zawsze pod narkotykiem zapachu kobiety, ona żyje na jego krwi, pasie swą cielesność jak mara pośmiertna... W wierszu **„pomnik nagrobny"** powie na końcu wiersza: *„dwóch śmierci trzeba, by śmierć pokochać"* – piękne i intryganckie! - i zamknięte takie powiedzenie jest na wieczność, jakby się za moment miała skończyć sama poezja. Ale jak znam Stycznia nie poprzestanie on nigdy na śmierci, na jej co dziwne, zawsze nie przykrej traumie, ale żywej, jak odradzająca się non – stop róża...

Wróćmy jeszcze do samej postaci poety. Mówi on: ***„Wychowałem się na prozie Williama Faulknera i od niego uczyłem się, jak poskramiać grozę umieszczając ją na uniwersalnym obszarze świata i czasu"*** – Jest zatem poeta postacią z twarzą niewiadomą dla czytelnika, który mało co wie o nim. Styczeń wpatruje się w fizyczność otoczenia, w podmiot kobieto-mężczyzny – Nazwałem go kiedyś *„kobietonem"* - To ciało napawające grozą(?) – można tu zaryzykować dygresją: kto wie co jeszcze może się stać z osobowością liryczną Janusza, może ona przejść do obłędu(?), może z monstrum przejść w lirykę perwersyjną? - a może dalej, ewaluować jak Libido erotyki autentycznego poety już nie raz ukazane, może unieść się ponad radością bólu… Ale poezja Janusza Stycznia pożąda zawsze więcej, pożąda całej wieczności - jest zaborcza i łapczywa co rusz nowego… To spojrzenia w obszary zmysłowości niespokojnej i bardzo romantycznej, do obłędu i rozkoszy... Zatem Janusz Styczeń jeszcze nie pokazał swej twarzy, a już odszedł spotkać postaci swych wierszy… Poetyka Janusza Stycznia jest bardzo zapamiętana, i długo jeszcze będziemy jej poszukiwać i swych twarzy w nocach – w świetle księżyca? – w obrazach Fredricha.

Zbyszek Ikona - Kresowaty

Autor tekstu z Januszem Styczniem na uroczystości urodzinowej – 2010 r.
Foto arch. domowe Zbyszka Kresowatego, wyk. Grażka Kresowaty

Andrzej Walter

Metamorfoza niewiary

„Od pewnego czasu
Jest inaczej”

Czy jest to jedynie kwestia naszej przemiany – *„Kogoś, w nikogo”*? – jak pisze przejmująco krakowski poeta. Z ogromną satysfakcją, tudzież z jednością wyobraźni autora i swojej, czytam po raz enty wiersz „Nie ten sam" rozpoczynający znakomity tom poezji Krzysztofa Lisowskiego „Wieści dobre i złe" wydanego w Krakowie w 2021 roku. Mój dobry poznański Kolega Jurek Grupiński wydobył z Lisowskiego inny genialny wers: „„Niektóre słowa na pewno wstaną z kolan...". Pozostańmy przy tej nadziei.

Maestria poety przejawia się właśnie w tym głęboko intelektualnym spojrzeniu na myśl zmieszaną z metaforą, co od zarania dziejów stanowiło mieszankę wybuchową podkładaną pod wszelakie idee, z bardzo drobnym dziś zastrzeżeniem, że ponoć idee wyparowały wraz z końcem historii oraz osi ewolucji sytuując nas na tronach naczelnych, którzy staliśmy się panami świata, a ów świat jednocześnie dekonstruując kompletnie i rozbierając na części pierwsze. Jest oczywiste, że to nie jest i nigdy nie było prawdą, a tylko naiwnym złudzeniem, samooszukiwaniem się i zaklinaniem rzeczywistości na własną modłę, ale poeta nie jest od rozgrzeszania królów i władców. Poeta ma być głosem sumień. Lisowski podjął to wyzwanie na swój indywidualny, skromny i prywatny sposób mierząc się ze snami, z marzeniami, nadziejami, oczekiwaniami i nieoczywistościami, wędrując po tej ziemi cierpliwie i z właściwym dystansem do spraw, wydarzeń i konkluzji, aż po niesamowity wiersz

„Niewiara”

Niewiara

Jeżeli w coś nie wierzę najbardziej
To w nieodwracalność zdarzeń

Głównie jednego
Które oswaja się jesienią na emeryturze
Kiedy się przed nim całymi dniami
Mocno odpoczywa

Nie wierzę więc że nie pojawi się już
J. i K. i długowłosa rozśpiewana E.
I parę osób z rodziny
Które całkiem zwyczajnie rozmawiają ze mną
W snach

Musi być jakieś miejsce spotkania z nimi

Pokój choćby niewielki ze stołem i krzesłami

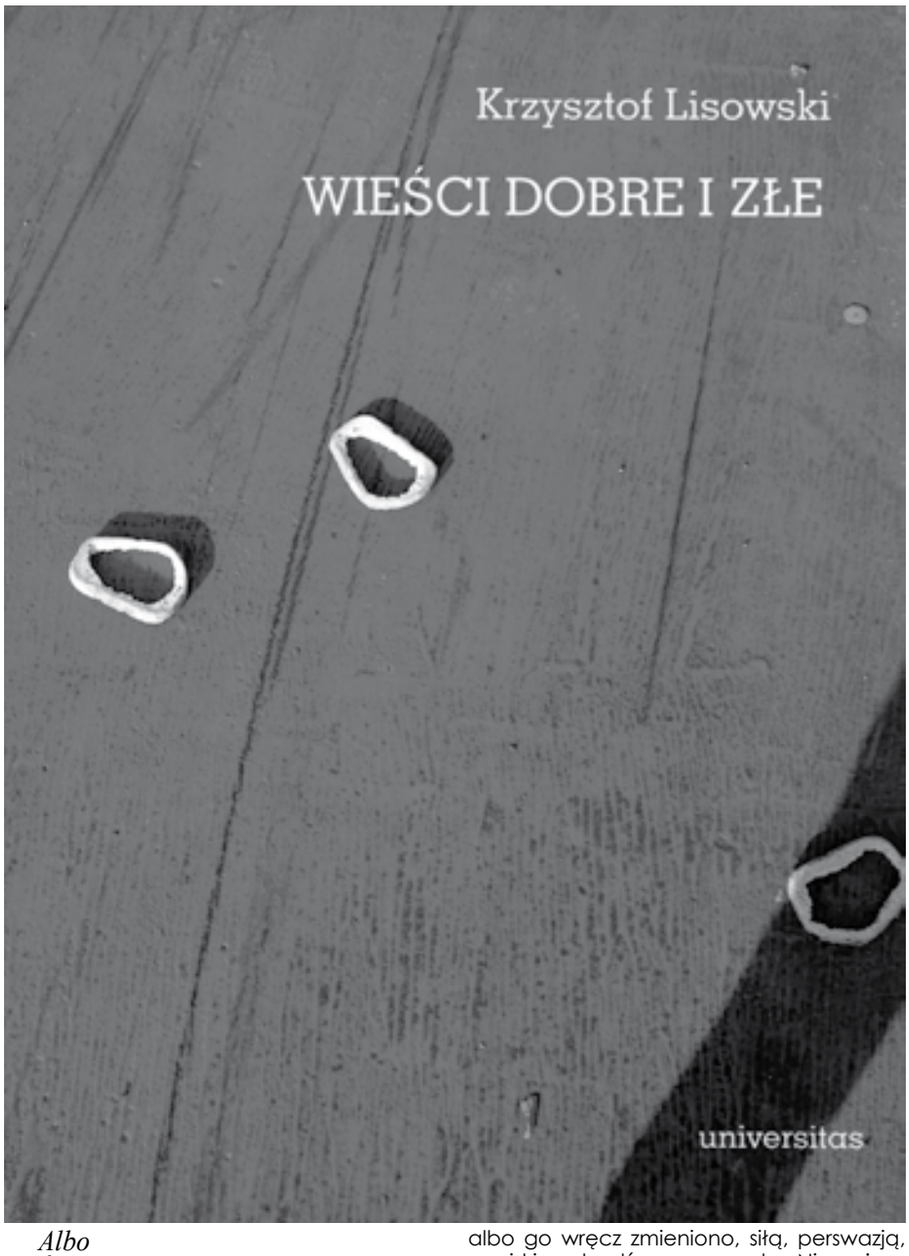

Albo
Środek pustyni pod jasną gwiazdą
Oświetlającą nasze głowy i głosy

6 kwietnia 2021

Zwróćcie Państwo uwagę na pozycję autora. On nie chce nas przekonywać w co wierzy. On nam oświadcza zupełnie odwrotnie – pisze o czymś, w co nie wierzy. Dotarliśmy bowiem do czasów, w których „się nie wierzy". Jedni nie wierzą w to, czego nie widzą, inni w teorie spiskowe, a jeszcze inni nie wierzą w szczerość intencji władców tego świata. Jedni nie wierzą w Boga, bo Go, jak Gagarin, w tamtym niebie nie widzieli, inni w człowieka, zdecydowana większość z nas nie wierzy już w pewną normatywną normalność, w fatamorganę belle epoque bezpowrotnie odeszłą w niebyt i zapomnienie, w niejako renesansową skłonność do wiary w rozum i w człowieka, bo ów człowiek zamienił się z Kogoś, w nikogo. (jak sam ujął to Krzysztof Lisowski) – albo go wręcz zmieniono, siłą, perswazją, naciskiem bądź propagandą. Nieważne. Człowiek, to już nie brzmi dumnie. Człowiek stał się nikim. I przestał wierzyć w cokolwiek. Przestał też wierzyć poezji.

Poeta próbuje w takim świecie się odnaleźć i śmiem twierdzić, że swoje bycie poetą uzasadnia odpowiedzialnością, że musi to na swój sposób opowiedzieć innym. Opowiedzieć nam, ale i samemu sobie. To wielkie wyzwanie. Lisowski – jedna z ciekawszych, bardziej tajemniczych poetyckich postaci polskiej literatury.

„Dopala się ogień”

Bądźcie pozdrowione atomy płomienia
Przemieniacie teraz mojego przyjaciela
W popiół

Całą jego przyszłość
Którą znajdzie gdzie indziej
Albo nie znajdzie

Byłem świadkiem
Wielu jego uczynków

I kiedyś
Prawie czterdzieści lat temu
Po wielkiej burzy w górach
Gdy błyskawice planowały
Nas zabić
Powiedział do mnie –

Wiesz
Chyba się modliłem

Ale do kogo
Do jakiej nieśmiertelnej cząstki
Kosmosu

Tego nie powiedział

30 grudnia 2020

Krzysztof Lisowski jest nie tylko poetą. Możemy raczej stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że jego poezja stanowi erupcję całokształtu poszukiwań ontologiczno-literackich, którym dał wyraz w kilku znakomitych książkach takich jak choćby: „Greckie lustro" czy „Motyl Wisławy". Pisarz, zbieracz snów, badacz niekonieczności. Obraz człowieka niespokojnego, uniwersalnego, kosmopolitycznego, popychanego do przodu wyzwaniem, fascynacjami, zaciekawieniem, poszukiwaniem coraz to nowych rejonów poznania. Wiersz „Dopala się ogień" nazwałbym swego rodzaju epitafium dla nieznanego żołnierza, dla przyjaciela, dla bratniej duszy, a nawet samego siebie…Dla podobnego nam intelektualisty, któremu życia zbyt mało na rozpoznanie jego tajemnic, a śmierć, śmierć, to jedynie faza przejścia ku nowej, innej, nieznanej i nieogarnionej „cząstki Kosmosu".

Jerzy Kronhold tak określił Lisowskiego:

„Ostatnie wiersze Krzysztofa Lisowskiego mają kaligraficzną czystość, podziwia się ich zapis, oszczędność słów, minimalistyczną dyscyplinę. Śniąc i podróżując, Lisowski nieustannie zbliża się starych źródeł, idzie po śladach, spotyka współczesne wcielenie Mnemozyny, rejestruje echa dawnych proroctw, są w tym zawarte dyskretnie niepokój i trwoga o losy naszej cywilizacji, coś co wydaje się być przeczuciem katastrofy."

Sięgając po Lisowskiego macie gwarancję konieczności porzucenia swoich utartych szlaków myśli, stereotypów czy uprzedzeń. On uczy otwartości, ciągłej gotowości na nowe, stałego poszukiwania nieodkrytego i szacunku dla: piękna, duchowej głębi i nietrwałości przekonań. Ukochania sztuki, jej wszelkich przejawów, ukochania naszej hellenistycznej duchowo i intelektualnie tożsamości oraz wielkich przestrzeni wolności myśli. Zetknięcie z takim Słowem zawsze stanowi inspirację i siłę sprawczą dalszych rozważań i zgłębiań. Dlatego warto sięgnąć po Krzysztofa Lisowskiego choć na moment, a obiecuję wam, że zostanie z Wami już na zawsze.

Lisowski świetnie też odczytał ducha czasów. Czasów, w których wypowiedziano nam wojnę. Przeciwnik jest z grubsza nieznany. Tajemniczy. Silniejszy. Być może globalny. Przeciwnik nie wierzy. Nie wierzy w nic, nie wierzy w nas, nie wierzy w przyszłość. Poeta proponuje swoistą metamorfozę niewiary. Opartą na słowie, na myśleniu, na tekście, na intymnym zgłębianiu każdego atomu przemienienia. Właściwie zabiera nas na Górę Tabor, abyśmy ponownie dostali szansę ujrzenia dawno nieoglądanych niesamowitości i tylko od nas zależy jak odczytamy ową mistykę tego właśnie snu. Jaką cząstkę Kosmosu zabierzemy dla siebie.

Być może całe życie poety jest zawsze modlitwą. Modlitwą nieustannego, ciągłego zbierania myśli i snów w jakiś dający się uporządkować i zapisać ciąg słów, który najlepiej wyrazi nasze lęki, wspomnienia, obawy i podróże w przyszłość oparte na czerpaniu z wyobraźni pobudzanej stałą lekturą. Literacki imperatyw jest tu nieodzowny. Jest fundamentem, skałą i kamieniem węgielnym wznoszonej świątyni naszego ocalenia. Zawsze, kiedy wiem i czuję, że pozostaną mi książki, wiem też, że nigdy nie będę sam i zawsze odnajdę drogę ku wolności.

Andrzej Walter

Tadeusz Ogrodnik

Andrzej Walter

Tadeusz Zawadowski i jego podróż w nieznane

Poznałem kiedyś wyjątkowego poetę. Poetę nowych czasów, poetę nowych uczuć, poetę realnej transformacji. Poetę, który naprawdę przeprowadził nas z wieku totalnych ideologii... do wieku totalnej pustki... Ten poeta to Tadeusz Zawadowski i został właściwie *totalnie i kompletnie skonstruowany* jako poeta już we wczesnej młodości, a dziś już przekształcił się w poetę niemal stuprocentowego. Ale co to znaczy być poetą i do tego stuprocentowym? Czyż nie tchnie to jakimś zakamuflowanym szowinizmem, czy też emfatyczną egzaltacją nawiedzonego krytyka?

W moim odbiorze, na tle wielu innych znanych mi poetów, to znaczy po prostu nim się urodzić, urodzić się jakby pod inną gwiazdą, urodzić się człowiekiem zbyt pełnym, aby się z myślenia poezją wyzwolić, i być człowiekiem zbyt świadomym, który w momencie wybuchu wojny, kiedy milionowe armie wzniecają tumany kurzu i stają z ogromem, hałasem i łoskotem naprzeciw siebie, to taki poeta wtedy zachwyca się... ustronną wędrówką mrówki, która ocala go z tej niepotrzebnej rzezi, która daje mu, wbrew prawu – nadzieję, jaką już wszyscy utracili i która wprowadza go w pewnego rodzaju trans nierzeczywistości, a kiedy o północy zatrzymuje się zegar i staje czas, to poeta ten nigdy nie wie ... po której jest stronie. Tak to właśnie on, ten sam, wyżej przywołany poeta - Tadeusz Zawadowski ujmuje w jednym ze swoich mądrych wierszy zatytułowanym „Nie mów mi o jutrze". A wiersz ów jest tak piękny, że nie mogę się oprzeć, aby go tu nie przytoczyć:

NIE MÓW MI O JUTRZE

nie mów mi o jutrze. to taka umowna data
wymyślona na potrzeby chwili. wciąż trwa dzisiaj. jeszcze
ciągle mogę nie oglądać telewizji i liczyć spadające
z drzew liście. mam czas do zimy czyli kilka miesięcy.
później mogą odłączyć prąd. elektrokardiogram pokaże prostą
po której należy przebiec na druga stronę.

a co jeśli jutra nie będzie i pozostanę wielkim znakiem zapytania
z wiecznie otwartymi z przerażenia ustami? teraz mów do mnie jeszcze
oczyma dotykiem dłoni muśnięciem włosów po policzku. słowa tetmajera mieszają się z kroplami
potu na czole. coraz bliżej
do zimy. liście przykryje biała niepamięć w którą
skryję się razem z moją mrówką. noszę ją w sercu
jak talizman chroniący mnie przed sobą.

o północy zatrzymał się zegar i nie wiem po której jestem stronie.

Tak. To może napisać tylko pełny, prawdziwy i stuprocentowy poeta. I pragnę Wam teraz Go bliżej przedstawić, przybliżyć, określić; choć pewnie już i tak Go bardzo dobrze znacie, bo to jeden z tych poetów, nie tylko prawdziwych, tych najprawdziwszych, ale i (o ba, bogowie Parnasu), jeden z poetów najlepszych. Przed Wami - Tadeusz Zawadowski, poeta szczęśliwie narodzony dla nas wszystkich w 1956 roku, słowem 65 lat temu, piszący już ponad 35 lat, żyjący poezją, oddychający poezją, wszędzie widzący poezję i czujący poezją.

Dla poezji podpisał cyrograf, zawarł pakt ... z Bogiem (i z diabłem - jednocześnie), ale się nam do tego nie przyzna, bo jest nieco zagubiony, wiecie, jak to poeta, bo poeta to dziś przecież jakiś dziwoląg nieziemski, który, parafrazując współczesną nowomowę: jest *mega dziwny, totalnie odjechany i giga zakręcony*, by nie powiedzieć wprost, nieco obraźliwie - stuknięty.

Jakoś tak się zaprzyjaźniliśmy. Ja, piszący te słowa niepoprawny *podziwiacz* poetów Pokochałem Tadka jak brata, bo zawsze (jako również swego rodzaju wariat) lgnąłem do tych innych, do tego typu wariatów, oderwanych od ziemi dziwolągów, a w tym i poetów. No to Tadek, jako ten dziwoląg, ale i poeta ujmijmy to – nadrealizmu poznawczego, pisze nam wiersze nietypowe. Szczerze mówiąc często wiersze stylistycznie rozpoznawalne, których lektura każe się sekundę zamyślić i stwierdzić: zaraz, czyż to nie Zawadowski? Kapelusze z głów. Jakież to wiersze!? Wiersze świetne, znakomite, bardzo często trafiające pointą w punkt, genialne w swej prostocie, szlachetności i szczerości, i innym wierszom, tym zwyczajnym, *postróżewiczowskim* wierszom (o wszystkim i o niczym) całych zastępów współczesnych poetów po prostu nie równe...

Nie mów mi więc Tadziu o jutrze. Jutra nie będzie, bo jutro nam niepotrzebne. Potrzebne nam są Twoje kolejne tomy. Do tej pory Tadeusz Zawadowski napisał i wydał 17 tomów poezji, ale w swej starodawnej miłości ku poezji nie ogranicza się tylko do pisania i wydawania wierszy, choć przecież to określa Go jako artystę, twórcę i poetę. Tadeusz Zawadowski bowiem urodził się też społecznikiem. Nie zamierza sam wkraczać do nieba. Zamierza tam zaciągnąć jeszcze kilku innych szaleńców. Zamierza stworzyć tam silną grupę, coś na kształt partii politycznej, może nawet armii i zdetronizować nieco zramolałego już św. Piotra.

I tutaj być może warto się przyjrzeć ewolucji twórczości poetyckiej Tadeusza Zawadowskiego, która od form wyrafinowanie uroczych, prostych i niemal detalicznych powędrowała w formy skomplikowane, rozbudowane, gęste od znaczeń, będące niemal poetyckimi przepowiedniami, ostrzeżeniami czy znakami drogowymi na naszej autostradzie do piekła, którego przecież nie ma.

Zawadowski jako poeta prawie czterdziestoletni, zatem ustalmy - poetycki młodzian, podrostek publikuje w tomie „Przedrośla" (1994) wiersz bez tytułu:

są w nas ukryte drzwi
przez które nocą
wychodzimy
na łąki dzieciństwa

są lata
pełne kamyków w kieszeniach
szkiełek kolorowych
przez które podglądamy świat

ojciec pośród jabłoni
wyciąga ramiona
niczym drzewo powoli
obrasta w owoce

są w nas ukryte drzwi
do których coraz częściej
nie możemy odnaleźć
klucza

Publikuje zatem Zawadowski ten wiersz w roku 1994, aby już w roku 2020, w tomie „dopóki budzik tyka" napisać

ODWZOROWANIA

w lustrze martwy człowiek. wyciągam
do niego rękę i obie stają się martwe. na ścianie
obraz przedstawiający krajobraz po bitwie.

cały w bliznach wychodzę z ram

Co się stało przez te dwadzieścia sześć lat? Czy to tylko dwadzieścia szześć lat, czy

też nadszedł nowy XXI wiek? O tak, nastąpiło w międzyczasie prawdziwe trzęsienie ziemi. Katastrofa, choć niewidzialna, stanęła u bram. Niemal na naszych oczach wali się stary świat, stary porządek, niebo, piekło, św. Piotr, i na naszych też oczach nadciąga jeszcze nieznane, ale już rysujące się, przerażające i policzalne odczłowieczenie poprzez uczłowieczenie w cuglach *cybertechnologii* szpiegowania nas, nadciąga mgła *zeswawolizowanej* wolności do oczyszczenia ciał z dusz, sumień, uczuć i skrupułów, a w to miejsce nadciąga nowy Übermensch postprawdy – ktoś na miarę ... odpowiedzcie sobie sami. Czy on jest jednak naprawdę nowy? Czy to tylko kalka niezrealizowania go, jeszcze rodem z minionego wieku, podczas którego dwa wielkie totalitaryzmy usiłowały tak właśnie uzyskać efekty postępu, ale cały ten projekt jakoś diabli wzięli.

Niestrudzeni projektanci dusz nie zasypiali jednak gruszek w popiele. Ich żmudna wędrówka przez instytucje przyniosła dziś skutek. Nowy marksizm (nazywany medialnie bardzo różnie) płonie coraz silniej. W imię tej przewrotnej nowej ideologii wręcza się dziś: granty, ordery, nagrody, również w dziedzinie literatury. Dlaczego zatem Tadeusz Zawadowski znów idzie pod prąd? Jego prowadzi bowiem mała mrówka. Mała poezja na oceanie strachu. Uciekająca w nadrealizm.

Łupinka ledwie dryfuje, podąża w nieznane, jeszcze zipie, ale odważnie głosi i ostrzega. Wciela się w prawdziwą i ważną rolę poety, poezji, tego dziwnego, niezrozumiałego języka metafor i symboli ku opamiętaniu, ku przestrodze, ku pokrzepieniu serc, których zostało już jakby coraz mniej...

Wróćmy do słów poezji Zawadowskiego. Jak wygląda w takim świecie

PRZEBUDZENIE

obudziłem się kilkadziesiąt lat przed zaśnięciem. znowu
te same koszmary. ludzie bojący się otworzyć usta. wszędzie
takie same podejrzliwe spojrzenia wypatrujące odchyleń
od ustalonych norm. na ulicach ten sam pomnik
niczym kiedyś wiszący na ścianach portret jedynie
słusznego i nieomylnego. wszystko
tak jak wtedy. tylko ja przestałem być

uśmiechniętym chłopcem

Czyli właściwie nic się nie stało. Już wtedy nie mogliśmy odnaleźć klucza, następowały symptomy dramatu, pierwiosnki katastrofy, zjawy przyszłości, a teraz jedynie przestaliśmy być *uśmiechniętymi chłopcami*, choć śmiejemy się jeszcze z tego wszystkiego w paroksyzmie histerycznego śmiechu podrasowanego alkoholem, jak przystało na artystów, poetów, na Ikarów, na Dedalów, na całe to fałszerstwo opowieści nie wyłączając ***czułego narratora*** i jego odniesień... na całe to złudzenie ***wszystkiego, które już było***, na całą pułapkę nieśmiertelności oraz pułapkę ułudy tworzenia, na mit artysty, który nie jest - o ironio - już temu światu potrzebny.

O nie kochani, tak łatwo nie będzie. To moje rozważania. Jak wszyscy, mam do nich prawo. Tutaj jest o wiele więcej treści, pod-treści, podtekstów, kontekstów i symboliki dekadentyzmu, już nawet nie końca wieków, ani nie początku wieków, tylko... samego końca człowieka. To przewrót iście kopernikański. Z jednej strony barykady oczadzeni nauką, a z drugiej uzbrojeni po zęby *płaskoziemcy* stanęli naprzeciw, szykują broń, zwierają szyki, za chwilę coś wybuchnie. Nie, nie lękajcie się, nie będzie to poezja Tadeusza Zawadowskiego, nie będzie to wojna, ani karykatura wojny, nie będzie to nic spektakularnego – spektakle przeznaczono dla mas. Prawdziwy świat toczy się w zaciszy gabinetów, za kotarą rzeczywistości, pod ziemią. W ciemności. Tajemnie. Nieczytelnie. W chaosie. Tam powstają wirusy naszych czasów.

MOJA TRATWA

jest źle. napływają czarne chmury zamiast łodzi
ratunkowych. znikąd pomocy. gram w pokera
i znowu przegrywam. a pula wysoka. kolejne wyspy
zasłaniają swe przystanie gęstą nie
do przebicia zasłoną mgły. mój ararat daleko poza
horyzontem. nie dolecą gołębie. moja tratwa

nie dopłynie.

Przygnębiające to wizje. Ostre. Wyraziste. HD. Wizje wysokiej rozdzielczości. Jakość spojrzenia zabrała nam możliwość impresji, sztuki świetlanego złudzenia, które się w nas pomimo tego gdzieś zagnieżdża i tkwi już do końca. To jeszcze nie koniec. To tylko początek jutra

JUTRO

jutro już się zaczęło. tak długo je odkładałem. z półki
na półkę. z szuflady do szuflady. zawsze
mówiłem że mam jeszcze czas. to dopiero
jutro... odległe jak niemal nigdy.
a więc co stało się z dzisiaj? boję się otworzyć
drzwi bo po drugiej stronie może mnie już nie być
a po tej wczoraj pachnie chłodem. siedzę skulony w kącie
pokoju. wiem że nie pomoże zrywanie kalendarzy
ze ścian i obgryzanie paznokci. jutro

już się zaczęło.

Tadeusz Zawadowski w swym dorobku zawsze miał tomy ważne, istotne, które wpływały na pokolenia, na krytyków, na spojrzenia na literacką ocenę oraz systemy postrzegania poezji – przywołajmy tu „Listy z domu wariatów" (1995) czy choćby „Kiedyś" – tomy, dodajmy znaczące, jakoś tam przełomowe, nowatorskie, z własną dykcją, odróżnialne od innych tomów. Jednak to, co napisał w ostatnich dwóch tomach (w swoich „budzikach" 2019-2020) przesunęło Zawadowskiego do loży herbertowskiej, a w niej, jak wiemy, zasiadało do tej pory niewielu. Każdy może sobie oczywiście do tej nietypowej loży Pana Cogito wstawić kogo zechce, jest jednak w tym jakaś logika powagi poezji, jej wizji, profetyczności, zgrabności formy i konstrukcji, jasności symboliki oraz ciężaru treści, aby w niej choć na chwilę nie każdego jednak ugościć i uważam, że właśnie Tadeusz w ostatnim tomie do niej dojrzał. Nie jedyny, rzecz jasna, ale jako jeden z nielicznych. W owej loży herbertowskiej (loży niezależnej, szczerej, znakomitej twórczości) odnajdziecie kilku znanych i ważnych poetów, którzy pokusili się coś ocalić, coś ze świata, który przemija i coś z nas – zaczarowanych współczesnością. Lożę tę możecie sobie tylko wyobrazić, stąd i cały jej urok. To moja konstrukcja dla zobrazowania nieistniejącego i mało dla współczesnego świata istotnego parnasu poezji. Skończmy już z tą poezją.

Spojrzyjmy na Zawadowskiego. Wanda Nowik-Pala napisała w recenzji do tomu „Kiedyś": „*Tadeusz Zawadowski jest mistrzem chwytania chwili i ukazywania jej najsubtelniejszych odcieni. Dzięki temu w tych szczególnych momentach, gdy odwiedza go poezja, powstają barwne kobierce nastrojowych, wzruszających, a przy tym zmuszających do głębokich przemyśleń, wierszy. Efekty są godne podziwu. Nic dziwnego, wszak zarówno osnowa myśli, jak i przędza słów są najwyższej jakości. Dzięki temu jego utwory cenione są zarówno przez czytelników jak i fachowców, o czym świadczy ponad dwieście nagród w międzynarodowych i ogólnopolskich konkursach literackich, nagroda za działalność kulturotwórczą Niezależnej Fundacji Popierania Kultury Polskiej POLCUL FOUNDATION w Sydney /1997/ oraz Nagroda Literacka im. Klemensa Janickiego za oddany właśnie w nasze ręce trzynasty z kolei poetycki tom „Kiedyś".*

Jednak nie w deszczu nagród czy słowach uznania tkwi siła tej twórczości. Jest też ona ukryta w pewnej konsekwencji poszukiwań. W jej epicentrum zawsze umiejscowiony jest człowiek: jego uczucia, napięcie, system nerwowy i system wartości, jego dążenia, marzenia i jego rzeczywistość, aż po codzienność. Czasy i epoki przechodzą jakby obok, mimochodem, poniekąd, aż do „budzików"... w nich już czasy przygniotły, przytłoczyły i stłamsiły człowieka. Przesłanie niejako przyblakło, a poezja odleciała w inny krąg, ale wciąż jest lepiona z tej samej czułej gliny. To glina najwyższej jakości. High Definition. HD, jak już nie omieszkałem wspomnieć.

Jedna z blogerek-*Kinga Młynarska* następująco sformułowała poezję Zawadowskiego: „*Mam wrażenie, że Tadeusz Zawadowski hołduje niezbyt popularnym dziś wartościom, także w sensie swoich poetyckich wyborów. W jego twórczości bowiem dominuje czułość, może czasem ocierająca się o naiwność (patrząc na nią z punktu widzenia nowoczesnego świata) – zajmuje go nawet „samopoczucie" stołu czy stan „rzeczy nienazwanych". Jest tu ogromny szacunek dla drugiego człowieka, dla przyrody i najmniejszego istnienia i wresz-*

cie jest jakaś magiczna relacja poety ze słowem. Wszak pisanie i to, co już zapisane, nie jest li tylko kawałkiem tekstu, po prostu książką czy jakimś wierszem – dla podmiotu Zawadowskiego czytanie to przecież wkraczanie w nowy świat, w nowe możliwości, w szczególnego rodzaju wspólnotę. Nie brakuje także głębokiego patrzenia na poszczególne zagadnienia, współodczuwania, ale obok wrażliwości stoi też mądrość i wyczucie, a czasem pojawia się też humor (i tu znów trzeba podkreślić, że wypływa on znów z tego czułego przyglądania się światu i uważnego namysłu nad jego istotą). Czytanie tomików Tadeusza Zawadowskiego jest niezwykłym przeżyciem!"

I tak oto „niezbyt popularne dziś wartości" zaprowadziły Tadeusza Zawadowskiego do Wielkiej Poezji, ale i na skraj przepaści naszych czasów. Zresztą, co tu dużo mówić, „niezbyt popularne dziś wartości" nas wszystkich nad ten skraj doprowadziły, a zwłaszcza piszącego i czytających – tu i teraz – te słowa. Czasy stały się wyjątkowo paskudne, podłe, złowrogie. Zalew chamstwa, barbarzyństwa wręcz, natłok pogaństwa i nowatorstwo jego obyczajów (bądź braku takowych) oraz wszechogarniająca wrogość ludzi, ich alienacja i samotność, ich klęska i odosobnienie – nawet w tłumie, ale i wśród bliskich, nawet w rodzinie, atak na tę Rodzinę i wróćmy do punktu wyjścia ... na „niezbyt popularne dziś wartości" doprowadza do ... no właśnie. Do jutra. Jutro bowiem, kochani ... już się przecież zaczęło.

Warto tu przypomnieć słowa Dariusza Tomasza Lebiody, znanego i cenionego krytyka literackiego, który w posłowiu to tomu „Mrówka" zauważa: „*Poezja Tadeusza Zawadowskiego jest próbą ustalenia właściwych proporcji i zachowania integralności osobowej pośród chybotliwego świata, wiszącego w kosmosie, jak Chrystus Św. Jana na krzyżu (nawiązanie do okładki tomu z reprodukcją obrazu Salvadora Daliego pt. „Chrystus Św. Jana od Krzyża")*. Dalej Lebioda podkreśla, że wyobraźnia autora stale podąża od realizmu do nadrealizmu oraz uwypukla nieustanne eksperymenty tejże wyobraźni, którym ulegają sprzęty, przedmioty, artefakty i gesty. Autor wsącza w nią treść człowieka, jako bytu najistotniejszego, jako swego rodzaju sacrum rzeczywistości jaką znamy i ubogaconą właśnie wiecznie żywą wyobraźnią sztuki, w tym przypadku malarskiej. Surrealizm pojęciowy Zawadowskiego zawsze wypływa zatem z głębokiego humanizmu autora i to zdecydowanie go stawia w opozycji do modnej ostatnio obojętności wobec osoby ludzkiej, której istotę przemieniono w zalew eksperymentów językowych w miejsce treści uczuć, emocji i dążeń ludzkich ku szczęściu. To jest chyba ta próba ocalenia esencji dobra oraz poezji w wymiarze artystycznym proponowana przez Zawadowskiego w miejsce destrukcji tego świata, taka oto iście norwidowska transcendencja owego nieuchronnego jutra, jutra, dodajmy, które już się zaczęło.

W tych kwestiach ukryta jest cała powaga twórczości Zawadowskiego, jej siła, wymiar i znaczenie, jej dar pozostawiania z nami oraz jej niebanalność, która właśnie kreuje owo niezwykłe przeżycie wywołane lekturą tych wierszy.

Niesamowicie trafnie ujął to, jakże lapidarnie, lecz celnie Michał Bukowski z Wiednia, który o tomie „budzik z opóźnionym zapłonem" (2019) napisał: „*to niemal tsunami słów i wersów, metafor i symboli... A przecież przeczytałem tę książkę jednym tchem – i odkładając wiersze na stolik zadumałem się: to już koniec? Więcej wierszy nie ma? (...)*

jest to najlepszy z dowodów na wielkość i wyjątkowość tej poezji (...)

Inaczej, może ujmijmy to, że w kategorii podsumowującej, nieco definitywnej, ale dalece prawdziwej opisał swoje wrażenia z tomu „dopóki budzik tyka" (2020) Andrzej Dębkowski słynny już Redaktor Naczelny Gazety Kulturalnej – najdłużej w sposób ciągły ukazującego się miesięcznika literackiego w Polsce. Dębkowski zauważa, że w tym tomie Zawadowskiego (lecz ja rozciągnąłbym ten sąd na całą jego twórczość) "*największą wartością tej książki jest język. Przystępny, zwięzły, mocny, dosadny i niezwykle komunikatywny. Tom Tadeusza Zawadowskiego oddaje stan (ducha) większości Polaków. Oddaje też idealnie stan czasów, w jakich przyszło nam żyć. Dotyka niemal wszystkich prawd tego nieszczęsnego wieku i tego nieszczęsnego – coraz bardziej – kraju.*"

Dowiedliśmy wspólnie, że niniejszym: Tadeusz Zawadowski wielkim poetą jest. Cóż z tego skoro to: ani nie czas wieszczów, ani wielkości poetów, ani nie czas choćby i potrzeby poezji. To czas cyrku i błazenady. Czas stańczyka raczej niźli króla. Czas celebry i pozerów. Czas duchowej i wolnościowej degrengolady, czas zejścia do piekieł i stanięcia nad przepaścią, a rzeka w dole Styks się nazywa i wciąż, jakby mimochodem, jakby na przekór, wbrew wyroczniom i przepowiedniom, wbrew jej mętnym wodom, jest i pozostanie rzeką nadziei, gdyż dopóki tli się w nas miłość poprawmy mit o Orfeuszu i Eurydyce i dopiszmy do niego nieco szczęśliwsze zakończenie...

MOJA POEZJA

poezja jest dla mnie wpisywaniem
się w siebie
samego i wypisywaniem z rejestru
ogółu. biały
papier jest jak tajemniczy las w któ-
rym moje
wiersze biegną jak psy tropiące
zwierzynę
słowa. gdy je dopadną rozszarpują
na strzępy
a ja mogę się tylko przyglądać jego
mięsu. nie mam
nad nimi władzy. smycze są iluzo-
ryczne
a kagańce zakładam tylko sobie
samemu. mimo to

wyję z moimi wierszami jak
pies.

W tym oto punkcie dochodzimy do fundamentalnego współcześnie i zarazem definitywnego dziś krytyczno-literackiego pytania: czy poezja dziś ma nadal spełniać funkcję głównie liryczną, opartą na dawnych, klasycznych, zdefiniowanych, polubionych i docenionych wzorcach, czy też ma być niejako funkcją bynajmniej dwóch wypadkowych – jedynie śladowo i bardzo w cieniu czerpać z przeszłości, ze swego powołania i jakby definicji klasycznego rozumienia poezji, a nurt główny przekazu, przesłania i języka ma stanowić odważny i mądry (często buntowniczy) opis wydarzeń świata oraz niekonwencjonalną i nowatorską refleksję wobec defetystycznej rzeczywistości jednocześnie odwzorowującą: rytmiczność, frazeologię i tembr języka dzisiejszego zredukowanego do skróconego komunikatu, a nawet jeśli nie do końca i nie całkowicie to przynajmniej poezja ta powinna poszukiwać, przerywać ciszę, prowokować i dawać do myślenia? Tadeusz Zawadowski – jeżeli spojrzeć na Jego twórczość kompletnie i całościowo – odpowiedział nam na to pytanie jednoznacznie. Poezja współczesna w Jego wydaniu powinna gdzieś tam w tle brzmieć echem klasycznym, lirycznym i jak najbliższym człowieka oraz uczuć i emocji, przy jednoczesnym pochyleniu się nad losem, przeznaczeniem, katastrofą świata i jego płynnym, coraz szybszym zmierzaniem ku katastrofie. Najnowszy tom Zawadowskiego – trzecia, najnowsza, pandemiczna i być może „ostatnia" część budzika – „raport z czasów zarazy" (2021) jest również taką odpowiedzią. Jest dowodem na to, czym jest współczesna poezja. Jest przykładem i świadectwem.

Pożonglujmy chwilę najnowszymi wierszami Tadeusza Zawadowskiego, cytując ważne słowa, ważne spostrzeżenia, które poprowadzą nas ... w...

najgorsze

najgorsze skrada się zawsze po cichu
jak kot. nie usłyszysz
nie zauważysz jak wejdzie do twojego
domu.

(...)

zaraza

przenosi się przez radio i telewizję
internet. niczym rozpędzona kula śnież-
na połyka
wszystko co napotka na swej drodze.

(...)

Aż do przerażającego (niestety jakże dalece prawdziwego i profetycznego) wiersza:

pandemia

zastanawiam się jaką drogą prze-
noszą się hipokryzja
i ksenofobia. obie przybierają
postać pandemii a nikt
nawet nie próbuje wynaleźć na
nie lekarstwa.
nie mówiąc o szczepionkach.
wkładam zatyczki
do uszu. wyłączam radio i tele-
wizor. one jednak
nie ustępują. dostrzegam ich
przejawy
na twarzach ludzi rozpalonych
nienawiścią. chciałbym

leczyć ich uśmiechem ale wiem
że gotowi są
dla takich jak ja budować nowe
szpitale

psychiatryczne.

(W Niemczech dla niezaszczepionych, albo negujących taką potrzebę już chcą znów budować obozy – nie słyszeliście tego jeszcze?...)

Spokojnie. Szanowni Państwo. Ty tylko poezja. Poezja współczesna. Odnajdziecie w niej wiele z samych siebie. Własne lęki, zagubienia, obawy i rozterki. Własne bicie serca i ślady własnej duszy, coś, jakby myśl – nie jestem sam, są tacy co myślą tak jak i ja, jest nas więcej, jest jeszcze nadzieja. Może właśnie taka jest rola i zadanie – jedno z najważniejszych zadań naszych czasów – dzisiejszej poezji?

Tadeusz Zawadowski częstuje nas tym, co ma najlepsze. Co przetrwało w Nim aż do dziś, do czasów zarazy. Historię Adama i Ewy, czyjejś ścieżki obok raju, swojego lirycznego przesłania mrowisk i melancholię swojej ogromnej miłości: do świata, losu i człowieka. Do bliźniego, który jest mu celem, wyznacznikiem i horyzontem. Poeta kocha i chce być kochany, jest mały, niewielki, prawie Go nie ma, a jednak jest... aż po

UZALEŻNIENIE

Ewie

w nocy otulam się twoimi snami
dokładnie
aż po czubek nosa. rano szukam
w panice śladów twojego zapachu
na poduszce. przebudzenie bez ciebie jest szare
jak listopadowa słota i nie pomaga
żaden parasol.
na nic poranna kawa i kolejne. wierszom
ze smutku opadają kąciki warg
i powoli

wygasają na monitorze komputera.

To właśnie nam wyjaśnia i proponuje Tadeusz Zawadowski „na czasy zarazy". Zresztą ja również Wam to proponuję. Podążyć taką ścieżką. Czytać, czytać, jeszcze raz czytać, aby kochać i rozumieć i patrzeć w jutro, którego nie ma. Poprzez taki mechanizm o wiele lepiej rozpoznawać współczesność. O wiele lepiej przygotowywać się na lęk i strach spraw ostatecznych, które nikogo z nas nie ominą. Kwestią zasadniczą pozostanie tylko wiara bądź niewiara w Sąd Ostateczny, albo w to, co stanie się po nim.

Poezja Zawadowskiego to taki (par excellence) ... wielki zderzacz hadronów na niwie literatury w jej wymiarze poezji. To największy na świecie akcelerator cząstek, którego głównym celem poznania jest zrozumienie zachowania cząstek elementarnych, a przy tym odkrycie boskiej cząstki naszej rzeczywistości, a w zasadzie odpowiedź na pytanie czy istniej wyższy wymiar. Zawadowski w odróżnieniu od szalonych naukowców odpowiedź dawno już znalazł. Z nami dzieli się tylko swoją sztuką, swoją iluzją, głębią swoich słów. Jego eksperyment od wieków wykazywał okruchy wieczności ukryty podskórnie w tej właśnie poezji, w jego wierszach ekstremalnie szczerych (to jedna z odpowiedzi dlaczego to się tak świetnie czyta), w wierszach na wskroś wobec czytelnika uczciwych, w wierszach niepozowanych, naturalnych i tak silnie prawdziwych. Zawadowski doczekał się własnego mistrzostwa poprzez rozpoznawalność, co w dzisiejszym świecie literackim jest coraz trudniejsze. Dewiza wszystko już było wypaczyła skalę oraz hierarchię ocen. No niestety. Musimy teraz się zmierzyć z tą trudną i brutalną prawdą.

Tadeusz Zawadowski wymyka się wszelkiej kategoryzacji. Nigdy nie jesteśmy pewni co czeka na nas w kolejnym tomie. Jak w świecie realnym. Jak w życiu. Nie wiemy przecież nigdy, co przyniesie kolejny dzień. Najciekawsze są te dni, których jeszcze nie znamy. To chyba powinna być pointa tej opowieści.

Poezja zawsze jest podróżą. Podróżą w inny świat. Podróżą w nieznane.

Andrzej Walter

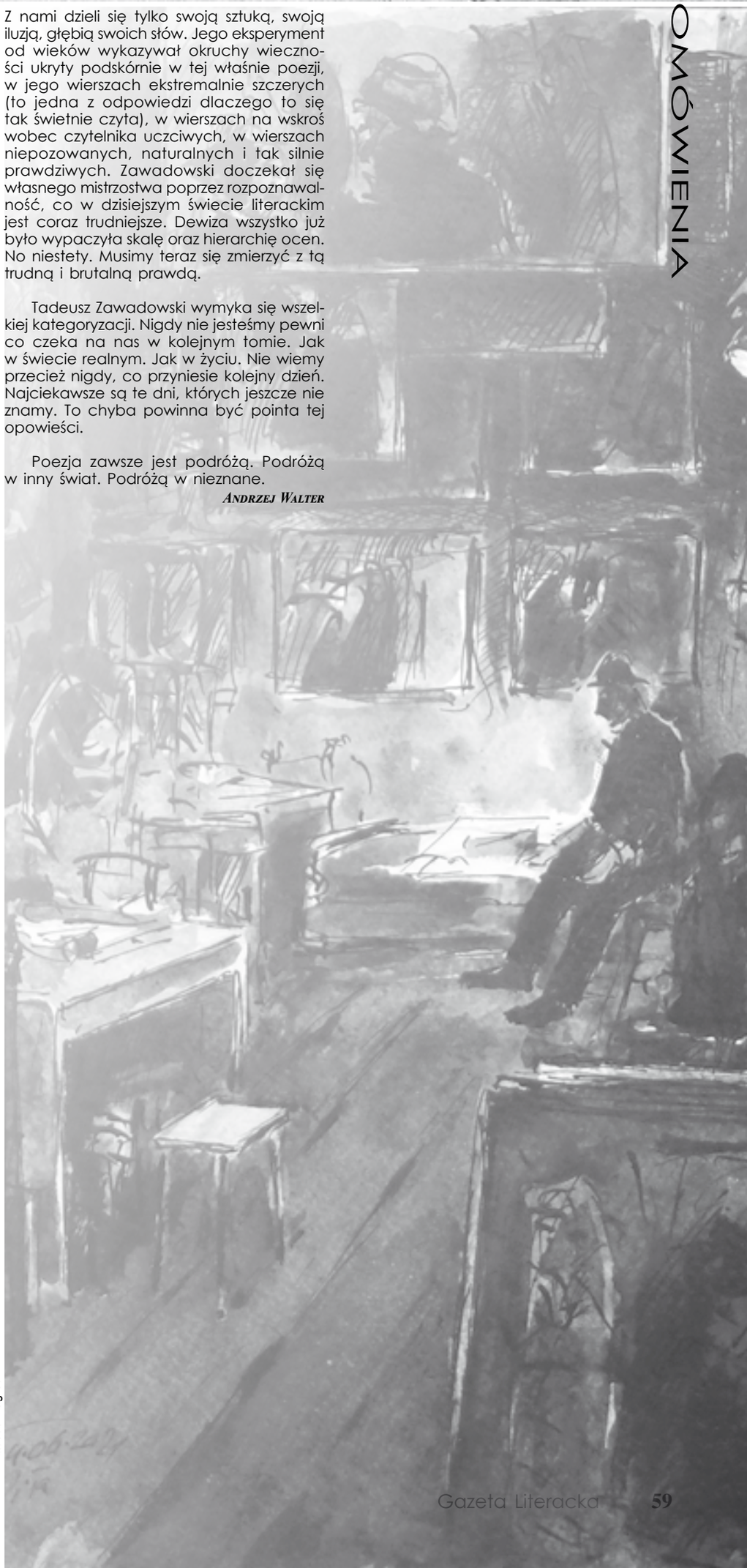

Tadeusz Ogrodnik

Tadeusz Ogrodnik

Małgorzata Dorna
(Wendrychowska)

Tadeusza Ogrodnika - zapiski na marginesie Apokalipsy

Na wypadek Apokalipsy należy
Zaopatrzyć się w pobliskim sklepiku.
Dobrze mieć spakowany plecak,
Płaszcz przeciwdeszczowy,
Wygodne buty. Rozsądnie kupić
Latarkę, radio na baterie
I kilka świec. Można nabyć
Trzy, poświęcone.

Na wypadek wszelki
Zaniechać ateizmu,
Zerwać ze zgubnymi nałogami,
W tym także z nałogiem myślenia.
Uzbroić się w stoicki spokój,
Opracować odpowiednią strategię,
Nie tracić energii, Nie ulegać
Naiwnym wzruszeniom. Słuchać
Karnie poleceń, wykonywać
Rozkazy. Nie dyskutować.

Czas oswojonej Apokalipsy
Dobrze obserwować
Z oddalenia. Można przy
Porannej kawie. {To ciągle
Kwestia wyboru.}Emocje
Dozować z umiarem,
Trzymać się porządku oswajania.
Szczerze żałować za
Grzechy. Pogrążyć się
Cierpliwie w czekaniu.
Nie ulegać podszeptom
Sumienia. Przeczekać.

(Z NOTATNIKA AUTORKI)

Zapiski czyni się chropawo, nie zawsze (jak wypadałoby mniemać) w pospiechu, zazwyczaj bez ingerencji cenzora, odręcznie, „od pędzla", bezpośrednio, prawdziwie, „po męsku" i bez znieczulenia. Zapiski to forma otwarta, niedopowiedziana, intencjonalnie niedosłowna, szkicowa. Margines Apokalipsy coraz szerszy, o konturach coraz bardziej rozmytych, zatartych, wypełniony jednak po brzegi. Wypełniony faktami, których przyjąć do wiadomości nie sposób, zdarzeniami dającymi złudne poczucie trwania w jako tako uporządkowanym, kruchym w istocie i nieodgadnionym - czasie.

A czas ten zmierza nieuchronnie do kresu, posuwa się linearnie, po prostej. Bywa, że wędruje leniwie jakby we śnie, z wolna, trochę niedokładnie odmierzając minuty, godzina za godziną, dzień za dniem. Bywa, że zawiesza się na zardzewiałej wskazówce zegara, przystaje na długie momenty i chwile, zastanawia, zawraca i cofa. Bywa, że bez widocznej intencji kroczy, bywa że uroczyście, w zwolnionym tempie, z rozmysłem jak aktor po pustej scenie. Bywa wreszcie, że wędruje ze „stoickim spokojem", w masce obcego, obojętnego obserwatora, sprawozdawcy z przestrzeni gdzie już tylko ruiny i zgliszcza, blokowiska, enklawy milczenia, nieruchome tafle akwenów, gdzie studnie już z dawna zatrute i wszechogarniająca pożoga. Porusza się wtedy traktem niby wiadomym, drogą „co przed wiekami zrobiona", wydeptana buciorami walczących wszystkich epok.

Oto „Miasta" i oto „Akweny", dwa cykle kompozycji, autorstwa Tadeusza z czytelnym, filozoficznym (nawiązującym do pesymizmu i katastrofizmu) przesłaniem, zapisy równoległe ze światów obojętnych, z owych jakże osobnych, geometrycznie uporządkowanych, w istocie doskonałych struktur epatujących spokojem i... brakiem obecności człowieka. W cyklu pierwszym pozostaje tylko ślad owej obecności, malowane płasko, naznaczone wyraźnym obrysem – blokowiska. W drugim – delikatnie rozmigotane, trwające w smudze cienia, niezmącone niczym, żadnym gestem lub słowem, naznaczone drobnymi pociągnięciami pędzla – lustro wody. Zwierciadło wody powtarzające abstrakcyjne formy (być może drobnych liści lub plam światła), zwierciadło zatrzymane w bezruchu, o tafli chłodnej, milczącej pod okiem gładkiego, dalekiego, bezchmurnego nieba, którego obecności można się tylko domyślać. Takim okiem prześlizguje się po powierzchni zdarzeń ten, kto świadom dramatu codzienności człowieka wyznaczył sobie rolę spokojnego obserwatora, patrzącego z wysokości pustych, kamiennych niebios, z oddalenia, z dystansem, bez emocji, bez cienia niepokoju, bez drżenia.

Takim okiem, szklanym i martwym, paradoksalnie nieczułym patrzy zapewne ten, kogo zwykliśmy (wierząc, że nie jest on tylko światłością i ma na nasze życie dobrze opracowany plan) nazywać Absolutem lub Stwórcą. Ktoś, kto spogląda z góry uważnie, pod pretekstem wielkich filozoficznych dociekań. Ktoś, kto sam pozostaje zagadką i prowokuje do refleksji nad Duszą Świata, Uniwersum, nad jakimś domniemanym Wszechbytem.

W cyklach kompozycji figuralnych, w malarstwie Tadeusza tym samym, przetartym szlakiem, tą samą, co zawsze drogą – idą pogrążeni w bezczasie, zwielokrotnieni, jakby zmultiplikowani ludzie. Zawsze takim samym i tym samym (mimo nieco odmiennej scenerii) traktem. Traktem, wyznaczonym aż po horyzont. Naznaczonym pionowymi podziałami przestrzeni, owymi smugami gęstego, materialnego światła, pociętego słupami mroku, obwiedzionego ledwie zarysowanym, nierzadko barwnym - konturem.

Jakże łatwo przychodzi im (konsekwentnie idącym) oswoić ten czas, czas wyraziście obecnej, stającej nagle, w pełnym blasku reflektorów - Apokalipsy. Jakże chętnie godzą się oni (zawsze „oni", nigdy jednak - nie „my") z czasem śmierci, rozpadu, bezludnych pejzaży, tłumów zmierzających z nikąd do nikąd, z czasem (oglądanego na szklanym ekranie po wielekroć) unicestwiania, eliminowania ze świata, skazywania „na", protestowania „przeciw". Ten czas oswojonej Apokalipsy, czas Apokalipsy ku której zmierza się w ciszy, której wychodzi się spokojnie na spotkanie, z cieniem niezgody i buntu po powiekami, ze słowem zamarłym na spękanych ustach, w pełnym wyczekiwania, w uroczystym milczeniu – obecny jest w twórczości Tadeusza od lat.

Piszącemu o sztuce nieczęsto się zdarza, by analizując twórczość konkretnego artysty odczuwał potrzebę ujawniania swych (bardzo osobistych) myśli, demaskowania własnych, niekiedy intymnych, czasami kłopotliwych, wstydliwie skrywanych dociekań. Być może właśnie dlatego utarło się fałszywe przekonanie, że krytyk podejmując się analizy dzieła – pisze głównie o sobie samym. Taki to los przekonań utartych, wytartych jak przechodzona jesionka, której nawet przenicować nie sposób.

Wyznać przeto należy (ostatnio modnie bywa czynić pretensjonalne wyznania na użytek publiczny) że nawet gdyby tak było w istocie, to (mimo pozornie uzasadnionych podejrzeń) w takiej „naganne", bo „subiektywnej" postawie piszącego - próżno doszukiwać się nawet śladu megalomanii. Niemożliwa jest bowiem krytyka pozbawiona emocji, fascynacji, zachwytów lub przeciwnie – niechęci, buntu, a nawet złośliwości i ironii. Stając twarzą w twarz z dziełem sztuki – stajemy na linii strzału.

Z perspektywy schyłku życia nie tyle artysty, co krytyka (Tadeusz jest młodszy o kilka ładnych lat ode mnie) - odbiera się świat bardziej syntetycznie, jakby z wielkiego oddalenia. Zapamiętuje się wówczas albo mozaikę obrazów i słów, albo linearnie prowadzoną opowieść, wyznaczającą (zawsze nieco spowolniony) rytm, prowadzącej (jeżeli by przyjąć wariant dekadencki) z nikąd do nikąd drogi.

I tak w figuralnych kompozycjach Tadeusza widzi się nie tych, którzy idą, a raczej tych, którzy szli, przeszli, odeszli, przeminęli. Co gorsza nie widać początku, ani kresu ich drogi, mimo że postacie ulegają często zatrzymaniu, jakby zawieszeniu w czasie. Postrzega się zatem tylko szkicowo naznaczone sylwetki, odziane bardziej w teatralne kostiumy, niż ubrania, nie rozpoznaje się twarzy, nie przywołuje się konkretnych zdarzeń, gestów i słów. Tadeusz rysuje cienie, maluje cienie, zapisuje na płótnie ślady przemieszczania się cieni, bezcielesnych, wydłużonych, surrealnie ulotnych, paradoksalnie już, albo jeszcze - nieobecnych.

Oto cykle kompozycji malarskich, opatrzone (nie pozostawiającymi złudzeń, co do intencji autora) tytułami: „Grupa docelowa", „Grupa przystankowa", „Wędrowcy", „Idący", „Spotkania". Egzystuje się zatem w grupie (samotność byłaby tu niewątpliwym wybawieniem!) zazwyczaj w grupie zunifikowanych, anonimowych wędrowców i nie ma już większego znaczenia, czy jest

Tadeusz Ogrodnik Rysunek zaniechany, piórko, 35 x 50 cm, 1981

to grupa docelowa czyli taka, dla której trakt wędrówki dobiega kresu, czy grupa przystankowa, która pozostaje w bezruchu, jakby w oczekiwaniu, zatrzymana w pionach intensywnego światła.

Cykle zapisanych na płótnie przemyśleń, wzbudzają zrozumiały niepokój, prowokują do bardzo osobistych refleksji nad kondycją człowieka uwikłanego w zbiorowość, człowieka wkomponowanego, wtłoczonego w tłum, człowieka osaczonego w grupie. Sylwety utrwalone w gęstym, matowym błękicie, w pastelowych różach lub brązach, podświetlone intensywną czerwienią, postacie zatrzymane w bezruchu, o twarzach znieruchomiałych jak maski, odziane w rodzaj eleganckiego przebrania, dopowiedziane wyraźnym, zawsze jednak poszarpanym konturem, postacie zdeformowane, o martwych, niewidzących oczach – wszystkie one zostały naznaczone piętnem odwiecznej tragedii - tragedii, która trwa.

To dramat konieczności istnienia, dramat wyobcowania, zamknięcia w grupie „przystankowej" lub „docelowej", ostatniej i ostatecznej zarazem, w grupie, od której nie ma ucieczki i z której wyzwoleniem mogłaby tylko okazać się (jakże teatralna i pożądana zarazem) nieobecność, czy może prościej i dosadniej – śmierć.

Wydaje się, że nie tylko z potrzeby doświadczania wewnętrznych podróży, wędrówek w głąb siebie wyrastają owe kompozycje figuralne, w których postać człowieka, pokazana w sposób syntetyczny, umowny jak znak – staje się już tylko abstrakcyjnym, szkicowym, wydłużonym zapisem lub może zaledwie śladem nienatrętnej, nie narzucającej się i mimo wszystko bolesnej - obecności.

Zatem to nie „tylko" podróże wewnętrzne – to także rodzaj exodusu, na który skazujemy się sami lub skazuje nas (jakże nieprzychylny ostatnio) Los. Wobec tego, czego doświadcza zbiorowość w drugiej dekadzie XXI stulecia – wizje malarskie Tadeusza okazują się niemal prorocze.

Ci, którzy szli i którzy idą jeszcze, wbrew prawom kierującej ich krokami potrzeby - przywołują nie tylko symbolikę prac Edwarda Muncha i Jacka Malczewskiego, a wpisują się także (za sprawą owego spokoju, rezygnacji, oddalenia) w postmodernistyczny pesymizm, dekadentyzm, fatalizm.

I nie jest tu obojętny fakt, że Tadeusz robił dyplom z malarstwa na Krakowskiej ASP. Kraków, przesiąknięty wszechobecnym modernizmem, kolebka malarstwa z gatunku nowej figuracji (by wspomnieć tutaj tylko osiągnięcia Grupy „Wprost", zdeklarowanych spadkobierców twórczości Andrzeja Wróblewskiego), „tamten" Kraków, miejsce życia artystycznej Bohemy, kawiarnianych spotkań i dyskusji, zderzonych z (niewątpliwie dość ponurymi) realiami czasów PRL – musiał nastrajać refleksyjnie i trudno byłoby naiwnie przyjąć, że były to refleksje radosne, przepojone optymizmem, wiarą w socjalizm i nadzieją.

Wtedy to (zafascynowany atmosferą miasta) młody jeszcze, poszukujący swej drogi artysta - zaczął uprawiać rysunek i akwafortę, dbając przede wszystkim o detal, delikatność, finezję kreski przypominającą pociągnięcia piórkiem, pozostawiając przestrzeń na niedomówienia, przestrzeń niedomkniętą, otwartą ku mlecznej bieli, czy jak sam to sugestywnie nazywa – „przestrzeń zaniechaną".

Już wówczas powstawały wizje Apokalipsy, precyzyjnie wyrysowane, nagromadzone kamienne bryły wyznaczające drogę postaci o twarzach wykrzywionych grymasem strachu i bólu, postaci zatrzymanych, zastygłych w teatralnych, tragicznych i pełnych patosu gestach. W głębi, gdzieś w centrum kompozycji pozostawała gęsta, matowa biel, imitująca przerażające światło, które przeszywa chłodem, okalecza, unicestwia, zabija. Już wówczas pojawiały się w rysunkach Tadeusza motywy autobiograficzne, owe rozważania nad kondycją współczesnego artysty, który okazuje się nie tylko komentatorem i świadkiem, ale także uczestnikiem przedstawionych na papierze zdarzeń.

W jednej z prac malarz odwrócony tyłem, wpatrzony w obraz rozpadu, zagłady, walki. Za nim stół, rozsypane przybory, narzędzia, warsztat pracy artysty, który nagle okazuje się bezradny, bezsilny wobec otaczającego go świata, tak jakby przerosła go owa koszmarna, upiorna, zagęszczona nagromadzeniem ostrych, nieprzyjaznych form, zawsze jednak intrygująca - rzeczywistość. W innej, równie starannie przemyślanej kompozycji – tłum zdeformowanych, kanciastych postaci zmierzających w głąb mrocznego, betonowego tunelu. Na pierwszym planie, jakby poza ramą obrazu rozstawiona sztaluga, rzucone niedbale pędzle, papierzyska, tuby z farbami. Ślad obecności malarza, który tym razem pozostawia po sobie białe, doskonale zagruntowane płótno.

- „To było takie przesymbolizowane. Zatruta studnia, tak trochę jak z obrazu Jacka Malczewskiego. Chochoły... Grottgerowskie klimaty... czaszki, czysty romantyzm... Człowiek się młodopolskiej sztuki nawdychał w Krakowie..."- Tadeusz mówi o swych pracach ciepło, serdecznie, z ledwie uchwytną nutą pobłażliwości. Ogląda siebie na rysunkach sprzed lat, młodego, zbuntowanego chłopaka, odzianego w zbyt obszerną kufajkę, która (jak przyznaje dowcipnie) „zakończyła żywot u brata, na traktorze."

Powrót do Apokalipsy minionej, niespełnionej ostatecznie, zapisanej w młodzieńczych rysunkach i próbach – okazał się zapowiedzią tej nowej, tej która (czy życzymy sobie tego, czy nie) spełnia się przed naszymi oczami, trwać będzie i trwa.

Oto kompozycja, utrzymana w mrocznych błękitach i czerniach, zatytułowana skromnie „Nocny spacer" przywodzi na myśl spacer ostateczny, swoisty exodus ku sączącym się z drugiego planu, ledwie nazna- →

czonym smugom chłodnego, zielonkawego światła. Tak, więc spacer, owa namiastka podróży, będącej metaforą ludzkiego losu, metaforą życia – nie polega na odkrywaniu nowych lądów, nie prowadzi po prostej do celu, mimo że cel ten zwykle wydaje się wiadomy i oczywisty.

Oto „Fragment obrazu już nieistniejącego" z 2021, kompozycja graficzna, zdecydowana w rysunku (Tadeusz rysuje od pędzla, mocnymi, szerokimi pociągnięciami). Tak, więc kompozycja ascetyczna w kolorze, minimalistyczna w formie i przez to pełna ekspresji, utrzymana w tylko czerni i bieli, w szarościach przechodzących w jasne, pastelowe błękity.

Idący (jak owi „ukrzesłowieni" z obrazu Andrzeja Wróblewskiego „Kolejka trwa") to tylko płaskie sylwety, symbole ludzkich postaci, zachowujące nikłe ślady swych materialnych lub może – materializujących się na nowo (w naszej obecności) bytów.

Oto procesje, owe upiorne kolejki po „życie wieczne", ze sztandarami, sztywno rozpostartymi w przestrzeni zamkniętej, kamiennej, jak tylko kamienne może być pozbawione lekkich laserunków i prześwitów, zawarte na głucho niebo. Oto czekający na niebieskich przystankach, otumanieni czekaniem, pogrążeni w czekaniu do ostatka, do granic, na zatracenie.

Oto znowu zaludnione, zagęszczone zwielokrotnionym tłumem płótno. Oto idący-stojący, nie zmierzający, nie idący (mimo takiego właśnie tytułu całego cyklu) do nikąd, wtopieni, zniewoleni płaszczyzną obrazu. I znowu postacie o charakterystycznych, wydłużonych sylwetach, sprowadzone do płaskich, zaznaczonych grubym obrysem plam, utrzymanych w stonowanych błękitach i przygaszonych, matowych czerwieniach, szczelnie wypełniające ramę. Wrażenie zagęszczenia, nagromadzenia symbolicznie potraktowanych osób osiąga artysta poprzez zastosowanie tak zwanej „odwróconej perspektywy". Ci, którzy stoją w najbliżej, tuż przy krawędzi, zamykającej kompozycję ramy – okazują się nienaturalnie skarlali, tamci pokazani jakby w oddaleniu – przytłaczająco, monstrualnie ogromni.

W istocie i ci i tamci tworzą znieruchomiałą, budzącą grozę – zbiorowość. Zbiorowisko istot jakby już nie żyjących, ale jeszcze nie do końca, nie ostatecznie skazanych na unicestwienie. Istot nieprzypisanych konkretnej przestrzeni miasta, ulicy lub placu. Istot trwających w zawieszeniu, rozpiętych, rozpostartych na płaszczyźnie jak owe pamiętne postacie, zapisane w tradycji polskiej szkoły nowej figuracji, znane z podobnie oszczędnych, mocnych w wyrazie, syntetycznych, celowo chropawych ujęć. Ostateczne przesłanie całości wydaje się jednoznaczne, czytelne, nie pozostawiające złudzeń. Apokalipsa nadal trwa.

Tadeusz Ogrodnik, Idący (fragment obrazu), akryl na płótnie, 2022

„Obrazy są we mnie – dorastają, miesiące, lata, wędrują ze mną, bywają pijane, bywają wściekłe, nienawidzą lub kochają. Twórczość nie znosi amoralności, imitacji odczuć, doznań. Jeżeli się ma trochę szacunku dla samego siebie trzeba się starać poprzez twórczość mówić prawdę o stanie swej duszy, trzeba to robić bez względu na cenę jaką przyjdzie zapłacić." - powiedział mi kiedyś Tadeusz, kiedy próbowałam sprowokować go (z natury niechętnego zwierzeniom) do wypowiedzi na temat jego prac. Tamte słowa, tak proste, zwyczajne - pozostały ze mną na lata.

Tadeusz Ogrodnik, Odwrócony (autoportret), piórko, ok. 35 x 50 cm, Kraków 1980

Siedzieliśmy wówczas w pracowni, a na ekranie komputera pojawiały się fotografie całych sekwencji rysunków i szkiców, cykle obrazów, zapisanych w porządku chronologicznym, z jakąś ogromną starannością i uwagą. Układały się w zapis drogi, w zapis kolejnych etapów wędrówki w głąb siebie, której szlak zaznaczał się wyraźną krechą, prowadzoną pewnie i prosto, bez meandrów i zakoli, bez kompromisów. Tworzyły dokumentację stanów psychicznych, nie stroniąc od prawdy, bolesnej często, brutalnej, demaskującej to wszystko, co tak wygodnie ukryć pod maską poprawności, konwencji, ułudy.

Uświadamiam sobie już wtedy (przed kilkunastoma laty) ogromną konsekwencję artysty, dla którego każda praca stawała się wyrazem dociekliwości, uporczywej analizy siebie samego, tak jakby ludzka psychika była równie istotnym tworzywem jak owo tworzywo malarskie. Tadeusz zapisywał na papierze lub płótnie te swoje relacje i (trzeba przyznać) czynił to zawsze z pasją dokumentalisty, z zainteresowaniem kogoś kto patrzy „z boku", pozwalając sobie na sporą dawkę autoironii.

Swobodny, beztroski ton wypowiedzi okazywał się doskonałym kamuflażem. Ten kto rysuje, maluje, kto utrwala świat wnętrza w obrazach, dotykając jakby mimochodem spraw ostatecznych, uniwersalnych i ważnych – unika deklaratywnych wypowiedzi, koncentrując się raczej na warsztacie, na analizie formalnych poszukiwań, eksperymentów. W późniejszych latach, już jako dojrzały i zapoznany, liczący się w środowisku artysta - Tadeusz zaczyna rysować lżej, bez wypełnienia, co sprawia, że kompozycje stają się bardziej syntetyczne, a symbolika przestaje być (jak podkreśla) tak bardzo czytelna, natrętna.

To właśnie wówczas pojawiają się wy-

dłużone, teatralne postacie, znika stylizacja, a twarze pozbawione symetrii, zbudowane z przemieszczonych, przesuniętych płaszczyzn robią wrażenie poruszonych, poddanych pozornej animacji. Interesującym zabiegiem formalnym jest także wprowadzenie motywu obrazu w obrazie, negatywowego rysunku, w którym nagle na czarnej płaszczyźnie pojawia się biały kontur, świecąca rozedrgana kreska, czy lawowania, które pozwala wykorzystać przypadek, działanie plamą, sprawiające, że rysunek przestaje być kaligrafią.

- „Łatwiej uruchomić wyobraźnię, gdy jest jakaś plama. Jednakże plama „z przypadku" nie może być przypadkowa w pracy. Nieraz trzeba zarysować ciekawy element, rysunek i tak wyjdzie, bo kartka już się zmierzwiła. To dodaje tajemniczości, głębi, to nie jest gładka czerń, tam już coś się dzieje..."

W świat oswojonej Apokalipsy, w świat wieku upadku i końca, w świat malarskich wyobrażeń Tadeusza - nie sposób wejść człowiekowi psychicznie nieprzygotowanym, nieroztropnie, krokiem niedbałym i szybkim, pośpiesznie i jakby mimochodem. Tutaj rytm narracji, opowieści o życiu i ludziach ulega celowemu spowolnieniu i nie dzieje się tak za sprawą wieku artysty, a raczej za sprawą gromadzonych latami doświadczeń rysownika i malarza, uważnego obserwatora tego, co dane nam przeżywać w bliskim kontakcie z tworzywem, paletą barw dobieranych starannie, przechodzących od intensywnych czerwieni, błękitów po rozbielone, niemal pastelowe róże, zielenie, ciepłe szarości i brązy. Rytm życia zapisanego na płótnie, utrwalonego w kolejnych cyklach, sekwencjach zatrzymanych w kadrze scen – ulega bowiem uspokojeniu, wyciszeniu, uważnej interpretacji. Nie znaczy to jednak, że poszukiwania formalne, które wydają się procesem równie istotnym jak prowadzona w obrazach narracja – przysłaniać mają delikatną nutę niepokoju, sącząca się (podobnie jak światło) skądś, z wewnątrz, z pęknięć i szczelin, z podskórnej tkanki obrazu, spod cienko kładzionej plamy, ograniczanej najczęściej szkicowym, umownym konturem, obrysem.

Artystę interesuje bowiem „malarskość" zapisu, którą na gruncie historii sztuki przeciwstawia się zwykle „linearności". Czynił tak twórca pojęcia malarskości, Heinrich Wolfflin, który w swej pracy, poświęconej analizie podstawowych terminów historii sztuki[1] – odkrywał różnice między stylem renesansu i baroku, stylem klasycznym, jasnym, lapidarnym, dopowiadającym z filozoficznym dystansem świat oczywisty, czytelny i płaski oraz stylem pełnym ekspresji, mroku, niedomówień, niedookreśleń i poruszeń, głębi, stylem zwiastującym nadejście romantycznego i modernistycznego obrazowania. „Styl linearny jest stylem plastycznie odczutej określoności." – pisał Wolfflin – „Styl malarski natomiast rezygnuje mniej lub więcej z przedstawienia rzeczy jako takiej, jaka ona jest. Nie istnieje dlań już ciągłość konturu, a dotykowe powierzchnie są zaburzone. (…) Rysunek i modelunek nie pokrywają się już w sensie geometrycznym z plastycznym podkładem formy, lecz dają tylko optyczne zjawisko rzeczy. (…) Jeden styl to sztuka konkretnego ujmowania rzeczywistości, drugi to zjawiskowe jej ujmowanie."[2]

Do praktycznych przemyśleń wobec nieuchronnej Apokalipsy, takiej bliskiej, oswojonej, oczywistej – skłaniają obrazy Tadeusza, te z odwróconą perspektywą, w których plan pierwszy staje się niespodziewanie ostatnim. Kreujemy wielkich

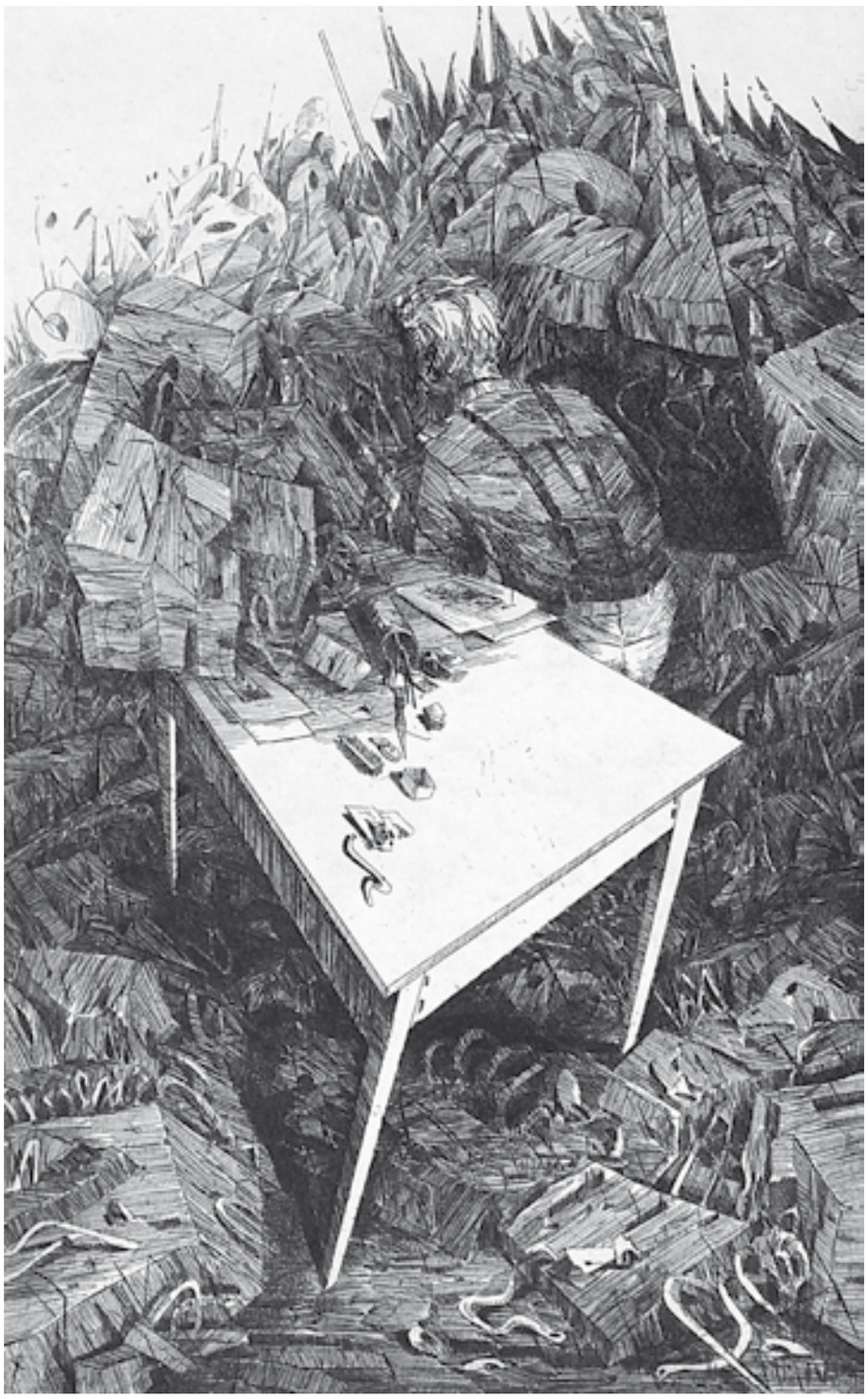

Tadeusz Ogrodnik, Obserwator, akwaforta, ok. 60 x 40 cm, 1980 - 81

tego świata, sobie wyznaczając niewdzięczną rolę karłów, błąkających się jak we śnie, zagubionych między ogromnymi, zatrzymanymi w bezruchu, stopami „Tamtych", zimnych i obojętnych, obcych i nieprzystępnych, anonimowych.

A jeżeli do grona „Tamtych" należy także „nasz", podobno taki znany, taki potulny i sprawiedliwy, tak dokładnie opisany w Biblii, poezji i kulturze – „uczłowieczony" i nieco bezradny, skłonny do poświęceń - Bóg? Czy czeka nas piekło wiecznych blokowisk, czy niebo martwych, zatrzymanych w bezruchu akwenów? Czy tu lub tam, nie czując się nigdzie, prawdziwie „u siebie", skazani zostaniemy na ów przerażający byt wieczny, naznaczony piętnem niechcianej nieśmiertelności, bolesnym piętnem ostatecznego wyroku, gwarantującym trwanie w osobnej pustelni myśli i uczuć, po wieki? Pozostaje konstatacja faktów, faktów nielubianych, odrzucanych konsekwentnie, elegancko przemilczanych, przypudrowanych. W sztuce, podobnie jak w literaturze poprzedniego stulecia – zapisuje się fakty. Jest zatem malarstwo faktu, tak jak była literatura faktu po wojnie, po tamtej Apokalipsie spełnionej.

Do praktycznych uwag wobec Apokalipsy (najlepiej dodać jako punkt do strategii, osobny i nader istotny) zaleca się kupić niezwłocznie: kajet, długopis. Nic więcej. Unikać ołówka z gumką. Faktów nie da się wymazać. Fakt trwa.

Małgorzata Dorna (Wendrychowska), Piła, maj 2022

1 H. Wolfflin, Podstawowe pojęcia historii sztuki, Problem rozwoju stylu w sztuce nowożytnej, Zakład Narodowy Imieniem Ossolińskich, Wrocław – Warszawa – Kraków 1962, r. I

1 H. Wolfflin, Podstawowe pojęcia…, dz. cyt., s. 54

Roman Warszewski

Góra, która zjada ludzi

Właśnie przyznano nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego za książkę reportażową.

Zgodnie z regulaminem, można nią wyróżnić zarówno książkę polską, jak i reportaż zagraniczny, który został przetłumaczony na polski. (Wtedy nagrodę otrzymuje także tłumacz książki.) W obecnej edycji konkursu laur trafił do **Andera Izagirre**, Baska, reportażysty od lat z powodzeniem interesującego się najbardziej odległymi zakątkami świata i najdalszymi peryferiami ludzkiej egzystencji. Nagrodzono jego książkę **„Potosi. Góra, która zjada ludzi"**. Tom opowiada historię kobiet mieszkujących w boliwijskim mieście Potosi, na zboczach góry o tej samej nazwie (*Cerro Rico de Potosi*), która od wieków jest górniczo eksploatowana: najpierw jako wielka kopalnia srebra, obecnie jako jeszcze większa kopalnia cyny i resztek, które pozostały po jej wydobyciu.

Patron nagrody na pewno byłby bardzo zadowolony. Ryszard Kapuściński Boliwię uważał bowiem za jeden z najciekawszych krajów świata. Dlatego, że był tak biedny, a także dlatego, że – pozbawiony dostępu do morza – położony jest w sercu kontynentu, przez co stanowił według niego tykającą bombę zegarową, tkwiącą w trzewiach Ameryki Południowej. Wielokrotnie go odwiedzał, w Potosi był także. Szczególnie fascynowała go partyzancka epopeja Ernesto Guevary, który na południu kraju próbował wzniecić rewolucję, która w założeniach miała promieniować na cały kontynent i rozlać się stamtąd na obszar od Buenos Aires po Caracas. (Przypuszczam, że RK w książce Izagirre'a najbardziej zainteresowałyby fragmenty opisujące to, co w czasie kampanii Guevary działo się w górniczym zagłębiu *Siglo XX*, gdzie wtedy wrzało.) Fascynacja Kapuścińskiego postacią Che była tak wielka, że kiedyś twierdził on nawet, że miał okazję w Boliwii rozmawiać z Guevarą i z tej deklaracji dopiero wycofał się wtedy, gdy stwierdził, że w czasie gdy przebywał, w Boliwii Guevara od pewnego czasu już nie żył.

O epizodzie tym wspomina Artur Domosławki w swojej znanej biografii Kapuścińskiego. Wydawca nagrodzonej książki Andera Izagirre'a na jej okładce umieszcza właśnie jego słowa. Domosławski o książce „Potosi. Góra, która zjada ludzi" mówi: „(…) to opowieść o okrucieństwach podboju, niewolnictwa i wyzysku – dawnego i dzisiejszego; anatomia mrocznej przeszłości, która nie chce przeminąć. Kończąc lekturę wciąż będziecie czuli duchotę ciasnych korytarzy góry, która zjada ludzi, i metaliczny posmak powietrza. Będziecie zszokowani, że opisane tu zjawiska wciąż w cywilizowanym świecie istnieją. Przejmująca książka!"

Trudno odmówić słuszności tym słowom. Książka „Potosi. Góra, która zjada ludzi" na pewno jest pozycją wyjątkową. Opowiada historię córki i matki, które pracują we wnętrzu wielkiej, trującej góry i choć na noc wracają do siebie do blaszanego baraku, tak naprawdę nie potrafią ani przez chwilę z niej się wydostać. Tak bardzo są z tą górą związane i przywiązane do niej; tak bardzo są zniewolone swoją znikomością i jej miażdżącym ogromem.

Wydawca do tytułu oryginału „Potosi" dodał wyjaśnienie: „Góra, która zjada ludzi". żeby potencjalnego Czytelnika nie zniechęcać niewiele w Polsce mówiącą nazwą miasta i góry, choć o miejscu tym pisał w znanej u nas książce „Otwarte żyły Ameryki Łacińskiej" znany urugwajski dziennikarz Eduardo Galeano. Zastanawiałem się – skoro jest to rozszerzenie tytułu dodane przez wydawcę, dlaczego nie brzmi ono „Góra, która pożera ludzi". Wydaje mi się, że byłoby ono bliższe prawdy.

Po hiszpańsku nazwa Potosi przeszła do języka codziennego. Słowo Potosi (w postaci pisanej małą literą: potosi) stało się synonimem bogactwa, fortuny, szczęścia i powodzenia. Teraz książka o Potosi stanie się zapewne potosi dla jej autora. Nagroda im. Ryszarda Kapuścińskiego na pewno otworzy przed nim niejedne drzwi, a może nawet wrota. Warto przypomnieć, że nazwisko Kapuściński w strefie języka hiszpańskiego do dziś wiele mówi. Za Pirenejami – co doprowadziło do przyznania tam Kapuścińskiemu krótko przed śmiercią prestiżowej i wysoko dotowanej Nagrody im. Księcia Asturii – niestrudzoną adoratorką i promotorką jego twórczości była i jest Leticia Ortiz Rocasolano, kiedyś telewizyjna dziennikarka, obecnie… – żona Filipa VI, królowa Hiszpanii!

Ander Izagirre, pochodzący z Kraju Basków (a przez to zapewne genetycznie uczulony na kwestie ucisku najróżniejszych mniejszości) autor nagrodzonej książki urodził się w roku 1976. To odważny reporter i podróżnik. Jest m.in. laureatem European Press Prize za serię artykułów o zbrodniach wojskowych w Kolumbii. Interesują go sprawy najbardziej aktualne, o których należy opowiadać bez najmniejszej zwłoki. W swoich tekstach ukazuje skutki konfliktów zbrojnych, systemowej przemocy i zmian klimatycznych. Pisał m.in. o ofiarach Czarnobyla i o mieszkańcach wysp w Panamie, zagrożonych przez podnoszący się poziom wód oceanu, o buntach lokalnych społeczności przeciwko sycylijskiej mafii.

Książka o Potosi w całości mieści się w tym nurcie. To reportaż o boliwijskich kobietach pracujących przy wydobyciu metali. Pozbawione jakichkolwiek praw pracowniczych, opuszczone przez państwo, traktowane są jak tania, wyrobnicza siła – zarabiają akurat tyle, by nie umrzeć z głodu. Mało który górnik dożywa w zdrowiu do 35 lat, wielu w tym wieku umiera na krzemicę. Alicię, główną bohaterka tej przejmującej opowieści, bieda zmusza do pracy w kopalni, mimo że ma dopiero czternaście lat. Wydawca: „To (…) oskarżenie rzucone światu, który prowadzi łupieżczą politykę wobec Południa lub w najlepszym razie odwraca wzrok od dramatu jego mieszkańców".

Nie bez kozery w finale cytuję wydawcę. **Filtry** to wydawnictwo nowe, ale najwyraźniej bardzo świadome tego, co robi. Cztery Panie, które stanowią jego rdzeń z impetem weszły na niełatwy polski rynek książki. „Potosi. Góra, która zjada ludzi" to nie jedyny ich duży sukces. Wystarczy zajrzeć do opublikowanego prze nie tłumaczenia powieści Le Tellier Herve'a pt. „Anomalia", która we Francji rozeszła się w milionowym nakładzie. Być może napiszę o niej w następnych „Migotaniach".

Roman Warszewski

Ander Izagirre, *Potosi. Góra, która zjada ludzi*, przekład Jerzy Wołk–Łaniewski, Wydawncitwo Filtry, Warszawa 2021

Sylwia Kanicka

O książce Krzysztofa Micha Dzieci wojny
(Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Tanowo 2021, s. 34)

Dzieci to nie pociski do rozwiązywanie problemów dorosłego świata

pomyśl o ludziach z innego miasta
w twoim kraju – kim jest twoje
dziecko dla nieznanych ci ludzi
(Zamiast posłowia, s. 33)

To słowa, które najtrafniej pozwolą wejść w rozważania na temat szóstej książki poetyckiej Krzysztofa Micha Dzieci wojny, ukazanej nakładem Zaułka Wydawniczego Pomyłka w 2021 roku. Książki, która nie powinna powstać, ale żeby tak się stało, przede wszystkim nie powinny mieć miejsca opisane w niej wydarzenia, niestety jest odwrotnie. Wiersze poruszają trudny temat, bo choć wojna jest strasznym wydarzeniem samym w sobie, widok dzieci, jako jej ofiar, przeraża podwójnie. Autor nadaje tematom poetyckie brzmienie, które z jednej strony ma złagodzić przedstawiany obraz, z drugiej dosadniej uderzyć w wyobraźnię czytającego, tak przez tytuł, jak i przez treść. Jednak, w pierwszej kolejności, chce obudzić spojrzenie na problem poprzez samą okładkę zbioru. Maria Kuczara, jej autorka, potrafi w znakomity sposób zobrazować treść zawartą w książce oraz zmusić do dużego skupienia uwagi, gdyż przygotowana grafika, na pierwszy rzut oka, nie pokazuje wszystkiego, jednak po przyjrzeniu się, widok dziecięcych oczu zza kolczastego drutu, wywołuje dreszcz wcale nie pozytywnych doznań.

Dzieci wojny to przede wszystkim realne dowody okrucieństwa. Krzysztof Mich, z dziennikarską precyzją, naświetla odbiorcy fakty, przeprowadzając go przez różne zakątki świata, w których działania wojenne zapisały się w historii. Nie boi się pisać o wydarzeniach w Syrii, Afganistanie, Libii, Meksyku, czy w wielu innych miejscach. Ukazuje ogromny rozlew toczącej się dziecięcej tragedii. Wiersze powstały na bazie autentycznych wydarzeń, a sam autor dodał do każdego utworu notkę informującą o zaistniałej sytuacji. Te podpowiedzi, z jednej strony, ułatwiają odbiór, z drugiej, wymuszają potrzebę poszukiwania większej ilości informacji, gdyż nie wszystko jest pokazywane światu, przez co może wydawać się nierealne. Mich nie ubarwia i nie oszczędza

NISKI OBRÓY

ŁUKASZ PIETRUCZUK

czytelnika, jego wiersze są obrazami z mocno zaakcentowaną przemocą:

> myśli o dniu kiedy przyszedł pierwszy z nich
> uderzył kolbą w twarz aż krew spłynęła do ust
> potem pamięta już tylko zmieniające się
> cuchnące mundury i to okropne sapanie
> każdego z nich zanim straciła przytomność
> (Manou gotuje ryż, s. 17).

Rodzi się pytanie, w jakim kierunku zmierza świat, skoro takie tragedie się dzieją. Jak przeczytać można w notatce, pod cytowanymi słowami, Manou jest jedną z ofiar wojennych gwałtów dokonywanych na dzieciach. Dziewczynka jest Kongijką, jednak wystarczy sprawdzić dostępne w internecie informacje, aby się przekonać, że takie sytuacje nie tylko w tamtym rejonie miały miejsce. Mich nie boi się mówić głośno o tych bestialskich incydentach, a postać Manou jest tylko symbolem je naświetlającym, podobnie jak Khalil, który stał się identyfikatorem dzieci okaleczonych:

> niebo to miejsce w którym Khalil już prawie był
> lekarze powiedzieli mu że tam zostały jego nogi
> bóg uznał że komuś były bardziej potrzebne
> (Khalil znaczy przyjaciel, s. 14)

Takich przykładów, za poetą, można powtarzać wiele, a każdy z wierszy, zawarty w tym zbiorze, jest formą manifestu przeciwko nim. Poeta, tą pozycją książkową, próbuje dotrzeć do empatii, do odpowiedzialności za to, co się dzieje. Próbuje przekazać dorosłym ten ogrom okrucieństwa i ukazuje smutek z powtarzalności sytuacji, bo co może być dobrze gdy żołnierze strzelają / do nastoletnich dzieci na ulicach Mandalay („Everything will be OK", s. 20). Nic dobrze nie będzie, dopóki dzieci nie będą traktowane jak dzieci, dopóki dorośli nie przestaną w nich widzieć narzędzi walki między sobą:

> Kalami uważa że nie ma już po co żyć
> życie skończyło się z pierwszym zabitym
> odtąd zadawał śmierć jak pracę domową
> codziennie niezmiennie wymyślnie
> (Kalami nie może spać, s. 30)

czy:

> za duże buty za duży karabin i bagnet za duży
> kurtka za to przykusa jak z młodszego brata
> zbyt patetycznie jak na trzynastolatka
> którego kolejną zabawę w wojnę
> dorośli wzięli całkiem na serio
> (o czym myślałeś Onni, s. 27)

> i dopóki Ci dojrzali i odpowiedzialni nie przestaną traktować dzieci, jako tarczy w obronie samych siebie:

> a ruskie – patrz – chłopca ukrzyżowali na pancerzu linami go przywiązali
> (wrześniowa Droga Krzyżowa, s. 23).

To wszystko Dzieci wojny chcą powiedzieć swojemu czytelnikowi w sposób bardzo wyrazisty. W tym miejscu należy zwrócić uwagę na jeszcze jeden zabieg zastosowany w czytanej pozycji. Autor, zdając sobie sprawę z umiejętności tłumaczenia przez czytelnik przywołanych sytuacji, poprzez użycie stwierdzenia, że to daleko, mnie nie dotyczy, nie pozwala zapomnieć, że straszne zbrodnie działy się również na terenie naszego kraju, a dzieci odczuwały ich skutki, gdyż dom zbudowany przez ojca nie był już ich / tylko ten wózek ubrania i chleb należał do nich (Stefan siedział wtedy przy stole, s. 22). W ten sposób próbuje odwołać się do wyobraźni tych, którzy nigdy nie musieli stawić czoła tragedii wojny. Wystarczy spojrzeć na naszą historię. Nie można zapomnieć, że polskie dzieci były uchodźcami, polskie dzieci były rozdzielane od rodziców i ostatecznie, polskie dzieci ginęły od pocisków i kul, bo między sobą walczyli dorośli. Od razu nasuwa się na myśl wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Elegia o… (chłopcu polskim)", którego nie sposób przemilczeć.

> I wyszedłeś, jasny synku, z czarną bronią w noc,
> i poczułeś, jak się jeży w dźwięku minut – zło.
> Zanim padłeś, jeszcze ziemię przeżegnałeś ręką.
> Czy to była kula, synku, czy to serce pękło?

Krzysztof Mich, by jeszcze bardziej uderzyć w czytelnika, umiejscawia beztroskie dzieciństwo naprzeciw tych wszystkich tragicznych wydarzeń. Przywołuje obraz bawiącego się w wojnę chłopca, który chce stawiać czoła wrogowi i walczyć. Tę beztroskość łączy z rolą dorosłego, który ma rozbudować ciekawość tematem, tak, aby nieświadomy chłopiec po wizycie w muzeum w domowym / ogrodzie zbudował z ojcem czołg / prawie prawdziwy z lufą i gąsienicami (mały Janek bawi się w wojnę, s. 32), a ta zwykła zabawa stała się odpowiednią nauką, by przyszłość tego uśmiechniętego dziecka nie … wpadła w panikę / kompletnie zdezorientowana (j.w.). Na przeciw tej zabawie stawia Murtaza Ahmadiego, pięcioletniego chłopca, którego marzeniem była koszulka Messiego (Lionel Messi czeka na Murtazę, s. 9). Murtaza grał w piłkę (w stroju z reklamówki, zrobionym przez brata, z wypisanym nazwiskiem ukochanego piłkarza) w kraju, gdzie talibowie zabronili wszelkich sportów pod karą śmierci. Jego dziecięca radość jest tarczą przed złem świata, złem wojny, a sama sytuacja pokazuje, że zaakcentowanie, w mocny sposób, sytuacji, zostaje zauważone. Zwykła zabawa może być dobrą lekcją, przekazem wartości, gdyż dzieci zawsze będą tylko dziećmi i z tego stanu powinny się cieszyć.

I teraz wróćmy na chwilę do okładki zbioru. Oczy na niej umieszczone wywołują dreszcz, o czym już wspomniałam, ale, z drugiej strony, te duże, otwarte, oczy mają rozszerzyć patrzenie na dziejące się tragedie. Taką wiedzę ma zdobyć czytelnik po przeczytaniu zbioru. Ma zacząć widzieć, a nie tylko patrzeć, by w ten sposób zatrzymać zło.

Krzysztof Mich, pisząc wiersze do zbioru Dzieci wojny, chciał sprowokować odbiorcę do przemyśleń, do zapamiętania, iż żaden zbrojny sposób udowadniania swoich przekonań nie przynosi niczego dobrego, że cichymi ofiarami tego są osoby najbardziej bezbronne. To one giną lub są brutalnie wykorzystywane. Wprost do tych wszystkich, którzy tłumaczą swoją obojętność tym, że ich to nie dotyczy, Krzysztof Mich pisze:

> uciekłem przez śmiercią jak twój bóg
> dla którego zostawiasz co roku puste nakrycie
> nie wpuściłeś mnie do swojego domu
> choć miałem dopiero pięć lat
> (…)
> nie pozwoliłeś mi
> zostanę w twojej ziemi
> jak wyrzut sumienia
> (zamiast posłowia, s. 33)

Może poezja stanie się odpowiednim manifestem tego nawołania.

Sylwia Kanicka

Krzysztof Mich, Dzieci wojny (Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Tanowo 2021, s. 34)

Agnieszka Kostuch

A imię jego neologizm

Recenzja z książki Łukasza Pietruczuka, Niski obrót (Zaułek Wydawniczy Pomyłka, Tanowo 2022, s. 56)

Niski obrót to debiutancki tom poezji Łukasza Pietruczuka, wobec którego nie da się przejść obojętnie. Mówiąc najkrócej – wpisuje się on w nurt poezji lingwistycznej. Tę można lubić lub nie, ale zawsze wytrąca ona czytelnika z utartych kolein, którymi kroczy. Gdy dodamy do tego, że autor jest prawnikiem, można popaść w konsternację. Białoszewski „przynajmniej" był anarchistą i w poezji, i w życiu. A tu mamy kogoś, kto posługuje się na co dzień językiem kodeksów prawnych (a wiadomo jak one brzmią), i przychodzi do nas z wierszami, które leżą na drugiej orbicie tegoż języka (a może wręcz w innej galaktyce). Rodzi się zatem naturalne pytanie: co ma prawnik do poezji? Żeby na nie odpowiedzieć, muszę cofnąć się trochę w czasie i opowiedzieć, jakie było moje pierwsze spotkanie z rodzącą się twórczością Łukasza.

Około 10 lat temu przeglądając blogi natknęłam się na jeden, który przykuł moją uwagę na dłużej. Był to rodzaj dziennika, tyle że jego autor narzucił sobie ograniczenie do 3 wyrazów w jednym wpisie na dzień. Były to albo 3 pojedyncze słowa, albo trzywyrazowe zdanie czy równoważnik zdania. Autor bloga, poza nielicznymi wyjątkami, trzymał się tej ascetycznej zasady. Co było miłym zaskoczeniem, te wpisy nie brzmiały sucho, przeciwnie, intrygowały. Uderzała w nich ich poetyckość, np. „Czerń miast gwiazd". W nadmiarze samo narzucających się zewsząd treści, stanowiły wręcz chwilę wyciszenia, przystopowania. Do tego autor odkrywał w nich wiele czułości do kobiety i reszty świata. Tym oryginalnym blogerem okazał się Łukasz. Na moje pytanie, czy nie chciałby spróbować dłuższych form wyrazu, śmiał się i odpowiadał krótko, że w tej czuje się najlepiej. Potem nieoczekiwanie zlikwidowano platformę, na której publikował swoje teksty. I można by powiedzieć, że całą jego twórczość diabli wzięli. Ale jak wiadomo – rękopisy nie płoną. W 2020 r. zadebiutował kilkoma wierszami w kwartalniku literacko-artystycznym „Afront", a teraz dzięki odwadze wydawcy możemy pobyć z jego wierszami również w formie książkowej. Konkludując, jego debiutancki tom nie jest przejawem jakiejś jednorazowej fanaberii prawnika, ale owocem długoletniej drogi mierzenia się z układaniem słów i odkrywaniem nowych.

W poezji Łukasza Pietruczuka króluje neologizm. Nie jestem ani znawczynią poezji lingwistycznej, ani jej wielbicielką, ale neologizmy w wierszach z Niskiego obrotu są wystarczająco dla mnie czytelne, żebym nie odbierała ich jako rzuconych mi kłód pod nogi. Zatrzymują, czasem wymagają dłuższego namysłu, ale nie stanowią przeszkody w odczytaniu obrazu, który kreśli autor, przeciwnie – poszerzają nasze jego widzenie. Czasami ten obraz ma charakter czysto introwertyczny.

NIE BYŁO NAM SIĘ.
(s. 7)

Czasem przeciwnie, cały jest opisem rzeczywistości zewnętrznej, co nie przeszkadza autorowi w przemyceniu pogłębionej metafory.

CYTRYNEK
RYNEK
ŚLAD PO PO

IDĘ

NIOSĘ BYŁOŚĆ NA PODESZWIE
(s. 32)

A kiedy indziej obraz ma charakter dwojaki, tzn. kieruje naszą uwagę na jakiś szczegół lub zbiór fragmentów rzeczywistości zewnętrznej i jednocześnie sięga do wewnątrz podmiotu lirycznego.

PKS POLSKA
ZASZYBNY KRAJOBRAZ
ŁOPATKA WIEPRZOWA BEZ KOŚCI
KRZYŻ
MC DRIVE
KOMIN
KRZYŻ
AUTO GAZ
GLAZURA KRÓLEWSKA
KRZYŻ
PRZYJAZNE MIASTO
POMIAR PRĘDKOŚCI
KRZYŻ

BEZ KOŃCA

KRZYCZĄ DO MNIE
KRZYŻĄ DO MNIE
(s. 27)

Czasami zawiera metaforyczny komentarz do rzeczywistości, jak w wierszu o Wschodzie, który to region jest autorowi szczególnie bliski.

WSCHÓD
WIEJBA
ŚWIATŁO
ODBICIE

MIEJSCE NA DALEJ

MIEJSCE NA BLIŻEJ
APETYT NA GŁÓD
APETYT NA CHŁÓD
(s. 37)

Poszatkowanie tych tekstów, czasem wręcz poucinanie pojedynczych słów nie jest tylko zabawą z gramatycznymi zasadami, ale przemyślanym zabiegiem z pogłębionym sensem, dającym duże możliwości interpretacji, jak w tekście BRAKNIENIE (s. 42).

DOT
POCZ
BĄ
CHO
TRWA
ZAP
DOB

Coraz częściej spotykam się z gorzką konstatacją, że „w literaturze już wszystko było", i z rodzącym się pytaniem o sens tworzenia nowych utworów, w tym poetyckich. Być może właśnie w neologizmach tkwi - częściowa – odpowiedź i nadzieja na nową poezję. Ale mnie najbardziej urzeka w Niskim obrocie nie odwaga autora szukania nowej formy, jego kreatywność, a subtelność. Nie znajdziemy w nim wulgaryzmów, krzyków, rewolucyjnych haseł. Podmiot liryczny jest samotnikiem, który nie wtyka nosa w nieswoje sprawy. W tym jego świecie czytelnik czuje się zaskakująco dobrze. Chciałoby się powiedzieć, że wreszcie nikt nic od niego (czytelnika) nie chce. Nie nawraca go na jedynie słuszne poglądy, nie wytyka mu braku wrażliwości. Staje tylko w roli obserwatora czyjejś wędrówki. A ten, który wędruje, nie sili się, żeby zrobić na kimkolwiek wrażenie.

Pietruczuk. Warto zapamiętać to nazwisko. Nie mam wątpliwości, że przetrze dla nas jeszcze nie jedną ścieżkę w poezji. Będę ich wypatrywała.

Agnieszka Kostuch

Jerzy Lengauer

O „Demonomachii" Marka Krajewskiego

Krakowska demonologia porównawcza

Na polskim rynku księgarskim zdążyły się pojawić: „Golem" Meyrinka w dwóch przekładach, „Golem" Lejwika w nowym tłumaczeniu, „Golem" Macieja Płazy, PIW-owska seria „Opowieści niesamowitych" w pięciu tomach i „Dybuk" An-skiego w dwóch wersjach wydawniczych: „Na pograniczu dwóch światów" i „Między dwoma światami", zanim Marek Krajewski, od lat wędrujący po przedwojennych ciemnych uliczkach i przedmieściach Wrocławia i Lwowa, zdecydował się poświęcić całość fabuły powieści jednej z najwdzięczniejszych tradycji literackich opartej na legendzie, wierze i folklorze żydowskim.

Choć w tytułach jego kryminałów nie brakuje słów mrożących krew w żyłach i odnoszących się do mitologii starożytnej, jak widma, Minotaur, diabeł, golem, Erynie, Hades, Charon, mrok, śmierć, to stanowią one symbol zbrodni lub cierpienia głównych bohaterów, Mocka i Popielskiego, odnosząc się do realnych wydarzeń.

W „Demonomachii" Krajewski zdecydował się na zapuszczenie jeszcze głębiej w mityczne otchłanie, pozostając wszakże w środkowoeuropejskim obszarze kulturowym, gdzie znalazł najwdzięczniejszy z tematów żydowskiego ghost story w Krakowie, Podgórzu i okolicznych wsiach. A czy związek kryminału i Krakowa we współczesnej literaturze polskiej nic czytelnikowi nie przypomina? Wprawdzie inny ciężar gatunkowy, nieporównywalny nastrój, zdecydowanie różny wykreowany obraz miasta, ale ulice Krakowa przemierza przecież profesorowa Szczupaczyńska w powieściach Maryli Szymiczkowej, za którą kryją się Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński! To prawda, że choć oprócz małopolskiej stolicy wszystko wydaje się u Krajewskiego i Szymiczkowej odmienne, to zwraca uwagę pewna drobnostka: i bohaterowie „Demonomachii", i Szczupaczyńska odwiedzają podkrakowskie wioski. Zatem czytelnik otrzymuje od Marka Krajewskiego inny niż dotychczas obraz nie tylko ulic Krakowa, ale i małopolskich peryferii w dwudziestopierwszowiecznej polskiej literaturze sensacyjnej retro .

Tytuł, okładka i motto zaczerpnięte z „Dybuka" An-skiego sugerują wiele. Przede wszystkim, że podział świata na realny i fantastyczny może okazać się w nowej powieści autora nie do końca zasadniczy, a demony, przeciwko którym będzie się toczyć walka, wcale nie muszą pozostawać wyłącznie w sferze symboliki. Dysonanse, które rodzą się w wyobraźni czytelnika za ich sprawą oraz po pierwszych akapitach, za chwilę przygasną. Jednak taka karuzela niepewności, podejrzliwości, zachwiania światów będzie pojawiała się wielokrotnie w trakcie kolejnych rozdziałów. Krajewski wmanewrowuje czytelnika w ten nastrój, jakby strącając do ciemnej sztolni pełnej strachów, a gdy tego ogarnia przerażający, zniewalający lęk, podaje dłoń, wydobywając go na światło dnia. Tyle, że dzień nie bywa przyjemny. Bo jaki ma być inny, jeśli krakowski świat, bez względu na to czy żydowski, czy katolicki, jest smutny, szary, ponury, pełen brudnego śniegu, chlapy, błota, w którym grzęzną trzewiki lub stare, dziurawe gimnazjalne buty, a wieczorne i poranne mrozy nie są wdzięcznym darem natury dla ubogiego studenta, wędrownego introligatora, tym bardziej bezdomnego karła. I właśnie w takiej scenerii toczyć się będzie walka nie tyle z dybukami, lecz nauki z przesądami, biedy z bogactwem, obyczajności z rozpasaniem, katolicyzmu z talmudyzmem, bohemy artystycznej z mieszczańską przyzwoitością. Tak jak w przypadku dwóch światów, rzeczywistego i fantasmagorycznego, których rozdział jest niepewny, czasami iluzoryczny, wręcz irracjonalny, postacie z różnych warstw społecznych, o innych poglądach, wierze i stosunku do moralności, przekraczają granice, które z początkiem fabuły wytycza im autor. To powoduje, że czytelnik staje się zdezorientowany, szukając zła i jego korzeni. A brud, niegodziwość, nieprawość i grzech są uśpione. Chwilę jedynie trwa ich emanacja. Zdaje się złudzeniem, niedyspozycją zawrotem głowy, zaćmieniem umysłu świadka. Gdzie zatem szukać prawdy? I czy za pomocą logicznego myślenia, czy wiary w życie pozagrobowego?

Tropiąc ślady dybuka bądź dowodząc jego nieistnienia, maturzysta Stefan Zborski przemierza krainę ciemności, do której drzwi otworzył sobie seansem spirytystycznym, poszukując duszy ojca. Jego odyseja po mieszkaniach profesorskich, gabinetach radców prawnych, salonach artystycznych, zatęchłych piwnicach, pracowniach malarskich, aulach duchownego seminarium to zderzenia z kolejnymi postaciami podsuwanymi przez autora, którego czytelnik zaczyna sobie wyobrażać jako złośliwego demiurga, rozstawiającego z ironicznym uśmiechem figury na planszy Losu i co rusz przesuwającego je z zacienionej grozą części na stronę jasnego dnia. Młody człowiek, podobnie jak czytelnik, jest zagubiony. Nie jest przekonany do podjętych przez siebie decyzji. Lawiruje między rafami młodości. Pierwszą miłością, alkoholowym szaleństwem, poszukiwaniem mistrza, nauczyciela, opiekuna, mecenatu, przyjaciela. Porzucany i zrezygnowany, nagle odzyskuje nadzieję. I tak w kółko. Od kleryka po erotyczny kąsek żony swojego dobroczyńcy. Z łoża safonek do uczonych rozpraw z talmudystami. Itaki jednak nie widać na horyzoncie. Podobnie jak Penelopy. Kirke i Kalipso, czyli Regina Feintuch i Rachela Ostersetzer nie wypuszczają Zborskiego ze swych diabelskich ramion. Czy jest przez nie opętany? Gdzie czai się zło? Wydaje się rzeczą oczywistą, że to w młodych kobietach czają się demony, ale przecież są znakomicie wyedukowane, eleganckie, europejskie, nowoczesne i związane z najnowszymi trendami nauk humanistycznych. A co najważniejsze popiera je liberał, ateista, znany i szanowany akademik Manfred Aurbach: „Spojrzał na profesora. »Sinusoida - myślał - znów ta przeklęta sinusoida. Ciemny zabobonny lęk, a później jasne światło rozumu (...)«. Usiadł, założył ręce na brzuchu, a swoje kciuki wprawił w ruch kołowy. - Mam nadzieję, że wywiałem panu z głowy te widziadła, choć częściowo. - Był teraz bardzo poważny. (...) A wieczorem... - Ściszył głos i pochylił się przez biurko ku Zborskiemu. - A wieczorem niech pan je dobrze wychędoży! Obie! To będzie nagroda specjalna dla pana. - Wstał i szepnął na ucho swemu rozmówcy. - Mam nadzieję, że podzieli się pan nią ze mną... Co, panie Stefanie?" [1].

Gdzie szukać ratunku? Wśród rabinów, talmudystów czy księży profesorów i doktorów? Zborski po dwóch latach studiów opuszcza seminarium duchowne, a powody wcale nie są takie, jakie podali dziekan wydziału teologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor tegoż wydziału oraz ojciec duchowny seminarzystów. Z kolei przyczyny śmierci starego rabina w synagodze, które ustaliła ekspozytura c.k. policji w Podgórzu, mimo udowodnionej ingerencji sowy płomienistej, a nie strzygi lub strzygonia, też nie wydają się niepodważalne: „Sowa ta mieszka w całej Europie i Azji Północnej - czytał. W miastach, a mianowicie w wieżach kościelnych i pod dachami. Głos jej chrapania śpiącego człowieka podobny dał nieraz łatwowiernemu ludowi okazję do rzetelnych strachów, a połamane niekiedy w kościołach świece i powywracane lampy chodzeniu upiorów przypisane były" [2]. Los jednak wynagradza Zborskiemu owe niemiłe przeżycia. Jako niedoszły ksiądz, ale po wygłoszonym referacie o Lucyferze już obiektywny ekspert, który naukowo zajmuje się demonologią porównawczą, staje przed sądem rabinicznym, żeby udowodnić nieprawdziwość zarzutów o opętanie przez dybuka pewnej znanej mu młodej damy.

Marek Krajewski nie zaplanował, że orzeczenie znawców żydowskiego prawa religijnego przyniesie jakiekolwiek wyjaśnienie. Niewątpliwie, jak w kryminałach o Mocku i Popielskim, furtkę do wyjaśnienia zagadki jedynie uchylił. Przecież wiadomo, że sprawiedliwość w swoje ręce zawsze musi wziąć ktoś z pozoru do tego niepredestynowany. Zatem nie w synagodze, nie na uniwersytecie, nie w gabinetach wolnomyślicieli Zborski znajdzie partnera, z którym już ostatecznie stawi czoła złu. Musi zwrócić się w stronę środowiska, jakie do tej pory lekceważył, do którego było mu zbyt daleko, od którego uciekał.

W „Demonomachii" jej autor czerpie wiele ze swoich osobliwych kryminałów noir. Nastrój, scenografia, poobijany przez życie bohater z bardzo nieszczęśliwym dzieciństwem. Wyuzdana nieco erotyka miesza się tu z Torą, Talmudem i teologią. Wbrew pozorom jest to szczególnym łącznikiem z wrocławskim radcą kryminalnym i lwowskim komisarzem policji, filologiem klasycznym i lingwistą znającym łacinę i grekę. Czy Stefan Zborski mógłby być bohaterem kolejnego cyklu? Całkiem prawdopodobne. Posmakował już przecież bardzo niestosownego seksu niczym Edward Popielski, zaś jak Eberhard Mock swoją powieściową przygodę przeżył w wieku studenckim. I świat, środowisko! Okropne, ciemne, wstrętne, obrzydliwe! Z jednej strony najbiedniejsze, najbardziej pokrzywdzone, wykorzystane do cna i pogardzane niziny społeczne. Z drugiej wyższa klasa społeczna, której perwersje Krajewski obnaża. Czyli pióro pisarza sięgnęło z fabułą o kilkanaście lat wcześniej, pozostając nadal na ziemiach polskich i w tym samym środowisku, ale zwracając się ku dotąd nie dostrzeganej przez autora części społeczeństwa i jej religijnym tradycjom, co z pewnością przyniosło dużo satysfakcji wielbicielom prozy Marka Krajewskiego.

_ *Jerzy Lengauer*_

[1] Marek Krajewski, „Demonomachia", wyd. Znak, 2022, s. 237-238.
[2] Tamże, s. 236-237.

Pasja wg Jerzego Fryckowskiego

Elżbieta Musiał

„Ale przecież to tylko krzyż”

W najnowszym tomiku poetyckim **„Dokonało się” Jerzego Fryckowskiego** jest tyle wierszy, ile stacji drogi krzyżowej. Każdy z 14 utworów opatrzony jest tytułem odwołującym się do konkretnej stacji, ale – co ciekawe – równolegle z obrazem poetyckim biegnie jeszcze ten plastyczny, tworzony kreską **Andrzeja Boj Wojtowicza**. Sakralne rysunki nie są ilustracjami do wierszy, stanowią odrębny autorski cykl i są przedstawieniem pasyjnym. Mają coś z uroku dawnych rycin Leonarda da Vinci (?). Przypominają po mistrzowsku wykonane studium do rzeźby. Wizja Wojtowicza to sacrum w czystej postaci. Natomiast Fryckowski w swoje wiersze wprowadził jeszcze profanum. Nie mogło być inaczej. Droga krzyżowa jego bohatera lirycznego jest covidowa.

3.

PIERWSZY UPADEK POD KRZYŻEM

Po raz pierwszy upadł gdy wychodził
z karetki
po prostu wymknął im się z rąk
po czternastu godzinach czekania
na realizację składek z całego życia

Jest zaszczany
pielucha pęka w szwach
śmierdzi
zna ten zapach bo dwa tygodnie temu
przywiózł ojca który powstrzymywał mocz
aż do ostatnich wiadomości TVP

Sceny Fryckowskiego są poetyckimi kreacjami. Na symbolicznej matrycy drogi krzyżowej wybita została nowa rzeczywistość czasu zarazy. Zaczyna się od stacji „Na śmierć skazany”, a kończy po „Do grobu złożony” – **lecz tym razem „krzyż niesie” nasz brat, siostra, sąsiad.** Doświadczamy człowieka trawionego niemocą ciała i niemocą sytuacyjną, które odbierają mu resztki godności; „*Przewijanie / niżej upaść już nie można*”. Przylegające do ciała miejsce boli równie mocno. To szpital. Liczne szczegóły i detale urealniają sceny. Wszystko dzieje się niemal naocznie. Prowadzona narracja bezlitośnie obnaża zatrważający stan rzeczy. Ale słowo poetyckie sięga głębszych sfer poznania – widzimy człowieku w obliczu śmierci, jak następują w nim przewartościowania, jak zmienia się optyka; „*poprzez mój krzyż / nie nauczę cię kochać /widzieć motyla i słyszeć ptaka /moja utrata oddechu to opowieść o nas / naszych pragnieniach i upokorzeniu / gdyby nie ty doświadczyłbym pustki / brzydzę się własnym ubóstwem i cierpieniem /a ty ostatni raz myjesz mnie i czytasz wiadomości od rodziny*”. Powyższy cytat pochodzi z wiersza „*Szymon pomaga dźwigać*”. Szymon – to jest salowa w szpitalu, która codziennie dotyka ludzkiego cierpienia. Tego symptomatycznego bezdechu stawiającego człowieka bliżej śmierci niźli życia.

Andrzej Boj Wojtowicz – artysta malarz z Karkonoszy. Maniak technik malarskich i twórczej sztuki sakralnej. Brał udział w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w Polsce i w świecie.
Autor unikatowych realizacji sakralnych – po części niedostępnych (klauzury). Prace w licznych kolekcjach prywatnych i muzeach w Polsce i w świecie.

Motto: Gdzieś na granicy ziemi i nieba, materii i oddechu, światła i mroku, życia i śmierci rodzą się kolory...

2.

BIERZE KRZYŻ NA SWOJE RAMIONA

Matka powołana aktem wojewody
zostawia rodzinę i idzie na dyżur
plecy jej jak Grabarka
tylu przestaje chuchać w smartfony

Już od izby przyjęć zbiera krzyże krzyżyki
fatimskie watykańskie wszystkie na dobrą
ostatnią drogę
znaki jakie chcemy po sobie zostawić
złote srebrne i drewniane
bo może po drodze ktoś zapyta
Quo vadis

Córkę zdającą tego roku maturę
informuje gdzie przechowuje
szczęśliwą czerwoną podwiązkę
i stare ściągi z pozytywizmu pisane
jeszcze ręką babci

Potem idzie do pacjenta podłączonego do ekmo
i traci łączność ze światem zewnętrznym

Na ściennym zegarze odlicza minuty
kiedy będzie mogła zdjąć skafander
wysikać się i zjeść bułkę
którą córką zapomniała zabrać
idąc na egzamin dorosłości

Jako się rzekło, wiersze są poetyckimi kreacjami, a jednak przenoszą czytelnika w samo centrum covidowej gehenny; „*w ustach odłamek moczu / tych którzy walczyli wcześniej / i obejmowali najbliższych przez folię*” („*7. Drugi upadek pod krzyżem*”, fragm.). Kolejne odsłony w wierszach punktują uwarunkowania zewnętrzne i odzierają ze złudzeń. Mało powiedzieć, że dotykają ludzkiej tkanki, pulsu i smrodu (i to jest to profanum), one wdzierają się w głębsze postrzeganie. Uruchamiają moralne i duchowe rozważania z odwołaniem do katolickich prawd i fundamentów. I sprawdzają je z rzeczywistością.

11.

DO KRZYŻA PRZYBITY

Ojcze
akurat oni wiedzą co czynią
nikt tego miejsca nie nazwie Czaszką

Po mojej lewej stronie
Barabasz
ojciec dziewięciorga dzieci
jego żona nigdy nie zgrzeszyła tabletką
dzień po

Jerzy Fryckowski – nauczyciel polonista z Dębnicy Kaszubskiej. Miłośnik podów i muzyki rockowej (przede wszystkim Deep Purple). Autor 17 tomików poetyckich, dwóch antologii poezji wigilijnej i pierwszej w Polsce antologii wierszy o ojcu. Tłumaczony na kilkanaście języków.
Laureat nagrody im. J.Słowackiego.

jak się darzyło tak wychowywał
dodając pięćset do pięćset
a częściej odejmując sobie od ust o wiele więcej

Po stronie prawej
ten który zgwałcił
a państwo swoją opieszałością
podarowało mu 25 lat wolności
chociaż odarł ze skóry
ale potem umiejętnie wymalował mieszkanie
i wypreparował tatuaże niczym wiedźma z Buchenwaldu

Tej nocy jesteśmy równi
nikt nie zagra w kości o nasze szaty
jednakowo skażone
spłoną w kotłowni

Cała nasza trójka jest naznaczona paraliżującym napięciem mięśni
bólem kości wyrywanych ze stawów
stopniowym duszeniem się
i wewnętrzną udręką

Ale przecież to tylko krzyż

Człowiek trawiony zarazą przyrównany został w wierszach do Jezusa. Niesie chorobę jak krzyż na swojej drodze krzyżowej. W pasji Fryckowskiego do ostatnich chwil przemawia fizyczność ciała skażonego wirusem; „*Moje narządy są tak samo bezwartościowe / jak hasła na korytarzu szpitala / Nikt nie skorzysta*” („*10. Z szat obnażony*”, fragm.) – konstatuje mówiące „ja”. Szaty Barabasza i gwałciciela (innych leżących obok w szpitalu) „*jednakowo skażone /spłoną w kotłowni*”. I ich ciała są tak samo bezwartościowe; „*Tej nocy jesteśmy równi*”. To – zdaje się – jest ten moment porzucania fizycznych powłok przed duchową chwilą rozliczeń.

Fryckowski „sakralizacją” sprowadził cierpienie do wymiaru ogólnoludzkiego, choć przecież ukazał je poprzez pojedynczego człowieka, dlatego boli bardziej. Obrazy przedstawił w realistycznych kadrach i to to do tego stopnia, że widać w nich nawet polskie uwarunkowania. **„Dokonało się”** jest mocną pozycją i jeszcze jednym głosem w covidowym dyskursie poetyckim. Lecz ten głos brzmi nieszablonowo.

Elżbieta Musiał

Jerzy Fryckowski, „Dokonało się”. Andrzej Boj Wojtowicz, droga krzyżowa – rysunki. Wydawnictwo Zaułek Wydawniczy Pomyłka, 2021; s. 44

Jerzy Lengauer

Wioska Malespine

O „Kłamstwach" Enrique'a de Hériza

Kłamiemy, żeby nakarmić swoje ego? Czy to powoduje, że krzywdzimy najbliższych? Jak to się dzieje, że jedna, druga lub trzecia opowieść będzie determinować dorosłe życie własnych dzieci, ich stosunek do rodziców? Dlaczego megalomania dawno nieżyjącego krewnego może być powodem pytań o moralność własnego ojca? Oto jedne z wielu pytań, które zadaje Enrique de Hériz czytelnikowi w „Kłamstwach", powieści o dziadku Simónie, która stworzyła całkiem inną opowieść...

W latach dwudziestych, gdy Hiszpanią rządzili dyktatorzy, w jednej z wąskich, zaciemnionych uliczek dochodzących do któregoś z barcelońskich rynków znajdował się sklepik warzywny. Jego wnętrze przesiąknięte było zapachem cebuli, zaplecze zaś zgnilizny, stęchlizny i pleśni. Czy, gdyby syn właściciela tego bardziej straganu niż sklepu nie sprzeciwił się w myślach planom swojego ojca, nie narodziłaby się w owym śródziemnomorskim kąciku megalomania - przyczyna rodzinnych kłamstw w kolejnych dwóch pokoleniach? Oszustw tak bardzo zakorzenionych, że sięgających aż do trzynastego wieku, do wioski gdzieś między Barceloną a skalistymi wysepkami Formigues, zatoki, na wodach której rozegrała się jedna z bitew krucjaty aragońskiej, a nawet do siódmego wieku, w opowieści o wygnanym z dworu chińskiego cesarza poecie Li Po.

Dobroduszny i łatwowierny czytelnik zrazu nie zwraca uwagi na niuanse rodzinnych stosunków. Drobne kłamstewka, przemilczenia, unikanie odpowiedzi, wykręty i wynikające z tego sprzeczki, krótkie kłótnie, złość raczej bawią niż są podejrzane. Tytułowych kłamstw szuka gdzie indziej, czeka na punkt zwrotny w fabule. Niczego specjalnego nie oczekuje także od pierwszych dwóch, trzech zdań książki. Tym bardziej, że kursywa sugeruje wspomnienia, może dziennik, pamiętnik lub narrację głęboko ukrytych myśli. Dopiero, gdy zadomowi się w przestrzeni między katalońskim wybrzeżem Morza Śródziemnego a gwatemalską dżunglą, a bohaterowie powieści zajmą w niej odpowiednie miejsca i najważniejsi z nich zaczną zadawać pytania, czytelnik gorączkowo zacznie oczekiwać na nie odpowiedzi, z niecierpliwością wyglądać kolejnych wydarzeń, wyznań i opowieści. Zanim jednak się doczeka, musi usiąść w pozbawionej elektryczności chatce z Isabel Azuerą do rodzinno-antropologicznych zapisków o kulturze śmierci, zaś w sklepie papierniczym w Barcelonie kupić z Sereną zeszyty i rozpocząć z nią spisywanie sagi rodzinnej.

Enrique de Hériz dokonał rzeczy niebywałej. Nie dość, że odważył się powierzyć opowieść narratorce, to pierwiastek żeński podwójnie zdominował fabułę, zdecydowanie odsuwając męskie postacie na bok, obsadzając je w rolach, w jakich będą sobie życzyły obie panie. To one, sześćdziesięciodziewięcioletnia antropolożka i jej córka, niepodzielnie rządzą i dzielą, zadają pytania i szukają odpowiedzi, odpowiadają za nastrój w powieści i tworzą rodzinną atmosferę. Jedna, kołysząc się nago w wodach laguny gdzieś w Gwatemali, druga krążąc między Barceloną a wioską Malespine nad zatoczką zwaną „łazienkami Rosjanki".

W momencie, gdy Isabel, matka trojga dzieci - prawnika, muzyka-pianisty i meteorolożki oraz żona byłego malarza i żeglarza, staje się poniekąd z własnej winy ofiarą koszmarnej pomyłki, jej jedyna córka, opiekująca się ojcem tracącym z powodu choroby kontakt z otaczającą rzeczywistością, rozdrapuje zasklepioną, acz swędzącą ranę rodzinnej megalomanii.

Narracja Isabel jest zrazu przytłoczona a to wyrzutami sumieniami, a to szukaniem właściwego uzasadnienia wyjazdu do Gwatemali. Z biegiem czasu więcej miejsca poświęca aktualnym wydarzeniom, których jest bohaterką. Gdy następuje moment kulminacji, do głosu dochodzą wspomnienia antropologicznych podróży, próby usprawiedliwienia i znalezienia przyczyn obecnych decyzji w pracy zawodowej, która na lata rozdzielała ją z domem, mężem i dziećmi, sprawiając, że stała się żoną i matką postrzeganą jako pragmatyczna, nieco oschła i oziębła, w zasadzie nie wtrącająca się w życie swoich najbliższych. Nie sposób w tych wynurzeniach nie znaleźć niechęci Hériza do takiej postawy. Czy to jest zarzut w stosunku do naukowców, profesorów, akademików, którzy za ideę swojej pracy płacą pozostawieniem życia rodzinnego samemu sobie? Jakby z brzegu rzeki, który jest zarośnięty sitowiem i listowiem ich badań, prac, referatów, wykładów, sympozjów, artykułów w naukowych czasopismach, seminariów i przewodów doktorskich, jedynie zerkają na bawiące się w wodzie dzieci, nie przeszkadzając, nie ingerując, nawet nie ganiąc. Jedynie wyjątkowe wydarzenie może spowodować fizyczną reakcję. Autor „Kłamstw" przykłady takich wydarzeń oczywiście podaje. Choroba męża, która przykuwa go do wózka inwalidzkiego i przenosi świadomość w rejony nieznane najbliższym. Jakby była to wyjątkowo okrutna złośliwość w stosunku do Izabeli. Swojego rodzaju próba pokazania jej własnego stanu na przykładzie ukochanego. Wielomiesięczna śpiączka wnuka Luisa, podczas której przewraca się do góry nogami życie Pabla, jego ojca, najstarszego syna Isabel. Czytelnik jednak nie pamięta, żeby Hériz opisał choćby jeden dzień, podczas którego Isabel Azuera stała przy wózku Julia, czuwając, żeby nie zsunął się z jego kolan wełniany koc. Nie przypomina sobie też babci przy łóżku Luisa, co pozwoliłoby odetchnąć jej synowi. Od czego zatem Isabel próbuje uciec, po czym odpocząć, jaki bałagan spowodował potrzebę uporządkowania myśli? Śmierć. Nie rytuał, nie obrzęd, nie ceremonia, lecz jej śmierć, którą sobie Isabel wymyśliła. Jej życzenie o kilkutygodniowym, może kilkumiesięcznym odejściu w środek dżungli i zmartwychwstaniu już odkupionej spełnia się przewrotnie. Wpada w nurt rzeki. I tu autor zastosowuje niezwykły zabieg pisarski. Dołącza Isabel do świata duchów, dusz mieszkających pod lustrem wody, skąd, już poprzez jej naukowy świat, wychodzi na brzeg dołączając do badanych przez lata plemion nie mających dotąd kontaktu z białym człowiekiem. Równocześnie antropolożka odnajduje słowa, którymi opisuje rodzinę. Wartki prąd stawia przed nią męża, po kolei każde z dzieci, kłamstwa, tajemnice, megalomanie, wybujałe ego. Kara jest surowa, ale wyciągane z niej wnioski oczyszczające. Gdy antropologia powoli w umyśle Isabel traci na wyrazistości, jaskrawa staje się historia rodziny, co przewartościowuje dotychczasowe priorytety. W tym samym czasie oddalona od niej córka Serena podświadomie szuka matki. To córka, dotychczas ukryta za braćmi, wielkim kompozytorem i znanym prawnikiem, staje się Isabel niezbędna.

Nad Oceanem Atlantyckim łączą się dwie dłonie, dwa umysły, uzupełniają emocje. Kto zaczyna pierwszy mówić? Nie wiadomo. Obie narracje czasami wydają się jedną. Mocy nabierają rodzinne rozliczenia. Isabel przywraca jasność swojej pamięci, choć ciągle ma obawy. Serena bez żadnych skrupułów drąży, wyciąga. Bezkompromisowo obnaża i łamie tabu. Nie boi się, choć bywa, że się myli, nazywać po imieniu wydarzenia i zachowania, których nie była świadkiem. Z jednej strony jest rozemocjonowana, z drugiej przerażająco logiczna. Opowiada od nowa rodzinną historię i wręcz widać jak wyzywająco wydyma usta lub pojawia się na jej twarzy pełen ironii uśmiech, bezczelnie podkreślający pewność siebie.

Mimo, że Heriz zapewnia czytelnikowi wspaniałą karuzelę kilku fabuł, od siódmego wieku w Chinach przez trzynastowieczną bitwę morską, lata dwudzieste ubiegłego wieku aż po współczesne czasy telefonii komórkowej, nie unika ckliwości i chyba... przewidywalnej nudy zakończenia. Tyle, że zakończenia są dwa. Jedno dla Isabel, drugie dla Sereny. Czy może raczej jej dziadka Simóna. To drugie jest o wiele bardziej satysfakcjonujące.

Jerzy Lengauer

Tadeusz Ogrodnik

Dariusz Tomasz Lebioda

Xiao Hong urodziła się 1 czerwca 1911 roku, w dniu Święta Smoczych Łodzi, w małym miasteczku Hulan, leżącym nad rzeką o tej samej nazwie. To był także dzień w którym ojciec poezji chińskiej Qu Yuan rzucił się do rzeki, protestując przeciwko zepsuciu politycznemu okresu Trzech Królestw. Dzisiaj Hulan jest dzielnicą Harbinu, wspaniałego miasta w Mandżurii, jakże dotkliwie doświadczonego na przełomie XIX i XX wieku. Dziewczynka przyszła na świat w rodzinie bogatych właścicieli ziemskich jako Zhang Naiying, a jej niezwykła wrażliwość kształtowała się w rodzinnym hutongu i w zjawiskowym, wielkim ogrodzie. Podpatrywała tam ptaki, ważki i koniki polne, wraz z ukochanym dziadkiem wykonywała drobne prace, nieustannie dyskutując z nim o ludziach, świecie i gwiazdach na niebie. Inną płaszczyzną obserwacji dziewczynki, wywodzącej się z ludu Han, byli sąsiedzi i niezwykła mozaika narodowościowa w Harbinie, gdzie uczyła się w szkole podstawowej i średniej. Jej matka zmarła, gdy dziewczynka miała dziewięć lat, ale nie przeżyła tego dramatycznie, bo ich więź była problematyczna. Także ojciec nie zapisał się dobrze w biografii przyszłej pisarki, która musiała uciekać z domu przed jego tyranią, by ostatecznie zostać wykreśloną z rejestrów rodzinnych. Żyjąc pośród Mandżurów, Koreańczyków, Mongołów, Ewenków, Rosjan, a nawet Polaków, zesłanych na Sybir, Xiao uczyła się tolerancji i patrzyła na świat szeroko otwartymi oczyma. Jej losy stały się podstawą do scenariusza chińskiego filmu pt. Spadające płatki kwiatów i obecnie jest prawdziwą gwiazdą w świecie chińskiej literatury – ikoną wrażliwości i kobiecej delikatności. Życie doświadczyło tę drobną, urodziwą dziewczynkę w okrutny sposób na wielu poziomach egzystencji i praktycznie nic się jej nie udawało, ani miłość, ani przyjaźnie, ani wydarzenia historyczne, jakże boleśnie nacechowane japońską agresją i utworzeniem marionetkowej republiki Mandżukuo. U sterów jej władzy postawiono Puyi, ostatniego chińskiego cesarza z dynastii Qing, sportretowanego tak udanie przez Bernardo Bertolucciego. Jego film może też obrazować przemiany zachodząc e w Chinach w czasach krótkiego życia Xiao Hong, tak obfitującego w nagłe zwroty akcji i zakończonego przedwcześnie w roku 1942 z powodu gruźlicy, w szpitalu w Hongkongu. Tam też została skremowana, a jej prochy podzielono i pogrzebano na cmentarzu Repulse Bay i w Kantonie.

Najbardziej znaną i cenioną powieścią Xiao Hong są Opowieści znad rzeki Hulan (**呼蘭河傳**), opublikowane u końca życia pisarki. Są to czarujące narracje nadwrażliwego dziecka, próbującego zrozumieć świat i ukazującego go takim jakim naprawdę jest. Nie znajdziemy tutaj kategorycznych ocen, ale sposób przedstawienia odzwierciedla uczucia autorki i staje się rodzajem wyrzutu. W lodowatej rzeczywistości północnych Chin, nieopodal wielkiej rzeki syberyjskiej Amur i miasta Harbin, określanego jako Paryż północy, rozgrywają się małe i wielkie dramaty, takie jak oderwanie nogi konika polnego i zamęczenie młodej synowej przez teściową, odprawianie prymitywnego rytuału szamańskiego i potajemne schadzki miłosne dziwacznego młynarza, zapadnięcie się konia w błotnistą maź i nagły przylot stad wron. Dziewczynka widzi wszystko ze zdwojoną mocą, analizuje i wymądrza się przed dziadkiem, a ten z przymrużeniem oka znosi wszelkie jej fanaberie. Autorka snuje swoją opowieść spokojnie, jakby chciała odwzorować leniwe nurty pobliskiej rzeki Hulan, a jednocześnie nasącza swoją prozę tak wielką zmysłowością, że staje się ona

rodzajem plastycznych obrazów. Ważną rolę odgrywają tutaj też dokładnie odwzorowywane elementy świata i szczegóły najbliższej przestrzeni. Tak powstaje niezwykły hymn istnienia wrażliwego bytu, przeciwstawiającego się mrozom krainy i bezduszności ludzi – opowieść o rzeczach błahych i o samej istocie istnienia. Jakże chińska jest ta proza, przepojona miłością do ludzi i żalem z powodu ich przemijania, a przy tym jakże uniwersalna i sprawiedliwa przy przedstawianiu kolejnych postaci: aptekarzy, młynarza Fenga Krzywa Gęba, starego kucharza, sprzedawców bułeczek z nadzieniem i tofu, a nade wszystko członków rodziny, takich jak Drugi Wuj You. Spojrzenie dziecka zwykle idealizuje rzeczywistość, ale perspektywa dojrzałości kobiecej każe przedstawiać wszystko prawdziwie, bez przerysowań i uwzniośleń. Otrzymujemy zatem niemal malarski szkic miasteczka, w którym życie płynie leniwie, lato trwa krótko, a zimy i mrozy ciągną się w nieskończoność. Trudno się dziwić, że doroczny chiński festiwal rzeźb i budowli lodowych odbywa się w Harbinie, gdzie lód jeziora osiąga grubość jednego metra.

Powiernikiem i najczulszym przyjacielem dziewczynki jest jej dziadek ze strony ojca narratorki, jakże różniący się charakterem od niego. Mała bohaterka tej prozy instynktownie wyczuwa w nim wielkie pokłady dobroci i uwielbia przebywać w pobliżu niego, a także odbywać wyprawy do domów innych ludzi. Ma to często miejsce, bo jest on kimś w rodzaju sołtysa lub burmistrza mieściny i często decyduje o sprawach mieszkaniowych i społecznych. Tylko z nim dziewczynka może dyskutować bez lęku, że zostanie skarcona i tylko on udziela jej życzliwych rad, uczy życia w delikatny sposób, przygotowując ją do dalszej drogi. Niestety tak rodzi się też w niej niezwykła wrażliwość i delikatność, która zostanie bezwzględnie wykorzystana przez jej kochanków i partnerów. Na szczęście zrodzi ona też twórczość literacką i plastyczną – wszakże bohaterka powieści jest tylko lekko podkolorowana i w zamyśle autorskim ma odzwierciedlać losy pisarki. Zwykle wnuki zaprzyjaźniają się z rodzicami matki lub ojca, ale w tym przypadku dziadek stał się kimś na kształt strażnika tajemnego edenu dzieciństwa: Dziadek spędzał w ogrodzie całe dnie, a ja mu towarzyszyłam. On nosił duży słomkowy kapelusz, ja miałam mały. Naśladowałam go, gdy sadził kwiaty. Gdy wyrywał chwasty – wyrywałam i ja. Kiedy sadził kapustę, szłam za nim i nogą zasypywałam zagłębienia,

w których umieszczał ziarenka. Nie żeby mi to równo wychodziło, ot tak, tu kopnęłam prawą nogą, tam lewą – dziecięce igraszki. Czasem nie tylko ich nie przesypywałam, ale wręcz wykopywałam w powietrze. Ten element zabawowy jest bardzo ważny w narracjach Xiao Hong i często wraca jak przypomnienie, że u podłoża ludzkiej wrażliwości leżą przeżycia dziecinne, doświadczenia pierwszych lat i wskazania naszych przewodników i opiekunów. Dziadek dziewczynki, choć jest dumnym patriarchą rodu, nie celebruje swoich urzędów i do wszystkiego podchodzi na luzie, czym zjednuje sobie nowych przyjaciół. Dziewczynka akceptuje go w chwilach wymuszonej powagi, ale najlepiej czuje się z nim, gdy żartuje, albo opowiada wymyślone historie z morałem lub dydaktycznym podtekstem. Pomiędzy niewinnością dziecka a infantylizmem starca często zawiązuje się rodzaj żartobliwej unii: Oczy dziadka promieniały radością, a jego śmiech brzmiał perliście jak śmiech dziecka. Dziadek był bardzo wysoki, cieszył się dobrym zdrowiem, chodząc, w ręku trzymał często laskę, a w kąciku ust miał swoją nieodłączną fajkę. Spotkawszy któreś z okolicznych dzieci, lubił z nimi pożartować. Tak jego dobra natura i znajomość prawideł życia promieniują na dziewczynkę i najpełniej przygotowują ją do życia.

Choć pisarka nie ocenia ludzi, to jej realistyczne opisy poszczególnych zachowań stają się ostrą krytyką społeczeństwa chińskiego w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego wieku. Najlepiej widać to w rozdziale piątym powieści, będącym opisem dziejów młodziutkiej żony, kupionej przez rodzinę Hu. To co miało być dla niej wielką przygodą i startem w nowe życie, stało się pasmem nieszczęść, płaczu i ciągłej udręki. Wszystko za sprawą złej teściowej, która uznała, że nastolatkę należy często katować, by utemperować jej „hardość" i wybić jej z głowy chęć powrotu do rodzinnego domu. Dziewczyna była maltretowana psychicznie, batożona, a nawet przypalana rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem, co spowoduje u niej najpierw autystyczne zamknięcie, a potem rodzaj choroby umysłowej. Nie wytrzymując ciągłych szykan i spektakli dla sąsiadów, urządzanych przez teściową, nieszczęsna, ubezwłasnowolniona żona umiera bez słowa skargi. Okrucieństwo teściowej idzie tutaj w parze z głupotą społeczności miasteczka Hulan, kibicującej takim przedstawieniom jak odzieranie dziewczyny z odzienia i podtapianie jej w balii z gorącą wodą: Wrzucona do wrzątku dziewczynka wrzeszczała jak opętana i rzucała się, jakby walczyła o życie. Trzy, może cztery osoby stały obok i polewały jej głowę. Po chwili jej twarz zrobiła się purpurowa, a ona sama przestała się wyrywać i stała spokojnie, jakby dała za wygraną. Kadź byłą na tyle ogromna i głęboka, że na zewnątrz wystawała praktycznie tylko głowa dziewczynki. Przyglądałam się jej długo, długo. Po jakimś czasie praktycznie przestała się ruszać, nie płakała już ani się nie śmiała, a jej twarz przybrała taki odcień jak czerwony papier wróżbity. Spływały po niej krople potu. Choć przybywa gapiów, nikt nie potrafił powstrzymać absurdalnych dyspozycji szamanki i członków przybranej rodziny, nakazujących trzykrotną kąpiel we wrzątku i podtapianie w celu wygnania złego ducha. Tak spowodują kilkakrotną utratę przytomności tego prawie dziecka, a w konsekwencji jakże smutną śmierć. Dla społeczności miasteczka ważniejszy jest spektakl, niż życie młodziutkiej żony, przybyłej z daleka i nie godzącej się na wybryki teściowej. Jej odejście traktują tak samo jak zdechnięcie konia lub osła, jak rytualne odcięcie głowy koguta lub kaczki, wreszcie jak ścięcie łanu zboża. Tak musiało się stać, bo takie były prawa współistnienia w mroźnej krainie, a kto się przeciwko nim buntował, płacił cenę najwyższą.

Powieść Xiao Hong wpisuje się w szeroki nurt chińskiej współczesnej prozy realistycznej, choć sposób opowieści przypomina tutaj też nieco magię dzieł Marqueza i Mo Yana. Opowieści znad rzeki Hulan są też zdumiewającym dokumentem historycznym, opartym na jednej biografii, ale też interioryzującym doświadczenia kilku pokoleń Chińczyków. Podejmowali oni wyprawy ku północnej krainie w poszukiwaniu lepszych warunków życia, ale często nie wytrzymywali skrajnych mrozów i zamknięcia się ludzi w hermetycznych kręgach rodzinnych lub narodowościowych. Dziewczynka z tej powieści i pisarka są przedstawicielami najbardziej ekspansywnego ludu Han, ale przecież zachowania sąsiadów i jej rodziny noszą także znamiona prymitywizmu i automatyzmu przypisywanego społecznościom szamanistycznym. Mandżuria z czasów dorastania dziewczynki, to tygiel kulturowy, w którym mieszały się wpływy i zwyczaje wielu nacji. Zamknięcie się rodzin w hutongach, czyli kwadratach niskich domach z podwórkiem po środku, było koniecznością warunkowaną przez zapobiegliwość i chęć zaznaczenia własnej inności. Pamiętajmy też i o tym – co wskazuje w Posłowiu tłumaczka Małgorzata Stoszek-Deng – że obfitująca w rozmaite surowce rozległa terytorialnie Mandżuria była terenem ścierania się potęg i mocarstw. Początkowo zamknięta na osadnictwo etnicznych Chińczyków Han, pod koniec XIX wieku stała się ich ziemią obiecaną i celem masowej migracji, zwłaszcza z regionów biednych, nawiedzanych przez klęski żywiołowe – z Shandongu i dzisiejszej Hebei. Kusiła przestrzeniami, żyznym czarnoziemem, możliwością zdobycia fortuny przez poszukiwaczy złota. Z podobnych przyczyn była również łakomym kąskiem dla sąsiednich państw. Przybysze z innych części Państwa Środka, tacy jak dziadek dziewczynki, stosowali liczne zabiegi by przetrwać pośród nowej społeczności, od żartobliwego komentowania tragedii i dramatów, po sentencjonalne traktowanie kolejnych zawiłości życiowych. Na tym tle dzieje rezolutnej i mądrej Chinki z miasteczka Hulan stają się opowieścią o wielkiej ludzkiej tęsknocie za czułością, bliskością i pełnią egzystencji – zyskują też wymiar uniwersalistyczny i pod każdą szerokością geograficzną odczytywane będą jako pełne prawdy dopełnienie mitu kalendarzowego, w który od tysiącleci wpisują się ludzkie losy.

Dariusz Tomasz Lebioda

Xiao Hong, Opowieści znad rzeki Hulan, przeł. Małgorzata Stoszek-Deng, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021, s. 254.

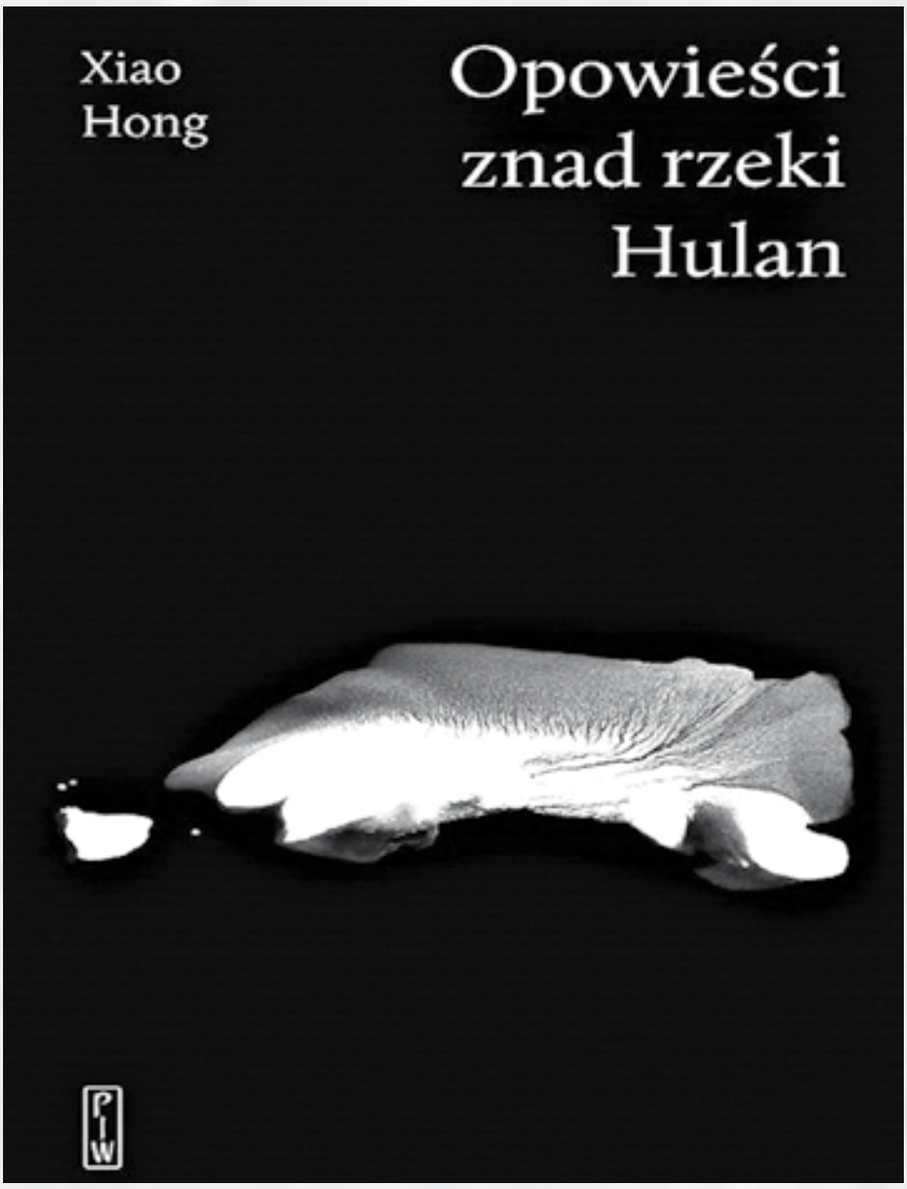

Aleksandra Naróg

Beksiński i Dmochowski: (przed)ostatnie rozdanie

(Beksiński - Dmochowski. Listy 2004-05, Warszawa 2021)

Papierowe wydanie trzeciego tomu korespondencji pomiędzy Zdzisławem Beksińskim a Piotrem Dmochowskim zbiegało się zarazem z 16. rocznicą tragicznej śmierci malarza. Ostatni z maili napisany przez „Beksa" do przyjaciela pochodzi z 21 lutego 2005 roku, godziny 18:45. Robi to wstrząsające wrażenie – niczego nieświadomy Beksiński opisuje w nim swoje plany związane z jednym z obrazów, konkludując: „nie chcę go więc sprzedawać, ale też nie musisz się spieszyć ze zwrotem, bo w końcu jeśli czekałem tak długo, mogę jeszcze poczekać". Odpowiedzi Dmochowskiego z godziny 20:52 nigdy już nie zdążył przeczytać – został zamordowany w swoim warszawskim mieszkaniu w nocy tego samego dnia.

Trzeci – a przedostatni w planach wydawniczych Dmochowskiego - tom korespondencji pomiędzy Dmochowskim a Beksińskim to ponad 500 stron korespondencji wymienianej między dwójką przyjaciół właśnie w latach 2004-2005. Cały czas na publikację oczekuje jeszcze pierwszy tom, obejmujący lata 1983-1999, który dostępny będzie, zgodnie z zapowiedzią, dopiero po śmierci posiadacza korespondencji.

Dmochowski ponownie ściśle trzyma się tu woli malarza, by w razie wydania tej korespondencji „na Boga jej nie redagować". Zwraca uwagę na ten fakt już w pierwszych słowach przedmowy. Publikuje treść maili w formie całkowicie skróconej i niezmienionej w stosunku do oryginału; jedyne ustępstwo, na które się decyduje, to usunięcie niektórych fragmentów dotyczących technicznych problemów obu panów z obsługą komputera. Zwraca również uwagę, w nieco konsolidacyjnym, nieco ostrzegawczym tonie, na swój często prowokacyjny, wywołujący konflikt z Beksińskim ton wypowiedzi, który niemal w gombrowiczowskim duchu: „(…) najciekawszy jest dialog wtedy, gdy istnieje spór. To również jedna z przyczyn moich zaczepek i wycieczek pod [Beksińskiego – A.N.] adresem".

Zabieg ten ma, w moim przekonaniu, swoje oczywiste wady i zalety. Wadą całego tomu może być swoista monotonia, zasypanie czytelnika nieistotnymi z dzisiejszej perspektywy szczegółami z ówczesnego hermetycznego życia salonowego, uciążliwych detali dotyczących wyceny dzieł sztuki, sporów finansowych czy absurdalnych kłótni o drobnostki, ton czyjejś wypowiedzi, wzajemne przytyki. Również niektóre z osobistych komentarzy Dmochowskiego – dotyczące chociażby jego stosunku do innych narodowości czy relacji z kobietami – w moim uznaniu lepiej, by jednak nie ujrzały światła dziennego. Niewątpliwie jednak, mogą one stanowić dobra podstawę do próby szkicu skomplikowanego portretu psychologicznego obu postaci. Zaletą tego zabiegu jest jednak pokazanie prawdziwego oblicza, codziennego mozołu otaczającego proces powstawania legendarnych dzieł Beksińskiego, nudy codzienności, cierpienia związanego z niezrozumieniem, złości i silnych emocji towarzyszących niezwykle silnej, choć trudnej więzi pomiędzy malarzem i marszandem. Widoczny jest w tych listach Beksiński – człowiek z krwi i kości – wściekły na przeciągający się remont w mieszkaniu, żywiący osobiste urazy, ale i potrafiący głęboko analizować świat sztuki i filozofii, skrywający swoją wrażliwość i uczucia kierowane do rodziny i przyjaciół pod maską cynizmu. To także fascynujące przeniesienie się do żywego świata sprzed ponad dwudziestu lat, który, choć pozornie tak bliski, nigdy już nie powróci – inne są przecież sposoby pracy z grafiką komputerową, ścieżki organizacji wystaw i wernisaży, pośpiech życia. (Co ciekawe, Beksiński prezentuje w swoich licznych listownych prognozach rozwoju techniki zaskakującą trafność). Obu przyjaciół cechuje w wymianie listów silna koncentracja na detalach – bywają jednak one w dużej mierze ciekawe i zaskakujące nawet dla czytelników niezajmujących się zawodowo historią sztuki i technikaliami związanymi z pracą nad obrazem. Beksiński jawi się na stronach tej korespondencji zarówno jako sprawny, twardo stojący na ziemi technik, jak i artysta-wizjoner, o horyzontach znacznie przekraczających tendencje sztuki początku XXI wieku. Prostym – a bardzo korzystnym i znaczącym zabiegiem – jest dodanie do tomu kolorowych reprodukcji obrazów, których dotyczą maile obu rozmówców. Pokazują one, w jaki sposób żywy dialog między bohaterami korespondencji prowadził często do zmian i modyfikacji w postrzeganiu i analizie dzieł Beksińskiego.

Co przyniesie czytelnikom ostatni tom tej korespondencji? Pozostaje nam tylko czekać…

Aleksandra Naróg

Tadeusz Ogrodnik

Marcin Mielcarek

Szary kibel

– Nudzi ci się Bukowski, co? – Usłyszałem za plecami jego irytujący głos, coś jak paznokcie drapiące szkolną tablicę.

– Nie proszę pana. Nie bardzo – odparłem, odwracając się do niego przodem.

Mój przełożony w księgarni, starszy facet o nazwisku Cichowlas, stał metr za mną i z zaciekawieniem patrzył na moje ręce, na dłonie. Nic nich w nie miałem, były zupełnie puste i może to właśnie stanowiło o tym, że wydawały się mu takie interesujące. Schowałem je do kieszeni i oparłem się o wysoki, ciężki regał z książkami od filozofii. Szukałem czegoś Heideggera, chciałem poczytać i nie wiedziałem właściwie po co mi on, ale paradoksalnie nie mogłem stwierdzić jego bytu na półce.

– A ja widzę, że ci się nudzi. Obserwuję cię od piętnastu minut i w tym czasie zdążyłeś ziewnąć trzy razy – oznajmił, przybierając surową i poważną minę, która chyba miała mnie przestraszyć albo wzbudzić poczucie winy. Nic takiego się nie udało.

– To przez mojego małego synka. Biedak nie może spać, budzi się co chwilę i płacze przez całą noc. Nie zmrużyłem oka do samego rana. I tak jest od kilku dni – wcisnąłem mu kit, bo oczywiście nie miałem żadnego syna, nie miałem nawet kobiety na stałe.

Nie bardzo go to chyba obeszło, bo zaczął wydawać nieartykułowane dźwięki coś w stylu „yhmm", „hhmm" czy też „mhhm" i kiwać mądrze głową. A potem, oblizując przy tym wargi z samozadowolenia, że może mi tak dopiec, rzucił pretensjonalnym tonem:

– Chodź za mną Bukowski. Mam dla ciebie robotę.

No i ruszył w stronę zaplecza, a ja wiedziałem od razu, że to nie rokuje niczego dobrego, bo słowo „robota" zaakcentował nad wyraz mocno. Poszedłem jednak za nim, nie miałem innego wyboru i idąc, gapiłem się na łysy placek na czubku jego głowy. Ta łysina wyglądała niczym płaski kawałek lądu na oceanie, ziemia niczyja w czasie wojny czy też wykarczowany kawałek lasu, pośrodku gęstej dżungli szarych, skłębionych włosów. Z taką fryzurą przypominał jakiegoś mnicha z etykiety na butelce piwa, równie otyłego i papuśnego, ale nigdy pozytywnie uśmiechniętego jak oni.

Znaleźliśmy się w pomieszczeniu gospodarczym, gdzie były jedne, jedyne drzwi prowadzące do sracza. I te właśnie drzwi otworzył na oścież, prezentując mi zamaszyście ręką to, co tam się znajduje. A stał tam tylko zwykły kibel, który oglądałem trzy czy cztery razy dziennie.

– Chyba wiesz co trzeba zrobić Bukowski – zaczął, obserwując uważnie moją nadchodzącą reakcję.

– Musi mi Pan chyba wyjaśnić – odparłem, przeciągając nieuniknione.

– Och, chyba dobrze wiesz, o co mi chodzi Bukowski. Nie jesteś aż takim kretynem, prawda?

Bardzo chciałem, żeby się mylił, ale niestety nie byłem aż takim kretynem. Oczywiście, że trzeba zająć się kiblem i całą jego otoczką. Spojrzałem na ceramiczną rzecz jak na instalację artystyczną czy inną rzeźbę, bo przecież wystawiono wcale nie tak dawno taki kibel w muzeum. Szersza perspektywa, prawdziwie wąskiego zakresu funkcji toalety. Ktoś, kto wymyślił to całe urządzenie, był albo geniuszem, albo świrem. W każdym razie chodziło i chodzi o babranie się w gównie.

– Środki czystości masz za drzwiami, zrób to porządnie, chyba nie muszę ci mówić – powiedział. – Wszyscy z tego korzystamy, ty też, także potraktuj go jak ten na swoim mieszkaniu. Przyjdę potem sprawdzić jak ci idzie.

Cichowlas wyszedł, zostawiając mnie samego w toalecie. Pracowałem w tej księgarni od trzech miesięcy, ale dopiero teraz miałem okazję przyjrzeć się temu kiblowi dokładniej, dopiero teraz ten stary, zmęczony fotel, który już dawno z białego zamienił się w szary, stał się obiektem mojego prawdziwego zainteresowania. Wyglądał na obskurny i żałosny, a do tego brudny, cholernie brudny. Pokrywał go przedwieczny kurz oraz zaschnięte smugi, które mogły być jedynie moczem. Westchnąłem ciężko i wylazłem stamtąd, poszedłem po jakieś papierowe ręczniki, wiadro, szmaty, gąbkę i chemię. Potrzebowałem dużo chemii, żeby przez to przebrnąć. Wróciłem i posłałem smutne spojrzenie temu kiblowi, ale on pozostawał obojętny, było mu pewnie wszystko jedno w jakim jest stanie, bo tylko człowiek ma ze wszystkim problem, człowiek jest punktem odniesienia do wszechrzeczy. Uklęknąłem jak w konfesjonale i wziąłem się do mojej spowiedzi.

Zacząłem od ścierania wszystkiego papierem, który z białego szybko robił się szaro-żółty, przez co trafiał w obfitych ilościach do kibla. Potem namaczałem szmatę w wiadrze z wodą i płynem i leciałem całą ceramikę od góry do dołu, nie zapominając o wnętrzu deski z parszywym pomarańczowym nalotem. Tam gdzie brązowe smugi były tak zaschnięte i twarde, że nie dało się tego domyć, używałem zmywaka, czasami piekielnie mocno nim trąc. Potem znowu leciałem szmatą, wszystko to dokładnie wycierając. Spłukałem cały papier i wziąłem się za środek muszli i dno zmęczonego jeziorka. Ale to właśnie szczotka do kibla była w takim stanie, że musiałem powstrzymać się przed zrzyganiem. Nikt chyba nigdy jej nie ruszał, w sensie nikt nie wylewał tej mazi, która zrobiła się w zbiorniczku na szczotkę. A było to przecież gówno, woda i mocz. Istne szambo. Wziąłem ten biały kawałek plastiku i wylałem zawartość do klopa. Potem pod umywalką, powstrzymując odruch wymiotny, wymyłem do czysta zbiornik, nie żałując podróby domestosa. W powietrzu unosił się drażniący zapach chloru. Kiedy już wymyłem co miałem i odstawiłem na zasłużone miejsce obok tronu, poszedłem po czajnik z wrzątkiem. Kiedy woda gotowała się w środku, wszedł Cichowlas.

– Skończyłeś już? – zapytał mnie, patrząc na moją twarz, jakby widział ją po raz pierwszy

– Jeszcze nie.

Facet poszedł w kierunku kibla i otworzył drzwi. Pooglądał moje dzieło, pokiwał głową i wszedł do środka. Woda zdążyła się już zagotować, ale on nadal tam siedział. Potem usłyszałem dźwięk spłukiwania i Cichowlas wyszedł. Minął mnie bez słowa i poszedł na księgarnie.

Wziąłem parujący czajnik i otworzyłem drzwi. Oczywiście, że ten pieprzony sadysta musiał się wykasztanić, nie mógł przepuścić takiej okazji, musiał mi jeszcze dopierdolić na dokładkę. Życie lubi nam dosrać i czasami robi to – jak w tym przypadku – dosłownie. Deska od toalety była podniesiona i bałem się zajrzeć do środka. Wiedziałem, że w wodzie pływa to czego zobaczyć nie chcę, dlatego trzasnąłem ze złością klapą i spłukałem wodę. Potem krztusząc się od smrodu, złapałem za aerozol i spryskałem nim skażone powietrze. Wyszedłem i odczekałem chwilę. Kiedy uznałem, że teren jest czysty, wróciłem. Wodą z czajnika opłukałem cały kibel, chcąc go wysterylizować, ale pieprzona grawitacja i fizyka sprawiły, że chlusnęło mi obficie na stopę, na buta. Przez moment nie czułem absolutnie nic, ale po chwili zaczęło mnie swędzieć, a potem moja skóra już piekła boleśnie. Wróciłem do umywalki, zdjąłem buta, potem skarpetkę i wsadziłem stopę pod kran z zimną wodą.

Utrzymaniem porządku w pomieszczeniach sanitarnych, jak i na korytarzu, zajmowała się jedna kobieta, która miała może z pięćdziesiąt lat, była chuda, ścięta jak facet i nosiła zawsze ten sam czerwony fartuch w białe kropki. Nie znałem jej imienia i poza „dzień dobry" i „do widzenia" nie zamieniłem z nią ani jednego słowa, bo nie sprawiała wrażenia osoby pozytywnej, ale nie mogłem też się dziwić, skoro musiała robić przynajmniej raz w tygodniu to, co ja robiłem tutaj po raz pierwszy.

– Co ty robisz Bukowski? – Doszedł mnie głos Cichowlasa. – Skończyłeś już robotę?

– Nie.

Odwróciłem głowę w jego stronę. Gapił się na moją stopę z rozdziawioną papą i wyglądał jak klaun. Nie miałem pojęcia, co ten facet miał we łbie, ale nic mnie to nie obchodziło.

– To co ty wyprawiasz do cholery? – rzucił ostro.

– A nie widać?

– Że co?

– Myję sobie stopy. Zakręcili mi w mieszkaniu wodę, bo nie płacę od trzech miesięcy. Zaraz przejdę do mycia reszty ciała, ale nie wiem, czy chce pan to oglądać. Dlatego radzę wyjść.

To musiało być dla niego zbyt abstrakcyjne, bo powiedział tylko:

– Dokończ tę robotę w toalecie, a potem wracaj na księgarnie.

Moja stopa tkwiła jeszcze kilka minut pod zimnym strumieniem, zanim wróciłem do pracy. Umyłem jeszcze podłogę wodą, która spłynęła z kibla na płytki. Kiedy skończyłem, całość wyglądała o niebo lepiej →

niż zwykle. Zacząłem się zastanawiać czy ta kobieta od sprzątania w ogóle to robi. Stwierdziłem, że chyba nie każdy nadaje się chyba na pomywacza, może ona się po prostu nie nadawała, nie stanowiło to jej powołania. A może inaczej – może posiadała wiedzę, której ja nie posiadałem i wiedziała, że poświęcenia za marną płacę nie mają sensu. Ja najwidoczniej się z powołaniem minąłem. Nie było jednak dla mnie za późno. W Niemczech za sprzątanie płacili lepiej niż w Polsce lekarzowi, zawsze można by wyjechać.

Kiedy wróciłem na sklep, Cichowlas siedział na jednym z foteli, a jakaś starsza kobieta zaczepiła mnie o pomoc w wyborze książek dla wnuczki. Nie było to łatwe, bo staruszka cały czas sądziła, że dla dzisiejszej młodzieży Musierowiczowa wciąż przedstawia jakąś wartość w swoich powieściach. Po wszystkim Cichowlas ze swojego doborowego miejsca przywołał mnie dłonią.

– Podłoga jest do umycia. Na sklepie i w korytarzu – wydał polecenie i przekartkował stronę jakiejś nieciekawej gazety.

Bez gadania wróciłem znowu na zaplecze po wiadro i mop. Wiadro na połowie wysokości było dziurawe, a mop miał połamaną rączkę. Mimo to wziąłem się do roboty. Sumiennie zacząłem myć granitowe płytki, pamiętające spokojnie PRL. Zacząłem od korytarza i w dobrym tempie posuwałem się do tyłu, w głąb sklepu. Wodę w tym wiadrze wymieniłem kilkanaście razy, a moje dłonie od ciągłego wyciskania mokrej szmaty śmiesznie się pomarszczyły. Kiedy skończyłem byłem nieźle zmachany, pot na plecach lepił się do koszulki. Zajęło mi to jakieś dwie godziny, ale czułem jakbym odwalił kawał dobrej roboty. Powietrze w księgarni wypełnił zapach jabłkowego płynu. Wróciłem na czysty sklep i usiadłem za kasą. Odetchnąłem głęboko. Zwykle twarde krzesło wydawało się teraz niezwykle miłe. Siedziałem tak kilka dobrych minut, gapiąc się bezrefleksyjnie przed siebie.

A Cichowlas przez całe te dwie bite godziny nie ruszył się z fotela. Ponownie przywołał mnie takim samym gestem.

– Słuchaj Bukowski, uważam, że nie traktujesz tej pracy poważnie – zaczął niczym najwyższy sędzia kiedy do niego podszedłem, kierując w moją stronę palec sprawiedliwości. – Brakuje ci zaangażowania, inicjatywy, a właściwie to jesteś zwykłym leniem. Obawiam się, że jeżeli nie poprawisz swojego nastawienia, będę musiał cię zwolnić. To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie chłopcze. Przemyśl to.

Ten jego gruby paluch wciąż był wyciągnięty i miałem ochotę za niego złapać i go wykręcić. Zamiast tego, odezwałem się:

– Wie pan co, panie Cichowlas, chyba zrobię sobie przerwę. Po drugiej stronie ulicy jest taki bar, zawsze chciałem do niego wejść, zawsze kiedy idę do pracy, albo z niej wracam, myślę sobie, że wejdę w końcu do tego baru. Chyba mają już otwarte, jest przecież po drugiej...

– O czym ty mówisz do cholery?

– O tym, że idę odpocząć do baru naprzeciw, że idę na piwo. Może pan iść ze mną.

– Że jak niby?

– Zamkniemy na pół godziny księgarnie i pójdziemy się napić piwa, co pan na to?

– Oszalałeś? Nie ma mowy. A jeżeli teraz wyjdziesz, możesz już tutaj nie wracać Bukowski.

Wzruszyłem ramionami i powlokłem nogami w kierunku wyjścia.

– BUKOWSKI WRACAJ TU! – Rozbrzmiał jego głos, w którym więcej było paniki niż władzy.

Obeszło mnie to tyle co nic, a kiedy wyszedłem na zewnątrz z tej podziemnej jaskini śmierci i rozkładu, rozejrzałem się dookoła, dziwiąc temu, że istnieje wciąż jakiś świat. Przeszedłem przez pasy, ale kiedy stanąłem przed drzwiami do baru, zmieniłem zdanie, a potem kierunek i ruszyłem w dół ulicy. Przyglądałem się mijającym mnie ludziom, przyglądałem pędzącym drogim autom i wdychałem ciężkie spaliny, wiszące w gorącym powietrzu. Szedłem tak i czułem się lepiej, prawie dobrze, jakbym zrzucił z pleców niepotrzebny balast, czułem się lżejszy. Ale potem zacząłem myśleć o tym nieszczęsnym kiblu w księgarni, o tym, że wszystkie moje dni, to wstawanie rano, ta praca, jedzenie, chodzenie spać późną nocą i znowu wstawanie przed świtem, to wszystko było jak ten szary, zmęczony kibel, któremu myciem próbowałem w jakiś sposób pomóc, by nie stał taki smutny i nędzny. Dobrze jednak wiedziałem, że to beznadziejne, że tak naprawdę nadawał się on już tylko do wymiany na nowy. Kibel do wymiany, do wyrzucenia. Moje życie do wymiany i do wyrzucenia. Przegrałem w nie. Nie dało się już nic poradzić.

Zatrzymałem się na chwilę przed starą kamienicą, bo trwał przy niej remont i jakiś gość w odblaskowej kamizelce i kasku jechał w moim kierunku z taczką załadowaną do oporu. Przyglądałem się przez chwilę robotnikom na rusztowaniu, mieli opalone ręce i ogorzałe twarze pozbawione wyrazu. Słońce wisiało nad naszymi głowami, smażąc nas wszystkich równo na wiór.

– Hej ty! – krzyknął ktoś do mnie z góry. – No tak, ty właśnie! Nie szukasz może roboty?!

Pokiwałem głową, że nie i wsadziłem ręce do kieszeni. Ponownie pomyślałem o tym samotnym kiblu stojącym w czeluściach martwej księgarni. Gdybym umiał gwizdać, zagwizdałbym teraz niczym amerykański luzak. Nogi jakoś same poniosły mnie dalej, przed siebie, w samo jądro słońca.

Marcin Mielcarek

Tadeusz Ogrodnik

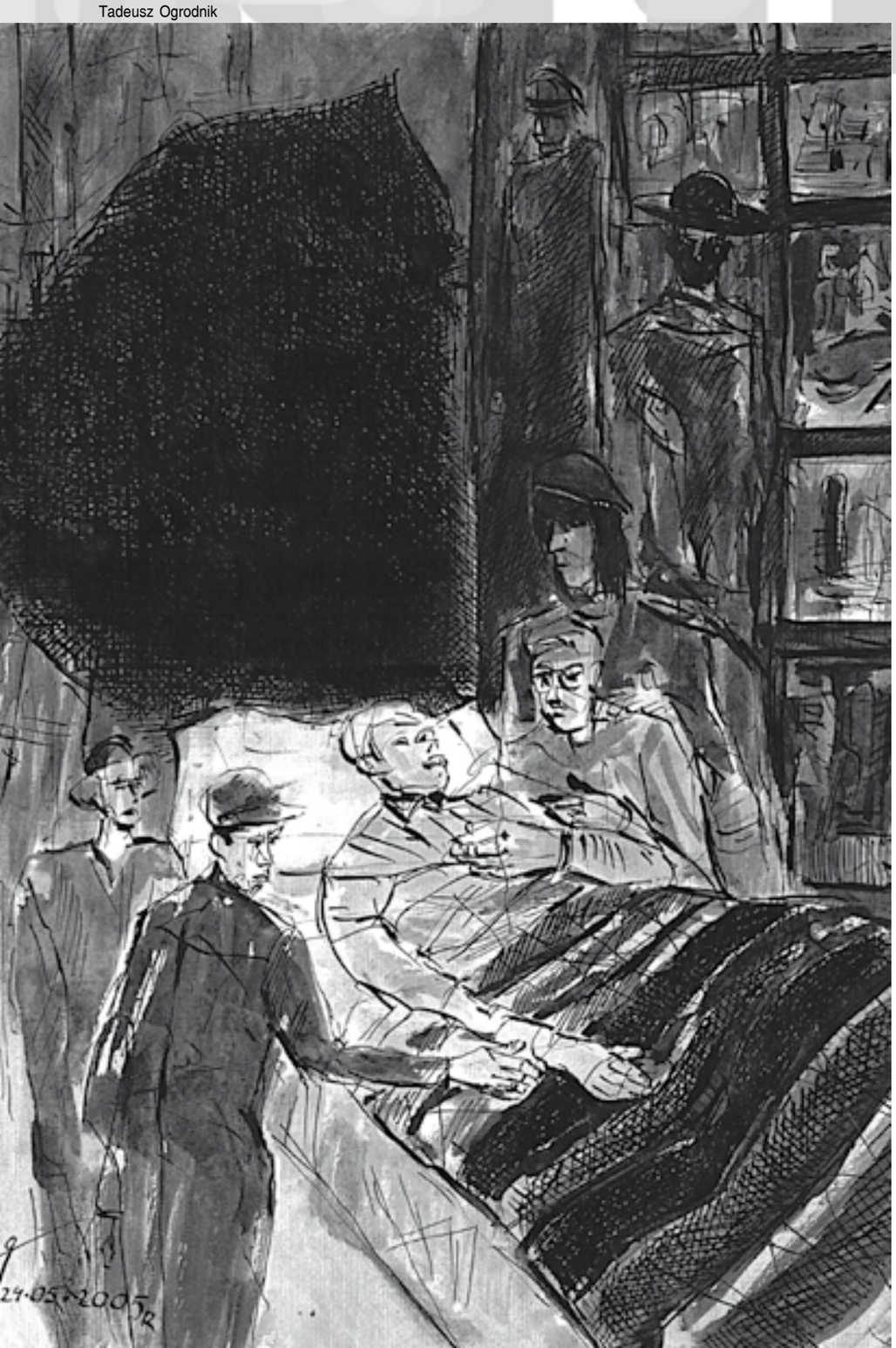

W numerze prezentujemy prace Tadeusza Ogrodnika

Urodził się w 1955 roku w Pułtusku. Studiował na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom uzyskał w 1982 roku w pracowniach prof. Romana Banaszewskiego i prof. Andrzeja Pietscha. Od roku 1985 bierze udział w corocznych wystawach środowiskowych "Salon Pilski". W latach 2008 – 2018 dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Pile. Uczestniczył w wielu wystawach ogólnopolskich i międzynarodowych. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem i grafiką. Mieszka i pracuje w Pile.

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl

ISSN 2083-2494

numer 2 (75) 2022

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Dział PR: **Adam Buszek**
Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn
Dział fotografiki: **Sybilka Storie**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**,
Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)
Roman Warszewski (Gdynia),

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Leszek Żuliński (Warszawa)
Andrzej Wołosewicz

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Bałtox Jolanta Rakowska
Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302
joa@migotania.pl,

Fundacja ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":

– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań" zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety
Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (38)

Znawca Platona, profesor Ryszard Legutko, europoseł na łamach czasopisma „Sieci" (nr 22/2022) cytowany przez Gorana Andrijanicia w materiale zatytułowanym Wielkie oszustwo powiada: „Jesteśmy w kluczowym momencie. Albo Unii Europejskiej uda się przeprowadzić ten skok ku większej centralizacji, albo nie. Jeśli się uda, mamy Finis Poloniae, a także innych krajów Europy Wschodniej. Wszystkie kierownicze decyzje będą zapadały poza nami, a my nie będziemy mieli żadnych narzędzi, by je zablokować. Sytuacja jest więc niezwykle poważna. Dobrym sygnałem jest pojawienie się dokumentu podpisanego przez 13 krajów członkowskim sprzeciwiającym się zmianom traktatowym. Czy to wystarczy, by powstrzymać najgorsze? Wydaje się, że tak, ale jeżeli zapadnie decyzja w grupie trzymającej władzę, że idziemy w kierunku centralizacji, to zacznie się proces straszenia, przekupywania i szantażowania. W rezultacie czego od tej 13 będą odpadać kolejne państwa, a na końcu zostaną dwa z Europy Wschodniej i rozpocznie się przeciw nim wielki ostrzał artyleryjski. Pamiętajmy, że polityka europejska staje się coraz brutalniejsza. To nie jest tak, że przedstawiciele krajów spotykają się i załatwiają coś w duchu solidarności. Główny nurt europejski oraz wyłoniona z niego grupa trzymająca władzę mają za jeden ze swoich celów neutralizację wszelkich sił konserwatywnych w Europie, wliczając w to obecny rząd Polski".

To bardzo głębokie myśli tego profesora. Sięgają dna. Może nawet jeszcze głębiej… Legutko najwyraźniej przy tym udaje, że w jego bańce politycznej nikt nie kombinuje, jak zmienić traktaty europejskie – w końcu Sam Prezes przecież już lata temu to zapowiadał snując przy tym nadzieje, że wreszcie nastąpi „nowe rozdanie", które doprowadzi do „zrzucenia ze szczudeł" sztucznie wykreowaną przez obrzydliwych liberałów „grupę trzymającą władzę". Sądzę, że profesor Legutko nie brzydzi się czasopismem „Arcana", w którym rzeczone myśli Prezesa doszły do głosu w rozmowie z profesorem Nowakiem. Wśród owych myśli nie zabrakło i tej, która wieszczy zmianę „hierarchii narodów". I jeszcze: profesor Legutko wyraźnie się lęka tego, że obecne elity europejskie – zapewne łże-elity, by użyć języka pisowskiego – będą swych oponentów straszyć, przekupywać i szantażować. I wie, dobrze wie, że tym praktykom zdolne są się oprzeć jedynie dwa kraje z Europy Wschodniej. A cóż to za kraje, o których on baje? Zgadniecie Państwo czy mam podpowiedzieć?

Jednym z najmocniejszych argumentów w sprzeciwie wobec zgubnym ciągotom do centralizacji Unii jest powtarzane do znudzenia przekonanie, że trend ten zagraża naszej narodowej tożsamości, a wszak ochrona owej tożsamości to dla „sił konserwatywnych", o których paple Legutko, powinność zasadnicza. Bo wszak, by powtórzyć za bodaj panią Szydło czy jakąś inną pańcią z tego kręgu, „nie istnieje coś takiego jak tożsamość europejska". To dopowiedzmy otwarcie: nie istnieje też coś takiego jak tożsamość gatunkowa – Polacy albowiem to gatunek odmienny od ludzkiego, być może jest to po prostu gatunek nadludzki. Aż strach zatem spytać: jakże niepewnym trzeba być własnej tożsamości, by odczuwać jej zagrożenie? Słaba to, miękka i zarazem, paradoksalnie, także krucha tożsamość. Ale może też warto dodać coś jeszcze, co profesor chyba pojąć zdoła: tożsamość nie jest konserwowana na zawsze, ulega zmianie i jest raczej zadana niż dana – nie jesteśmy, my Polacy, tacy sami jak za Piasta Kołodzieja, ani nawet tacy jak za czasów Piłsudskiego i jest to raczej proces naturalny.

No ale… Profesor Legutko nie stroni od mocnych słów i – komentując rezultaty konferencji na temat przyszłości Unii – dobitnie oświadcza: „Powiedzmy otwarcie, że wniosek, iż narody europejskie chcą więcej Europy, był wyjątkową bezczelnością". Wtóruje mu inny tytan umysłu, którym jest profesor Zdzisław Krasnodębski: „Konkluzje konferencji nie są wbrew temu, co się twierdzi, rekomendacjami obywateli, lecz propozycjami polityków sformułowanymi na podstawie tych rekomendacji. Zostały one odpowiednio przekształcone i ujednoznacznione. Politycy ci nigdy nie ukrywali, że dążą do budowy państwa federalnego i to bardzo scentralizowanego. Do tego zmierzają rzekome rekomendacje obywatelskie, by rozpocząć proces, w którym możliwe stanie się otwarcie, a potem zmiana traktatów". Zgrozą wieje, prawda? Takie przecież państwa federalne, jak Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Szwajcaria bądź Republika Federalna Niemiec – by nie przywoływać dla postrachu federacji rosyjskiej (a tak nawiasem mówiąc: kto zdaje sobie sprawę z tego, jakie są składowe części tej federacji?) - to twory pokraczne i niezdolne do zapewnienia swym obywatelom minimum komfortu. A dodajmy tu, że przecież nawet tak pozornie „jednolite" kraje jak Hiszpania czy Włochy to też nie są państwa jednorodne, lecz swego rodzaju „składanki" (kto u nas pamięta dziś, kiedy nastąpiło zjednoczenie Włoch i kto wie, jak dramatyczne bywają relacje między ich poszczególnymi regionami?). Straszenie „federacją europejską" to zaiste jakaś umysłowa aberracja… No ale… póki co mamy wolność słowa.

Póki co też, nasi uroczy milusińscy konserwatyści bardzo dbają o zachowanie tożsamości i chyba nie przypadkiem w tym właśnie wojennym czasie tygodnik „Do Rzeczy" (nr 22/2022) publikuje obszerny sentymentalny artykulas Krzysztofa Masłonia Mój Lwów. Można się tylko domyślać, że takie budzenie resentymentów jest w zamierzeniu redakcji sposobem na wspieranie Ukraińców walczących z usiłującą zetrzeć ich kraj z mapy Rosją. Pisze zatem autor: „Mam niezbywalne prawo do tego miasta. Dopóty, dopóki jest ono w moim sercu. Tak samo jak rodzinna Warszawa, jak Kraków, Lublin i Białystok, a może i bardziej. Lwów tak jak Wilno jest bowiem miejscem utraconym, a takie kocha się najmocniej". Ale nie ma obaw, Masłoń nie wzywa do odzyskania tego miasta - co to, to nie! On się tylko nim zachwyca, bo widać taka pora przyszła, taki czas nadszedł sprzyjający. Snuje więc Masłoń swe dywagacje: „No dobrze, ktoś powie, ale to jednak ukraińskie miasto. Polskie było, owszem, niemniej nazywano je Leopolis, Lwów, Lwiw, Lemberg, Lovenburg, znowu Lwów, Lwow i teraz znowu Lwiw. To Jeseph Roth nazwał je przed laty miastem zatartych granic. I co z tego? Nie kto inny, jak Lech Wałęsa rzecz ujął następująco: :Lwów i kresy to już dziś działka na księżycu", zaskarbując sobie niemal taką samą „wdzięczność" naszych kresowiaków jak Jacek Kuroń, któremu swego czasu nieomal słów zabrakło, by wyrazić swój zachwyt z tego

powodu, że Lwów jest ukraiński". No tak: naprawdę fajny tekst udało się wysmażyć Krzysztofowi Masłoniowi! I jeszcze – cóż za maestria! - udało mu się przy okazji przywalić Wałęsie i Kuroniowi. Istny majstersztyk! No i na dokładkę jeszcze taki smaczek i lwowskich peregrynacji autora: „Z mieszkańcami Lwowa rozmawiało się jednak niełatwo. Z Ukraińcami wypominającymi często urojone represje, które spotykały ich przodków w II Rzeczypospolitej i stawiającymi znak równości między Armią Krajową i UPA, nie dawało się, Polacy z kolei najczęściej nie wychodzili poza powtarzaną na okrągło deklarację: „A ja si ze Lwowa nie ruszę za próg, ta mamciu, ta skarz mnie Bóg!". Wzruszające, ale czułem się wtedy jak w Karczmie Lwowskiej na wrocławskim rynku, gdzie z głośników sączą się lwowskie szlagiery międzywojnia". Tak tak, panie dziejku, taż jakie to represje były? O co się mianowicie rozchodzi? Może o to, o czym na temat sytuacji kresów w drugiej połowie lat trzydziestych pisał Jerzy Stempowski w liście do Jerzego Giedroycia: „W latach tych generał Smorawiński, który zginął później w Katyniu, był teoretykiem „czystej okupacji wojskowej". Z jego rozkazu – bo był prawdziwym wielkorządcą tego odcinka kresów – zaczęto wydalać z Wołynia nawet obywateli ziemskich nie podzielających jego poglądów. (…) Wiadomości, które zbierałem w tych podróżach, nie mogłem również notować, ale wiele z nich jeszcze pamiętam. Kresy odpadły całkowicie już w 1938 i czekały tylko na formalne załatwienie dokonującego się stanu rzeczy".

Ale jak to tak? Przecież tego żaden szanujący się konserwatysta pokroju profesora Legutki czy Krasnodębskiego nie może przyjąć do wiadomości, to tylko jakieś liberalne brednie, których rozpowszechnianie zagraża naszej polskiej tożsamości, jedynej takiej w całym kosmosie. Bez Lwowa owa polska tożsamość będzie przecież bardzo, ale to bardzo okaleczona. I może też warto zwrócić uwagę temu Masłoniowi, żeby jednak uważał na to, co pisze. Jaki „mój Lwów"? Nasz Lwów! Nasz! Tak więc, panie Masłoń, popraw się pan i przestań demonstrować jakiś podejrzany indywidualizm historyczny, bo to tylko woda na młyn, a z tego pieca chleba nie będzie, chyba że się pan upomnisz, pomny na dzieło Henryka Sienkiewicza, o nasz Kamieniec Podolski. Wiesz pan gdzie to miasto leży? No?! Redaktor Lisicki, Paweł Lisicki z chęcią wydrukuje, ten chociaż ma dobre wyczucie i wie skąd wiatr wieje, a wieje wszak ze wschodu: ex oriente lux...

Leszek Szaruga

Krzysztof Kokot

Haiku niepublikowane

koniec zimy –
zielonym kiełkiem
porusza ciepły wiatr

Marsz Radetzkiego –
starszy pan obok nagle
otwiera oczy

ubywa dnia –
w dłoniach babci różaniec
bez jednej zdrowaśki

letnia drzemka –
dziadek zaznaczył listkiem
XIII Księgę

ciepły wiatr od pól –
zbliżają się na sztaludze
niebieski do żółtego

mleczna zupa –
za oknem z rannej mgły
wychodzą drzewa

blade listki brzóz –
między śniegiem a deszczem
promienny uśmiech

Andrzej Walter

Leszek I Wielki

Nie jest łatwo pisać o przyjacielu. Niełatwo ubierać w stateczne (a może i ostateczne słowa, a co najmniej pożegnalne) całe to gigantyczne trzęsienie ziemi w literaturze polskiej wywołane śmiercią jednego z najlepszych krytyków literackich przełomu wieków i przełomu epok, po odejściu od nas jakże Drogiego Leszka Żulińskiego. Wiem, wielu nie odczuło nawet drobnego wstrząsu. Tych dopiero otrzeźwi grzyb atomowy – a i to też, ledwie być może?!!!

Nie napiszę, że był wybitny, gdyż zawsze z Leszkiem podchodziliśmy ostrożnie do kwestii sławetnej „*wybitności*", starając się utrzymywać na wodzy emocje w pisaniu tekstu o poezji, bądź też poecie, zastrzegając sobie, a muzom „wybitność" dla swoistej rachuby czasów, dla ocen i wniosków przyszłych pokoleń i właściwej, przez co, niestety odległej i zdystansowanej, niejako uwolnionej od kontekstów perspektywie znaczenia: dzieł, autorów czy ich twórczości. Dzisiejsza zubożała krytyka literacka, zwłaszcza ta schematyczna i akademicka, szafuje nadmiernie i nader obficie *wybitnością* narażając się przy tym na domniemanie stronniczości powodowanej lobbowaniem pewnych grup, środowisk, wydawnictw czy samych, nader dobrze ustawionych autorów, a czasem nawet pachnie to podejrzeniem zgoła korupcyjnym w zapewne uboższej wersji osławionej korupcjogenności, która w branży literackiej nie niesie za sobą tak ekscytujących korzyści, a raczej jakieś materialne „ochłapy" tego świata nie warte uwagi. No cóż, takich dożyliśmy czasów, w których wraz z przesunięciem literatury do kulturotwórczego ogona mnoży się dzika szarlataneria piór wszelakich, nieokiełznanych dystansem, statecznością czy choćby mądrością. Ważne, aby wydreptać publikację, której później i tak nikt nie czyta. Dziwi mnie jedynie ta pusta, niczym nie uzasadniona satysfakcja z takiego dictum, ale to już temat na jakąś obszerną, acz odrębną analizę.

Leszek Żuliński też do statecznych, zdystansowanych, czy opanowanych nie należał, jednakże w innym tych słów znaczeniu. Należał przecież do wymierającego gatunku żarliwych pasjonatów zakochanych w tym, co robił, czyli w krytyce literackiej, w czytaniu i pisaniu książek, w środowisku literackim i życiu literackim, wreszcie w poszukiwaniu jądra poezji. I jak napisał w swoim Fauście

Przecież jej nie ma
w tym miejscu, gdzie jest;

przecież gdy mówi,
nie dobywa głosu

(głosu i to donośnego, zawsze bowiem Jej udzielał najlepiej sam Leszek w każdej interpretacji, w każdym tekście o Niej)

przecież gdy wtulam twarz w jej czarne włosy,
do warg się klei tylko babie lato;

jeśli ją kocham,
to kocham jej zjawę

Leszek wyznaczył nowy trend krytyki literackiej. Uczciwy, szczery, prostolinijny, oparty na prawdzie lektury, ale i na prawdzie emocji i odbioru tejże lektury, aż wreszcie na prawdzie faktycznej istoty dzieła i jego ducha sprawczego. Trudne to było wyzwanie. Wokoło czaiły się rwące potoki: sztamp, klisz, wyznaczników i kategoryzacji – jak już wspomnieliśmy – ścieżki bolesnej analizy akademickiej, czy też naukowej, z jej stechnicyzowanym przesłaniem ujętym w coraz mniej zrozumiałe i pojmowalne słownictwo, ale to przecież nikt inny, na przekór uczelnianym szyderstwom z Szymborskiej (zwłaszcza tym warszawsko-krakowskim, mówiącym, że – eeech tam, cóż Szymborska, raptem z dwieście wierszy napisała) a Leszek Żuliński „przewidział" bodajże już kilka lat wcześniej, że Wisława S. może stać się dla społeczeństwa poetką noblistką. Tak ważna i wielowątkowa (w aspekcie czasów i zawartości) jest, była i pozostanie ta głęboka i wyznaczająca nowe trendy poezja.

I cóż, okazało się, że to: nie Herbert, nie Różewicz, ani nikt inny, tylko Szymborska otrzymała wstęp do wieczności. Leszek już wówczas był autorem bodaj najważniejszej edukacyjnie książki o Wisławie Szymborskiej przeanalizowawszy precyzyjnie właśnie Jej twórczość. Wtedy Leszek Żuliński stał się niejako sławny – sławny w środowisku, ale i w systemie edukacji, gdyż książka ta stanowiła nie lada inspirację dla szkół (wtedy jeszcze zajmowano się szerzej poezją w szkołach), a w konsekwencji i dla młodych, nowych poetów. Leszek Żuliński stał się niczym pewnego rodzaju branżowym *guru* – stał się tym, który może śmiało pasować człowieka piszącego na poetę, może uszlachetniać wszelakich kandydatów do tego stanu rycerskiego i nadawać szlachectwo w piórze i poezji.

Zbiegło się to w czasie z ekspansją rynku, wolnorynkowych zasad i narastającego chaosu w literaturze, co nie wyszło ani Leszkowi, ani nam wszystkich na dobre. Stworzona legenda jednak żyła – przynajmniej w środowisku literackim - własnym życiem. To było bardzo dobre, gdyż literatura polska, a zwłaszcza poezja w owych nowych, coraz brzydszych czasach, potrzebowała takiego otwartego na nową literaturę Leszka Żulińskiego, z którego zdaniem i oceną liczyli się przecież wszyscy.

Rzecz jasna znajdowali się i przeciwnicy tak przedstawionej sprawy i w życiorys Leszka, po raz już któryś musiała wedrzeć się brudna polityka, za którą przepraszał wielokrotnie, ale tym ludziom, szkalującym dla zasady nie o żadne „przepraszam" chodziło czy też nadal chodzi – ich bowiem celem było i jest po prostu zniszczyć (w ramach zemsty) i upokorzyć. Co i tak nie uspokaja i nie koi ich sumień i brudnych rąk pomimo pozłacanych życiorysów. Zostawmy to.

Leszek był zakochany w poezji. To jest nasz temat, i to jest ważne, ba, wręcz najważniejsze.

Czekałem wiele lat,
Żeby stanęła przede mną naga
i zaczęła bez wahania wchodzić
w mój rozszalały ogień

(...)

Poezja jest krasomówstwem duszy,
(dla tych)
(...)
którzy zobaczyli to, czego nie można opowiedzieć
(a jednak uwierzyli, że można)

(...)

poeta pisze wiersz;
w ciszy,
słychać tylko milczenie,
w milczeniu przegląda się los,
w losie można dojrzeć otwartą ranę,
poeta posypuje ją solą i natychmiast opatruje
plastrem wiersza

(...)

Dowiedziałem się o tym zbyt późno

Nie Leszku. Dowiedziałeś się o wszystkim we właściwym czasie. Swoje życie wypełniłeś kompletnie, wartościowo i żarliwie, dałeś nam całego siebie, dałeś nie tylko samej Poezji i jej oczywistej Wzniosłości. Dałeś właśnie (co najważniejsze) i nam – poetom, nowym krytykom, twórcom tej spalonej ziemi i jej zaginionych światów - dałeś moc wiary w nieśmiertelność Sztuki, w jej bezgraniczne i bezcenne często nagradzanie ekstazą tworzenia, poszukiwania prawdy słowa i jądra metafor, w odkrywaniu najwłaściwszych słów, dla wyrażenia swoich pragnień i ran, swoich wieczności i lęków, swojego spojrzenia na ten upadający świat.

Uczyłeś nas odwagi, wiary, wytrwałości, ale też skromności i pokory, dystansu do własnych wierszy i właściwej, wyważonej selektywności wszelakich ocen. Twoje lekcje: poezji, eseju czy choćby generalnie - samego tekstu, były lekcjami życia i szacunku dla tych słów, które mają z nas wyrastać niczym szlachetne drzewa i zazieleniać się powoli, z czasem, z właściwą porą roku,

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

aby odejść godnie i pięknie jesienią, aby się zasuszyć jak niepowtarzalna zakładka w książce i przynajmniej na chwilę stać się częścią wieczności.

Byłeś dla nas Królem Poezji – Leszkiem I Wielkim, najlepszym krytykiem

i „oceniaczem"

drogowskazem i przyjacielem, mędrcem słów i ich użycia, w tym coraz dziwniejszym świecie, w którym zarówno słowa jak i poetów przestawiło się do najmniej społecznie potrzebnej kategorii nieszkodliwych, acz zbędnych dziwaków. Zapaliłeś nam zielone światło, że pisać poezję „po Różewiczu" najzwyczajniej w świecie po prostu można, ba, nawet trzeba i to konfrontując się z tamtymi tekstami, poszukując nowych brzmień, nowego wyrazu, nowego timbru, kazałeś nam być Kolumbami swojej epoki, swojego czasu – uwierzyć, że nic innego nie mamy i nie wolno się oglądać wstecz, ani też zbyt patrzeć naprzód. Trzeba robić swoje i robić to dobrze, konsekwentnie, wytrwale.

Może i dobrze, że o zmierzchu życia tak wiele … zapomniałeś. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, w Warszawie, na Jubileuszu Marka Wawrzkiewicza wiedziałem i czułem, że zapomniałeś wszystko to, co było kiedyś złe. Nadal z kolei byłeś otwarty, żarliwy i chętny na przyjemności i radości tego życia i świata. Jak to literaci, sybaryci stworzenia, napiliśmy się wódeczki. Powiedziałeś – ach, jakie to dobre, ja nigdy, czegoś tak dobrego nie piłem (to była wtedy polska wiśniówka)… czym wzbudziłeś powszechne rozbawienie. Potem szukałeś zagubionego parasola, który powiesiłeś na wciąż nieodebranej nagrodzie literackiej Ernesta Brylla. Tam też ukryliśmy nasze kieliszki i zapewne część duszy.

Teraz Ty pewnie już wiesz Wszystko o Poezji i o nas wiesz też na pewno Leszku więcej niż my sami. Nic się przed Tobą nie ukryje, ani Faust, ani Małgorzata, ani parasol… Wszystko sobie przypomniałeś i bilans – zapewniam Cię, jest nader dodatni. Tchnąłeś ducha w tak wielu.

Nie bójcie się, śmierć jest kobietą,
przyjdzie nad ranem i wyłączy komputer.

Żegnaj Leszku,
Dziękujemy Ci za to, że byłeś,
za wszystkie lekcje poezji,
za dobre słowa, za naukę i za obecność.

A właściwie to do zobaczenia Leszku.
I to w tym samym piekle:)

Andrzej Walter

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Marek Wawrzkiewicz

OKRUCHY (II)

Przeczytałem kiedyś, że śmierć zaczyna się dziać, kiedy umierają wspomnienia. Bardzo mi się spodobało to spostrzeżenie. Ale pomyślałem, że napisał to ktoś, kto jeszcze żył. Skąd wiedział?

* * * *

Daj pająkowi – arachnie -
Struny swojej gitary
Niech je zasnuje
Z wolna – jesteś już stary

napisał Iwaszkiewicz w nieczęsto przywoływanym wierszu „Do muzyka". Pojawiają się tam wety, kastaniety i imię – Manuel. Ale przecież poeta nie do niego mówi. Mówi do siebie. To zadziwiające- ledwie skończył pięćdziesiąt lat, a już uważał się za człowieka bardzo starego. Trzydzieści lat pisał wiersze pożegnalne. Dlaczego? Może się ubezpieczał? Może chciał zdążyć, powiedzieć ostatnie słowo? Nie wiedział, nie mógł wiedzieć – nikt nie może – które ze słów będzie tym ostatnim. Ale napisał „Uranię". To jeden z trzech ostatnich wierszy. Ostatni wspaniały.

* * *

Któryś z pradawnych Listopadów Poetyckich w Poznaniu. Późnym wieczorem siedzimy w moim pokoju - kilku nas, a żyje tylko piszące te słowa. Pijemy wódkę, gadamy, palimy papierosy… Gdzie te czasy, kiedy paliło się w hotelach, pociągach i kawiarniach? Dbano o prawa człowieka. Tadzio Śliwiak wpadł w nastrój cmentarny. - Pamiętasz, Marek, jak ostatnim razem byliśmy u ciebie ze Staszkiem Grochowiakiem? - Pamiętam, wzrokiem węża paraliżował krakowska poetkę. - I Stasio nie żyje – ciągnął Tadzio. I dalej – tylko o tych, którzy zmarli. Oganiamy się, wekslujemy rozmowę na frywolne tematy, a Tadzio swoje. I w końcu nie wytrzymał: - No, porozmawiajmy o czyjejś śmierci!

* * *

Kiedy się przeżyło bardzo wiele lat i wszystko zaczyna wypadać z rąk, trzeba się trzymać resztek pamięci. Pamięć bywa silniejsza od uchwytu dłoni. Kręgosłup w odcinku c5,c6,c7 sztywnieje, jednak staramy się oglądać za siebie. Dostrzegamy blaknące kolory, kontury, zamglone sylwetki, niewyraźne przeżycia. Niekiedy z tej mgły coś błyska. Niekiedy.

* * *

Z Norwidem nie śmiałbym polemizować, ale ze Stachurą – owszem. Zdaje mi się, że powiedział to właśnie Norwid, ale wszyscy wiedzą, że Stachura. Otóż nie, Sted: wprawdzie wszystko jest poezją, ale tylko dopóty, dopóki tego wszystkiego się nie napisze. Bo jak się napisze – to jest poezją albo nie. Najczęściej to drugie.

Jakiś czas temu rozmawiałem z poetą, który oszczędnie gospodaruje swoim intelektem. A parę dni później przeczytałem jego wiersz: dobry, mądry. Gąsiorowski powiedział kiedyś: wiersze są mądrzejsze od poetów. Miał rację.

* * *

Wieki temu przyjaźniłem się kilka lat z poetą naprawdę wybitnym. Takim jest do dziś, choć silnie mu się coś przestawiło w głowie. Wtedy pisał wiersze tak, jak kowal w przydrożnej kuźni za wsią obrabiający kotwicę okrętową. Zapisywał pochyło całą kartkę, zostawiał z tego jeden wers, przenosił na następną kartkę i da capo al fine. Wiersz był świetny, ale pomyślałem, że wolałbym kamienie tłuc, niż tak mozolnie tyrać.

Wiersz się zdarza. Niekiedy to zdarzenie trwa długo, nawet kilka miesięcy. Trafiło nas coś w rodzaju impulsu: zderzyły się słowa, które nigdy się nie spotykają, ktoś napisał zapładniającą frazę, zobaczyliśmy nagle coś, na co przecież patrzyliśmy codziennie. I wśród codziennych, zwyczajnych czynności wiersz się rodzi. Zapisanie jest czynnością mechaniczną – on się już napisał. Bywa też inaczej – notatka liryczna albo refleksja pojawia się i domaga natychmiastowego zapisania. Każdy robi to inaczej. Ale: powstają wiersze. A one nie zawsze bywają poezją. Choć czasem nam się tak wydaje.

* * *

Byłem w Chinach – osiem czy dziesięć razy? Przeważnie upalną wiosną i piekielnie gorącym latem. I często, w różnych miastach i prowincjach, oglądałem podobne sceny. Oto na pustym placyku, na szerokim chodniku, na kawałku betonu stoi człowiek z wielką miotłą i wiadrem wody. Zastanawia się, zanurza ten pędzel w wiaderku i zamaszyście rysuje hieroglif – a w Chinach kaligrafia jest jedną ze sztuk pięknych. Przygląda się swojemu dziełu, czasem podziwiają je przechodnie. A hieroglif niknie, wysysa go słońce. Czasem myślę, że współcześni poeci polscy robią to samo, co starzy Chińczycy.

* * *

Mój pekiński kolega Liu, który mi kilkakrotnie towarzyszył w podróżach po kraju, zapytał mnie kiedyś ile ludności liczy sobie Polska. 200 milionów? Moje tłumaczenie, że na taka populację złożyłoby się kilka sporych krajów europejskich przyjął z niedowierzaniem.

Przed olbrzymim festiwalem poezji w Qinghai odbyła się w Pekinie uroczystość na cześć poety Jidi Maija, głównego organizatora tego festiwalu. Poeta był wicegubernatorem swojej prowincji i przewodniczącym ogólnochińskiego związku młodzieży. Miał wówczas 52 lata. To jest słuszne, bo młodzieżą powinien kierować człowiek doświadczony. Przemawiał m.in. Tomas Venclowa. Zastrzegł, że nie będzie mówił w swoim rodzimym, a nieznanym języku, bo jego naród liczy niespełna 3 miliony. Przez salę przetoczył się zduszony śmiech. W Chinach miasto o takiej liczbie mieszkańców uważane jest za miasteczko.

W prowincji Qinghai, dwukrotnie większej od Polski, żyje 7 milionów ludzi, z czego 2 miliony w stolicy, Xinin. Byłem członkiem międzynarodowej kapituły przyznającej tytuł najwybitniejszego współczesnego poety świata. Złotą Tybetańską Antylopę otrzymał właśnie Venclowa. Uroczystość odbywała się nad jeziorem o tej samej nazwie co prowincja. Nad jeziorem, którego linia brzegowa jest przeszło czterokrotnie dłuższa od linii jeziora Wigry, podbiegłem, żeby sfotografować jakąś scenkę rodzajową. Po kilkunastu metrach bardzo się zdyszałem i pomyślałem o starości. Ale po chwili pocieszyłem się: jezioro położone jest na wysokości 3200 metrów, tlenu tu mało. Nad jeziorem są zbocza gór, a na nich pasą się yaki. W czasie poprzedniego festiwalu pod wtór tradycyjnej chińskiej muzyki – a była nią melodia z filmu Rio Bravo – składaliśmy podpisy na wielkiej płóciennej płachcie. Z płachty przeniesiono autografy poetów na wielkim mur nad jeziorem. Tak zostawiłem swój ślad na ziemi.

Mur zaczyna się od wyrytych w niej portretów największych poetów świata. Pierwszy jest Homer, potem dwóch chińskich klasyków, potem Dante. Piąte miejsce zajmuje Adam Mickiewicz.

* * *

Zostanie po nas złom żelazny
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.

Borowski mógł to napisać niedługo po wojnie. W tych dwóch wersach są dwa błędy, profetyzm był fałszywy. Złom żelazny szybko przetopiono na stal potrzebną na odbudowę, a pokolenia nie śmiały się z ofiar, więcej, nieszczęścia wojenne wpisały na stałe w nieuleczoną polska martyrologię, awansowaną do najwyższej wartości. Ale poeta miał swoja rację, rację człowieka, który przeżył nie tylko wojnę, ale i obóz koncentracyjny. Więc może racja poety jest ważniejsza od prawdy?

Dwudziestokilkoletni Baczyński zaczął wiersz od słów *Ach, umieram, umieram*. Miał prawo, umieranie czaiło się za każdym rogiem, w każdej sekundzie. Takie słowa użyte dziś przez poetę byłyby uznane za nieznośną, grafomańską kokieterię.

Niektórzy poeci mojego pokolenia (Hybrydy) mieli żal do losu, że nie dał im wojny, okupacji, powstania. „Pokolenie bez historii" – sami tak powiedzieli, czy ktoś o nich to napisał? Cierpieli retrospektywnie. Biedaczyska.

* * *

Krzysztof Gąsiorowski napisał kiedyś: *jak wspaniale nie udaje mi się życie*. A wiele lat później zapragnął, aby na jego nagrobku napisano: *Mogło być gorzej*. Ja zaproponowałem, żeby inskrypcją był cytat z jego wiersza: *Dowidzenia, moje wiersze, dobranoc*… Wyszło jak wyszło, nagrobek jest banalny. W tym pierwszym cytacie Gąsior wyróżnił się spośród wszystkich, którym również w życiu się nie wiodło – jemu nie udało się wspaniale. Ale z pomocą drugiego cytatu znalazł się wśród nas: każdemu mogło być gorzej. To jasne: życie jest codziennością i mordęgą. Jednak niekiedy się do nas uśmiecha.

* * *

Mama mieszkała w Kutnie, 120 kilometrów ode mnie; jeździłem do niej co najmniej dwa razy w miesiącu. Przyjechałem. Mama powiedziała: - Mareczku, wiem, że lubisz golonkę, więc na kolację chciałam ci ugotować. Poszłam do sklepu, ale zapomniałam, jak się nazywa golonka. Przeleciałam cały alfabet – nic, pustka w głowie. Co dla pani, pani Wando? - pyta ekspedientka. A ja stoję i milczę.

- I co mamusia kupiła?
- Szynkę.

Bardzo się mama z siebie śmiała.

* * *

Przypomniałem kiedyś to, co dawno mi

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

opowiadała. Zaprzeczyła. To nieprawda. A po milczeniu powiedziała: - Musiałabym uwierzyć, żeby zapamiętać.

Nie umiem tego pojąć, choć bardzo się staram.

* * *

W początku lat sześćdziesiątych wyszedł u nas pierwszy Eliot. Czytałem, nie rozumiałem, ale wiedziałem, że to wielkie. Potem czytałem wszystkie polskie przekłady „Ziemi jałowej". Krzysztof Boczkowski poprawiał swoje przekłady siedem razy, zarzekał się, że to już ostatni, choć pewien jestem, że poprawiałby dalej. Ale umarł. Pierwszy był Andrzej Piotrowski. „Śmierć przez wodę" z tego arcypoematu, fragment o Fenicjanie Flebusie (cytuję z sześćdziesięcioletniej pamięci – tzn. właśnie tyle lat temu to zapamiętałem);

…szepcząc nurt podwodny
opływał jego kości. Zanim wstąpił w wir
powrócił do młodości i życie powtórzył
wznosząc się i spadając.

Podobno umierającemu w ostatecznej chwili staje przed oczami całe życie. Jestem skłonny w to wierzyć, a wiara moja wynika z autopsji. Miałem dwadzieścia kilka lat i w Poroninie, przymuszony względami towarzyskimi (szło o zakład kto jest lepszy, wsiowe czy miastowe), wypiłem w krótkim czasie cztery szklanki śliwowicy góralskiej. Najważniejsze, że miastowe były lepsze.

Eliot chciał, żeby Flebus powrócił do młodości. Wszyscy chcielibyśmy. Ale tak, żebyśmy zachowali nasze doświadczenia, a może i mądrość, których nam przybyło z biegiem lat, a jednocześnie odzyskali siły, werwę i zapał z młodości. Próżne nie tylko nadzieje, ale i marzenia. Tylko Faustowi się udało. Na chwilę.

* * *

Chyba nie ma w Polsce miasta bez ulicy Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza. Chyba niewielu mieszkańców naszego światłego kraju potrafi wyrecytować więcej niż dwie linijki utworów naszych wieszczów, a bohaterów Sienkiewicza większość czytelników zna z filmów Hoffmana.

Kilka razy w stolicy prowadziliśmy akcję „Literaccy patroni naszych ulic", a przy tej okazji sondy uliczne. Na pytanie kto to jest Kasprowicz, mieszkańcy tej ulicy odpowiadali wzruszeniem ramion lub krótkim: - pewnie jakiś pisarz. Na ulicy Broniewskiego usłyszeliśmy, że to komunista. Ale za to komisja nazewnictwa miasta stołecznego ufundowała na Pradze jednemu pisarzowi dwie ulice, bo nie wiedziała, że Syrokomla to Kondratowicz.

Na pomysł tych akcji wpadłem kilkanaście lat temu idąc ulicą Kazimierza Wyki na warszawskim Bemowie. Przechodnia, inteligenta – poznałem, że inteligent, bo miał elegancką teczkę i okulary – zapytałem, kto to taki ten Wyka. Odpowiedział krótko: - a chuj go wie. Dobrze to definiuje naszą wiedzę o literaturze.

* * *

A co po mnie pozostanie? Takie pytanie zadają sobie nie tylko poeci, artyści, uczeni, politycy. Myślę, że wszyscy. Tyle, że jednych dręczy to przez całe życie, najbardziej tych przekonanych niezłomnie o swojej wielkości, innych nawiedza przelotnie i nie powoduje bezsenności. Na naszych oczach walą się pomniki. Nie tylko postaci, które na cokołach postawiła koniunktura polityczna i krótkowzroczna historia. Czytam, że obalono w Ameryce pomnik Kolumba, a w Belgii któregoś z wielkich władców – kolonizatorów. Zapewne i u nas, w kraju wyjątkowo urodzajnym dla monumentów, za lat kilkadziesiąt, a może nawet kilkanaście, jakiś huragan ustrojowy, lub zwyczajne opamiętanie spowodują, że kamienne piedestały wyludnią się, spustoszeją. Ale zapewne trwać będą pomniki wielkich poetów i powieściopisarzy, których się czyta tylko od wielkiego święta, kompozytorów i malarzy, których się nie słucha i nie ogląda, uczonych, których odkrycia i ich następstwa są w tak powszechnym użyciu, że się ich nikomu już nie przypisuje. Einstein wynalazł telefon? Kopernik lornetkę wojskową? Newton skalę Celsjusza? Co po nas pozostanie? Może powtarzana przez dwa pokolenia anegdota? Dobre i to.

* * *

Był najlepszym grzybiarzem jakiego znałem.

W początku lat siedemdziesiątych, nagle wezwany, przyjechałem z Łodzi do Warszawy. Nawalił któryś ze znanych tłumaczy i wydawca zmusił mnie, abym w dwa dni przetłumaczył około 500 wersetów do jakiejś antologii poezji radzieckiej. Siedziałem w hoteliku Domu Literatury całe popołudnie i pół nocy, przespałem się trzy godziny i tłukłem dalej. Zszedłem na obiad, a potem zmaltretowany piłem kawę. Podszedł do mnie – byliśmy już w komitywie – i kiedy zwierzyłem się z mojej mordęgi, zaproponował spacer. Był grudzień, lekki śnieżek. – Pójdziemy na grzyby – powiedział. Jakie grzyby o tej porze roku? Spacerowaliśmy po Ogrodzie Saskim, a on z pni drzew coś zrywał i chował do siatki twierdząc, że to bardzo smaczny grzyb. Jan Izydor Sztaudynger. Jeden z najpopularniejszych pisarzy tamtego czasu, jego fraszki i teraz cytowane są na towarzyskich przyjęciach.

Bywał nieznośny. Siedzieliśmy kiedyś w łódzkim klubie dziennikarzy z Jankiem Koprowskim i Wiesiem Jażdżyńskim i omawialiśmy ważne przesięwzięcie literackie. Przysiadł się do nas i pryncypialna rozmowa się skończyła: co drugie wypowiedziane zdanie układał we fraszkę. Niedaleko siedziała dorodna pani i obrzucała nas niechętnymi spojrzeniami. Sztaudynger zareagował natychmiast:

Każdy twój uśmiech, każde spojrzenie
Działa jak środek na przeczyszczenie

i zarządał, żeby Wiesiek, redaktor naczelny, zamieścił utwór w najbliższym numerze tygodnika „Odgłosy'. Tak się stało, ale poniżej widniała nasza, wspólnie stworzona kontrfraszka:

Gdy po dawnych pożarach smętne leżą zgliszcza,
Szukasz innych miłości. Niechże cię przeczyszcza.

* * *

Abchazja, Gagra, dom wypoczynkowy Związku Pisarzy. Pojechalem z żoną w połowie maja. To jeszcze nie sezon, więc odpoczywali tam górnicy z Donbasu. Patrzyłem na nich z balkonu wzrokiem zakochanym – o szóstej rano z animuszem rozpijali na kamienistej plaży pierwszą flaszkę.

Pisarzy było kilku, nie znaliśmy się. Można powiedzieć, że się wzajemnie dedukowaliśmy. Któregoś popołudnia wybraliśmy się z Małgosią na spacer. Za rzeką Bzip była restauracja z ogródkiem, a w nim za stołem przypominającym pole grunwaldzkie na drugi dzień po bitwie, siedział samotny pisarz. W Moskwie mówiło się „gruzinskij koniak moskowskogo rozliwa", co oznaczało, że z Gruzji przywożono koniak w wielkich beczkach i butelkowano go na miejscu – prawdopodobnie, dla oszczędności, zmieniając recepturę. O Gruzinach mieszkających długo w Moskwie mówiono tak samo.

Misza Kwilwidze szerokim gestem zaprosił nas do stołu, z niedopitych kieliszków wlał do kieliszków pustych, poczęstował i rozpoczął rozmowę o niczym. Ale co chwila wzdychał miłośnie: - ach, zlata Praha… Za którymś westchnieniem powiadomiłem go, że jesteśmy z Warszawy. Rozpromienił się: - jak ja się cieszę! Nienawidzę tych Czechów!

* * *

Białego emigranta, Arkadija Awierczienko, nazywanego „królem śmiechu" przez całe dziesięciolecia nie publikowano w Związku Radzieckim. Kilkadziesiąt lat po jego śmierci embargo zelżało i zaczęły się ukazywać utwory satyryka. Przełożyłem jedno z jego opowiadań, wydrukowały je bodajże „Szpilki".

Rzecz dzieje się w dalekiej przyszłości. Przychodzi wnuczek do sędziwego dziadka i prosi o wyjaśnienie co znaczy słowo wódka, które często pojawia się na kartach starych książek. Wywiązuje się dialog:

- Co to była ta wódka, dziadku?

I tu rozkwita piękne zdanie wtrącone: - I wtedy wielką fala chlustnęły wspomnienia.

- Czy ona była smaczna?

- A skąd, wnusiu! Ludzie się wykrzywiali, otrząsali…

- To może była zdrowa?

- Nic podobnego! Ludzie po wypiciu chorowali nawet trzy dni…

- Ale pewnie była pożyteczna?

- Nie, wnusiu, ludzie przepijali całe majątki.

-To po co ludzie pili tę wódkę?

- Piło się, wwnusiu, piło….

Opowiadanie nie jest profetyczne. Czas przeszły jest nieprawidłowo użyty.

* * *

Lat temu chyba jedenaście byłem w Jasnej Polanie na międzynarodowym spotkaniu pisarzy. Wnuk Lwa, Wołodia Tołstoj biadał nad wynikami plebiscytu, w którym Rosjanie głosowali na największe postaci w historii kraju. Na pierwszym miejscu był Piotr Wielki, na trzecim Stalin. Lew Tołstoj uplasował się na miejscu siedemnastym. Misza Kurajew pocieszył potomka pisarza: - Może on nie chciałby być wyżej, w takim towarzystwie.

* * *

W siedemdziesiątych latach oprowadzałem po Warszawie dwóch poetów leningradzkich, Wołodię Toropygina i Gleba Gorbowskiego. Pojechaliśmy do Wilanowa w poniedziałek, muzeum było zamknięte. Chodziliśmy wokół pałacu, opowiadałem o jego historii. Ale powiedziałem też, że niekiedy, w czasie oficjalnych wizyt, wybitni mężowie stanu w pałacu nocują. Na przykład gościł tu Leonid Breżniew – bo tak rzeczywiście było. Gleb popatrzył na mnie ze zdumieniem i zapytał, czy mówię poważnie. Kiedy potwierdziłem, orzekł: - No, to jest chamstwo!

* * *

Pięćdziesiąt lat temu jako początkujący tłumacz poezji i prozy rosyjskiej pojechałem pierwszy raz do Leningradu – otrzymałem stypendium Ministerstwa Kultury. Stypendium było mizerne. Zamieszkałem w nędznym hoteliku na Litiejnym Prospekcie. Lipiec, białe →

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

noce, trudno było zasnąć, czytałem. Zauważyłem, że po piersi łazi mi jakiś owad. Strząsnąłem go. Zasnąłem. Ale wkrótce obudziło mnie piekące gryzienie. Ten sam niewielki owad (w towarzystwie wielu innych) był teraz wielki i czerwony. Resztkę nocy spędziłem w fotelu. Rano zbiegłem do recepcji z krzykiem, że coś mnie gryzie. Ale co? Po rosyjsku mówiłem słabo, powiedziałem więc, że jest taka sztuka Majakowskiego. – A, kłop – zrozumiała recepcjonistka. I wyjaśniła, że jest taki rok. Tak jak z grzybami – jest rok grzybny. Ten rok charakteryzuje się wysypem pluskiew.

I tak znajomość literatury pomogła mi porozumieć się z dyżurną hotelową. Ale na pluskwy nie podziałała.

* * *

Mój dawno temu wydany tomik wierszy nosi tytuł „Każda rzeka nazywa się Styks". Być może.

Kilometr od dworku, w którym mieszkaliśmy, płynie rzeczka, a właściwie strumyk. Brat przypomniał mi, że nazywała się Głogowianka – od Głogowa, niedalekiej wsi za laskiem. Wpadała do Ochni, a Ochnia do Bzury. Rzeczka wylewała wiosną i jesienią, zalewała łąki, a zimą zamarzała. Pędzilismy na łyżwach kilka kilometrów mijając dwie wsie.

Napisałem kiedyś – i będę się upierał, że to trafne spostrzeżenie – że wielka rzeka zajęta jest swoim istnieniem. Płynąłem dwadzieścia lat temu górną Wołgą. Horyzont był dalej niż gdziekolwiek w świecie, w ogromnej oddali widać było chałupki, z wody gdzie niegdzie wyłaniały się kopułki zatopionych cerkiewek. Z głośnika stateczku rozdzierająco śpiewała Żanna Biczewska. Wtedy lepiej zrozumiałem tradycyjną poezję rosyjską, pełną niepowtarzalnych nostalgii.

Święta rzeka Jordan jest niewielka, leniwa i błotnista. Nie tak ją sobie wyobrażałem słuchając pieśni gospels amerykańskich czarnych niewolników, sławiących tę rzekę. W szarych nurtach zanurzali się mężczyźni i kobiety w białych koszulach – przyjmowali chrzest.

Zakole rzeki Łyny w lesie koło Łańska. Trudno uwierzyć, że płynie. Jest nieruchoma.

W tej nazwie jest coś swojskiego, a nawet rubasznego: Marycha. Rzeka przepływa jezioro Pomorze i płynie dalej. Władek, znawca tych krain i historii, powiadał, że Litwini uważają tę rzeczkę za graniczną. W swoim czasie siedmiokrotnoie docierali do niej zbrojnie. Teraz jest pokojowa, choć wisi nad nią cień konfliktu.

W Łancucie, obok domu mojej ciotki Anielki, płynie Mikośka. To imię rzeczki skłania do uśmiechu.

Na południu Chin widziałem wielką rzekę, której nie ma. Koryto, puste, bez wody. Rzeka to jest coś, co jest. Tej rzeki czas teraźniejszy nie dotyczy. Jest czas przeszły – była. Jest czas przyszły – będzie. Eliot w „Burt Norton" („Cztery kwartety") pisze o trzech czasach będących w jednym. Jak to się ma do wyschłej rzeki w Chinach?

* * *

Nie wiem, czy modlimy się jeszcze: od nagłej i niespodziewanej śmierci… Może nie, nikt się nie modli za długie umieranie w cierpieniach.

Dawno temu robiłem reportaż przed Zaduszkami. Chodziłem po łódzkim cmentarzu Na Dołach i rozmawiałem z ludźmi, którzy porządkowali groby swoich bliskich. Cmentarny pracownik zaprowadził mnie na zwyczajny grób pod murkiem. Tabliczka głosiła, że spoczywa tu Stanisław (nie pomnę nazwiska), który żył lat 57 i zmarł śmiercią tragiczną. W latach sześćdziesiątych grasował w okolicach Łodzi seryjny morderca kobiet zwany „wampirem z Gałkówka". Wreszcie go złapano i skazano. Rzeczywiście, śmierć przez powieszenie zasługuje na miano tragicznej.

* * *

Jeśli ślubowanie małżeńskie zawiera jeszcze przysięgę, że się będzie kochało aż do śmierci, to jest fałszywie sformułowanie. Można przysięgać: będę się starała kochać cię…itd. A jeżeli on poczynając od miesiąca miodowego systematycznie ją przez całe lata bije, kopie i po pijanemu gwałci, to co? Miłość obowiązuje?

* * *

Staszek Srokowski przed laty organizował w Legnicy Dni Poezji Miłosnej. Pojechaliśmy tam z referatami – Andrzej Gronczewski i ja. Pierwszego dnia przewidziane byłu nasze referaty, mieliśmy na to dwie godziny. Po czterdziestu minutach Andrzej w swoim wykładzie zbliżył się do pierwszego, nieśmałego pocałunku. Na mój referat zostało dziesięć minut. Zrezygnowałem. Przecież nie zdołałbym omówić nawet orgazmu w poezji polskiej.

* * *

Do redakcji literackiej Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia wchodziło się przez pokój redakcji programów dziecięcych. Urzędowała tam pani Janina, która wydawała mi się staruszką, bo zbliżała się do sześćdziesiątki. Była mało towarzyska, ale niekiedy, pod wieczór, dawała się namówić na kieliszeczek czegoś mocniejszego. I właśnie wieczorową porą rozgadała się i wyznała mi, że ma „wianek na ustach". Znaczyło to, że nigdy z nikim się nie całowała.

Kilkanaście lat później ubiegałem się o względy pewnej pani. Bezskutecznie. Powiedziała, że tylko mąż ma prawo ją całować. Wprawdzie raz jeden, jedyny, całowała się z innym mężczyzną, jednak bez języczka. Bez języczka. Mimo wszystko jest to jakiś postęp.

* * *

Pewien mój starszy ode mnie i, niestety, zmarły już przyjaciel wytłumaczył mi, kiedy mężczyzna przestaje być mężczyzną. Wtedy, mianowicie, kiedy kobiety często podkreślają jego mądrość. W języku kobiet oznacza to, że ten mężczyzna do niczego się nie nadaje.

Mam nadzieję, że moje ewentualne Czytelniczki nie uznają, że to, co wyżej napisałem, jest mądre.

Marek Wawrzkiewicz

Tadeusz Ogrodnik

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Małgorzata Bobak Końcowa

Może tak być

już od pewnego czasu nie interesuje mnie
co w polityce
i tv gdzie mecz jest sprzedany
a benefis przypomina tort
wyskakuje naga hostessa
ze złotą szarfą
obchodzę coraz mniej świąt nieruchomych
ruchome ustanawiam sama
piję wytrawne czerwone zachody słońca
gorzkawy likier
gwiazdy łaskoczą w podniebienie
czasem z przyjaciółką z Warszawy
pijemy wino
opowiada historię o Różewiczu
był jak skowronek
jego nuta trafia do nieprzerobionych
na masę papierową towarową towarzyską
tacy ludzie boją się ściśniętego gardła
a dla Różewicza literatura
nie była zabawą z rzężącym jamnikiem
który chowa się pod szafę
nie zamykał nie kneblował wierszy
nie perfumował głosu
takich historii nie słyszałam wiele
takich nut
nie powtórzą ci co myślą że są poetami
starają się usilnie
czasem wydają oszczędności i tomik
własnym sumptem w drukarni od reklam
z nośnym tytułem i okładką
też nieznośną
moja przyjaciółka nie musi się starać
kiedy unosi kieliszek
i smakuje zachód słońca
w pokoju pachnie Toskanią
i wiatrem znad Valle de Maipo
może tak być
że wino nabiera jedwabistej tekstury
dzięki rzece Maipo
której źródło znajduje się w Andach
na zboczach wulkanu Maipo
może tak być
że gleba pełna mułu i gliny
nadaje bardziej owocowy smak
naszym rozmowom o poezji
może tak być
że moja przyjaciółka
jest zdolna czuć więcej
i mówić co myśli
bo przeszła w życiu niejedną grań
i nie były one z tektury
ale milczenie o tym uznałabym za bardziej wymowne
może tak być
że Różewicz też by o tym milczał

Małgorzata Bobak Końcowa
poetka, malarka, animatorka kultury, ilustratorka książek. Członkini i założycielka Polskiego Stowarzyszenia Haiku.Członek ZLP. Związana z Wolną Inicjatywą Artystyczną - WYTRYCH i Poetami Pszczyńskimi. Wydała 6 zbiorow wierszy. Jej wiersze były prezentowane w rozgłośniach radiowych. Prowadzi Salon Literacki przy Nyskim Domu Kultury. Jest menadżerem i pomysłodawcą Nyskiej Nocy Poetów.

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

ESEJ

Roman Warszewski

Dlaczego bogowie kochają góry?

Nieznośna lekkość braku tlenu

Obszary górskie i wyżyny obfitują w bogate i różnorakie mitologie. Można odnieść wrażenie, że różni bogowie i boginie szczególnie upodobali sobie wysokie góry.

Abisynia, Himalaje, himalajskie pogórze, Wyżyna Tybetańska czy Altiplano i tereny andyjskie. Wszystkie te regiony zamieszkują niezliczeni bogowie, bożkowie, ich pomocnicy i boginie; jest ich tam znacznie więcej niż na nizinach. Jakby tego było mało, do ważnych spotkań ludzi z bogami w historii też miało dochodzić w wysokich górach; wystarczy wymienić Górę Mojżesza, czy grecki Olimp. Czy to tylko przypadek, czy też za tym zjawiskiem jest ukryte jakaś konkretna przyczyna?

Wydaje się, że sprawa – wbrew pozorom – jest dość prozaiczna. Ową przyczyną jest… **niedotlenienie!** Ileż zawdzięczamy hipoksji – temu, że w płucach mamy mniej tlenu niż byśmy mieć powinni! Niedotlenienie prowadzi do pojawienia się halucynacji – do tego, że doświadczającym hipoksji zaczyna się wiele rzeczy po prostu wydawać. To coś, przez wielu, jest interpretowane, jako obcowanie z bytami nadprzyrodzonymi – z boginiami, bożkami, albo co najmniej z jakimiś duchami opiekuńczymi. Właśnie stąd, według mnie, biorą się tak liczne i tak urozmaicone mitologie obszarów górskich.

Bogatego materiału na poparcie tej tezy dostarczają książki alpinistyczne i himalaistyczne, które relacjonują przebieg różnych wysokogórskich ekspedycji. Ich uczestnikom, na skutek braku tlenu, wielokrotnie pojawiały się różne postacie; słyszeli dziwne dźwięki i byli konfrontowani ze scenami o treści religijnej. Sięgnijmy do kilku z nich. Jest to o tyle łatwe, że w ostatnich latach mamy istny wysyp tego rodzaju literatury, przede wszystkim dzięki edytorskiej aktywności **Wydawnictwa Literackiego** z Krakowa i wydawnictwa **Agora**.

Z omami za pan brat

Interesująca i dotycząca właśnie tego zjawiska scena pojawia się w biografii Krzysztofa Wielickiego, który (razem z Leszkiem Cichym) po raz pierwszy zimą zdobył Mt. Everest. W czasie wspinaczki na Dhaulagiri – jeden z czternastu ośmiotysięczników „przez 10 godzin porusza się jak maszyna. (…) Kostki stóp ma obtarte do krwi, ręce płoną żywym ogniem. Niby blisko grani szczytowej, ale śnieg i lód nie trzymają się ściany. Kilkanaście razy ma wrażenie, że odpada w przepaść. „Ogarnia mnie najzwyczajniejszy w świecie strach. Czy to pułapka? Ani do góry, ani w dół. Nie, nie poddam się, próbuję do góry" – zapisze po powrocie.

Jest zmęczony, ma wrażenie, że razem z nim wspina się ktoś jeszcze. Kobieta? Mężczyzna? Wielicki zaczyna konsultować z nim/nią swoje decyzje

– Iść w prawo? – pyta

– A może droga w lewo będzie bezpieczniejsza? – zastanawia się.

– Dobrze, pójdę jednak w prawo – mówi do kogoś nieobecnego.

To samo przeżył Francis Sydney Smyth, który w roku 1933 wspinał się na Everest. „Miałem uczucie, że idzie obok mnie osoba opiekuńcza, dodająca mi otuchy i asekurująca mnie. To uczucie było tak silne, że gdy wyciągnąłem z kieszeni kawałek placka, przełamałem go na pół, odwróciłem się i podałem na wyciągniętej dłoni. Byłem zszokowany, gdyż za mną nikogo Nie było".

Albo Austriak Hermann Buhl podczas samotnej wspinaczki na Nanga Parbat w 1953 roku. Czuł, że ktoś idzie za nim krok w krok. Wiele razy chciał się odwrócić, by porozmawiać z tajemniczym towarzyszem, słyszał jego głos.

Albo Polak Adam Skoczylas. Samotnie biwakował w jamie śnieżnej na dużej wysokości w Himalajach, a był przekonany, że towarzyszą mu dwaj Szerpowie. Wzruszył się ich obecnością, gawędził z nimi serdecznie.

Co mówi wiatr

Halucynacji w wyniku niedotlenienia doświadczył też Tadeusz Łaukajtys podczas himalajskiej wyprawy w 1983 roku. Był przekonany, że znalazł się w Afganistanie i musi bronić dzieci przed okupującymi ten kraj żołnierzami Armii Czerwonej. Podczas wspinaczki zerwał z siebie kurtkę, rękawice, czapkę i z gołymi rękami rzucił się na rosyjskie czołgi.

Profesor Lech Korniszewski, lekarz polskich wypraw w Himalaje, w 1981 roku doszedł na Annapurnie na wysokość 7700 metrów npm. Zmęczony zawrócił 400 metrów przed szczytem. – Lina łącząca mnie z partnerem wspinaczki śpiewała przebój Donny Summer – zarzeka się Korniszewski. Najdziwniejsze jest to, że mój partner też słyszał tę piosenkę.

Ryszard Pawłowski podczas wyprawy na Nanga Parbat w 1993 roku, wracając ze szczytu w pewnej chwili zobaczył bujających się na hamakach angielskich wspinaczy, a jego kolega Bogdan Stefko ujrzał… budkę z coca–colą!

Brytyjski alpinista Joe Simpson – autor wspinaczkowego światowego bestsellera "Dotknięcie pustki", podczas wspinaczki na Siula Grande w peruwiańskich Andach złamał nogę. Jego partner Simon Yates próbował go ratować, popuszczając na linie. Ale nie dając rady, po pewnym czasie odciął Simpsona i wrócił do bazy. – Joe nie żyje – oznajmił kolegom.

Ale Simpson cudem przeżył upadek i przez kilka dni czołgał się do obozu. Po drodze słyszał „głos", na lodospadzie widział ludzi, starca z kaplicy Sykstyńskiej, a także liczne sceny seksualnych orgii. – Musiałem wykręcać głowę, żeby się połapać, co oni robią – przyznał później. Z trudem łapiąc powietrze, słyszał też „Brown Girl in the Ring", przebój zespołu *Boney M.* z lat siedemdziesiątych i śmiał się z dowcipów, które opowiadał mu ktoś, kto co jakiś czas koło niego miał się pojawiać…

Amerykanie podczas wyprawy na Everest w 1963 roku słyszeli, co… mówi do nich wiatr i nie poznawali swoich twarzy. – Kim jesteśmy? – ze zdziwieniem pytali jeden drugiego.

Jezus nie wysłuchał prośby

Na przełomie 1990 i 1991 roku Francuz Eric Monier podczas zimowej wyprawy na Manslu osiągnął wysokość 7950 m n.p.m. Po powrocie wspominał, że miał halucynacje, że wydawało mu się, że rozmawiał z ludźmi, którzy niespodziewanie się pojawili i zaczęli pomagać mu we wspinaczce, w tym – z kobietą, która twierdziła, że ma tysiąc lat…

Z kolei Tamara Lunger w czasie wspinaczki na Nanga Parbat rozmawiała z… Jezusem. – Zawsze kiedy idę na jakiś szczyt, on się pokazuje i wtedy z nim rozmawiam – relacjonowała potem. – Tylko on jest ze mną w tych niesamowicie trudnych chwilach. On wie, co powinnam robić. Odkąd wyszłam z „czwórki" rozmawiałam z nim cały czas: „Proszę, wyłącz ten wiatr, ten wiatr nie daje mi żyć." Gdy straciła z oczu Simone Moro, który wspinał się obok, powiedziała Jezusowi: „Daję ci jeszcze pięć minut, żebyś wyłączył tę wichurę. Jeśli nie możesz tego zrobić, ja będę musiała zawrócić". Jezus oczywiście wiatru nie wyłączył.

Na tej samej górze, w czasie zimowej wspinaczki Tomasz Mackiewicz całkiem niespodziewanie odnalazł w lodowej szczelinie mały namiot, który jakby czekał na niego, całkowicie zziębniętego. „To na pewno sprawka Feri" – pomyślał. Był przekonany, że górne partie Nanga Parbat zamieszkuje mityczna zmiennokształtna postać o tym imieniu, której obecność czuł wielokrotnie w czasie swoich wieloletnich zmagań z tym masywem – a raz i drugi nawet ją widział.

W czasie tej samej wyprawy, Francuzka Eli Revol w pewnej chwili poczuła, że jej ciało ogarnia przenikliwe zimno. Po jakimś czasie odniosła jednak wrażenie, że robi jej się dziwnie ciepło… Górskie doświadczenie pozwoliło jej jednak nie ulec pokusie zaśnięcia, udało jej się wymknąć bezbolesnej śmierci z wychłodzenia. Przezwyciężyła iluzję ciepła, za to zaczęła mieć halucynacje. Jakaś kobieta zaproponowała jej filiżankę gorącej herbaty, ale zażądała czegoś w zamian: Eli miała oddać jej swój górski but. Tracąc i odzyskując świadomość zauważyła w pewnej chwili, że but leży obok niej. Nie miała pojęcia przez ile godzin jej stopa była narażona na zimno. Przez cały następny dzień czekała na warkot helikoptera, którym miała przybyć pomoc.

Coś podobnego przydarzyło się Stephanowi Venablesowi po wejściu na Everest ścianą Kangshung. Kiedy, z powodu zapadających ciemności, musiał zabiwakować w pobliżu szczytu, zauważył, że nie jest sam. Urojony starszy człowiek towarzyszył mu przez całą noc, a następnie w dzień w czasie wyczerpującego zejścia. Kiedy Stephen i stary człowiek znaleźli się na południowym wierzchołku, spotkali tam od dawna nieżyjącego znanego brytyjskiego himalaistę, Erica Shiptona, który pomógł Stephenowi zagrzać dłonie. Istnieją niezliczone relacje o takich pojawiających się na dużych wysokościach niewytłumaczalnych, przyjaznych zjawach.

Wizjoner – Wojciech Kurtyka

Szczególnie wielu przeżyć z pogranicza snu i jawy doznał w górach znakomity wspinacz – Wojciech Kurtyka, prywatnie,

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

co warto pryzpomniec, syn pisarza Henryka Worcella. (Worcell to był pseudonim.) W czasie wspinaczki na Bandakę, w pewnej chwili doświadczył wszechogarniającego, panteistycznego wręcz odczucia. „Oddalił się od namiotu – czytamy w jego biografii. – Chciał zostać sam. Jego wzrok błąkał się po ogromnej ścianie, która zamierzał przejść: 2500 metrów czystej grozy, której skala i złożoność wymykały się jego dotychczasowemu doświadczeniu. Wraz z przygniatającymi falami strachu ogarniało go dojmujące poczucie, że krajobraz wokół niego żyje. Góra żyje. Bardzo pragnął z nią porozmawiać, lecz nie potrafił."

Coś podobnego przydarzyło mu się w czasie wspinaczki na Broad Peak. Między dwoma wierzchołkami tej góry doświadczył jednego z najbardziej nieziemskich przeżyć w całej swojej alpinistycznej karierze. Odczuwał pełną ufność, pewność siebie, miał poczucie jedności ze światłem i przestrzenią. „Pamiętam to jako rodzaj delirium – wspominał później. – Chodziłem uporczywie wokół przełęczy i po prostu nie mogłem wejść do namiotu. To było fantastyczne i rzadkie doświadczenie. Głębokie duchowo. Oczywiście góry zawsze są piękne, ale to było coś innego." Owo niezwykłe doznanie umocniło go w przekonaniu, że górska wspinaczka jest niezawodną drogą do odmiennych stanów świadomości, w których świat przybiera zupełnie inne barwy i nabiera nowych właściwości.

Gasherbrum IV

Jeszcze inna sytuacja. W czasie wyprawy na kolejny ośmiotysięcznik Gasherbrum IV, kiedy Kurtyka i Austriak Robert Schauer zaczęli schodzić granią północno–zachodnią, złowrogie uczucie, jakie ciążyło im przez wszystkie poprzednie dni, nagle odpłynęło. Zastąpiły je widmowe stwory i olśniewające miraże. Robert zatrzymał się i oparł na czekanie. Gwałtownie łapał powietrze. Kiedy się wyprostował, przeniósł wzrok ze śniegu w górę. W powietrzu bez żadnego wysiłku unosił się kruk, którego na tej wysokości być nie powinno. Robert wpatrywał się w ptaka jak urzeczony. Chciał wznieść się w powietrze jak on. W pewnej chwili, w cudowny sposób, sam stał się tym krukiem. Później opowiadał: „W najbardziej intensywny sposób odczuwałem każdy element lotu – wiatr na twarzy, przenikliwe zimno, nieważkość".

W tym czasie umysł Wojtka nadawał na dwóch kanałach. Na kanale Pierwszym obrazy i dźwięki pędziły, wymykając się spod kontroli. Pojawiali się gadający jakieś bzdury przypadkowi znajomi. Skały i chmury upodabniały się do ludzkich twarzy. Kanał Drugi służył do obserwacji i analizowania tego, co działo się na Kanale Pierwszym. Pozwalał też skupić się na asekuracji, linie, czekanie, zejściu. Kurtyka wiedział, że jest na krawędzi halucynacji. Stan ten go intrygował, cieszył. Później, gdy kształty i dźwięki już zniknęły, tęsknił za nimi.

Wojtek schodził nieco przed Schauerem, kiedy wyczuł powrót „tego trzeciego", który już wcześniej pojawiał się w ich pobliżu. Jego obecność była nawet bardziej realistyczna niż obecność Roberta. Wojtek sunął w dół w śniegu i oglądał się wołając: „Robert, chciałbym ci coś powiedzieć, ale to jest bardzo dziwne". Robert stanął. Znów wpatrywał się w kruka i opierał się na czekanie.

– Wiem, o co ci chodzi – wysapał. – On znów tu jest.

– Tak.

„Trzeci" im jednak w żaden sposób nie zagrażał. Dodawał otuchy. Czuli, że z jego pomocą jakoś przeżyją męczarnie schodzenia.

Ale niżej, w czasie tego samego zejścia, nadal działy się dziwne rzeczy. Kiedy obaj wspinacze następnego dnia znaleźli się już w kotle u podnóża góry, przez głowę Wojtka zaczęły płynąć przedziwne dźwięki: ćwierkanie ptaków (których oczywiście nigdzie nie było), szepczące głosy, muzyka. Zafascynowany, usiłował rozpoznać skąd pochodzą. Dźwięki narastały. Pojawił się nawet żeński głos, który śpiewał serenadę. Był on tak piękny, że Kurtyka co jakiś czas się zatrzymywał, by dokładniej się weń wsłuchać. Jednak ilekroć stawał, głos zanikał. Zaintrygowany ruszał naprzód. Głos znowu się pojawiał. To była Barbara Streisand, zdecydowanie ona. Stanął. Znów przestała spieść. Dlaczego z nim igrała? Miała tak piękny głos i śpiewała krzepiącą melodie: „Potykam się i upadam/ ale oddam Ci wszystko".

Gdy później, chcąc opisać dla branżowego „Taternika" to, co doznał w trakcie wspinaczki na Gasherbrum IV , ponownie tę sytuację począł analizować, doszedł do wniosku, że były to „dźwięki wydawane przez psującą się ludzką maszynerię". Zyskał niezachwiane przekonany, że istnieją odległe zakątki ludzkiego mózgu, do których można dotrzeć tylko w ekstremalnych sytuacjach. Gasherbrum IV otworzył drzwi do jednego z tych tajemnych miejsc, a on – mimo że szczytu w czasie tej wyprawy nie zdobył – przyjął to jako niezwykły i olśniewający dar tej góry.

Ten obok

Niezwykłe przeżycia nie omijały nawet takich twardzieli, jak Jerzy Kukuczka. Zatrzymał się na Makalu La na wysokości 7419 metrów, gdzie wraz z Wojtkiem i Aleksem zostawili namiot. Następnego ranka kontynuował podejście dziewiczą grania północno–zachodnią. Na ośmiu tysiącach metrów wykopał w śniegu platformę i rozbił swój namiocik. Niemal natychmiast dopadły go halucynacje i długo rozmawiał z niezapowiedzianym gościem, który tam na niego czekał.

A wracając do sceny z wyprawy Krzysztofa Wielickiego na Daulagiri, opisanej na początku: na wysokości 7400 metrów Wielicki znajduje stary, porwany namiot. Odpala wyciągniętą z plecaka maszynkę gazową z resztką gazu, gotuje wodę, robi herbatę. I rozlewa ją do dwóch kubków – dla siebie i… dla tej drugiej osoby.

Do tego stopnia był przekonany, że ktoś nieznany cały czas mu towarzyszył.

Roman Warszewski

Literatura:

Leszek Cichy, Piotr Trybalski, „Jakby to nie był Everest…", Kraków 2021

Piotr Trybalski, „Andrzej Zawada. Wszechmogący. Człowiek, który wymyślił Himalaje", Kraków 2021

Dariusz Korotko, Marcin Przeciszewski, „Krzysztof Wielicki. Piekło mnie nie chciało", Warszawa 2019

Bernardetta McDonald, „8000 zimą. Walka o najwyższe szczyty świata w najokrutniejsze porze roku", tłum. Andrzej Górka, Warszaw 2021

Bernardetta McDonald, „Kurtyka. Sztuka wolności", tłum. Maciej Krupa, Warszawa 2018

Prof. Zdzisław Ryn – psychiatra, uczestnik wielu wypraw w Andy i Himalaje i specjalista medycyny wysokogórskiej:

– Znam przypadki, gdy alpiniści pod wpływem niedotlenienia wyrzucali sprzęt, rękawiczki i na lodowcu zaczynali zbierać kwiatki, których tam wcale nie było… Wielu na wysokościach doświadczało przeżyć religijnych czy patriotycznych uniesień. Sam podczas wchodzenia na Elbrus doznałem prawie autystycznego zamknięcia w sobie połączonego z omami słuchowymi. Chrzęst czekana wbijanego w zamrożony lód przemieniał się w powtarzaną wielokrotnym echem niebiańską melodię…

Roman Warszewski

Tadeusz Ogrodnik

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

ESEJ

Renata Paliga

Traktat o podróży

Profanum

Czasami ludzie szukają guza. Chcą poznać prawdę o sobie i świecie - jak zwierzęta. W akcie poznawania kierują się zapachami, które nieobecne są w ich ciałach. Przyjmują za pewnik to co widzą, a obrazom przypisują znaczenie wg swoich uprzedzeń, marzeń i wszelkiego rodzaju irracjonalności.

Podróżują, by czymś nowym się obrzydzić i zgorszyć. Zdziwić i zachwycić. Najchętniej widziane są doznania zawarte w gratisie. Całkiem niespodziewane jak śmierć czy nieznana choroba, której nie doświadczył nikt kogo znają.

Potrzebują doświadczyć obcości, aby zrozumieć kim są. Koszt wiarygodnej oceny zawarty jest w cenie biletu na koniec świata.

Ludzie uciekali przede mną od zawsze. W szaleńczym tańcu bawiłam się z nimi w chowanego. Najbardziej panoszyłam się na statkach. Stłoczeni ludzie padali przede mną na kolana. Byli jak zasikane, śliniące, płaczące dzieci. Szalałam wtedy. Kosiłam, tańczyłam flamenco, unosiłam spódnicę, zagryzałam. Zmieniałam ciała w rozpadające się guzy, wrzody, dymienice. Kolejną moją rozrywkę stanowiły wojny. Byłam ich nieodłączną częścią. Tam z kolei upodobałam sobie inne objawy. Wysypki, krwawe stolce, gorączki, majaki, nazywane durem plamistym, tyfusem. Mężczyźni, którym wmówiono że trzeba ginąć, w imię jakiś idiotycznych sporów o paliki graniczne, złote korony, rodzaje kolonii i zależności, dokonywali żywota w rowach, polach, brocząc krwią lub po prostu defekując bez końca. Tarzałam się w rzygowinach, krwi i pocie. Kąsałam, śniadałam i obiadowałam. Najbardziej zachwycałam się człowiekiem w postaci martwej. Wyssane, białe dłonie, jak z marmurowych głazów- przypominały ptaki. Szpony. Rozłożone lub skulone. Skrzydła.

Czasami wpływam na politykę, na bieg historii. Jestem mała lecz ,,rządzę". Tak się teraz pisze na murach. Więc potwierdzam – rządziłam armiami, zmuszam je do odwrotu. Nawet Napoleon, musiał wycofać armię (nieskromnie powiem że przeze mnie) z Afryki i Azji. Ba! Spod Moskwy! Pamiętam też Lenina który wrzeszczał: ,,albo wesz zwycięży socjalizm albo socjalizm zwycięży wesz!".

Ja i moje siostry, chłeptałyśmy różne rodzaje krwi. Nie. Nie powiem publicznie, która z nich była najlepsza. Muszę dbać o dobre stosunki dyplomatyczne, zamierzam przecież podróżować i odwiedzać ulubione miejsca. Każdy chce mieć wakacje, chyba to rozumiesz.

Mam ulubione rejony. Bywam tam regularnie i odmładzam krew. Opisują później moje wojaże. ,,*Bergamo zarazą słynie*" napisał dawno temu pewien pisarz o miejscu, które odwiedzam dość często. Mają tam dla mnie katedrę, lecz najcenniejsze są opowieści przekazywane wraz z genami, z pokolenia na pokolenie. Z pewną zazdrością stwierdziłam ostatnio, że znowu Bergamo jest na pierwszych stronach gazet i naukowych opracowań, chociaż tym razem nie mam z tą sławą nic wspólnego.

Gdyby nie ja, my, śmierć, nie byłoby tyle piękna na świecie. Nie byłoby ,,Romea i Julii", literatury, kościołów wotywnych, kopuł, budowli, sztuki, ani dzisiejszej medycyny. Może byłoby coś innego, lepszego, piękniejszego a może i nie…. Kto wie…

Ludzie uciekają przed nami, chowają się, zwalczają. A przecież jesteśmy częścią nich! Każdy mój ruch wynika z ich wyboru, mój genom kolaboruje z ich genomem. Mieszkamy w ich jelitach, w krwi. Natura obwąchuje nas i maca. Świat jest lustrem. Oddaje im to, jak traktują zwierzęta, rośliny, siebie nawzajem, planetę ziemię.

Ludzie modlą się do Boga, ale zanoszą modły do siebie. Do swojej kruchości, którą instynktownie ubierają w złote szaty, przysłaniają obrazami i zbroją w relikwiarze. Modlą się do swojej podróży.

Nazywam się *Xenopsylla Cheopis*, moja siostra to *Yersinia pestis*[1]. Przynosimy wam czarną śmierć.

Sacrum

Byłam obrazem Matki Bożej noszonym po zadżumionym mieście. W procesji błagalnej szli wszyscy, którym zabrakło rozumu aby uciekać.

Widziałam szczere dziwki, brudne i plugawe, które modliły się żarliwie nie oczekując niczego w zamian. Czasami, chociaż nie wypowiadały tego na głos, pragnęły śmierci. Miały odcień oczu identyczny jak mój. Patrzyły przenikliwie i szczerze płakały. I znikały z mojego pola widzenia tak szybko jak się pojawiły. Pomyślałam nawet, że ktoś je wciągnął w cuchnący zaułek. Ktoś, kogo podnieciła świętość wylewająca się spomiędzy brudnych ud.

Widziałam i słyszałam wielmoży i blade wielkie panie. Pobożne i nadęte. Spowiadały się z nudów i opowiadały o tym, że gwałci je sam pan bóg albo szatan. Oskarżenia o przymuszanie do obcowania płciowego istnieje w pojęciu niewieściej krzywdy od zawsze.

Słuchałam milczących a wyraźnych modłów i próśb o to, by zesłać zarazę na męża, żonę, sąsiada, kochanka, kochankę, kogoś kto dawno nie żył. Gęby ziejące nienawiścią wyrzucały słowa o krzywdach i złorzeczyły do chwili, gdy zamknęła je śmierć.

Nosili mnie dookoła murów miast, stawiali w bramach, układali w ołtarze. Bym łapała strzały zarazy zesłanej przez Boga. Nie mam pojęcia skąd pomysł, że chciałabym to zrobić. Ludzi prości, a wynajęci do tego celu za miskę zupy lub zwykłego ochłapu. Narzekali w duchu za nadmiar kilogramów, którymi obarczono ich ramiona i natychmiast przepraszali, bojąc się gniewu płynącego z deski.

Za mną podążali najpotężniejsi, za nimi mniej potężni, potem coraz mniej znaczący, aż do zwykłego ludu naznaczonego trwogą i znojem dnia codziennego.

Słyszałam modlitwy. Słyszałam przekleństwa. Słyszałam knucia zza skromnych spojrzeń i widziałam zmowy judaszy chowane wśród koronek i książeczek do nabożeństwa. Widziałam oczami malowanymi na desce wszelką plugawość kłębiącą się w tłumie. Ale też świętość i czystość unoszącą się od tych, którzy mieli przeżyć mór, lub niebawem umrzeć. Wiedziałam, że nastąpi dla nich noc. Wiedziałam, że musi nastąpić dzień.

Niesiona byłam wśród kadzideł i dzwonków, unosił mnie śpiew kastratów okaleczanych w dzieciństwie dla ulotnych dźwięków. Kastracja dzieci dla muzyki. Nie przestają mnie dziwić ludzkie dziwaczności. Myślą jak zwierzęta i próbują w zwierzęcy sposób układać porządek Bogu.

Wiedziałam wtedy, że daleko ludzkości do naukowego poznania rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Po wykryciu antymaterii, kiedyś, będę zdefiniowana inaczej. Przetrwam jako pierwiastek bożej samicy w każdej z wymyślonych teorii.

Żyję w roślinach penetrujących ruiny umarłych domów, w kamiennych posągach antycznych bogiń z urwanymi kończynami, ukruszonymi nosami. Ożywam w ich ślepym spojrzeniu. W genach przekazywanych wg reguły nieskończonej frywolności dzikiego trafu. W każdym zwierzęciu, w każdej rzeczy, w każdym porannym otwieraniu oczu i słowie zjawiającym się w mojej przestrzeni.

Przyjdzie taki dzień, kiedy znowu trzeba będzie wybierać sens. Stare słowa zmienią znaczenie a śmierć przyniesie człowiek który miał je chronić i ratować. Zrobi nikczemności dla lepszego jutra. Stanie się teraźniejszym mordercą dla lepszego jutra które być może nigdy nie nadejdzie.

Niosę ludziom rozwój i upadek. Naprzemiennie, cyklicznie, wg harmonogramu którego ludzie nie złamią żadnym algorytmem. Nazywam się natura.

Homo animalis

Mówimy do was my, których prochów nie rozsypano. Stały się smrodem. Odurzającym smrodem wdzierającym się wszędzie.

Mówimy do was, którzy planujecie zmienić świat zapatrzeni w czeluście ekranów. Wydaje się wam, że możecie wszystko. Nie widzicie niczego szczególnego ani niezwykłego w decydowaniu o czyimś życiu i śmierci.

Nosicie białe fartuchy z miną wszechwiedzy i panoszycie się gromadnie, tupiąc rytmicznie w chodakach, których echo stawia na baczność w stan wyczekiwania tego co się wydarzy podczas obchodu. Z językiem angielskim, który stał się powszechny. Obcy- a spowszedniały. Jakby tego było mało, używacie skrótów od nazw chorób. Stare dolegliwości zyskały tajemnicze oznaczenia[2]. Jesteście młodzi. Niczego jeszcze nie przeżyliście, prócz pierwszej miłości, wielkich planów na przyszłość i ogólnego dobrobytu bez znaczenia.

Mówimy po latach milczenia, bo od jakiegoś czasu bardzo was interesuje nasza historia w kontekście wykorzystania notatek z procesu mordowania. Bo przecież to już się wydarzyło. Nic nie może się zmarnować. Żaden dowód naukowy. To już się wydarzyło. Dlaczego nie wykorzystać.

My, spaleni, przetopieni w kadziach na mydło, bo nic nie może się zmarnować. Nasze skóry służą jako abażury. Do dziś można je kupić w graciarniach przywożonych z Niemiec po umarłych Niemcach. Może dotykacie stary pergamin, z przyklejonymi wyleniałymi frędzlami. To nasze grzbiety, to nasze pośladki, to

X

nasze podbrzusza, które jak hamak kołysały nasze dzieci. Przeminęli już oprawcy, zmarły dzieci oprawców, a nasze rzeczy, przedmioty wożone w walizkach w te i we wte, wracają na swoje ziemie z laskami, basenami, żyrandolami i porcelaną. Jedynie złoto z zębów tuła się po świecie i trudne jest dziś do zidentyfikowania.

Mówimy do Was, którzy nie umiecie jeszcze wysłuchać w człowieku niczego. Ani szmeru serca ani jego bólu, ale już decydujecie, że za dużo kosztuje jego leczenie. Rozprawiacie, że się coś komuś nie należy. Bo taki system. Bo macie władzę i możecie czegoś nie musieć. Bo takie realia. Bo tak robią wszyscy.

Nakarmili was buchalterią, a przecież ubieracie białe fartuchy. Dziś- ubieracie kombinezony. Białe skrzydła aniołów. Zamykacie ludziom oczy na ostatnią drogę, kołyszecie w ramionach nowonarodzonych.

Słyszycie kakofonię głosów. Wszyscy chcą opowiedzieć wam swoją historię w ramach nauki zbierania wywiadu lekarskiego.

Teraz mówi Róża, która szła przy murze getta i nie rozumiała dlaczego żołnierze śmieją się z niej, kiedy spomiędzy nóg, kaskadami, wypadają skrzepy. I chociaż tak się stara i zaciska uda, nie może powstrzymać kolejnego dziecka, które ją opuszcza. *Rauss* słyszy jako ostatnie. Nie ważne, czy umiera od strzału w głowę, czy dlatego ze traci zbyt wiele krwi.

Mówimy do was, bo uważacie że nic nie może się zmarnować. Dlaczego nie wykorzystać zarodków zamrożonych przed laty. Otwiera się przecież i wyprzedaje zapomniane przez wszystkich magazyny. Dlaczego nie otworzyć i nie wykorzystać tych płodów? Przebywają tam zbyt długo, zaraz się skończy termin ważności. Studenci muszą się na czymś uczyć. Może któraś się ulituje i włączy tryb wysiadywania. Wsadzi zarodek i wykiełkuje człowiek… Może się ulituje nad dzieciątkiem miłośniczka zwierząt, karmicielka kotów, wojowniczka o lepsze jutro. Matka. Nawet taka która urodziła się jako mężczyzna. Może pokaże przykładem- tę oklepaną miłość.

Mówimy do Was…

Uciekacie w popłochu myśląc, że słyszycie głosy szaleńców. Słyszeć głosy - nie jest dobrze z medycznego punktu widzenia, więc udajecie, że nic się nie dzieje. Zakładacie maski, uciszacie sumienia. Uciekacie przed sobą.

Gonimy was jako psy. Szczekamy. Chwytamy za nogawki aby powstrzymać przed szaleńczym biegiem ku przepaści ludzkiego nie-znaczenia. Nie-istnienia. Nie-decydowania. Szczekamy szczerząc wypolerowane zęby o odcieniu bieli kości porzuconych przy drogach.

Eleganccy oprawcy lubili psy. Karmili psy. Dbali o psy.

Nasze dzieci przed śmiercią chciały być psami.

Słuchajcie… *nikt nie woła.*

P.S.

Ludzie szukają początku i końca jakby istniał jakikolwiek początek i koniec

Renata Paliga

---

1 Przyp aut. Xenopsylla Cheopis (pchła szczurza), Yersinia pestis (pałeczka dżumy)

2 Obstrukcja- obstruction, zatwardzenie- constipation… (przyp. aut. pamiętam z nostalgią, dziś rzadko publicznie i głośno przy wszystkich- „a stolec był?").

Tadeusz Ogrodnik

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

ESEJ

Jerzy Lengauer

Warmińska przestrzeń teatralna

O „Spiskach życiowych" Wacława Sobaszka

Gdybyśmy się kiedyś natknęli na rzecz o Wacławie Sobaszku, spisaną na wielu kartkach papieru, skrzętnie złożonych i włożonych do koperty, to z niej niewątpliwie odczytalibyśmy, że artysta jest pisarzem, poetą, muzykiem, aktorem, reżyserem teatralnym, kierownikiem artystycznym Teatru Węgajty i gospodarzem Festiwalu Wioska Teatralna. I byłaby to prawda niezaprzeczalna. W środku jednak znaleźlibyśmy całkiem inny Sobaszkowy autoportret. Pochodzący od niego samego. Człowiek, który pokonał system, a jednocześnie - i przewrotnie - postkomunista, choć może raczej postpeerelowiec. Przeźroczysty duch warmińskich pól, łąk, lasów i wzgórz. Na poły rzeczywista postać z kolędniczych i allelujkowych wędrówek po Dolnym i Górnym Śląsku, Sandomierszczyźnie, wsiach łemkowskich. Jogin pojawiający się czasami nad brzegami Buga, Wisła, Pilicy. Baczny obserwator społecznych zachowań na kolejowych szlakach pomiędzy Niemcami, Tatrami i Olsztynem. Niezwykły zbieracz okruchów hiszpańskich i francuskich dni i nocy. Samotnik nadbałtyckich plaż i towarzysz irrealnych nocnych biegów swojego przyjaciela. Pamiętnikarz poetów, malarzy, animatorów kultury, muzyków, owładniętych alkoholowym stuporem sąsiadów węgajckiego gospodarstwa, rzemieślników, mechaników, znanych i nieznanych z imienia towarzyszy jego sztuk z domu pomocy społecznej. Syn odchodzącego ojca. Dziadek tęskniący za wnukiem. Te role, osobowości, cechy, umiejętności zamykające się i otwierające w Wacławie Sobaszku, podróżniku po jak najbardziej rzeczywistych krainach i wewnętrznych rozmyślaniach odnajdujemy w „Spiskach życiowych", czyli dzienniku z podolsztyńskich Węgajt, pisanym przez trzydzieści osiem lat.

Szlaki, na które wybierał się Sobaszek samotnie i z teatralnymi Węgajtami za przyczyną zaproszeń, przyjaźni, instytucjonalnych programów, społecznej empatii, potrzeb iście etnograficznych, antropologicznych i ekologicznych, nie prowadziły jedynie po Polsce i Europie Zachodniej. Widzimy go przecież także w Czechach, Rosji i Białorusi, na Węgrzech oraz na Tajwanie.

A wnętrze artysty? Cóż, to istna biblioteka, nie tyle z przepastnymi tomami i cienkimi, nikomu nieznanymi książeczkami na półkach, lecz z ogromem działów nauk i kierunków humanistycznych.

Autorów nie sposób wymienić. Jedni nic czytelnikowi nie mówią. Inni zadziwiają swoją obecnością w życiu Sobaszka. Można sobie wyobrazić, że każda przeczytana przez artystę pozycja, może tylko przekartkowana albo, co chyba jest najbardziej prawdopodobne, przez wiele dni towarzysząca mu wieczorami wraz z nocną lampką, zmieniającym się krajobrazem za oknem wagonu kolejowego czy między teatralnymi próbami jest źródłem pomysłu, rozmów z najbliższymi współpracownikami i w końcu koncepcji kolejnego przedstawienia.

Duchowość, serce, umysł, intelekt Sobaszka nie są wypełnione wyłącznie literaturą. Ona wychyla się z poszczególnych wpisów w dzienniku. Codziennie, co tydzień, co kilka miesięcy. Nie da się odpowiedzieć, czy jest wyłączną inspiracją, czy łączy się i przenika z innymi bodźcami, które stanowią węgajcką przestrzeń. Autor „Spisków życiowych" opowiada, jak on sam ją wypełnia, staje się elementem krajobrazu poczynając od prac remontowych w gospodarstwie, które jeszcze w trakcie ich prowadzenia stało się teatrem , aż po rolę mieszkańca na równi z czarnym dzięciołem, sójką na parapecie, dzikiem stojącym na podwórzu, jeleniem ocierającym się o jedno z otaczających dom Sobaszków drzew.

I ludzie. O nie! Nie są traktowani przez autora jednakowo. Tyle że... rzecz w Sobaszkowej empatii, atencji, szacunku, nawet czymś w rodzaju czułości. Ich odcieni i rodzajów artysta z Węgajt ma nieprzebrane ilości. Bez rozróżniania na współpracowników, zapraszanych artystów, wiejskich gospodarzy czy mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Jonkowie. Dysharmonię czytelnik znajduje tam, gdzie pojawia się przyjaźń, przywiązanie, a potem niewiarygodne poczucie straty, ból samotności, jakaś próżnia w miejscu, które nie powinno, bo przecież za wcześnie, stać się puste. Do tych osób wraca autor często. Tak jak do pisarzy i poetów mających wpływ na jego postawę życiową, stosunek do świata, drogę artystyczną.

Wspomnienia, zdarzenia, sytuacje, wydarzenia, czasami tylko jakaś drobnostka są dla wrażliwego i posiadającego niebywale rozwiniętą wyobraźnię Sobaszka intelektualnym impulsem do rozważań dotyczących życia i śmierci, aspektów filozoficznych, czasami ujętych w jeden tylko wers, ubranych w poezję, przybierających postać prozatorskiego haiku, połączonych z wnikliwą obserwacją przyrody, bądź cytatem literackim, co z kolei zmusza czytelnika do podążania wskazaną przez autora drogą, na której spotka dygresje i skojarzenia związane z własnymi doświadczeniami.

Czasami enigmatyczność Sobaszka wręcz drażni. Wydaje się w pierwszej chwili nie pasować do ładunku emocjonalnego wspominanego wydarzenia. Chociażby choroba i śmierć ojca, skonfrontowane przed czytelnikiem z zapisem o całodziennych wspólnych wyprawach samochodowych. Podobnie śmierci psów, które przez lata towarzyszyły Sobaszkom w Węgajtach, ujęte zostały w formie prawie suchych, zimnych dziennikarskich not. Czyżby autor te niewątpliwie ważne dla niego zdarzenia próbował w ten sposób zachować dla siebie, ukryć przed czytelnikiem swoje uczucia, wpisać w cykl życia i śmierci przeżywany wyłącznie osobiście, samotnie? Tak, jakby pewne sprawy rozdzielał na znaczące dla świata, ekosystemu, sztuki o charakterze społecznym i te dla siebie, które powinny być oznaczone dopiskiem: „Czytelniku, uszanuj!".

O ile „Spiski życiowe" to dziennik pełen emocji autora, które wynikają z jego obserwowania najbliższego mu otoczenia tudzież świata szerokiego, a wpływającego właśnie na tę jego regionalną, lokalną dziedzinę, z którą dzieli i tworzy swój teatr, co chyba przykuwa największą uwagę czytelnika do postaci Sobaszka, to przecież czynione przez niego spostrzeżenia są dowodem wrażliwości autora na zmiany zachodzące w społeczeństwie, polityce, kulturze instytucjonalnej, czego sam stał się poniekąd ofiarą z początkiem lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Zdający sobie z tego sprawę czytelnik wyraźnie widzi, że Sobaszek przykładający wielką wagę do teatru jako miejsca scenicznego spotkania aktorów i widzów, którzy zamieniają się miejscami, rolami, ba! nawet funkcjami reżysera, scenarzysty, rekwizytora, chciałby, żeby uczestnicy życia społecznego wzięli bardziej aktywny udział w wielkiej sztuce świata. Dopracowywali ją, pisali didaskalia, mieli wpływ na dialogi. Jest oczywiście bardzo oszczędny w słowach. W ten właśnie sposób zwraca uwagę na zanieczyszczone polskie rzeki (przywołuje Herberta). Albo ze zdziwieniem konstatuje, że samochód, który mu się wydał ozdobiony po hippisowski to tylko jeżdżąca reklama jakiegoś pożądanego produktu. Co rusz woła o wstrzemięźliwość w jedzeniu mięsa, przywołując literaturę piękną. Wspomina znajomego, który zakładał olsztyński oddział Greenpeace. A wszystkie te zdawkowe zapiski to jakby zaproszenie czytelnika do kontaktu i z samym Sobaszkiem, i Teatrem Węgajty, a przede wszystkim do po prostu myślenia.

Jest tyle miejsc, zdarzeń, którym Wacław Sobaszek jako świadek, widz, gość, turysta, podróżnik przygląda się jakby mimochodem. Czytając „Spiski życiowe" wiemy jednak, że to nie jest przelotne spojrzenie. On patrzy z uwagą, wyciąga wnioski, jakby jednocześnie był na scenie i wśród publiczności, z obu pozycji czerpał dla siebie inspiracje do kolejnych sztuk mających tylko jeden cel: motywacja społeczności do działania, współtworzenia, wspólnego przeżywania.

Autor „Dziennika" motywuje w przeróżny sposób. Potrafi wprowadzić konsternację w idealnym, spokojnym świecie. Jakąś nieczystość, coś z dołu, na przykład pijacką balladę w opozycji do śpiewanej hinduistycznej mantry. W obronie obu natychmiast przywołuje Grotowskiego, Gombrowicza… Popisuje się humorem nieco przypominającym zapiski Umberto Eco. Powodem jednego z najdłuższych w książce wpisów jest powszechny zwyczaj rozmawiania w przedziałach kolejowych przez komórkę, połączony z rozważaniami, jak spełnić kobiecy apel do mężczyzn, żeby ci nie sikali na deskę klozetową. Zwracając uwagę czytelnika na wydarzenia kulturalne, literackie wprowadza ciągi dygresyjne. Na przykład w kolejnych zapiskach z początku 2008 roku przywołuje po kolei Gezę Vermesa, autora książki „Jezus Żyd", następnie „Strach" Grossa, w końcu księdza Węcławskiego.

W „Dzienniku" zwraca uwagę koncepcja „non violence" połączona z niezwykłą tolerancją. Widać, że w Sobaszku obie postawy się rozwijają w miarę potrzeb i zmian zachodzących w życiu artysty, szczególnie dotyczących zamieszkania i poszerzania działalności artystycznej, czy może raczej pewnego uwrażliwienia społecznego. Zaczyna wspomnieniem o odmowie służby wojskowej z podaniem recepty na skuteczność. Pisze o pracy w Olsztynie i związkach z peerelowskim instytucjonalizmem w kulturze. Stara się nie oceniać. Jednocześnie mierzą go problemy wynikające z głupoty i docenia wartość zalegalizowanej działalności związanej z państwem. Gdy jesteśmy już w Węgajtach, wspomina autor o wzajemnej z mieszkańcami wsi akceptacji, zrozumieniu, poniekąd ustępliwości a nawet pobłażaniu. Tutaj jednak pozostawia czytelnikowi duże pole wyobraźni, zaznacza-

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

jąc jedynie skonfrontowanie miasta ze wsią, obcego z mieszkańcami, artysty z ludźmi poświęcającymi się jedynie pracy fizycznej, sztuki i

intelektu z alkoholizmem. Potem wychodzi poza Węgajty, kolęduje i allelujkuje w domu pomocy społecznej, zapewne i innych instytucjach. W tych czasach łagodności i uprzejmości, już w wolnej, demokratycznej Polsce wzburzają Sobaszka ataki rasistowskie, szowinistyczne, dyskryminacja, tym bardziej, że ofiarą staje się jeden z artystów węgajckich. Wówczas zapisuje także to, co widzi na polskich ulicach.

W pewnym momencie zapiski bardziej dotyczą poszczególnych przedstawień, spektakli, performance'ów. Zaczyna jawić się czytelnikowi Sobaszkowy teatr, w którym wielką wagę odgrywają maski i kostiumy, muzyka i śpiew, taniec i dialog z widzami w ich domach. Z zasady Sobaszek nie pisze o treściach swoich sztuk. Scenariusz, a i samo wydarzenie są przed czytelnikiem ukryte. Pomagają przypisy, których jest nieco więcej niż stron „Spisków życiowych". Zapiski będące reminiscencjami, krótszymi lub dłuższymi refleksjami, notatkami „ad hoc", krótkimi emocjami bądź dłuższymi przemyśleniami o teraźniejszości z rzadka przekraczają granice dobrego smaku. Widać jednak w takiej dosadności burzę emocji. I to nie w reakcji na zło, głupotę spoza warmińskiego świata, wobec którego Sobaszek często jest bezradny, lecz po prostu z powodu niewątpliwie nerwowej i wymagającej ciągłego opanowania pracy:

„26 czerwca 2017

Reżyseria: wkurw i cierpliwość" [1].

„Dziennik" kończy się datą 8 kwietnia 2020 i zdaniem: „Nie odpuszczać, nasłuchiwać, leśne znaki poznawać, poukładać jak się da, na kształt i podobieństwo naszych oddechów i ciał" [2]. Dzień wcześniej pojawia się ponad dwustronicowy wiersz, pandemiczny zapis...

Jerzy Lengauer

[1] Wacław Sobaszek, „Spiski życiowe: Dziennik węgajcki 1982-2020", wyd. Stowarzyszenie Węgajty, 2020, s. 185.
[2] Tamże, s. 221.

Tadeusz Ogrodnik

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

Anna Jachim

Young Mujahideen on Swing

Seria według Steve'a McCurry

wahadłowy ruch
dwóch par ugiętych kolan
z dołu do góry
do linii horyzontu
poza obiektyw

kamienisty brzeg jeziora zastępuje tło
góry otulają ramionami
wojna dyskretnie
wykrusza się w bezszelestny pył

chłopcy w ciałach mężczyzn
w czarno-białym odbiciu świata
nabierają powietrza po miesiącach bezdechu

przez kilka minut
ich zaraźliwy śmiech
unosi się nad jeziorem Band-e Amir

zanim nie dopadnie ich
obowiązek

kałasznikowy cierpliwie czekają pod drzewem

Skrzypiąca cisza po krześle

Szukam krzesła w pustym pokoju.
Przechodzę obok miejsca,
w którym powinno stać,
zanim w końcu na nim usiądę.

Brak krzesła uwiera mnie w plecy.
Skrzypi i chwieje się
z powodu krótszej nogi.
Staram się zachować równowagę.
Poprawiam zbyt twarde oparcie.
Przydałaby się poduszka,
ale pokój jest pusty.

Wychodzę i zostawiam krzesło tam,
gdzie go nie ma.

Doomsday vault

na oddalonej o tysiące kilometrów wyspie
w tysiącach metrów kwadratowych
na tysiące hipotetycznych lat

ukryto życie
w nieprzyjaznym życiu
nieznającym życia
nie do życia
bunkrze z piaskowca

w pozbawionej oddechu słońca
przemarzniętej na wskroś
czeluści
między ziemią a niebem
między teraz a nigdy

zagrzebana pancerna kasa apokalipsy
dwudziestopierwszowieczna arka noego
zastygły rajski ogród

tak na wszelki wypadek
który wspólnie
z ostentacyjnym zacięciem
sobie przygotowujemy
każdego
skazanego na niezbawienie
dnia

uniewinnieni współwinni

zagłębiasz widelec w soczystej polędwiczce
z rozkoszą podnosisz do ust
kawałek ugotowanego trupa
w sosie z karmelizowaną cebulką

ryk mordowanych zwierząt
nie daje spać sąsiadom
którzy od dawna stali się
wegetarianami

nie potrzebowali wąchać
unoszącego się w budynku
zapachu przestraszonej śmierci

nie potrzebowali oglądać
sączącego się po posadzce
strumienia wyganianej krwi

metodycznie zorganizowane mordy
poza zasięgiem naszego wzroku

nie chcemy widzieć
furgonów porąbanych stworzeń
które zostaną zbawione
na długo przed nami

wstyd zaszywa nam usta
zanim zuchwała myśl wymknie się
przez szczelinę warg
oddechem grozy

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Kamil Figas

Stejszyn Oława

rozbite butle na nogach ławki
to obraz mojego miasta
pan poprosił mnie o szluga
pani o siatki na czwarte piętro

zamek przypomina mi o startych
stronach światła
to prawda
dziś już go nie ma

wyjechałem by szukać wielości zwrotek
wracam sam nie wiem po co
do szklanki łez matki dziecięcego mnie

blok mi pomalowali
zawsze lubiłem ten szary
niechęć wołania o życie
litość krzyku o śmierć

Wisielec

Nic ciekawszego nie mogło się dziś wydarzyć
pomyślał wisielec,
zagłębiając nicość, kołując,
wpadając w wir samotności.
Wykrwawiony sznurek na pranie
ogłoszony został ostatnią stroną nienawiści do kobiet.

Kilogramy spoconych dłoni, szukają dostępu
do tego, co na wyciągnięcie ręki.
Trzeba tylko jak mrówka przenieść masę
własnego istnienia.

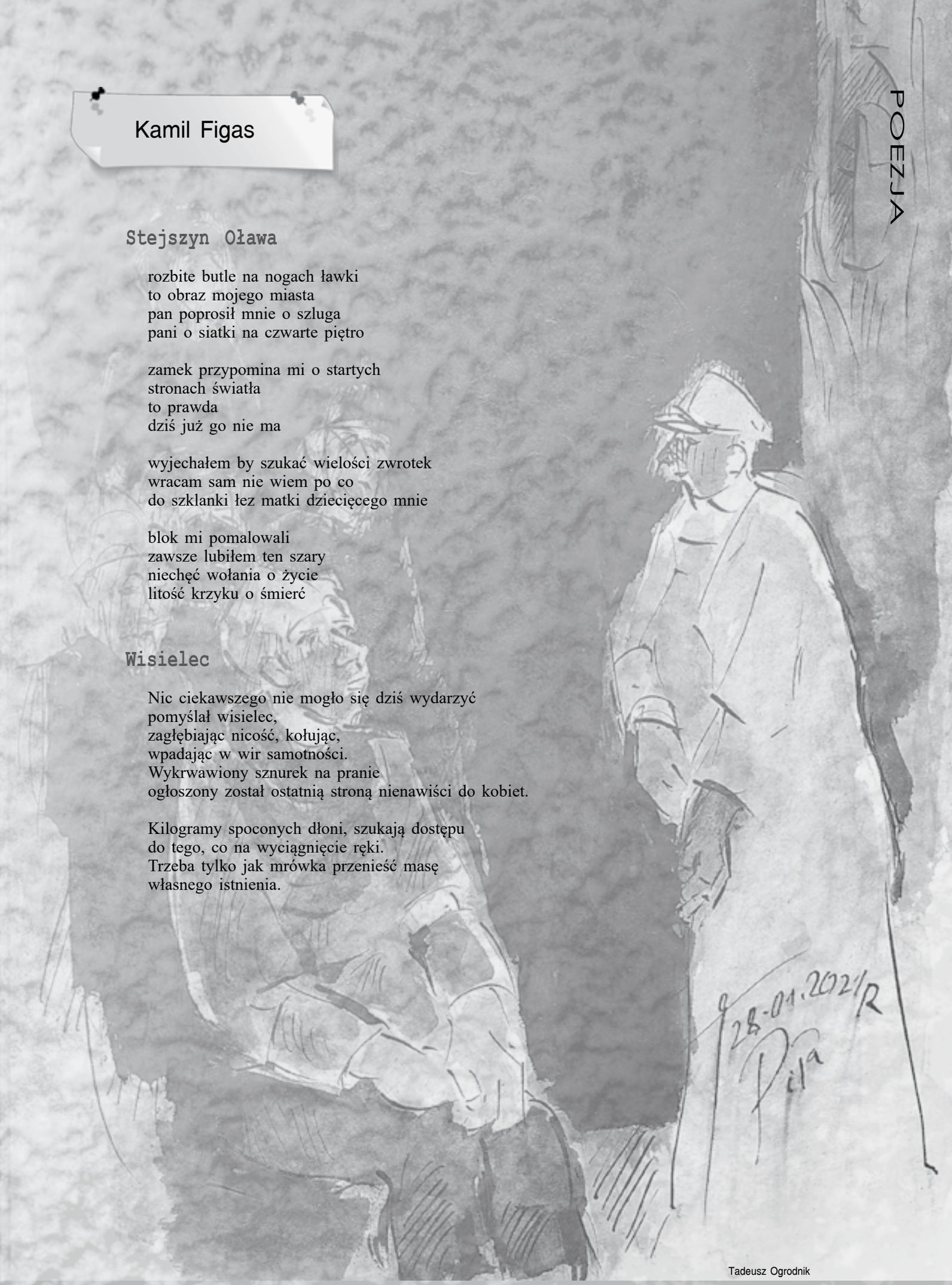

Tadeusz Ogrodnik

** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migo

ESEJ

Zbigniew Joachimiak

Zmarł Leszek Żuliński

Przez lata współpracował z Migotaniami, był w stopce redakcyjnej najmniej od 15 lat. Niepokoiła mnie jego mniejsza aktywność ostatnimi czasy, ale wiedziałem, że ma kłopoty ze zdrowiem, a więc nie robiłem mu wyrzutów. Zresztą, gdy pilnie coś potrzebowałem, pisał, nie narzekając, że brakuje mu sił. Znałem go jeszcze z lat siedemdziesiątych, z czasów, gdy ledwie wchodziliśmy w obieg literacki. Lecz doceniłem go znacznie później, już po przełomie politycznym w Polsce, gdy życie literackie się rozproszyło a dobra krytyka stała się towarem bardzo mało dostępnym. A dobry krytyk, recenzent a jednocześnie świetny poeta, który podejmował się trudnych omówień książkowych, panoramicznych esejów, to już dla pisma literackiego był skarb nad skarby.

Przyjaźniliśmy się, choć była to przyjaźń bardzo charakterystyczna dla nowego, XXI już wieku, spełnianą poprzez korespondencję emailową i lekturę własnych tekstów

W swoim dzienniku napisałem pewien czas temu o Leszku i jego książce:

Tom esejów Leszka Żulińskiego „Poezja mojego czasu", to chyba jedno z ciekawszych ujęć doświadczenia poetyckiego napisany przez poetę i krytyka z pokolenia roczników debiutujących w latach 70`. Leszek Żuliński sam określa się jako poeta nowoprywatnościowy. To ważne, bo na osi tej kategorii buduje opis poezji XX wiecznej ze szczególnym uwzględnieniem tej powojennej a jeszcze bardziej szczegółowo, tej rozpościerającej się pomiędzy Nową Fala, Nową Prywatnością a Poezją Najnowszą, czy post-nowoprywatnościową, która w opisie Żulińskiego jest przejawem postmodernizmu. To solidny, choć eseistyczny, opis polskiej poezji, Bardzo szeroko uwzględniający nazwiska poetów. Zdaje się, że Żuliński stara się być jak najbardziej sprawiedliwy szczególnie poprzez niezapominanie nawet o słabo znanych poetach. Demonstruje postawę, że skoro nie wszystkich może opisać, to wszystkich choć może wymienić. Bez ironii mówiąc, to naprawę uczciwa próba wymienienia wszystkich poetów. Z powodów naturalnych mnie najbardziej zaciekawiły watki dotyczące mojego pokolenia, mnie samego, moich kolegów po piórze, po uniwersytecie, po przyjaźni. To pierwsze ujęcie opisu procesu historycznoliterackiego, gdzie poezja nowoprywatnościowa otrzymuję dość solidny opis i rangę. Nie z wszystkim co Leszek Żuliński pisze przychodzi mi się zgodzić. Ale w kwestii Nowa Fala – Nowa Prywatność poglądy z tej książki są mi bliskie. Gorzej jest z opisem zjawisk poetyckich z lat 80`, 90`, ale za to bardzo celne są opisy i diagnozy dotyczące poezji już z nowego tysiąclecia. Być może zresztą to Żuliński ma więcej racji niż ja, bo mało czytałem tzw., młodej poezji, która przyszła po przełomach politycznych w Polsce. Zacząłem czytać więcej, gdy powstały Migotania, a więc kontakt z młodymi autorami stał się redakcyjnie intensywniejszy, bo po prostu na mój adres zaczęło dochodzić wiele nowych autorów i tekstów. Zgadzam się z LŻ, że młodzi poeci z lat 2000` znacznie szybciej dojrzewają literacko, że są dojrzalsi niż poeci w ich wieku np. w latach 70` i 80` (a to z kolei oceniam na podstawie lektury wierszy przesyłanych na konkurs Czerwonej Róży, w których z AKW (Andrzejem Waśkiewiczem) wiele lat jurorowałem). To wartościowa książka i sądzę, że wejdzie do kanonu krytyki i historii literatury, to wartościowy „bryk", cała kupa bardzo ciekawych intuicji, mnóstwo interesujących diagnoz. Ujęło mnie jeszcze coś, solidne i szczere rozlicznie się Leszka Żulińskiego z własnymi błędami.

Zbigniew Joachimiak

Tadeusz Ogrodnik

Leszek Żuliński

Plama wiersza

Jestem kartką,
białą kartką wiersza,
wiersza, który się nie poddaje,
który walczy
To on dostarcza ci
polecone listy skarg, telegramy krzyku,
małe metafory złudzeń i wielkie parabole wizji.
On szamoce się z tobą, przeskakuje twoje
góry, pokonuje depresje; dopada cię w niszy dnia
i przypiera do ściany. To jego oddech
czujesz stale na swojej szyi, to on przebiega
po twoich plecach dreszczem. Gdyby nie ten wiersz,
nie wiedziałabyś, że w życiu najważniejszy jest
dotyk słowa, kaskada zdania, eksplozja mowy.
Tak, to przez ten wiersz na moich bandażach
widzisz ślady atramentu. Moją krew.
Plamię nią księgę zapisaną wszystkimi
sensami miłości
A ty?
A ty w tym wierszu jesteś stroną

(Z tomiku Chandra, 2007)

ecej *** Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej **

Plakat artystyczny

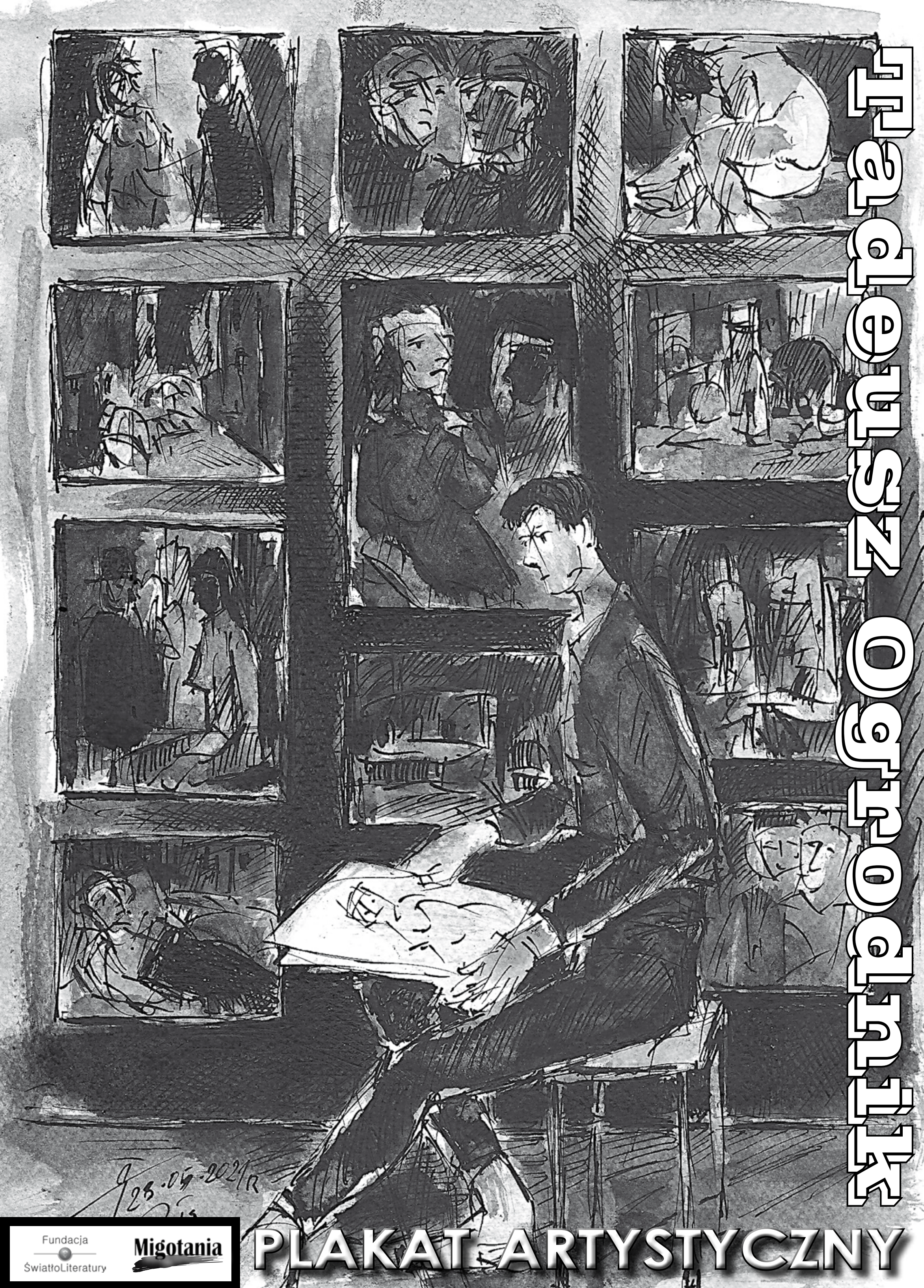

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury
Migotania

PLAKAT ARTYSTYCZNY

O świcie

Wejść w las o świcie.
Ptaki ledwie obudzone,
Jeszcze ochrypłe od snu.
Zakatarzone słońce wygląda z pościeli
Chmur. Deszcz się nie zdecydował
I na wszelki wypadek nie pada.

Liść potrąca liść jak nieznajomy nieznajomego
Na wystygłej ulicy. Mrówka przeciera oczy.

Ale ogólnie o świcie
Popieprzyło się to, co w nocy
Było jasne.

Jednak postanówmy coś, skoro
Tu jesteśmy – ty, on, oni
I ja. Pan wszelkiego stworzenia
Poza jednym stworzeniem –
Poza sobą.

Wszedłem w poranny las
I robię to, co muszę –
Próbuję żyć.
Może nie nadaremnie.

marzec, 2022r